

Operacja "Żmija"

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

Kir Bułyczow

Operacja Żmija

Opieracija Gadiuka
Przełożył Witold Jabłoński

Rozdział pierwszy

Ławrientij Beria

Na celę przerobiono jeden z bunkrów łączności centrum obrony przeciwlotniczej Moskwy, lecz korytarz, przy którym znajdowały się pomieszczenia, sprawiał wrażenie więziennego, jak gdyby budowniczo wie już wcześniej przewidywali, że będzie tu cela śmierci.

Sala sądowa znajdowała się jeszcze piętro niżej. Gdy ogłoszono wyrok, Ławrientija Pawłowicza Berię odprowadzono do celi. Nie wiadomo dlaczego wyobrażał sobie, że rozstrzelają go natychmiast, zamiast znowu zamykać. Po co tracić czas? Przecież wyrok był ostateczny, nie podlegający apelacji.

Skazańca ogarnęło w owej chwili oburzenie, wywołane niesprawiedliwym wyrokiem. Zabijcie mnie za to, że wiernie służyłem partii! Zabijcie w mojej osobie sumienie partii i przyznajcie: tak, odrzucamy zaszczytny tytuł komunistów, ponieważ postanowiliśmy skazać na śmierć prawdziwego leninowca. Jakie mieliście prawo nazywać mnie wrażym agentem, szpiegiem i nieuczciwym człowiekiem? Nie chcę umierać z takim piętnem na mojej reputacji!

Próbował powiedzieć to tępym generałom, którzy siedzieli rzędem za stołem kancelaryjnym i unikali jego wzroku, bo bali się go słuchać — rządził nimi strach nie tylko przed nowymi władcami, ale również przed podsądnymi.

Nienawidząc tych zastraszonych sędziów, Beria wyczuwał ich bojaźń, dlatego też, kiedy wrócił do celi, poczuł drgnienie nadziei. To wszystko nie było takie proste: wraz z nim pragną uwolnić się od strachu, dlatego chcą go zabić. Z pozoru absurdalnie, ale właśnie ten lęk może mu być pomocny.

Przeciwko niemu, samotnemu, niewysokiemu, skromnemu i zwyczajnemu na pierwszy rzut oka człowiekowi ruszyła cała machina ucisku ogromnego państwa. Jak Goliat przeciw Dawidowi. Wiadomo, czym może zakończyć się taki pojedynek.

W dodatku Beria znał sekret, którym nie podzieliłby się z tymi sługusami Chruszczowa pod żadnym pozorem. Wysłał w swoim czasie zaufanego człowieka do Szambali w Tybecie, skąd ten przywiózł mu horoskop. Dowiedział się z niego, że gwiazdy zapowiadają mu życie do końca XX wieku. Owe przepowiednie zapisane były tybetańskim alfabetem wraz z dołączonym angielskim przekładem. Nie było żadnych wątpliwości: sądzone mu było odejść dopiero przed 2000 rokiem, a dokładniej w 1998. Otrzymał ten horoskop w roku czterdziestym szóstym. Mając jednak pewne wątpliwości, rozkazał poważnie przepytac zaufanego człowieka niejakiemu Kobułowowi. Ten przysięgał potem, że dokument jest autentyczny. Ławrientij Pawłowicz głośno wtedy zakaszał i zaczął przecierać binokle, aby skryć radość, jaka go ogarnęła. Niepotrzebnie rozkazał rozwalić hitlerowskich astrologów, skoro mieli związki ze Wschodem.

Oczywiście, Ławrientij Pawłowicz był prawdziwym komunistą, ateistą, internacjonalistą. Każdy rozumny człowiek pojmie jednak, że są na tym świecie rzeczy wyższe niż ateizm, chociaż nie należy

się do tego przyznawać, choćby po to, aby tak zwanemu narodowi, czyli prostym masom, nie mącić w głowach, powinni bowiem wyznawać tylko jedną, jedynie słuszną wiarę. Kiedy odczytywano mu wyrok śmierci, przed oczyma duszy pojawiło się wspomnienie pożółkłego pergaminu i przepisany na maszynie przekład z angielskiego na rosyjski, przyczepiony doń zwykłym spinaczem.

Możecie skazywać mnie na jaką chcecie kaźń, powiedział w duchu, ale mnie nie dostaniecie.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi celi i nie został poprowadzony od razu na rozwałkę, Ławrientij Pawłowicz trochę się uspokoił. Najważniejsze, że zostało mu jeszcze trochę czasu... Jak to — trochę? A horoskop?

Radość bywa krótka, dlatego nie należy cieszyć się zbyt długo. Przecież sam skazywał setki ludzi, nie miał więc teraz prawa się tak pocieszać. Niektórych jednak oszczędzał. Może więc i nad nim się zlitują.

Beria zaczął się zastanawiać, jakim sposobem odwlec egzekucję. Horoskop horoskopem, ale jak ją odsunąć w czasie?

Zabrali mu zegarek. Cela znajdowała się w podziemiu, nie można było wyrzeć przez okno i zorientować się w porze dnia. I co teraz? Mogli przecież zaplanować posiedzenie trybunału głęboką nocą — ich prawo.

Pod sufitem paliła się żarówka, zamknięta w metalowej siatce, nie można się było do niej dostać. To był przejaw porządku. Po podłodze biegł karaluch... Nieporządek. Za jego czasów nie było w więzieniach robactwa. Wydawał liczne polecenia, żeby dezynfekcja więziennych pomieszczeń była efektywna. Kiedyś Jagoda żartował przy nim, że więźniowie łowią karaluchy, żeby je zeżreć. Gdy więc Ławrientij Pawłowicz doszedł do władzy, ukrocił panoszenie się insektów w celach, z tym nie było żartów. I wszystko na nic. Karaluch przebiegł po nierównej, cementowej podłodze i skrył się pod pryczą. Beria nie bał się tych stworzeń, lecz odczuwał wobec nich odrazę, co zdarza się przecież nawet najodważniejszym. Wstał i podszedł do drzwi, chcąc wezwać nadzorcę, żeby wytknąć mu niedopatrzenie, ale opamiętał się w porę. Z sąsiedniej pryczy zerwał się wojskowy w randze majora, który dotąd siedział tam i tylko obserwował go. Zapomniał, że skazanego nie zostawiano samego nawet na sekundę.

— Karaluchy — powiedział — roznoszą brud.

Major patrzył na niego w milczeniu. Oficerom dyżurującym w celi srogo zakazywano rozmów z więźniem. Beria wrócił na swoją pryczę. Ułatwili mu życie, pozwalając leżeć do woli. On sam był przeciwny, żeby więźniowie w ciągu dnia rozwalali się na pryczach, gdyż tylko się rozpuszczali i nadmiernie wypoczywali. A nazbyt wypoczęty więzień oznacza więcej problemów i wysiłków dla oficera śledczego... Oto o czym myślał w ostatnich godzinach życia. A może ostatnich minutach? A niby o czym miał myśleć?

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi. Przyszli po niego.

Chciało mu się krzyczeć, wyznać coś istotnego, o czym milczał podczas przesłuchań i w trakcie procesu. Co ich jednak obchodził Tybet? To wszystko byli oficerowie. Armia nigdy go nie lubiła, ponieważ popełnił błąd: dał się przekonać Wodzowi, żeby wojsko podlegało Bezpiecze, w ten sposób nie miał się u nich narodzić żaden Napoleon. Co lepsi byli likwidowani.

Przecież zdarzyło mu się czytać o wojskowych zamachach: caryce Elżbietę i Katarzynę wynieśli na tron żołnierze. Uwierzył jednak Wodzowi. Pewnie dlatego, że uznał, iż w tamtych czasach były feudalne, imperialistyczne wojska, a nasza armia to wojsko ludowe, które buduje socjalizm.

Rzucił się w kąt, jak najdalej od drzwi. Szukał dłońmi, żeby się czegoś uchwycić, kiedy go będą

zabierać. Robił to niepotrzebnie, bo przecież nikomu nie udało się pozostać w celi śmierci. Gdyby opowiedziano mu to w normalnej sytuacji, zacząłby się śmiać do rozpuku.

W drzwiach stanął Moskalenko w mundurze, a wraz z nim jeszcze jeden, nieznajomy generał. Może to jednak dobry znak?

— Wychodzić — powiedział.

— Nie — odparł Beria.

Starł się przemawiać przekonująco i spokojnie, lecz nie bardzo mu się to udało, a jego głos zamienił się w krzyk.

— Nie będę się odwoływał! Proszę dać mi możliwość... napisać notatkę wyjaśniającą do Komitetu Centralnego.

— Wychodzić — powtórzył Moskalenko.

To pewnie sadysta. Wie, że jeszcze trochę pożyję. Będzie mnie męczyć przed śmiercią.

Oficer dyżurny szturchnął Berię w plecy. Moskalenko odsunął się, żeby nie zetknąć się ze skazańcem. Po chwili Ławrietnij Pawłowicz znalazł się w korytarzu i kolejny kuksaniec zmusił go do ruszenia przed siebie. Szli korytarzem, w którego gładkich ścianach tkwiły żelazne drzwi. Pod nogami cementowa podłoga. Dziwnie było teraz myśleć, że to on sam otwierał w swoim czasie nowe centrum obrony przeciwlotniczej.

Oczywiście, była to całkiem zdrowa myśl. Jego prześladowcy bali się na pewno, że prawdziwi komuniści i pracownicy Bezpieki wezmą w obronę swego szefa i oswobodzą go. Przecież na wolności pozostali jego wierni towarzysze, współpracownicy, komendanci dywizji i oddziałów specjalnych... Dlatego spiskowcy ukryli go pod ziemią, bo — być może — w tej chwili szukają go przyjaciele, wdzierając się do więzień i łagrów, nigdzie nie mogąc go znaleźć. Czas ucieka, w jednej chwili mogą rozstrzelać marszałka. Wiecie, że jestem marszałkiem? Że jestem od was starszy stopniem? Nie, odparł Żuków. Najchętniej by go rozszarpał, wojennego grabieżcę. Gdzie twoje wagony, przyjemniaczku, przepełnione łupami? Nie, odparł Żuków, twój tytuł jest lipny. Nigdy nie byłeś na froncie. To nieprawda, ponieważ wartość marszałka ocenia się wedle zasług dla Ojczyzny. Nigdy nie wiadomo, czy wojskowi odnieśliby zwycięstwo, gdybyśmy nie oczyścili kraju z wszelkiego brudu jeszcze przed wojną.

Dlaczego moje myśli biegną w takim kierunku? Powinienem się skoncentrować! Od jednego słowa może zależeć moje życie. Dopóki mnie nie rozstrzelali, wciąż żyję...

Otworzyły się przed nim kolejne z wielu drzwi. Za nimi znajdował się niewielki przedsionek ze stanowiskiem porucznika. To na pewno nie sala kaźni. Moskalenko wraz z drugim generałem pozostali na zewnątrz w korytarzu. Oficer otworzył drzwi wewnętrzne, wpuścił więźnia i zatrzasnął je za jego plecami.

Pokój był nieco większy od jego celi. Pośrodku znajdowało się typowe biurko oficera śledczego z dwoma rzędami szuflad. Za biurkiem spokojnie siedział Nikita, ubrany w marynarkę i białą koszulę, bez krawata.

— Stój, gdzie stoisz — powiedział Chruszczow.

Beria ani drgnął. Ogarnęła go szalona radość. Najwyraźniej tybetańscy mędrcy nie zełgali, w końcu nowy przywódca państwowy nie wzywa do siebie skazanego na śmierć po to, żeby życzyć mu szczęśliwej drogi.

— No jak tam? — spytał Chruszczow. — Masz jakieś zażalenia?

Trudno o coś bardziej głupiego, niż pytać o zażalenia skazanego na śmierć. Ale może to jakiś

sygnał? Może nasi drodzy sojusznicy pożarli się między sobą? I okażą się im potrzebny?

— Protestuję — oznajmił Ławrientij Pawłowicz. — Nie masz pojęcia, w jakiej znalazłem się sytuacji! Nie dali mi papieru, na którym mógłbym napisać zażalenie.

— Bili cię? — spytał Nikita.

— Dlaczego mieliby bić?

Ten pokój był także oświetlony żarówką za siatką pod sufitem. Z tego powodu odbłyśki lampy przemieszczały się niczym iskry na łysinie Chruszczowa.

— No wiesz — powiedział — ciąży na tobie zarzut naruszenia prawa.

— Wszystko, co zrobiliście przeciwko mnie, jest jaskrawym naruszeniem sprawiedliwości socjalistycznej. Jeśli nie będę miał możliwości wystąpić na posiedzeniu KC...

— Nie będziesz miał możliwości — oświadczył Nikita.

Jednym zdaniem zgasił wątlą płomyk nadziei. Beria zamarł z półotwartymi ustami, lecz tylko chwilę, gdyż zaraz zapytał:

— Więc po co mnie wezwaliście?

Chciał powiedzieć: poprosiliście, lecz zdrętwiałe od trwogi, drżące usta nie zdołały wymówić tego słowa. Oczy Chruszczowa były zimne jak u wściekłej świni.

— Tak czy owak jesteś skazany — wyjaśnił. — Chciałem się z tobą spotkać, żeby usłyszeć twe ostatnie zeznania.

— Wszystko już powiedziałem.

— Nie kręć, Ławrientij. Za pół godziny będziesz pełzać u stóp wykonawcy wyroku, śpiewając *Międzynarodówkę*. My natomiast będziemy dalej budować socjalistyczną przyszłość. Co masz do powiedzenia?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Więc żegnaj. Teraz już na zawsze. Myślałem, że zechcesz złożyć dodatkowe zeznania.

Beria stał nieruchomo, po prostu czekał, aż wejdą konwojenci. Nikt jednak nie wchodził, w pomieszczeniu było bardzo cicho, może dlatego, że było ukryte wiele metrów pod ziemią. Słysząc było, jak Chruszczow oddycha szybko i gwałtownie. Więzień słyszał nawet swój puls, nie wiedząc czemu po prawej stronie szyi. Potem spłynęło na niego olśnienie. Takie, które przychodzi od Boga, a nie pojawia się w głowie samo z siebie.

— Gdyby partia dała mi taką możliwość, zeznałbym o działalności niektórych czołowych przywódców naszego państwa. Nie zeznawałem o tym wcześniej...

— Dlaczego?

Chruszczow był zawzięty, jak pies, który złapał trop i szarpał się na smyczy.

— Kwestia dotyczyła etyki partyjnej, Nikito Sergiejewiczu.

Ławrientij Pawłowicz próbował znaleźć odpowiedni ton. Za chwilę okaże się, czy mędracy z Szambali rzekli mu prawdę.

— Konkretniej.

— Chodziło o moich starych towarzyszy, bardzo zasłużonych dla partii i dla kraju. Czy mogłem na nich donosić?

— Nawet, gdy chodziło o twoje życie?

— Powiem ci szczerze, Nikito Sergiejewiczu...

Beria trząsał się, jakby mu było zimno. Dostrzegał, jak to mówią, światelko w końcu tunelu, ale czy pozwolą mu dobiec do wyjścia?

— I tak by mnie skazali, prędzej czy później. Ci sami towarzysze, którzy obecnie uzurpują sobie prawo do władzy w kraju i boją się mnie bardziej od śmierci.

— Kto konkretnie?

Nie spiesz się teraz, Ławrientij. Pamiętaj, że stawką w grze jest twoje życie. Powinieneś wymienić najgroźniejszych rywali Nikity, tych, których się najbardziej obawia.

— Wolałbym złożyć swoje wyznania w formie pisemnej

— oświadczył. — Potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko sobie przypomnieć i odpowiednio to sformułować.

— Nie masz już czasu — odparł Nikita. — Zostałeś skazany, w tej chwili już...

Zerknął na zegarek. Beria zdążył zauważyć, że jest dwadzieścia po ósmej. Wieczorem? Rano? Właściwie, czy to takie ważne?

— Już żyjesz na kredyt. Oficjalnie zostałeś rozstrzelany. Dowie się o tym wkrótce cały Związek Radziecki. Gadaj więc, bo wartownicy czekają.

Beria westchnął głęboko. Znalazł się w swoim żywiole, a Chruszczow stracił nad nim przewagę.

— To koniec! — pienił się Nikita, jakby ukąsiła go żmija.

— Już jesteś martwy! Kłamiesz, że masz do powiedzenia coś nowego.

— Wiem bardzo dużo — odpowiedział Beria prosto i otwarcie, dobitniej akcentując słowa niż na początku tej rozmowy.

— Gdzie te papiery?

— To nie papiery. Po co mi jakieś papierzyska? Wszystko mam w głowie.

— Wydobędziemy to z ciebie!

— Wątpię — odparł Beria. — Co zamierzasz wydobyć?

— Wszystko!

— Jeżeli się ode mnie odczepisz, dasz mi czas i trochę spokoju, otrzymasz nie tylko nazwiska, dostaniesz także kontakty zagraniczne, całą szpiegowską siatkę, spisek przeciwko tobie. Wszystko znajdzie się na twoim biurku.

— Próbujesz się targować?

Chruszczow wydobył niewielki, tani, plastikowy grzebyczek i zaczął nim nerwowo przyczesywać łysinę.

— To ci się nie uda. Jesteś już trupem!

— Trzeba mnie było nie wzywać — odparł skazaniec.

Przyczesawszy resztki włosów, Chruszczow wsunął grzebyk do zewnętrznej kieszonki marynarki i wyraźnie się uspokoił.

— Podaj wszystkie nazwiska — zażądał opanowanym głosem.

— To są ludzie ci bliscy, Nikito Sergiejewiczu.

Ton był właściwy, a także odpowiedni nacisk na imię.

— Nazwiska!

— Będę musiał trochę... — powiedział Beria — Będę musiał... Może usiądę?

— Nogi ci mdleją?

— Byłeś kiedyś skazany na śmierć, Nikito Sergiejewiczu?

— Myślę, że gdyby nie Wódz, dawno już byś mnie wsadził.

— Mieliśmy na ciebie materiały — przyznał Beria z beztroską szczerością. — I to całkiem poważne.

— Jakież to?

— O represjach na Ukrainie, o procesach w Moskwie, twój list do Wodza o Bucharinie...

— Przestań!

„Jestem starym głupcem, pomyślał Beria. Nie powinienem był o tym mówić! Czyżbym wszystko zmarnował? I to w chwili, gdy błysnął promyk nadziei?”

Chruszczow milczał chwilę.

— Boisz się, bydlaku — powiedział w końcu.

Beria powstrzymał się z trudem od oczywistej i prawidłowej odpowiedzi: I ty także, trochę bardziej niż ja, Nikito. Zamiast tego odparł:

— Nie nadałem biegu tej sprawie.

— A kto cię o to prosił?

— Wielu prosiło. Włącznie z Wodzem.

— I co cię powstrzymało?

— Dzisiejszy dzień. Dopuszczałem możliwość, że kiedyś nastąpi. Jesteś mi dziś potrzebny jako przyjaciel, a nie jako zajadły wróg.

— Zmyślasz i kręcisz. Nie znosiłeś rywali.

I znów Beria zdusił w sobie zdanie: Nie jesteś moim rywalem. Tym bardziej, że w tej sytuacji zabrzmiałoby ono dość głupio. Skazany na śmierć nie krytykuje swojego oprawcy.

— Wszystkie dokumenty zniszczyłem. Prawie wszystkie...

— Także dotyczące innych?

Zaczął się targ. I cóż, ukraiński kurdupłu, dotrzymasz pola megrelskiemu wojownikowi?

— Teraz już wszystko jedno — rzekł z westchnieniem Ławrientij Pawłowicz.

— Dlaczego? Partii nie jest wszystko jedno.

— Jestem skończonym człowiekiem. Złożyłem samokrytykę, lecz partia mnie odtrąciła. Dobrze o tym wiesz, Nikito Sergiejewiczu.

— Sam sobie jesteś winien. Widocznie nie pokajałeś się odpowiednio.

Każda minuta, mówił do siebie Ławrientij Pawłowicz, każda sekunda tej rozmowy zwiększa moje szanse przeżycia. Znał tę zasadę: jeśli bandyta z tobą rozmawia, zamiast od razu cię zastrzelić, daj mu się wygadać.

— Posłuchaj, Nikito Sergiejewiczu — podjął, starając się utrafić we właściwy ton, nie nazbyt beczelny i nie zanadto proszący, lecz ton zwykłej rozmowy, taki, by nie rozgniewać rozmówcy, ale i nie zeszmacić się całkiem. — Lepiej niż inni wiedziałeś, że moja pozycja w Biurze Politycznym pozwalała dowiadywać się o niektórych wydarzeniach wcześniej, aniżeli ich uczestnicy.

Nikita nie uśmiechnął się, ale mu nie przerywał.

— Niektóre rzeczy chowałem w sejfie, o innych meldowałem Józefowi Wissarionowiczowi. Były jednak i takie, które mogłem ukryć tylko tutaj.

Postukał się czubkiem palca w skroń.

— To znaczy, że dobrze zrobiliśmy — odpowiedział na to Chruszczow — że cię usunęliśmy. Dopóki żyjesz, zawsze mogą wychodzić od ciebie różne oszczerstwa, jak śmierdzące, trujące pociski.

Określenie to zabrzmiało w uszach Ławrientija Pawłowicza nieprzyjemnie i uznał je za niesprawiedliwe.

— Zaraz śmierdzące! Po co się obrzucać inwektywami? Jesteśmy dorosłymi ludźmi, zarządcami

wielkiego kraju...

— Zamilcz — przerwał mu Chruszczow.

„Czyżbym popełnił błąd? Powiedziałem coś nie tak? Tylko w którym momencie?”

Prędko odwrócił głowę i zatopił wzrok w zamkniętych drzwiach.

Nikita chrząknął. Wyczuwał strach Berii i sprawiało mu to przyjemność. Chruszczow rozgniewał się przede wszystkim z tego powodu, że uświadomił sobie, jaki popełnił błąd, pozwalając Berii uczepić się rąbka nadziei, co sprawiło, że po dziesięciu minutach rozmowy skazaniec ośmielił się nazwać siebie zarządcą kraju. Zrozumiał, że nigdy, pod żadnym pozorem nie może wypuścić kogoś takiego na wolność ani darować mu życia. Na wolności z pewnością znalazłby sposób, aby się zemścić. Ten świat był dla nich dwóch zbyt mały.

To jednak wcale nie oznaczało, że nie należało wycisnąć z Ławrientija wszystkiego do ostatniej kropelki. Do tej chwili Beria składał zeznania jawnie przed sądem i miał możliwość, nawet w obliczu śmierci, zataić pewne istotne, a może nawet decydujące dla istnienia ZSRR fakty. Trzeba będzie to zmienić.

— Ławrientiju Pawłowiczu — powiedział — zostałeś skazany na śmierć, więc niczego ci nie mogę obiecać. Odkryto twoje wielkie zbrodnie wobec narodu i partii. Uważam jednak, że za wcześnie na egzekucję. Możesz jeszcze być nam przydatny.

Nikita Sergiejewicz zrobił pauzę, co wykorzystał Beria:

— Gotów jestem wypełnić każde partyjne zadanie.

— Nie wrywaj się, przecież nie wyślemy cię z bombą na tyły wroga... Twoim zadaniem będzie pozostać w tym podziemiu.

— Po co?

— Żebyś przeprowadził ostateczną samokrytykę. Obecnie niewart jesteś nawet kuli.

— Jestem gotowy — pospiesznie zapewnił Beria.

— Chętnie bym się dowiedział — zaczął Chruszczow, łamiąc zasadę, że należy przemawiać jedynie w imieniu partii — jakie były związki pomiędzy niektórymi członkami Biura Politycznego i jaki przygotowywali spisek... Jeśli, naturalnie, rzeczywiście przygotowywali coś takiego.

— Kogo masz zwłaszcza na myśli, Nikito Sergiejewiczu?

— Zastanów się, kto mógł organizować coś takiego i powiedz partii całą prawdę. Jeśli w naszych szeregach są ludzie niewinni, nie powinno się na nich w żadnym wypadku rzucać oszczerstw. Interesują mnie wyłącznie obiektywne informacje. Jak wiesz, postanowiliśmy przywrócić leninowskie zasady funkcjonowania partii i społeczeństwa.

— Sam przy tym obstawałem...

— Zamilcz. Właśnie dlatego nie będziemy tolerować fałszywych donosów na wiernych synów i córki naszej partii. Za coś takiego będziemy karać z całą bezwzględnością, towarzyszu Beria.

Cóż za zastrzeżenie!

— Jeśli jednak znasz jakieś tajemnice ważne dla naszego państwa, będziesz musiał nam je wyjawiać. Zrozumiano?

Chruszczow spojrział w oczy Berii. Wyszło to niezbyt przekonująco: Nikicie nie udało się wprowadzić samego siebie w odpowiednio groźny nastrój.

— Jak to konkretnie... zrobimy? — zapytał Beria.

— Konkretnie usiądziesz i napiszesz. Nie to, co sami mogliśmy wyczytać w twoich papierzyskach, lecz dokładnie, po nazwiskach, nikogo nie oszczędzając. Jeśli wiesz także coś na mój

temat, pisz, gadaj bez względu na wszystko, rozumiesz?

— Nie dają mi papieru.

Nie była to może najmądrzejsza odpowiedź, właściwie raczej głupia, ale Chruszczowowi się spodobała.

— Więc tak — powiedział — zostałeś rozstrzelany, Ławrientiju Pawłowiczu, zgodnie z wyrokiem sądu.

Spojrzał na zegarek.

— Pół godziny temu. Twego trupa, jak się zapewne domyślasz, rzuciliśmy psom na pożarcie.

— Coś niesłychanego! — wyrwało się mimowolnie Berii, jakkolwiek w tej sytuacji los, na jaki skazywano zwłoki nie odgrywał decydującej roli.

— Jesteś zadziwiającym człowiekiem, Ławrientiju — zauważył Chruszczow. — Masz może jakieś wymagania pod tym względem?

— Jestem Gruzinem, Nikito Sergiejewiczu. Dla nas, mieszkańców Kaukazu, poniewieranie martwego wroga to hańba dla jego zabójcy!

— Więc ty nigdy... niczego takiego nie zrobiłeś? Wszyscy twoi wrogowie zostali pochowani z honorami, przy dźwiękach orkiestry na Nowodziwiczym Cmentarzu?

„Jeszcze się przy tym uśmiecha! Dobiorę się do ciebie, gadzino!” Beria uciekł wzrokiem, aby nie zdradziło go spojrzenie. Teraz był już pewien: tybetańscy mędrcy go nie okłamali. Wyrwie się z tej matni i jeszcze pokaże temu nadętemu głupkowi!

— Milczysz? I dobrze robisz. Znalazł się: „mieszkaniec Kaukazu”! Na Kaukazie twoje imię będzie przeklęte na wieki!

— Kłamiesz! Jestem bohaterem narodowym Gruzji!

— Powiem ci więcej. Twoi Gruzini będą potrzebowali świętego proroka. Zrobią więc swoim prorokiem Stalina. Będą się do niego modlić, a jego ciało wyciągną z naszego Mauzoleum i u siebie w Gori będą wokół niego tańczyć jak derwisze!

— Derwisze są u muzułmanów...

— Wszyscy jesteście tacy sami.

— Jesteśmy chrześcijanami.

— Chrześcijanami? I to mówi leninowski bolszewik, internacjonalista?

Bardzo kusiło Ławrientija Pawłowicza, by przerwać owe bluźniercze, prowokacyjne wypowiedzi. Trzeba było jednak swoje odcierpieć. Prawdziwie wielki człowiek tym właśnie odróżnia się od awanturnika politycznego, że potrafi cierpieć i czekać na właściwy moment, żeby uderzyć celnie i bezlitośnie. Tak nauczał sam wielki Stalin.

— Twoi Gruzini zrobią Stalina świętym — powtórzył Chruszczow. — Również po to, żeby twoje imię wdeptać w gówno. Tak najlepiej: znaleźć świętego i łajdaka do pary. Mówię ci.

— Jestem zmęczony — oznajmił Beria. — Nogi nie wytrzymują.

— Co począć — odparł z westchnieniem Nikita. — Jak widzisz, nie ma tutaj drugiego krzesła.

— Więc siądę na podłodze — oświadczył.

Było mu już wszystko jedno. Jest w końcu niemłodym człowiekiem, spędził ostatnio wiele tygodni w oczekiwaniu strasznej, niesprawiedliwej śmierci. Popępiał życiowe błędy, za które można go potępić, ale dlaczego mają go tak męczyć?

— Otrzymasz papier i przybory do pisania — rzekł Chruszczow — i zaczniesz pracować. Zapiszesz wszystko, co skrywasz w swojej głowie. Będę zaznajamiał się z tym na bieżąco i może

jeszcze zechcę z tobą porozmawiać. Przede wszystkim pamiętaj: umarłeś już dla całego świata, włączając w to naszą partię i członków Biura Politycznego. Nie ma cię. Jesteś kupą popiołu we wspólnej mogile. Nie zasługujesz na inny los, gdyż ziemia dawno nie nosiła takiego jak ty zbrodniarza, w każdej chwili mogę przerwać to odroczenie i kazać cię zlikwidować.

— Więc po co mam pisać?

Beria przestąpił z nogi na nogę. Owładnęło nim otumanienie, jakie przydarzało się na egzaminach: wszystko mi jedno, tylko niech pan już kończy egzaminować, panie profesorze.

— Będziesz pisać dlatego, że dopóki to będziesz robił, wciąż będziesz miał nadzieję, że cię ulaskawię, albo że mnie utracą drodzy towarzysze broni. Dobrze o tym wiemy. Będziesz się spodziewał, że uznam ciebie za sojusznika tajnego lub jawnego, przydatnego jako nieoczekiwany świadek na jakimś procesie. Rozumiesz?

— Ja także składałem obietnice tego rodzaju — zauważył Beria.

— Niczego ci nie obiecuję. A raczej mogę obiecać, że zostaniesz rozstrzelany, kiedy napiszesz ostatnie słowo. Nie próbuj jednak przeciągać tego w czasie. Być może dam ci tydzień, może miesiąc, a może... czas do Nowego Roku. Potem jednak każę cię rozstrzelać, bo na co komu człowiek już raz rozstrzelany, co?

Chruszczow zaśmiał się gromko i sztucznie. Nie wstawał, ani nie dał żadnego znaku, zapewne pod blatem biurka miał jakiś guzik, skoro w tej chwili zaskrzypiały drzwi i wszedł nieznajomy kapitan.

— Odprowadzić — rozkazał Chruszczow.

— Do widzenia, Nikito Sergiejewiczu — pożegnał się Beria.

Tamten nie odpowiedział i nie zaszczycił go spojrzeniem. Był to raczej niedobry znak. Najważniejsze jednak, że człowieka nie zabili, chociaż dawno mogli to zrobić.

* * *

Nowa cela znacznie różniła się od poprzedniej, jakkolwiek również nie było w niej okna. Pryczkę okrywało prześcieradło, którego Beria dawno już nie widział. Była także powleczone poduszka. Przytaszczyli nie wiedzieć skąd kancelaryjne biurko, bez szuflad. Znajdowała się na nim ryza papieru do maszynopisania. Poprosił o liniowany papier i zaraz mu przyniesiono dwa grube zeszyty w niebieskich, ceratowych okładkach. Dostał też trzy ołówki. Kiedy się tępiły, można było poprosić o wymianę, lecz Ławrientij starał się tak pracować, żeby wystarczyły na jeden dzień.

Pracował cztery godziny dziennie. Oczywiście, nie znaczyło to, że pisał bez ustanku. Długo się namyślał, potem pisał jedną lub dwie linijki. Tworzył epistolę niczym poeta piszący epicki poemat: wymyślający rymy, trzymając się rytmu, by nie naruszyć harmonii dzieła.

Pomimo tego jednak, że pośpiech nie leżał w planach Ławrentija Pawłowicza, to sporządzając kompromitujące materiały na temat kolegów z Biura Politycznego należało zrobić to tak, żeby oskarżenia brzmiały poważnie i natychmiast go nie pogrążyły. Bo nagle mogło się okazać, że Chruszczowa obalono i w drzwiach celi stanąłby Georgij Maksymilianowicz Malenkow.

Ławrientij Pawłowicz uznał, że Chruszczow jednak go nie usunie. Z czasem będzie coraz

bardziej potrzebny nowemu przywódcy: w walce o władzę będzie zmuszony opierać się na informacjach zawartych w głowie byłego szefa Bezpieki. Tak staną się sojusznikami.

Główny problem tkwił w tym, że tworząc teczkę na Malenkowa i Mołotowa, głównych przeciwników, Beria nie wiedział, co dzieje się na zewnątrz. Nie dostarczali mu gazet, nie było tu radia. Próby podpytywania strażników niczego nie dały. Strzegli go nadal wojskowi, jednak inni, nie podlegający Moskalence i Żukowowi. Beria w żaden sposób nie mógł dojść, kto jest ich szefem. Wiedział dobrze, że armia, podobnie jak partia, dzieli się na wrogie wobec siebie klany. Doskonale to pojmował, sam widział, jak na procesie Tuchaczewskiego i Gamarnika Stalin rozprawił się z nimi rękami Bluchera i Jegorowa, po to, żeby wkrótce na kolejnej rozprawie tych ostatnich osądziło nowe pokolenie marszałków jakkolwiek by na to spojrzeć, Beria mógł stawiać wyłącznie na Chruszczowa. Jego niewidoczną obecność odczuwał bez przerwy. Odbierana codziennie nowa porcja zeznań, wracała po jakimś czasie z notatkami na marginesach, sporządzanymi bez wątpienia przez Nikitę. Charakterystyczne były niektóre jego wyrażenia, nie zawsze gramatyczne, za to emocjonalne. Świadczyło to wyraźnie, że nadal utrzymuje się przy władzy, inaczej nie byłyby mu potrzebne donosy przeciwko rywalom. Z tego wnosił, ku czemu zmierza Chruszczow i czego jeszcze będzie potrzebował.

Początkowo sekretarz życzył sobie, żeby zeznania głównie obciążały Malenkowa, Nie obchodziły go jednak wypowiedzi przeciwko Wodzowi, partii, czy też towarzyszowi Nikicie. Należało wykazać, że był on szefem szajki szpiegowskiej, miał ścisłe związki z USA i przede wszystkim z Izraelem, które to związki były śmiertelnie niebezpieczne jeszcze za czasów Józefa Wissarionowicza, gdy rozpoczął się proces lekarzy.

Tak więc, sądząc po obliczeniach Ławrientija Pawłowicza, który nie miał żadnego kalendarzyka, mniej więcej na początku grudnia, okazało się konieczne włączyć do spisku również Woroszyłowa, który najwidoczniej czymś się naraził. Okazało się także, że głównym wodzem podejrzanych cudzoziemców w Moskwie stał się Kaganowicz, więc trzeba było go dołączyć do raportu.

Ławrientij Pawłowicz zażądał kobiety. Nie musiała być najpiękniejsza, ale brak stosunków z płcią przeciwną wywoływał poważne zmiany w jego organizmie, przywykłym do łóżkowych uciech. Stwierdził, że bez tego nie jest już w stanie rozumować logicznie i traci powoli pamięć. Pragnąc, by jego życzenie dotarło do Nikity, Beria wpisał je w postaci osobnego akapitu w zeznaniu na temat zbrodni Kaganowicza.

Papier powrócił do niego następnego dnia. Na marginesie owego akapitu pojawił się mocno nieprzyzwoity komentarz. Ogólnie odpowiedź w ordynarnej, prześmiewczej formie odnosiła się do charakteru narodowego Gruzinów. Rozzłoszczony Ławrientij przysiągł sobie, że gdy wyjdzie na wolność, wsadzi świnię Chruszczowa do klatki i w pierwszym rzędzie każe go wykastrować, a później dopilnuje, żeby cały naród dowiedział się o tym niedostatku pocziwego Nikity Siergiejewicza.

Skoro jednak Chruszczow tak stanowczo odmówił przysłania kobiety, Beria się nieco zatrwożył. Oczywiście nadal pocieszał się wiarą w moc tybetańskich astrologów, tylko że oni byli daleko, a lufa pistoletu blisko. Skoro nowy przywódca uzna, że Ławrientij przestał być mu przydatny, nie zawaha się wydać rozkazu. Więzielnik miał zatem nadzieję na prawdziwy spisek przeciwko sekretarzowi. Oczekiwał tego, trzęsąc się ze strachu. Wszystko zależało od tego, kto następny dorwie się do władzy. Jeśli będą to ci, których Beria pominął w swozapiskach, ma szansę pozostać wśród żywych, gdyby jednak zwyciężył Malenkow lub co gorsza Kaganowicz, wtedy wszystko stracone.

Lepiej już, żeby Chruszczow umocnił swój tron. Be — ria mógł tego domniemywać wyłącznie po jego notatkach na marginesach, zdradzających zainteresowanie tym lub innym przeciwnikiem. Nadszedł jednak dzień, kiedy widocznie poczuł się na tyle mocny, iż uznał za niepotrzebne kolejne wynurzenia swojego więźnia. Kiedy skazaniec przekazał zwykłą porcję zeznań, nie otrzymał następnego dnia ołówków ani zeszytu.

Stało się to całkiem zwyczajnie. Obudziło go głośnie szczęknięcie rygli. Obecnie przebywał w celi samotnie, bez obserwatora, widocznie nie obawiali się, że sobie coś zrobi. Nawet zwrócili mu okulary, chociaż przestępca może stłuc szkła i podciąć sobie żyły — takie przypadki znane były odpowiednim służbom.

Do celi wszedł kapitan, którego Beria nazywał w myślach Kola, chociaż nie znał jego prawdziwego imienia. Kola był lepszy od Iwana, gdyż czasami z Berią rozmawiał. I tym razem powiedział:

— Dzień dobry. Proszę wstać.

Postawił na biurku tacę, na której znajdowały się kawałek chleba, miseczka pełna kaszy i kubek herbaty. Na kromce leżały dwie kostki cukru.

Nie ruszając się, Beria zapytał:

— Którego dzisiaj?

— Naprawdę pan nie wie?

Wyczuł w tonie kapitana prawdziwie ludzkie współczucie. Jaki to może być dzień? Ustanowienia Stalinowskiej Konstytucji? Nie, już był. Więc może Urodziny Wodza? Pewnie tak, dzień urodzin Stalina.

— Dzień urodzin Józefa Wissarionowicza? — zasugerował.

Teraz wszystko zależało od tego, jak zareaguje kapitan. A może to swój człowiek?

— Co pan opowiada?

Kapitan skrzywił się, jakby odpowiedź więźnia była mu niemiła.

— Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak.

Beria wyczuł błagalne nutki we własnym głosie. Niedobrze.

— Jutro Nowy Rok — wyjaśnił oficer. — Dzisiaj trzydziesty pierwszy grudnia. Od jutra będziemy mieli rok pięćdziesiąty czwarty.

Zostawił tacę i ruszył w stronę drzwi. Beria usiadł na pryczy. Coś się nie zgadzało.

— Stój — powiedział. — Mówiłem wczoraj, że skończyły mi się ołówki i papier. Słyszysz? Nie mogę pracować, bo nie mam na czym.

— Wiem — odparł oficer. — Zgłaszałem to już.

— I co się stało?

— Powiedzieli, że papier nie jest już potrzebny. Swoje już napisaliście.

Beria starał się znaleźć odpowiednie słowa, by nakłonić kapitana do ponownej próby. Skoro nie dają mu więcej papieru, na pewno go zabiją. Tymczasem oficer wyszedł i zamknął drzwi.

Ławrientij rzucił się w stronę kibla. Już wcześniej miewał kłopoty z jelitami, ale tego ranka nastąpiła prawdziwa katastrofa. Siedział na klozecie, nie mając siły wstać, by zastukać w drzwi i wezwać naczelnika. Uświadomić mu, że zaszła pomyłka. Tamten go wysłucha, zrozumie i potwierdzi, że to pomyłka.

Nie był w stanie zjeść śniadania. Łyknął tylko trochę herbaty.

Próbował wziąć się w garść i zacząć logicznie myśleć. Ginie ten, kto ulega panice. Tak

przemawiał do siebie, lecz słuchał go tylko maleńki zakątek mózgu. Reszta wymyślała diabelskie warianty. Łudził się nadzieją ratunku: być może, na przykład, trzydziestego pierwszego grudnia w więzieniu się nie pracuje i mają wolny dzień. Na pewno tak jest. Głupcze, odpowiada trzeźwiejsza cząstka mózgu. Nie wolno ci wiedzieć, jaki jest dzisiaj dzień. Kapitan okazał ci tylko współczucie. Przecież pracowałeś od listopada? Pracowałeś i dawali ci papier...

Zastukał do drzwi, ale niezbyt głośno. Otworzył się judasz.

— Przepraszam — powiedział Ławrientij Pawłowicz — nie dostałem papieru.

— Czekać — odparł beznamiętny głos, w którym jednak nie było odmowy.

Czekał więc długo, może dwie albo trzy godziny. Liczył w duchu sekundy, ale nie potrafił liczyć spokojnie: chwilami zbytnio się spieszył, chwilami zanadto zwalniał.

— Wkrótce przyniosą — powiedział głośno do siebie.

Nikt go nie słyszał. Został sam na świecie, na całej Ziemi, reszta wymarła. Nie mogąc dłużej tego znieść, ponownie rzucił się ku drzwiom, a wtedy otworzyły się przed nim. Wszedł nieznanemu mu kapitan wraz z pułkownikiem, miejscowym naczelnikiem, którego w ciągu ostatnich tygodni Beria widywał rzadko i dotychczas z nim nie rozmawiał.

— Oddajcie okulary — rozkazał tenże — pasek i buty.

— Dlaczego? Nie zrobiłem niczego złego.

— Więzień numer sześćset dwadzieścia pięć, wykonajcie polecenie i nie zmuszajcie mnie do posłużenia się przemocą fizyczną.

Beria posłusznie oddał okulary i wyszarpnął pasek ze spodni.

— Jak mam iść bez butów? — zapytał grzecznie.

— To niedaleko — oznajmił pułkownik.

— Dokąd pójdziemy?

— Powiedzą — odparł pułkownik i nakazał drugiemu oficerowi zabrać nietknięte śniadanie.

Kiedy drzwi się znowu zamknęły, a on został bez okularów i butów — natychmiast zmarzły mu nogi, więc je podwinął pod siebie — ogarnęło go całkowite odrętwienie. Przeklęci mędrcy tybetańscy... Ależ mnie podszedłeś, Nikito! Przecież od samego początku mogłem sobie wyobrazić, że im więcej napiszę, tym szybciej mnie potem załatwi. Wiedziałem to, lecz miałem nadzieję, że tak się nie stanie. Taka jest ludzka natura...

Okręcił się kocem i siedział skurczony, chwilami lekko drżąc, momentami zapadając w zbawczą drzemkę, która jednak rwała się wciąż niczym cienka gaza. Nie wiedział, ile czasu minęło i czy czas ciągle płynie. Potem przyszedł znajomy kapitan, Kola, który przyniósł zupę i chleb oraz kubek herbaty.

— Obiad? — zapytał Beria.

— Właściwie kolacja. — w głosie kapitana nie było okrucieństwa. — Kończę zmianę, a wy pójdziecie spać.

— Wątpię, czy zasnę jak zwykle.

— Mnóstwo czasu do rana. Można od tego zwariować — stwierdził kapitan.

— Chciałbym.

— Niepotrzebnie... trzeba się trzymać.

— Ile jeszcze do Nowego Roku? — zapytał Beria.

— Myślę, że zdążę dojechać do domu. Spieszę się na tramwaj.

Beria pomyślał w tej chwili: zaduszę go, przebiorę się w mundur i pojedę zamiast niego do

domu... Być może nawet wykonał jakiś podejrzany ruch, gdyż oficer cofnął się ku drzwiom ze strachem w oczach.

— Co z wami? — zapytał z bezpiecznej odległości.

— Powiedz, która teraz godzina — poprosił więzień. Kapitan spojrzał na zegarek.

— Dwudziesta pierwsza dwadzieścia — oznajmił.

— A kiedy... po mnie przyjdą?

— Punktualnie o piątej, jeśli nie zaśpią. Wie pan, mamy tutaj porządek.

— Przy mnie to był porządek — stwierdził twardo Ławrientij Pawłowicz. — Idź już.

— Do siego roku — powiedział oficer.

Beria nie odpowiedział. Siedział z podwiniętymi nogami na pryczy i już go nie słyszał. Kapitan wyszedł, a więzień zatopił się w myślach. Zastanawiał się, jak ma powstrzymać śmierć. Przecież nie może umrzeć. Wiedział bardzo dużo o śmierci, gdyż widział niejedną — to nie dla niego. Siedział nieruchomo.

* * *

Pułkownik, który zgodnie z rozkazem wyższej władzy nie mógł świętować Nowego Roku, za co nienawidził skazańca, popijał w gabinecie ze swoim zastępcą. Parę razy wstawał i zagadał do celi Berii przez judasza. Więzień wciąż siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami, jak medytujący jogin. Może się modlił? Pułkownik wrócił do siebie.

* * *

Wtedy Ławrientij zrozumiał: nie zostanie tu z nimi. Nie przejdzie wraz z tamtymi do następnego roku, jutro go tutaj nie będzie. Ucieknie. Nie wiedział w jaki sposób, lecz najważniejsze wydawało się nie przegapić chwili nadejścia Nowego Roku, jedyny moment, kiedy można wyrwać się z tej egzystencji. Jego słuch nabrał niewiarygodnej siły i ostrości. Odróżniał nawet głos radiowego spikera, usłyszał zegar wybijający północ...

Nie zabiją mnie...

* * *

Pułkownikowi przyszła do głowy niedorzeczna, a może jednak sensowna myśl, kiedy wspólnie z zastępcą wzniesli kieliszki na zdrowie, za swoich krewnych i kraj. Napełnił wódką kieliszek i powiedział:

— Może mu zaniemiemy?

— Oj, ryzykowne to, Timofiejewicz — odparł zastępca.

— Pójdiesz ze mną?

— Nie, nigdzie z tobą nie pójdę. I nie chcę wiedzieć, dokąd idziesz z tym kieliszkiem.

— Zajmij się swymi partyjnymi sprawami — rzekł pułkownik.

Położył na wierzch szklaneczki kawałek tłustego boczku i poszedł korytarzem w stronę jedynej zajętej celi na tym piętrze. Przy drzwiach siedział w kucki sierżant ze straży wewnętrznej. Zerwał się na widok oficera.

— Siedź — powiedział pułkownik. — Przyszedłem cię zmienić. Wkrótce ranek i przywiozą wykonawcę wyroku.

Sierżant słuchał w milczeniu.

— Zajrzyj do środka — rozkazał pułkownik.

Sierżant zajrzał przez judasza, potem się rozprostował i oświadczył:

— Cały czas było tam cicho, zaglądałem akurat przed biciem kurantów... Co jest... twoja mać?!

Pułkownik od razu pojął, że stało się coś strasznego.

Sierżant odsunął rygiel i pułkownik wpadł do środka. Cella była pusta. Oficer cisnął kieliszek na podłogę, rozbił w drobny mak i w tej samej chwili tego pożałował. Lepiej było się napić. Jak mówiono, właśnie to uchroniło go później przed rozstrzelaniem, gdyż nie stwierdzono, aby był pijany. Cella ziała pustką. Beria nie miał któreśdy wyjść, a jednak stąd wyszedł. Prawdziwa zagadka.

* * *

I tak zamierzali rozstrzelać go o świcie pierwszego stycznia 1954 roku, co zresztą ogłosili kilka miesięcy wcześniej.

Nikt nie próbował tego wyjaśnić.

Kiedy odsyłają u nas w nicość działacza politycznego, przyjęte jest szybko o nim zapomnieć. Poproście o wyliczenie naszych prezydentów — nawet nie chłopaka z ulicy, ale uczonego doktora? Czy wielu z nich wymieni Szvernika lub Podgórnego? Tydzień po odejściu w odstawkę nikt już nie pamiętał ich twarzy, choć jeszcze tak niedawno cieszyli się ogromnymi portretami podczas uroczystych demonstracji.

Zwłaszcza, gdy kogoś rozstrzelali, zapomnieć o nim było sprawą honoru, dzielności i bohaterstwa. I oczywiście instynktu samozachowawczego.

Kim był Beria? Nie słyszałem takiego dziwnego nazwiska! Jeden z tych awanturników, co zaprzędali się carskiej Ochranie albo niemieckiemu wywiadowi? Myśmy nikomu się nie sprzedawali, nas nikt nie zdołał kupić!

Beria zniknął z celi i zniknął całkiem. Równie dobrze mógł zniknąć w jakimkolwiek innym miejscu.

Jeden tylko człowiek niepokoił się owym faktem jakiś czas, a był nim Chruszczow. Wiedział, że Beria nie został rozstrzelany. Obawiał się, że Ławrientij Pawłowicz pojawi się nagle w jakimś zupełnie niespodziewanym miejscu. Później jednak, gdy minęło kilka lat, przestał się bać. Zapomniał

o tym człowieku i jego dziwnym losie.

Zdarzyło mi się kiedyś znaleźć w domu, gdzie zachowało się kilka teczek i pudeł z resztkami „sprawy Berii”. Były tam stosy kopert z fotografiami partnerek seksualnych Ławrientija Pawłowicza, z zapiskami pułkownika Sarkisowa na odwrocie, w jakich okolicznościach i ile razy dana obywatelka wstąpiła w przelotny związek z obywatelem Berią. Leżą tam również rozerwane paczuszki papierosów „Północ”. Na niezadrukowanej stronie znajdują się zapiski uwięzionego, skierowane do prokuratora Rudenki, z prośbą o interwencję i wymierzenie sprawiedliwości. Dużo jest także fotografii rodzinnych, choćby Ławrientij z żoną i towarzyszem Szarijem na plaży. Całe paczki telegramów, dokumentów, dyplomów. Przedziwny zbiór rozmaitych rzeczy, niewartych umieszczenia w więziennym archiwum, chociaż zdarzały się niekiedy pisma dosyć istotne. Na przykład list do Kobałowa, by kolejnego ranka rozstrzelać następujących obywateli...

Rozdział drugi

Ławrientij Beria

Beria stracił przytomność. Powodem tego był strach i wewnętrzny sprzeciw wobec tego, co miało się wkrótce stać. Zrozumiał to w chwili, kiedy się ocknął, ponieważ był nadal żywy. Nie wiedział jednak, ile czasu przeszło od momentu gwałtownego zanegowania przezeń rzeczywistości.

Wokół panowała całkowita ciemność. Najwyraźniej żarówka się przepaliła. Było też bardzo cicho, tą odrażającą ciszą więziennego podziemia. Teraz jednak cisza wręcz dzwoniła w uszach, gdyż była absolutna.

Jak długo był nieprzytomny?

Pomacał dłońmi wokół siebie, wyczuwając pomięty koc. Prycza była zimna, ale w całej celi panował specyficzny piwniczny klimat, niekoniecznie bardzo chłodny, pachnący wilgotnym kurzem.

Ławrientij stanął na ziemi. Podłoga była chłodna, bo cementowa, więzień zaś bosy. Dlaczego? Ach, tak! Zabrali mu buty przed śmiercią!

Skierował się w prawą stronę, gdzie powinny być drzwi. Musiał nieco zboczyć z tropu, ponieważ uderzył nogą o umywalkę, odskoczył i zawadził o kibel, w ciemności trudno było kontrolować swoje ruchy. Wiadro, na szczęście puste, zadzwięczało jak garnek, w końcu dotarł do wejścia.

Obmacał palcami chłodną, chropowatą powierzchnię, natrafiając na judasza. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, chociaż Ławrientij Pawłowicz przyłożył ucho do szczeliny. Nie miał zamiaru stukać, gdyż w głowie zaświeciła mu dzika myśl, że wszyscy poszli witać Nowy Rok i całkiem o nim zapomnieli. Może już sobie o nim nie przypomną...

W tej chwili omal się głośno nie zaśmiał, oceniając trzeźwo nadzieję tego rodzaju.

Zapomnieli o nim? w takim razie umrze z głodu w tych podziemiach. Za dwadzieścia lat przeprowadzą inwentaryzację tajnych obiektów i znajdą wówczas wyschły szkielet byłego ministra i członka Biura Politycznego...

O takich sprawach się nie zapomina. Nie w Rosji.

Widocznie zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Może jednak nastąpił długo oczekiwany przewrót? Dlaczego więc nikt go nie szuka? Może dlatego, zreflektował się Beria, że nikt nie podejrzewa, jakoby pozostał przy życiu. Strażnicy uciekli, drzwi są zamknięte i obiekt jest pusty. Kto tutaj przyjdzie, jeśli wejście do podziemi zostało zabezpieczone? Jak dać znać o sobie?

W tej chwili Ławrientij Pawłowicz zdecydował się zacząć uderzać pięścią z całej siły w żelazne drzwi. Odgłosy uderzeń nie były jednak specjalnie dudniące, jakby dźwięki grzęzły w mrocznej pustce.

Beria wrócił po omacku na środek celi i zaczął przesuwać dłonią po blacie biurka. Niczego nie znalazł. Pochylił się i odszukał ciężki, twardy taboret. Wrócił z nim do wyjścia, przytknął siedzenie do brzucha i zaczął uderzać nóżkami o drzwi, wreszcie się zdenerwował i zaczął nim walić z

rozmachem, unosząc nad głową jak siekierę. Odgłosy były głośniejsze, jednak niedo tego stopnia, żeby je ktoś usłyszał.

Beria odrzucił taboret i wsparł się o drzwi. Trzeba coś wymyślić. Czuł się zmęczony, nie tylko na ciele, ale i na umyśle. Przeżył nerwowy zryw. Bawią się z nim okrutnie, jakby był małym dzieckiem.

Jego oczy nie były w stanie dłużej wpatrywać się w egipskie ciemności, w których migały jakieś świecące robaczki. Kręciło mu się w głowie i pragnął tylko jednego: położyć się i umrzeć. Zrozumiał bowiem, że oprócz niego nie ma w więzieniu nikogo i nikt nie przyjdzie. Będzie musiał zdechnąć z głodu i pragnienia w tym kamiennym lochu. I nie jest to wymysł jego chorej wyobraźni ani senny koszmar, skoro może się uszczypnąć lub uderzyć i poczuć ból. Zmęczyła go śmiertelnie szamotanina, krzyki i walenie do drzwi, czuł się jak mysz w klatce.

Ławrientij odszukał w ciemności pryczę, położył się na niej i przykrył kocem. Nie zrobiło mu się od tego cieplej, zresztą wcześniej nie było mu wcale zimno.

Trzeba spróbować zasnąć, myślał. Istnieje nikła szansa, że wszystko to jest jednak jakimś strasznym snem. Tylko kiedy się zaczął? Jeśli wczoraj, to znaczy, że teraz jest Nowy Rok i zaraz go zbudzą oprawcy. Lepiej się w ogóle nie budzić. A może sen rozpoczął się, kiedy go aresztowali towarzysze partyjni, niewiele bardziej okrutni i podli niż on. Tym bardziej nie powinien się budzić...

Leżąc z głową pod żołnierskim kocem, Beria zrozumiał, że koncepcja snu to ślepy zaulek i wcale go nie urządza. Już lepiej umrzeć tutaj w samotności, niż paść od kuli wystrzelonej przez jakiegoś łajdaka.

Czas przestał istnieć dla Ławrientija Berii.

Tortura, jakiej go poddali — bo ciemność i cisza wydały mu się szczególnie wyrafinowaną torturą — rozciągnęła się w nieskończoność. Jak bowiem człowiek może określić długość tej męki? Już od pół roku nie odczuwał upływu czasu, nie widząc dziennego światła ani zegarka. Teraz zaś pozbawili go jeszcze światła.

Jak się w swoim czasie dowiedział, są speleolodzy, którzy schodzą do głębokich pieczar i siedzą w nich przez wiele dni, wykonując różne badania. Postanowił wtedy zatrudnić tych naukowców, żeby spenetrowali lochy pod Kremlen w poszukiwaniu biblioteki Iwana Groźnego. Przede wszystkim interesowała go jednak nie owa mityczna biblioteka, lecz możliwość przedostania się z podziemi do samego Kremla. Speleolodzy naturalnie nie znaleźli żadnego księgozbioru, odkryli za to parę nie używanych przejść i tuneli, trzeba więc było ich zlikwidować, żeby nie łazili, gdzie nie potrzeba. Obraz ludzi, siedzących w głębokich ciemnościach, pozostał wyjątkowo nieprzyjemnym wspomnieniem. Czyżby on także miał zakończyć swój żywot na dnie lochu? Zapomniany speleolog!

W żaden sposób nie mógł zasnąć, chociaż, oczywiście, nie był wcale pewien, czy wciąż nie śni. Wszystko jedno, z zamkniętymi, czy też otwartymi oczyma.

Co pewien czas wstawał, podchodził do drzwi i stukał w nie, raczej nie spodziewając się jakiegokolwiek reakcji z zewnątrz. Potem znowu kładł się na pryczy.

Bardzo go dziwiło, że chociaż nie ma nic do picia ani jedzenia, nie dręczy go głód ani pragnienie i nie umiera od tego. Nie miał także potrzeby siadać na kiblu. Jedyne rozsądne wyjaśnienie, jakie mu przyszło do głowy, było następujące: wszystko to trwa bardzo krótko, a w ciemności czas sztucznie się dłuży.

Zaczynał wariować i zdawał sobie z tego sprawę. Zaczynam wariować, mówił na głos w ciemnościach. I niech szaleństwo nadejdzie jak najszybciej, bo wtedy przestanę wszystko to przeżywać i bać się. Wczoraj albo może przedwczoraj przeleciał mi po piersi karaluch i prawie od

tego umarłem ze strachu. A może nie było żadnego karalucha?

* * *

W pewnej chwili jego niezwykle wyostrzony słuch wyłowił, że ktoś snuje się po korytarzu. Klap, klap... Nie był to chód wojskowego, ktoś raczej człapał po cywilnemu.

Beria zerwał się z pryczy i podbiegł do drzwi. Zaczął pukać, lecz nikt się nie odezwał. Stukał nadal. Ktoś podszedł do drzwi i zaczął się szarpać z zasuwą.

— Kim jesteś? — zapytał Ławrientij Pawłowicz.

Tamten nie odpowiedział. Więzień znów poczuł strach. Wydawało się, że nie może się więcej bać. Czy mogło być jeszcze gorzej?

Odskoczył od drzwi, wrócił na pryczę i otulił się zaśmierdłym kocem, w tym momencie usłyszał szczęknięcie rygła. Drzwi uchyliły się nieco.

— Och! — ktoś zawołał.

W jego głosie dzwięczała odraza. Drzwi się zamknęły i skazaniec usłyszał umykające kroki. Ktoś się wystraszył i uciekał jak najdalej, kłapiąc swymi łapcami. Czego się tak przestraszył?

Uciekinier swoim lękiem zdjął strach z duszy Ławrientija. Wstał znowu, zarzucając koc na ramiona i podszedł do drzwi. Miał nadzieję, że tajemniczy uciekinier nie zasunął rygła. Zdawało się to niewiarygodne, a jednak się zdarzyło — otworzył drzwi bez trudu.

Na zewnątrz panowała taka sama ciemność jak w celi. Wionęło tutaj jednak inne powietrze, do tego stopnia odmienne, że więźniowi wydało się w pierwszej chwili trujące. Beria odwrócił się na chwilę w stronę zgęstniałej ciepłoty, panującej w celi i od razu zrozumiał, dlaczego uciekł jego wybawca: smród musiał być dla niego nieznośny.

Ciekawe, ile czasu minęło? Czyżby przesiedział trzydzieści trzy lata w jeden dzień, jak legendarny Ilia Muromiec?

Przesunął dłonią po twarzy, ale nie znalazł długiej brody. Dawniej golił się codziennie rano, a czasami, kiedy miał ważne spotkanie, także dodatkowo pod wieczór. Wyczuł jednak tylko zwykły, niewielki zarost. Była to zatem ciągle ta sama noc.

Dokąd iść?

Najlepiej w ślad za uciekającym wybawcą. Ciekawe, czego tutaj szukał? Całe szczęście, że tu zawitał, była to chyba szansa jedna na milion. Jak widać tybetańscy astrologowie prawidłowo wyliczyli jego horoskop. Będzie jeszcze długo żył, jest silnym mężczyzną, którego nie zmogła nawet więzienna samotność.

Poszedł ciemnym korytarzem, trzymając się dłonią ściany i dotarł do schodów wiodących do góry, na czwarty poziom. Ledwie po nich wszedł, dostał zadyszki, mięśnie nóg także odwykły od tak długich spacerów. Kiedy wreszcie będzie gdzieś jakieś światło?

Na czwartym poziomie zobaczył mętne światło z korytarza. Ucieszył się całkiem jak ci cyganie, których wywiodła z puszczy starucha Izergil. Przypomniał sobie, jak Maksym Gorki czytał wielokrotnie tę baśń na częste prośby Wodza, który w trakcie lektury kiwał głową i poruszał ustami, gdyż znał utwór na pamięć.

Szedł coraz wolniej, jakby odsuwając chwilęspotkania ze światłem. Tylko wbaśniach głupcy ciągną do światła jak ćmy. Blask wydobywał się spod szczeliny pod drzwiami. Ławrientij chwilę wpatrywał się w świetlną smugę, potem otworzył drzwi.

Za drzwiami znajdował się zwyczajny pokój służbowy. Wydawał się od dawna opustoszały, nie tylko dlatego, że wszystko pokrywała warstwa kurzu, po prostu sprawiał takie wrażenie. Niewiarygodne, lecz było tu okno. Więzień podszedł do niego z mocno bijącym sercem. Zobaczył obszerny, pusty dziedziniec, otoczony żelazną siatką z półotwartą bramą. Dalej wszystko przesłaniała rzadka, lecz nieprzejrzysta mgła.

Ławrientij usiadł bokiem na parapecie, żeby nie stracić z oczu widoku na dziedziniec.

„Gdzie są ludzie? — zastanawiał się. — Jak dawno nie byłem na zewnątrz?”

Najprawdopodobniej wybuchła wojna atomowa, wywołana przez imperialistów. Wywiad uprzedzał o tym Berię, chociaż on sam nie chciał w to wierzyć. A może wojnę wywołał Nikita w walce o władzę? w końcu zawsze był nieobliczalny.

Ktokolwiek to uczynił, wszyscy zginęli. Mogło tak się stać, jeśli nastąpiła reakcja łańcuchowa. To znaczy, że ludzi już nie ma, ale ziemia pozostała skażona.

Wyszedł do ponurego, ciemnego holu i wyjrzał przez prowadzące na zewnątrz przeszkłone drzwi. Słońca nie było, a po niebie sunęły jesienne obłoki, o raczej nieokreślonej barwie. Szare, przedwieczne światło, jakby specjalnie dostosowane do oczu kogoś, kto długo przebywał w ciemności. Nie było także specjalnie chłodno. Powietrze jakby pozbawione było temperatury i dzięki temu można było szybko przyzwyczać się do dziwnej pogody i takiego światła. Z pewnością promieniowanie było wciąż niebezpieczne, lecz Ławrientij nie posiadał licznika Geigera, którym mógłby je zmierzyć.

Ławrientij skonstatował z zadowoleniem, że nie utracił pamięci i umiejętności logicznego rozumowania, mimo iż tak długo przebywał w więzieniu. Porównał się z wieloma innymi uwięzionymi, którzy wariowali lub popełniali samobójstwo. Z tego, co wiedział, promieniowanie jest szkodliwe w pierwszych minutach po ataku, potem rozchodzi się coraz słabiej. Na pewno większość ludzi zginęła od pierwszej fali, ci zaś, którzy ocaleli, ukrywali się w innych rejonach kraju, wątpliwe zatem, czy kogoś obchodzi sprawa byłego ministra.

Na wszelki wypadek lepiej wymyślić sobie jakiś pseudonim, co zresztą nie będzie dla niego pierwszą. Skoro już o tym mowa, kiedy był agentem wywiadu pod pułkownikiem Marczenko–Alijewem, miał przydomek, chociaż wtedy chodziło o zdemaskowanie planów wrogów wewnętrznych. Niebezpiecznie było wspominać romantyczny epizod młodości, gdyż wtedy Ławrientij Pawłowicz wzleciał jak orzeł na wyżyny, podczas gdy w dole mnożyli się mniej lotni wrogowie. Wierny druh, Kobułow, wydobył z archiwum w Baku teczkę z jego sprawą, którą Beria ukrył w swoim sejfie. Ciekawe, gdzie ona jest teraz? Bez wątpienia ją znaleźli: podczas tej sądowej farsy pytali go także o tamten epizod. Oskarżony wyjaśnił, że wszystko wykonywał na polecenie partii, a sędziowie puścili to mimo uszu. Rudenko także, choć jeszcze tak niedawno zapewniał go głośno o swojej przyjaźni.

Ławrientij postanowił nie wychodzić na razie na zewnątrz, lecz zdecydował się przeszukać budynek. Trzeba przetrząsnąć pomieszczenia, pamiętając, że przebywa tu chociaż jeden człowiek, jego nieznaną wybawca.

— Hej? — zawołał niegłośno.

Odpowiedziało mu głuche echo.

Po prawej zobaczył barierkę, za którą powinni stać wartownicy. Podeszedł bliżej i zajrzał za nią. Nie zawiódł się. Pod otłuszczonym szkłem na stoliku znajdowała się lista pomieszczeń i numerów telefonicznych. Brakowało tylko samego telefonu. Beria podniósł szybkę i wydobyl kartkę. Gabinety dyrektora instytutu i jego zastępców znajdowały się na drugim piętrze. Trzecie piętro zajmowały laboratoria. Na czwartym były inne gabinety: księgowość, dział planowania... Najmniej telefonów było na parterze, a raczej nie wszystkie były zapisane, gdyż wartownicy nie musieli ich znać. „Komendantura 1”, „Komendantura 2”, „Komendantura Specjalna” — trochę tego dużo, jak na jeden instytut. A niżej co? w podziemiach? Tylko jeden telefon: „Dyżurny”. I to wszystko. Tak być powinno. Beria, gdy był u władzy, używał podobnego systemu. Jeśli chcesz ukryć diament, to najlepiej w kupce podobnych do niego szkiełek. Im mniej ludzi się o tym dowie, tym lepiej.

Przeszedł się korytarzem na parterze, zaglądając do kolejnych pokojów. Sprawiały dziwne wrażenie. Drzwi były otwarte na oścież lub nie domknięte. Można było zauważyć, że uciekający stąd ludzie zabierali ze sobą różne rzeczy, kierując się dziwną logiką. Na przykład, wszędzie pozostały biurka, lecz prawie nigdzie nie było krzeseł. Szuflady były raczej puste, chociaż w niektórych można było znaleźć jakieś blankiety, książki, kalki, gumki, czasem jakieś odręczne zapiski, nie było jednak niczego, co pomogłoby Ławrientijowi zrozumieć, co się właściwie stało.

Na jednym z biurka znalazł porzucony kalendarz i zaczął go studiować z uwagą, gdyż mógł się okazać przydatny, jako że pochodził z 1953 roku. Właściciel był człowiekiem ostrożnym i akuratnym, toteż nie zamieszczał w nim żadnych tajnych, czy choćby podejrzanych notatek. Trzeciego marca komendant zrobił czarnym i czerwonym ołówkiem podwójną ramkę w wolnym polu i zapisał: „Odszedł nasz Wódz i Nauczyciel. Wieczna mu sława! Zostaliśmy sierotami”.

Przekartkował całość, nie zwracając uwagi na znaczki, których sensu nie pojmował. Interesowały go dwie daty. Po pierwsze dzień, kiedy go tutaj przywieźli. Niczego specjalnego nie znalazł, a raczej prawie niczego, w dolnym rogu widniało zapisane drobnym maczkiem: „Specjalny nadzór”.

Można domniemywać, że komendant wiedział o zjawieniu się tutaj nowej osoby lub o zmienionych okolicznościach. Najprawdopodobniej, kiedy przywieźli tu Berię, przykręcili im śrubę i postraszyli dowództwo. A teraz warto zobaczyć, co napisał przy okazji... Nowego Roku. Jak to się stało, że nie przyszli go rozstrzelać?

Ostatnia strona kalendarza: 31 grudnia. Czarnym ołówkiem napisano: „Danie rybne”, a niżej, niebieskim: „Pozdrowić L. L.” Niczego więcej nie było. A zresztą nie mogło być. Nawet jeśli stało się coś strasznego, jeśli wojna przerwała bieg życia, w kalendarzyku tego nie opisano. Każdy kalendarz kończy się ostatniego dnia grudnia.

Jakie to przykre. Ławrientij Pawłowicz odwrócił ostatnią stroniczkę. Oczywiście było tam pusto. Beria wiedział z życiowego doświadczenia, że nowy kalendarz powinien pojawić się na biurku właśnie tego dnia. A może sekretarka... Jaka znowu, u diabła, sekretarka u zwykłego oficera lub szeregowego pracownika komendantury!

Trzeba pójść wyżej.

Dobrze już orientując się w rozkładzie pomieszczeń, wszedł bez obaw na wyższe piętro i skierował do gabinetu dyrektora. Intuicja go nie zawiodła, w przedsionku, w wysuniętej do połowy szufladzie biurka sekretarki znalazł paczkę, a w niej otwarty kalendarz na rok 1954. Sekretarka go odpakowała, lecz nie zdążyła położyć na biurku szefa.

Zajrzał także do gabinetu. Leżał tam przewrócony fotel, a w otwartej szafie wisiał dobrze skrojony płaszcz, przeznaczony dla kogoś szerokiego w barach, w tej samej chwili Beria zdał sobie

sprawę, że wygląda jak włóczęga, zakutany w koc, więc po pierwsze rzucił go, gdzie popadło. Palto było trochę przykrótkie, lecz na szerokość w sam raz. Widocznie dyrektor był niewysoki, acz mocno zbudowany. Szkoda, że nie zostawił dobrych butów i garnituru, a także koszuli i krawata.

„Nie wyzywaj losu, Ławrientij” — upomniał się w duchu.

Rzucił okiem na swoje stopy, ciągle, niestety, bose. Na szczęście nie odczuwał zimna. Znalezienie płaszcza bardzo poprawiło mu humor — skoro na niego natrafił, to znajdzie i buty. Dotrze do miasta, poszuka ludzi i brakującej odzieży...

* * *

Wyglądając w płaszczu o wiele bardziej przyzwoicie, odważył się wyjść na zewnątrz. Żeby chociaż znaleźć gdzieś sandałki albo gumowe kalosze! Nie było przecież wykluczone, że ziemia jest skażona. Promieniowanie może zatem przenikać do organizmu człowieka przez gołe podeszwy stóp! I w ogóle to niehigienicznie i niebezpiecznie chodzić w jego wieku na bosaka, skoro nie wiadomo jaka jest pora roku. Ziemia nie była wprawdzie lodowata, lecz pozostawała chłodna.

Dręcząc się takimi myślami, szedł, ostrożnie się rozglądając, uliczką odchodzącą od fasady jego więzienia. Brama była otwarta. Doszedł do wniosku, że musi dotrzeć do szosy, tam zaś zorientuje się po drogowskazach, dokąd iść dalej, aby się pożywić i przenocować.

Warto zaznaczyć, że widok po obu stronach drogi wydawał się dziwny i w jakiś sposób nienormalny. Prawie nie było drzew, a te, które pozostały, były uschłe, z obłamanymi gałęziami, właściwie pozostały wysokie, martwe pnie. Pustka tego rodzaju ciągnęła się daleko przed nim, tonąc w lekkiej, bezbarwnej mgiele. Teren był jakby ogołocony, a zarazem widoczność była mocno ograniczona. Z tego powodu traciło się poczucie perspektywy i kiedy Beria usłyszał jakąś piszczałkę lub fujarkę, w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, skąd dochodził dźwięk.

Zamarł na chwilę, a potem zobaczył muzyka. Przed nim, pomiędzy rzadkimi pniami, kroczył człowiek grający na fujarce. Szedł skrajem wąskiej szosy, nie patrząc pod nogi i nie obawiając się potknąć o korzenie i kamienie, jakich było pełno w tym miejscu.

— Hej! — zawołał Beria. — Proszę zaczekać!

Człowiek nie odwrócił się, być może go nie usłyszał poprzez graną melodyjkę. Lekko pisał w jej takt, będąc sam dla siebie orkiestrą.

Beria ruszył prędko za nim. Było mu wszystko jedno, czy ten osobnik jest uciekinierem, wariatem albo zwykłym włóczęgą. Zrozumiał, że najbardziej pragnie spotkania z drugim człowiekiem, bo samotność jest gorsza od śmierci.

Tamten szedł nie spiesząc się, lecz w taki sposób, że odległość między nimi się nie zmniejszała. Beria wybiegł na szosę, nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robi. Muzykant szedł poboczem, Beria zaś ścigał go środkiem asfaltowej jezdni, przeskakując szczeliny.

Na drogowskazie po prawej przeczytał: „Matwiejewskaja”. Diabli wiedzą, co to za miejscina i czy podążają we właściwym kierunku.

— Hej, zatrzymaj się!

Przed nimi ukazała się niewielka rzeczka, płynąca jednak głębokim wąwozem. Na obu brzegach

znajdowały się puste grządki otoczone powalonymi parkanami, jakby mieszkańcy coś tutaj uprawiali, a potem wszyscy uciekli.

Grajek zaczął schodzić ścieżką wiodącą poniżej szosy. Dźwięki fujarki, dotychczas niezbyt głośne i przerywane, teraz ucichły całkiem. Ławrientij musiał przyspieszyć kroku, żeby dogonić mężczyznę. Kiedy jednak dobiegł do miejsca, gdzie zaczynała się ścieżka, po muzykancie nie zostało ni widu, ni słyhu.

Dosyć długo stał nad stromym zboczem, rozglądając się i starając się bezskutecznie odszukać zgubę. Grajek nie miał gdzie się ukryć, chyba że w stojących na dole przy brzegu szałasach, szopach i małych domkach, będących w różnych stadiach ruiny. Zapewne schował się w jednym z nich. Beria nie miał jednak ochoty przetrząsać działkowych szałasów, zwłaszcza na bosaka.

Chwilę stał niezdecydowanie, w końcu postanowił mimo wszystko zejść ku rzece i popatrzeć na bieżącą wodę. Stęsknił się za tym widokiem w więzieniu. Zaczął schodzić ścieżką, patrząc pod nogi, żeby nie nastąpić na stłuczone szkło albo gwóźdź, w takich miejscach to normalne.

Uszedłszy ze sto kroków zorientował się, że wokół pociemniało. Szalasy, ogrodzenia i inne resztki działalności ludzkiej były bardzo liczne, otaczały go ciasno, przez co utracił możliwość swobodnej obserwacji okolicy. Zaczął wątpić, czy kogoś tutaj znajdzie. Dróżka stała się wilgotna, pod stopami zachlupotało. Jeszcze krok i wejdzie w błoto, tym bardziej niemiło, że walały się w nim puste puszki po konserwach.

Pośliznął się i utrzymał na nogach, chwytając za cienki słupek. Podniósł wzrok i zobaczył, że przytwierdzono do niego metalową tablicę, przybitą do dwóch grubych tyczek. Narysowane było na niej coś, co w dużym przybliżeniu przypominało topornie przedstawionego jelenia. Takie rysunki można było zobaczyć na szyldach tanich bazarowych straganów. Coś podobnego widział także nad wejściem do sklepu w Tbilisi.

Podczas gdy kontemplował niespodziewaną w tym miejscu obecność jelenia, coś świsnęło nad jego uchem i żelazna płaszczyzna zadrżała od uderzającej w nią strzały. Tak, prawdziwej strzały, jak w filmie o Robin Hoodzie. Jeszcze brakowało tutaj chłopaka z łukiem i strzałami.

— Nie wiesz, że tym można kogoś zabić?! — krzyknął Ławrientij. — Uszy ci poobrywam!

Na wszelki wypadek jednak odskoczył w bok i wpadł w głębokie błoto.

— Kurwa twoja mać! — rozsierdził się. — To był całkiem nowy płaszcz!

Palto było jego główną zdobyczą i jedynym bogactwem, zdążył już je polubić, a tu taki pech!

Gdzieś z góry nadchodził wysoki człowiek, który wydał się Berii niebezpiecznym. Cofnął się o krok, grzęznąc w błocku do pasa.

— Nie strzelałem do pana — powiedział grzecznie obcy, nie wykonując żadnych podejrzanych ruchów — lecz do jelenia. Niech pan prędko wyłazi z tego błota.

— Prędko wyłazi! — krzyczał rozżłoszczony Beria. — Przestraszył mnie pan i przez to wpadłem w bagno! Jak można tak traktować człowieka?

— Proszę podać rękę — zaproponował tamten.

Ławrientijowi nie pozostawało nic innego, jak uchwycić się dłoni wysokiego osobnika. Był rzeczywiście wysoki, wyższy od niego co najmniej o półtorej głowy, lecz bardzo chudy. Twarz przyozdobiona była hiszpańską bródką nieokreślonego koloru i szarymi bokobrodami, które nie nabrały jeszcze barwy szlachetnej, srebrnej siwizny. Samo oblicze było blade i pomarszczone. Na głowie miał oficerską furażerkę starego typu, ubrany był w wojskowy trencz, bryczesy typu Galliffet i wysokie, błyszczące oficerki. Jakim cudem udało mu się tego dokonać w tym brudzie?

Najdziwniejsze jednak, że zamiast szabli albo sztyletu u pasa miał przyczepiony kołczan pełen strzał sterczących na zewnątrz pierzastymi lotkami, w wolnej dłoni trzymał coś na kształt niewielkiego łuku. Chociaż Ławrientij nie znalazł się na dawnej broni, zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest to dziecinna zabawka.

— Ojej, nie ma pan butów! — zatroskał się wysoki. — Zgubił pan w błocie?

— Nie, nie miałem już wcześniej.

— Skąd się pan tutaj wziął?

Ogarnął dłonią okolicę, jakby dając do zrozumienia, że koryto rzeczki jest jego terenem łowieckim.

— Szedłem za człowiekiem grającym na fujarce — wyznał Ławrientij. — Zaintrygował mnie. Od dawna nie widziałem ludzi...

„Ciekawe, pomyślał w tej chwili, czy to dobrze, że spotkałem tego człowieka?”

— A, szczurołap — stwierdził tamten. — Znowu przywabiał. To znaczy, że wywiódł pana z miasta i chciał utopić, ale nie zdążył?

— Nie miałem zamiaru się topić.

— Zawsze tak postępuje. Mam go powyżej uszu — powiedział wysoki. — Zwabia i próbuje utopić. Ale kto by się chciał tutaj utopić?

— Nikt — zgodził się Beria.

Najwyraźniej rozmawiał z szaleńcem, który postradał zmysły pod wpływem ataku atomowego lub późniejszego promieniowania.

— Pozwoli pan, że się przedstawię — powiedział mężczyzna i podał dłoń Berii — Mikołaj Mikołajewicz młodszy. Słyszał pan może o mnie?

— A nazwisko, przepraszam?

— Nazwisko całkiem zwyczajne: Romanow.

— Z tych Romanowów? — dopytywał się Ławrientij.

— Byłem wujem zmarłego imperatora — odparł wysoki mężczyzna.

Beria był już absolutnie pewien, że ma do czynienia z wariatem, którego lepiej nie drażnić.

— A oto moje włości — podjął Mikołaj Mikołajewicz. — Lasy, znajdujące się, by tak rzec, pod moją ochroną. Tutaj poluję, rozmyślam i wypoczywam.

— Ależ tak, oczywiście...

— Mój Boże! — Tamten zaśmiał się nagle i spojrzał z góry na Berię. — Widzę, że uważa mnie pan za jakiegoś psychopate, czyli nienormalnego człowieka. Niech pan spojrzy: oto moja broń, której zabójcze możliwości zdążył już pan poznać. Jeśli ma pan ochotę, możemy zabawić się w Wilhelma Telia. Słyszał pan o nim? Skoro skinął pan głową, to znaczy, że mam do czynienia z człowiekiem wykształconym. A propos, nie lubię rozmawiać z ludźmi, którzy nie potrafią albo nie chcą przedstawić się w odpowiedniej chwili.

— Ławrientij Pawłowicz — przedstawił się Beria.

— Od dawna jest pan u nas, Ławrientiju Pawłowiczu?

— Od niedawna — wyznał.

Doszedł do wniosku, że może spokojnie przedstawić się pełnym mianem. Bo skoro ten szaleniec uważał siebie za przedrewolucyjnego kniazia, nie może przecież niczego wiedzieć o Berii. A jeśli okaże się, że wie, to znaczy...

Mikołaj Mikołajewicz raczej niczego o nim nie wiedział i nawet nie starał się dowiedzieć.

Zamiast tego jednym szarpnięciem wyrwał strzałę z tablicy, jakby naprawdę wydobywał ją z piersi jelenia i powiedział:

— Całkiem niezły strzał. Prosto w serce. Trafiłem za pierwszym razem. A stałem tam...

Odwrócił się i wskazał niewielki szałas znajdujący się w odległości stu metrów na zboczu doliny.

— Dobry strzał — zgodził się ostrożnie Beria.

— Polowanie to całe moje życie — oznajmił tamten. — Możecie zwracać się do mnie zwyczajnie: kniaziu, w takim miejscu należy być demokratą.

— Dobrze, kniaziu — zgodził się znowu Ławrientij.

W tym momencie poraziła jego umysł straszliwa myśl: a co, jeśli po wojnie upadło państwo socjalistyczne i arystokraci wrócili do władzy?... No i w końcu co z tego. Zawsze to ojczyzna. Ostatecznie wśród szlachty nie miał żadnych wrogów.

Tak pomyślał, ale po chwili przestraszył się własnych myśli. Jakże nie? A iluż to arystokratów zmuszony był skazać na rozstrzelanie albo inny rodzaj śmierci, spełniając nieubłaganą wolę Stalina? Do śmierci Wodza na początku lat pięćdziesiątych wyłuskiwali takich i likwidowali. Może jednak popełnił błąd, całkiem się ujawniając. Nawet jeśli kniaź nie zorientuje się z kim ma do czynienia, to uczynią to inni.

— Pan poluje? — zapytał wielki książe.

— Dawno już nie miałem okazji.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Kaukazu, kniaziu.

Jak łatwo przechodziło mu przez usta to słowo! Widocznie zapisane było w zbiorowej podświadomości.

— Na Kaukazie znakomicie się poluje, Ławrientiju Pawłowiczu. Odbywałem tam służbę wojskową. A pan gdzie służył?

— To było znacznie później — wyjaśnił Beria.

— Tego należało oczekiwać. Jeśli jednak ma pan słabość do myślistwa, mogę pokazać panu niezłą sztukę, wyjątkowo niebezpiecznego drapieznika, którego niedawno tropiłem, a który zaległ tu niedaleko. Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, możemy spróbować go podejść. Proszę się nie martwić o jelenia, później przyjdą jęgrzy i zanosą go do mojej rezydencji.

— Pan wybaczy, ale jestem bez butów — zauważył Beria.

— Mówiłem, że to dwa kroki stąd.

Głos Mikołaja Mikołajewicza zabrzmiał nieprzyjemnie. Wyraźnie nie lubił, kiedy mu się ktoś sprzeciwiał. Ławrientij Pawłowicz nie zamierzał natomiast sprzeczać się z osobnikiem chorym na manię wielkości, który uważał siebie za carskiego wujaszka.

Mikołaj zgiął się we dwoje i zaczął podkradać się ku czemuś ukrytemu za płotami i stosami chrustu. Beria poszedł za nim, a jego przewodnik co pewien czas przystawał i dawał znaki dłonią, że za chwilę natkną się na grubego zwierza. Nagle zamarł i powoli zaczął unosić swój łuk do góry...

Gotów był już puścić cięciwę, gdy nagle w pobliżu rozległ się dźwięk fujarki. Bez wątpienia tej samej, co poprzednio. Kniaź wypuścił strzałę i wrzasnął:

— Jak śmiałeś grać w takiej chwili! Przez ciebie spudłowałem!

— Zrobiłem to specjalnie! — odpowiedział głos z szałasu. — Dobrze pan wie, kniaziu, że dzikich zwierząt zostało tak mało, iż każdy egzemplarz jest ściśle reglamentowany. Tyle razy panu

mówiłem: proszę strzelać do ludzi!

— A niech cię! — zawołał wielki książę i rzucił się do przodu.

Szybkim ruchem odrzucił stertę chrustu i zdumionym oczom Berii ukazał się kolejny metalowy pręt z tablicą, na której ktoś bardzo nieporadnie próbował przedstawić leniwie wylegującego się tygrysa. Strzała trafiła w okolicy tygrysięgo ogona.

Beria także zrobił krok do przodu, żeby móc z bliska podziwiać to dziwo, lecz Mikołaj Romanow, usłyszawszy za sobą trzask nadepniętej gałązki, zakrzyknął:

— Niech pan nie podchodzi, Ławrientiju Pawłowiczu! Widzi pan przecież, że bestia jest tylko lekko ranna i rozdrażniona. Jeśli się na nas rzuci, nie zdołam pana obronić.

— Nie ma pan tego dosyć?

Z drugiej strony szalasu wynurzył się pochylony człowiek z drewnianą fujarką w długich, zakrzywionych palcach.

— Wszystkie zwierzęta to bezsilne ofiary, które wystrzelał pan dla kaprysu. Już wkrótce w naszych lasach zabraknie tygrysów. Jakby mało było panu jeszcze, że wybił wszystkie dinozaury!

— Tego już za wiele, Beethoven! — odgryzł się Mikołaj Mikołajewicz. — w to już wam nikt nie uwierzy. Każdy dzieciak wie, że dinozaury same wymarły.

— U nas nie ma dzieci!

— Niewykluczone jednak, że się pojawią — odparł wielki książę, chichocząc.

— Już lepiej proszę zabijać ludzi.

Człowiek nazwany Beethovenem, wcale niepodobny do słynnego kompozytora i najwyraźniej nie głuchy, wskazał piszczałką na Ławrientija Pawłowicza.

— Niepotrzebnie go tutaj zwabiłem.

— Tak, to pańska robota!

Zapomnieli o nim, jakby był jakąś mrówką, którą można przez nieuwagę rozdeptać. Najwidoczniej promieniowanie rzuciło się wszystkim na umysł.

— A moja, moja, Mikołaju Mikołajewiczu! Znalazłem go w więziennym lochu i całkiem niepotrzebnie wypuściłem. To wielki łotr.

— Skąd takie przekonanie?

— Jestem trochę młodszy od pana, wielki książę. Przybyłem tutaj przecież w zeszłym roku. Słyszałem w więzieniu o jego smutnym końcu, dużo się o tym mówiło. Potem wsadzili do naszej celi byłego kapitana, nie z Bezpieki, tylko wojskowego, który opowiadał, że był jednym ze strażników Berii, którego mieli już rozstrzelać, ale z jakiegoś powodu dłużej przetrzymali, a wtedy całkiem zniknął. Zaraz pomyślałem, czy to nie był przypadek podobny do naszego?

— Nudzisz mnie, Beethoven — oznajmił Mikołaj Mikołajewicz. — w ogóle podejrzewam, że wcale nie jesteś Beethovenem. Tamten miał zupełnie inną fryzurę.

— Miałby pan ochotę zapolować na tego Berię?

— Mogę?

— Jeszcze pan pyta? Przecież specjalnie przywabiłem tutaj tego nędznika.

Kniaź Mikołaj popatrzył na Berię niezdecydowanie.

— Chciałem jeszcze wytropić słonia — powiedział w końcu.

— Chyba pan oszalał — odparł Beethoven. — Daję panu właśnie niebywałą okazję uwolnienia świata od mordercy i złodzieja, a pan woli słonia.

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Ławrientij Pawłowicz — dlaczego nikogo nie interesuje moje

zdanie na ten temat?

— Zamknij się, takich jak ty wystawiłem już z pół tuzina! Dalej będę to robił!

— Beethoven mówi prawdę — potwierdził książę.

— Żądam jawnej rozprawy! Musicie udowodnić moją winę!

Beria spojrział błagalnie na księcia.

— Dobrze mówi! — oznajmił wielki książę. — Kolego, niech się pan zajmie zebraniem składu sędziowskiego i ławy przysięgłych, żeby wszystko było jak należy.

Odszedł brzegiem rzeczki, wysoko unosząc nogi. Jego oficcerskie buty błyszczały, niezależnie od błota, po którym stapał.

— Wreszcie go wkurzyłeś — zauważył Ławrientij Pawłowicz. — Żaden z ciebie Beethoven i jeszcze wyjaśnimy, kim jesteś naprawdę.

— Tutaj każdy wybiera nazwisko, jakie mu odpowiada. Chociaż w tym jesteśmy wolni!

Obaj stali w błocie po kostki i jasne było, że jeden drugiemu nie może poważnie zagrozić. Ławrientij Pawłowicz wychudł nieco w więzieniu i podczas procesu, a sił mu nie przybyło. Wyglądał na byłego grubasa, niemłodego, raczej słabowitego, nawet jeśli kiedyś w młodości odznaczał się siłą. Właściwie mówiąc, nigdy nie był specjalnie mocny, przystojny ani urodziwy, i właśnie to sprawiło, że zrodziła się w nim żądza władzy. Dlatego dołączył do niezwyciężonej armii pretendentów do rządzenia światem, którzy odnosili sukcesy i dzięki temu zyskiwali potęgę. Przyłączył się także, żeby zemścić się na niejkiej Nadii Joselian, przezywającej go w szóstej klasie. Zajmując wysokie stanowisko, mógłby powiedzieć do niej: „Teraz będziesz pełzać u moich stóp i błagać, żebym wziął cię do łóżka, inaczej zetrę całą twoją rodzinę na proch”, w końcu okazało się jednak, że Nadia przestała go interesować: niech sobie spokojnie żyje w komunalnym mieszkaniu z trójką parszywych bachorów i mężem alkoholikiem!

Przeciwnik był od niego wyższy, ale chudszy i przygarbiony. Miał smutne, ciemnobrązowe oczy i bardzo bladą twarz, zeszpeconą krzywym nosem. Ławrientij wyczuwał, że wróg nie jest zbyt pewny siebie. Grajek zwany Beethovenem na pewno nie da rady ministrowi bezpieczeństwa!

— Co jeszcze ci ten kapitan nagadał? — zapytał Beria.

— Powiedział, gdzie pana trzymają i że towarzysz Chrusz — czow kazał panu pisać wspomnienia, czyli donosy. Potem mieli rozstrzelać, bo i tak dla wszystkich był pan już rozstrzelany.

— I co ci do tego?

— Pomyślałem, że skoro taki bydlak, jak pan, dociągnie do Nowego Roku, na pewno spróbuje przedostać się tutaj. Trzeba było dzisiaj sprawdzić.

— Dlaczego dzisiaj?

— Dzisiaj jest pierwszy stycznia. Szczęśliwego Nowego Roku, towarzyszu Beria!

— A co to za rok?

— Następny. Tak więc poszedłem sprawdzić. Postanowiłem, że jeśli, dajmy na to, miałem rację, muszę pana załatwić. Wystarczy nam własnych brudów.

— Czemu więc tego nie zrobiłeś?

Z każdą chwilą Beria odczuwał przyływ mocy, jak pradawny ruski bohater, czerpiący siłę z ojczyściej ziemi.

— Jak się pan domyśla... nie potrafię zabijać. Pokładałem nadzieję w wielkim księciu. Obiecał zastrzelić, jeśli zdołam pana tutaj przywabić. Niestety, spudłował.

— I co teraz? — zapytał Ławrientij.

— Nie wiem — wyznał grajek.

— A tak w ogóle, jak się naprawdę nazywasz?

— Semen Matwiejewicz Gurewicz.

— I wymyśliłeś sobie pseudonim Beethoven, żeby nikt się nie domyślił skąd pochodzisz? Jaka wydała cię nacja?

— Niech pan nie myśli, że ujdzie panu na sucho — odparł tamten. — Jeszcze się do pana dobiore albo zrobią to inni, a jest tu takich niemało.

— Działacz państwowy ma zawsze sporo wrogów — potwierdził Beria. — To nieuniknione.

Ławrientij zastanawiał się: czy przenieść rozmowę na bardziej towarzyską płaszczyznę, by wypytać grajka dokładnie o sytuację, licząc, że się rozgada, czy może przybrać bardziej surowy ton? Zwyciężyła druga koncepcja, gdyż dosyć już miał stania w błocie.

— No, wystarczy! — krzyknął, nadymając się. — Starczy tej gadki. Zdejmuj obuwie.

— Jak to?

— Ściągaj buty.

— Ale one są mi potrzebne...

— Mnie bardziej.

Jego rozmówca ustępował, cofał się przed nim, dzięki czemu Ławrientij odzyskał dawno utracone poczucie przewagi. Uwielbiał zmuszać ludzi, by naginali się do jego woli, zachcianek, kaprysów i robili to, co było całkowicie przeciwne ich naturze. Kiedy spytano Wodza, jakie uczucie jest mu najmilsze, odpowiedział: zemsta. Ławrientij odpowiedziałby, że poczucie władzy. Zemsta to marność, co tam zemsta... Wyglądało na to, że był silniejszy od Wodza.

Ławrientij Pawłowicz całkowicie opanował sytuację. Powoli obejrzał się za siebie, wiedząc, że ten... Beethoven jest już całkiem w jego mocy. Zdaje się, że myśliwy wpadł we własne sidła. To dosyć śmieszne.

Beria zauważył w pobliżu resztki płotu. Wyrwał szybko sztchetę, zdobywając w ten sposób broń. Była płaska i długa na metr. Można nią w razie czego nieźle przyłożyć po grzbiecie!

— Ostrożnie — uprzedził Gurewicz — w tym są gwoździe.

— Aha, gwoździe! Tym lepiej.

— A czego się mnie pan czepia! — zajęczał Beethoven. — Tam znajdzie pan butów, ile tylko zechce. — Wskazał dłonią na górę. — Wystarczy wejść do magazynu obuwniczego, stoją całymi rzędami, można wybierać i przebierać.

— Liczę do trzech.

Tamten cofnął się w suche miejsce. Beria prawie zamachnął się sztchetą, nie orientując się w pierwszej chwili, że Gurewicz chce tylko zdjąć buty w trochę wygodniejszym miejscu.

— Będą za małe — oznajmił.

— Nie szkodzi, rzucaj.

Beethoven rzucił mu but, cały mokry.

— No cóż — powiedział Beria — nie chcę się przeziębic. Gurewicz zachichotał cienko i złośliwie, ale szczerze.

— Przeziębic? Jak zamierzacie się tutaj przeziębic, szanowny towarzyszu?

— Całkiem zwyczajnie.

Beria włożył buty. Były nieco ciasne, ale i tak poczuł się lepiej. Człowiek obuty zaraz nabywa godności.

— Zdaje mi się, że pan, jak to zwykle nowicjusze — rzekł Gurewicz, przestępując z nogi na nogę, gdyż chyba nieprzyjemnie było stać bez butów — wciąż nie ma pojęcia, gdzie się znalazł.

— Więc teraz ty mi to powiesz — groźnie nakazał Beria.

— Nie jest pan wcale taki straszny, jakim się chce przedstawić — odparł tamten. — Można mi zabrać buty, ale to już szczyt pańskich możliwości.

— Idziemy — rozkazał Beria, wskazując na szczyt zbocza. Beethoven poszedł pierwszy. Wyciągnął fujarkę i podniósł ją do ust, lecz Beria zaraz zorientował się, że chce w ten sposób wezwać pomoc i nie wolno do tego dopuścić.

— Jeśli raz jeszcze wyjmiesz instrument z kieszeni, to ci go połamię — uprzedził.

Ścieżka była mokra, ale niezbyt śliska. Jak dobrze było mieć buty! Dotarli do szosy. Gdzieś w dole pozostał brodzący w śmieciach wielki książę. Należy się go strzec, skoro jest uzbrojony w śmiertcioną broń. Beethoven uszedł parę kroków i siadł na asfalcie.

— Jestem zmęczony — oznajmił.

Beria miał początkowo ochotę zdzielić go w łeb sztachetą, po chwili jednak doszedł do wniosku, że pora zmienić taktykę.

— Ściągaj spodnie — rozkazał — i to szybko.

— Nie ośmieli się pan!

— Jeszcze jak się ośmielę! Przecież mnie już znasz.

— Zabiłeś mi ojca i brata, żonę zamorzyłeś głodem... Wiem wszystko.

— No to zdejmuj gacie. Wolę chodzić w spodniach, bo jak widzisz, to co mam pod płaszczem trudno tak nazwać.

— Moje są niewiele lepsze — wyznał Gurewicz.

Beria przyjrzał się uważnie.

— Mówisz, że można je tutaj zdobyć?

— Oczywiście.

— Nie są radioaktywne?

— Nie, normalne, nowe. Bez problemu.

— Pokażesz, gdzie są?

— Kiedy?

— Teraz.

— Muszę odpocząć. Jest pan tu nowy, więc ma więcej sił.

— A ty nie jesteś nowicjuszem?

— Przybyłem wcześniej, a to wiele znaczy.

— Radiacja?

— Co pan ciągle z tą radiacją! Skąd niby?

Beria nie miał ochoty dłużej stać, więc też usiadł na asfalcie o dwa kroki od Beethovena. Gdyby tamten próbował uciec, łatwo go będzie dogonić.

— Więc skoro nie było radiacji, to gdzie się podzieli ludzie? — zapytał.

— No właśnie! — Beethoven ucieszył się nie wiedzieć z czego. — On niczego nie wie!

— Więc wytłumacz to staruszkowi.

— Próbuję.

— Wojna, prawda? Napadli na nas Amerykanie? Użyli bomby atomowej? Wszyscy zginęli? Zostali tylko wariaci i tacy, którzy się ukryli pod ziemią, czy tak?

— Ach, to taką teorię sobie stworzyliście, Ławrientiju Pawłowiczu! Niestety, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Nie było wojny atomowej ani żadnej radiacji, a ja nie jestem wariatem, tylko uciekinierem, jak pan. To naprawdę śmieszne, że znaleźliśmy się w takim samym położeniu. Zwabiłem tu pana grą na fujarce...

— Nieskutecznie.

— Owszem, nieskutecznie, bo nie jestem myśliwym ani prawdziwym szczurołapem. Jestem za to w posiadaniu wiarygodnych informacji.

Ławrientij Pawłowicz podniósł się i stanął nad Beethovenem, który się nawet nie poruszył. Beria wsparł się na sztachecie jak Herakles na maczudze. Tamten patrzył na niego spođe łba.

— Gadaj — rozkazał Beria.

Ogarnął go strach. Zaczynał rozumieć, że zaszło coś niepojętego, znacznie bardziej niewiarygodnego niż wojna atomowa.

— Tego nie da się wyjaśnić w sposób naukowy — powiedział Beethoven — lecz jak wiadomo, brak wyjaśnienia nie likwiduje problemu. Znaleźliśmy się na tamtym świecie...

Grajek patrzył na niego, lekko przekrzywiając na bok swą żydowską głowę i wcale się go nie bał. Wystraszył się tam, nad rzeką, lecz obecnie panował nad sobą, gdyż znał tajemnicę, która mogła się okazać dla jego rozmówcy przerażająca.

— Na tamtym świecie? — powtórzył za nim Ławrientij Pawłowicz.

Taki wariant nie przychodził mu dotąd do głowy, skoro był z przekonania materialistą i leninowcem. Wiedział, że „tamtym światem” to wymysły popów i innych wrogów proletariatu. Dotychczas jednak nie uczestniczył w burzeniu cerkwi ani mordowaniu kapłanów. Jeśli zachodziła taka konieczność, zlecał to innym. Wszystko dlatego, że nie był pewien, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Widział wiele zgonów i sam zabił wielu ludzi, więc chcąc nie chcąc zaczęło go dręczyć pytanie: a co potem? Co działo się z tymi wszystkimi ludźmi, u których mógł zaobserwować moment utraty życia? Po śmierci powinno coś być, lecz marksizm nie potrafił udzielić na to pytanie odpowiedzi. Jak wielu byś nie studiował klasyków z samym Wodzem na czele, mając głowę na karku, dochodziłeś do wniosku, że wszyscy ci mądrzy ludzie nie znają odpowiedzi.

— Nie jesteśmy na tamtym świecie! — sprzeciwił się.

— Skąd ta pewność? — zapytał Gurewicz.

— Jest nie taki, jak trzeba.

— Ktoś już go panu opisał?

— Tylko bez ironii!

— Więc o co chodzi?

Beethoven nie klócił się, tylko spoglądał na Berię chłodnym okiem uczonego, który obserwuje szeregi mrówek wspinających się na swój kopic.

— Wszystko powinno być inne.

— Nikt stąd nie wraca do domu.

— I to ma być argument? A gdzie są anioły i wszystkie inne istoty?

— Nie ma się co buntować, towarzyszu ministrze — odparł Beethoven. — To niczego nie zmienia. Tym bardziej, że ma pan rację: nasz świat różni się zasadniczo od wszystkich wariantów istniejących w rozmaitych religiach. Dlatego, że jest on materialistyczny.

— Wyjaśnij to.

— Istnieje i, jak widać, zawsze istniała pewna kategoria ludzi, którzy marzą o tym, żeby odmienić

swój los i zniknąć, uciec przed resztą ludzkości. Zwłaszcza, kiedy zagraża im nieunikniona śmierć lub straszna kompromitacja. Weźmy chociażby pański przypadek...

Beria skinął głową — rzeczywiście, lepiej zrozumieć wszystko w oparciu o własne doświadczenia.

— Groziła panu nieuchronna śmierć. Upadły wszelkie nadzieje. Szczyt tego przeżycia wypadł w momencie Nowego Roku, gdy ludzie świętowali przejście z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego na pięćdziesiąty czwarty. Cały organizm wołał: nie pójdę z wami! Idźcie beze mnie! Zgadzam się na wszystko, byle tylko nie pójść dalej.

— I co się stało?

— A to, że jakaś moc, nazwijmy ją naturą, spełniła to pragnienie. Pod jednym warunkiem: zdarza się to tylko raz do roku, właśnie w noc noworoczną. Proszę się wstrzymać od pytań, na które nie znam odpowiedzi. Dlaczego właśnie w Nowy Rok według kalendarza chrześcijańskiego? Nie wiem, mogę mówić tylko o faktach. Raz do roku, w jednej minucie albo sekundzie, jeśli ktoś szczerze pragnie uciec od ludzi, jego życzenie się spełnia. Trafia do świata, który nas w tej chwili otacza. Do świata bez czasu.

— Dlaczego bez czasu? Przecież rozmawiam i chodzę z tobą, a to oznacza, że jest następstwo wydarzeń. Coś się zdarzyło wcześniej, a coś później. Musi więc istnieć czas.

— Nie ma co filozofować, towarzyszu ministrze — odparł Beethoven. — Fakt pozostaje faktem. Wszyscy jesteśmy tutaj w takiej samej sytuacji.

— Wszyscy, którzy nie chcieli umrzeć?

— Tak. Ja, na przykład, byłem na granicy śmierci i mieli mnie następnego dnia zesłać na etap, którego bym nie przeżył. I nagle znalazłem się tutaj.

— Dlaczego jednak tylko w tej jednej chwili?

— Prosiłem, żeby nie zadawać mi pytań, na które nie jestem w stanie odpowiedzieć.

— A próbowałeś znaleźć odpowiedź?

— Nie ma sensu próbować. Każdy nowicjusz dowiadyuje się prawdy o naszym życiu w ciągu pół godziny od przybycia.

— A co dzieje się potem?

— Potem? Mieszkamy tutaj. Egzystujemy.

— Jak długo?

— Dopóki się nie zużyjemy.

— Nie rozumiem!

— Nikt tutaj nie choruje ani się nie starzeje, nie musi jeść, Pić, spać ani kochać... Nie ma takiej potrzeby. Czas się zatrzymał i krew przestała krążyć w żyłach.

— Chyba w przerośni?

— Tak, w przerośni. Od strony biologicznej jednak jesteśmy martwi. Tłumaczył mi to jeden doktor: skład chemiczny krwi i tkanek zmienia się bardzo szybko, w ciągu kilku dni, najwyżej tygodni. Temperatura naszych ciał jest niższa o kilka stopni niż u normalnych ludzi.

— Nie porównuj mnie z sobą! — rozzłościł się Beria. — Może i jesteś zimnokrwisty jak płaz...

— A pan ma może specjalną krew władcy?

— Moja krew jest normalna.

Odruchowo dotknął swej szyi i stwierdził, że wszystko w porządku. Krew krążyła normalnie.

— Własną, chłodną dłonią nie da się tego stwierdzić — oznajmił grajek.

— Przestań gadać głupoty!

Ruszył dalej. Czuł się po prostu okropnie, jakby ktoś mu właśnie powiedział, że jest nieuleczalnie chory na raka. Czyżby na próżno starał się uciec przed śmiercią? Dokąd przyszło mu uciec?

Beethoven szedł za nim i przemawiał cichym, monotonnym głosem, ale w taki sposób, że Beria nie mógł go nie słyszeć. I słuchał.

— Myśli pan, że nas tutaj jest dużo? Nie, gdyż ludzie nie są nieśmiertelni, są zniszczalni, chociaż nikt tutaj nie umiera. Zużywamy się i niszczejemy jak przedmioty. Dwieście, trzysta lat i koniec. Mało też nas przybywa.

— Milcz!

— Każdy nowicjusz szybko znajduje sobie zajęcie. A właśnie, nie chciałby pan pojawić się na naszej gazecie ściennej? Jest taka na stadionie Izmailowskim. Prowadzą ją wspaniali ludzie! Internacjoniści, pasjonaci na punkcie swojej pracy, można powiedzieć, pionierzy pierwszej kategorii. Był pan pionierem?

Ten cały Beethoven wyraźnie się rozzuchwiał i zapomniał, że jego rozmówca dopiero co zabrał mu buty. Z drugiej strony niech opowiada, jeśli tylko nie kłamie. Wyglądało jednak, że nie oszukuje, a to oznaczało, że Ławrientija czekają trudne chwile. Ci cholerni tybetańscy mędracy może i dobrze prorokowali, lecz w swojej przepowiedni opuścili pewien istotny element, mianowicie, gdzie spędzi ostatnie lata swego życia: w nikomu niepotrzebnej czarnej dziurze.

Tak być nie może! To oczywiste, że ten nędznik zwariował i tylko przywidział mu się tak absurdalny świat. Beethoven zatrzymał się w tej chwili, jakby czytając w myślach Berii.

— Widzi pan, właśnie wchodzimy na teren daczy Stalina, tak zwanej podmiejskiej daczy. Jeśli jest pan rzeczywiście Berią, powinien pan wiedzieć, że wasz Wódz nie żyje. Chce pan popatrzeć?

— Na pewno są tam strażnicy — stwierdził Ławrientij Pawłowicz.

— Nawet, jeśli zmieniły się władze?

— Jakakolwiek by była władza — odparł Beria — zawsze potrzebować będzie ochrony.

— To co, pójdziemy zobaczyć?

Beria stał w miejscu. Nie mógł zmusić się do zrobienia pierwszego kroku, wcale nie dlatego, że bał się wartowników, którzy mogliby zacząć strzelać... Znacznie bardziej obawiał się, że nie będzie żadnych strażników. Oznaczałoby to większą katastrofę niż śmierć wielkiego przywódcy. Mógł sobie być cynikiem, ale pozostawał wciąż komunistą, czyli człowiekiem, który święcie wierzył w niewzruszone podstawy systemu.

— Idziemy? — spytał Beethoven.

Zaczął schodzić po drugiej stronie szosy. Poszli ścieżką w dół rzeki. Przybrzeżne skarpy były sobie bliższe w tym miejscu. Walały się na nich obalone pnie drzew, sterty chrustu i gałęzi. Nie widać było ani jednego zielonego liścia, czy też źdźbła trawy.

W tym momencie Ławrientij zorientował się, że dobrze zna to miejsce z poprzedniego życia: czasem chodził jej brzegiem, patrząc na piaskarzy pływających wolno po czystej wodzie. Wspomniał, jak musiał srogo upomnieć dyrektorów dwóch fabryczek znajdujących się w górnym biegu Setni i uświadomić im, że ścieki z ich zakładów zanieczyszczają rzekę, w której czasem pływa sam Wódz.

Obiecał władcy zająć się tą sprawą i wyciągnąć surowe konsekwencje, skoro coś takiego działo się blisko daczy. Osobiście zastrzelił wezwanych na dywanik dyrektorów, a potem rozkazał usunąć z

obu brzegów wszystkie domki i ogródki działkowe. Przede wszystkim mógł się jednak szczycić, jako że był obdarzony nadzwyczajnym umysłem, iż postawił przy ogrodzeniu u wejścia na teren posiadłości brygadę specjalnych ludzi pod ścisłą obserwacją, którzy wylawiali z wody wszystko to, co mogłoby naruszyć spokój ducha ukochanego Wodza.

Rozmyślając o swojej roli w historii Rosji, Ławrientij szedł za Beethovenem, aż doszli razem do pustej polany, latem porośniętej trawą. Wokół niej biegła ścieżka, po której niejedną raz przechadzał się z Józefem Wissarionowiczem, rozmawiając o ważnych sprawach państwowych. Wielekroć podczas owych niespiesznych spacerów decydowano o ludzkich losach, wiele rozmów kończyło się wyrokiem śmierci na tego, o kim rozmawiali. Sprawiały one, że ogromne państwo redukowało się w tym momencie do paru osób, bez względu na półtorej setki milionów obywateli. Podobnie było na dworze cara Mikołaja Pawłowicza, który przechadzał się na innej ścieżce z hrabią Bekendorfem, stykając się ułamkiem procenta narodu, który łatwo było w tej sytuacji zarówno kochać, jak i skazywać na śmierć. Stawali się abstrakcją, nie mieli twarzy ani imion, skazywano ich i kochano milionami, wszystko dla dobra państwa. Oczywiście Ławrientij był mądry, ale nie aż do tego stopnia, żeby wówczas pojąć, że Stalin znalazł w nim wyjątkowo podłego i okrutnego lokaja, idealnego wykonawcę wyroków. Z wyjątkiem tego, że termin jego własnego pobytu na Ziemi był mu nieznany. Zresztą nie wiedział także, kiedy przestaną być mu potrzebni tacy ludzie jak Jagoda, Jeżów, czy Abakumow. I Beria.

Widok daczy Wodza wstrząsnął nim. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że ma halucynacje. Dom był częściowo w ruinie, dach zarwany, a jedno skrzydło wypaczone. Bez względu na to, jak długo Ławrientij był nieobecny, śmierć władcy nastąpiła przecież całkiem niedawno i nie mogły zajść tak wielkie zmiany w wyglądzie budynku.

Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem było działanie czyjejś złej woli. Dziwne działanie: po cóż by wrogowie komunizmu i Stalina mieli niszczyć las. Przecież wokół rosło dużo jodeł, obecnie zaś pozostały nieliczne, suche i pozbawione igiełek. Nie mogły stanowić żadnej osłony dla domu. Widocznie Chruszczow z Malenkowem dokonali tego, gdy Beria siedział w więzieniu.

Ruszył w stronę budynku. Z tego wynikało, że jednak nie uwierzył w bajanie o Nowym Roku i możliwości zostania w starym, gdzie pozostały szczątki przeszłości. Bo jak materialista może dać wiarę opowieściom o świecie równoległym do rzeczywistego, w którym czas się zatrzymał? To jakaś bzdura! Nie chciał więcej tego słuchać.

Drzwi były otwarte. Trzeba chociaż sprawdzić, jakie szkody wyrządzono temu architektonicznemu pomnikowi, jak określał w duchu Ławrientij daczę swego Wodza.

W wejściu zamarł nagle. Usłyszał ze środka śpiew na dwa głosy. Dwie kobiety śpiewały *Suliko*, ulubioną pieśń Stalina, wykonywaną tutaj tak często i głosami tylu śpiewaków płci obojga, że Beria miał jej serdecznie dosyć.

— Co to jest? — zapytał Beethovena.

Tamten uśmiechnął się w sposób trochę wymuszony, jak się wydało Berii.

— To są miłe, całkiem niewinne dziewczyny — odpowiedział. — Nie trzeba ich demaskować ani skazywać na śmierć.

Ławrientij skrzywił się, gdyż wyczuł szyderstwo w słowach grajka. Pomyślał: jeszcze się do niego dobiorę, a wówczas gorzko pożałuje... w jaki sposób Gurewicz za to zapłaci, tego jeszcze nie wiedział, ale był pewien, że o tym nie zapomni. Nigdy nie zapominał uraz, tego się nauczył od Wodza. I chociaż nie uważał tego za swoje główne zadanie, na pewno nie pozwoliłby zbyt się

rozpuścić temu muzykantowi.

Co tam się dzieje?

Poszedł od razu do sali bilardowej, orientując się, że stamtąd dochodził śpiew. Obrazek, jaki ukazał się jego oczom był dosyć przerażający: na blacie bilardu, który w ostatnich latach nie był używany, stały dwie kobiety, młoda i stara, wysoka i malutka. Odziane były w szkolne mundurki, brązowe, z wąskimi rękawkami i kloszowatymi spódniczkami, a na wierzchu fartuszki z kieszonkami na płaskich piersiach. Jedna z nich miała na głowie loczki, trudno orzec sztuczne, czy naturalne, druga źle dopasowaną perukę w rodzaju tych, jakie nosili dworzanie Ludwika... któregoś tam.

Kobiety trzymały się za ręce i z dobrą dykcją śpiewały ulubioną pieśń Józefa Wissarionowicza. Nie były same. Na krzesłach przyniesionych z jadalni siedziało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, tworzący audytorium.

Kiedy Beria wszedł do środka, mężczyzna obejrzał się i przyłożył palec do ust, dając do zrozumienia, że należy zachować ciszę. Ławrientij i Beethoven stanęli w drzwiach.

Wszystko w tym pomieszczeniu wyglądało jak dawniej, tylko szyby w oknach były rozbite, a sprzęty były brudne i zapuszczone.

Śpiewaczki kontynuowały występ, lecz spoglądały przy tym ze strachem na nowo przybyłych, aż w końcu jedna z nich zaczęła fałszować, drugiej zaś załamał się głos i zaryczała basem.

— Wystarczy, wystarczy! Mężczyzna wstał i zaklaskał.

— Koniec próby. Mam was dosyć! Jesteście świadomymi szkodnikami.

Był rudy i niewysoki, z wielkim nosem i ciemnymi wąsami. Jego twarz wydała się Berii skądś znajoma.

Kobiety zeszły z trudem z ogromnego stołu — musiały w tym celu położyć się na brzuchach i namacać stopami podłogę.

— Nie przyglądajcie mi się tak — powiedział rudy — znam was przecież dobrze, Ławrientiju Pawłowiczu. Cieszę się z waszego przybycia. To doprawdy wspaniały traf, że udało się wam wykiwać okrutną staruchę z kosą, ale nie ma niczego niezwykłego w tym, że się odnaleźliśmy. Uściskaj mnie, stary towarzyszu!

— Nie jesteś Stalinem — odparł Beria — tylko się pod niego podszywasz.

— A nie mówiłam! — wykrzyknęła jedna ze śpiewaczek.

— Tolerował nasze fałszowanie, a prawdziwy Józef Wissarionowicz nie dopuszczał fałszu nawet w najtrudniejszych partiach!

— Więc uważacie, że on nie jest Stalinem? — zapytał Beethoven. — Mieliśmy wątpliwości tego rodzaju, i dlatego specjalnie tutaj pana przyprowadziłem, żeby ostatecznie je rozwiązać.

— Przecież trafiłem tutaj już bardzo dawno! Spójrzcie, jaki jestem młody! Zdarzyło się to podczas wojny domowej. Przed samym Nowym Rokiem okrążyli mnie Biali pod Carycynem i pozostała mi już tylko jedna droga, właśnie tutaj.

— Chwileczkę — wtrącił Beria — kto w takim razie zwalczał opozycję, przeprowadził kolektywizację i industrializację kraju? Może ja?

— Oczywiście znaleźliście sobowtóra, być może nawet kilku.

— w owych czasach — oznajmił Ławrientij, unosząc palec wskazujący — nikt jeszcze nie podejrzewał, że Władimir Ilicz Lenin tak szybko odejdzie.

— Wiem, czytałem — powiedział Gurewicz. — Stalin był wówczas nikim!

— Tego bym nie powiedział — sprzeciwił się Beria. — Tak więc udajesz tutaj towarzysza

Stalina? Bardzo nieładnie, młody człowieku, to już trąci prowokacją polityczną.

— Mówiłem mu: przyjdzie Beria, to wszystko się wyjaśni — oświadczył Gurewicz.

Berii niezbyt podobały się sposób mówienia, a przede wszystkim wyraz oczu tego żydowskiego Beethovena, który jakby sobie szydził ze wszystkich.

— I tak się go bałam, mimo wszystko — oznajmiła wysoka śpiewaczka. — Fałszywy oprawca! Wie pan, że zamęczył mojego męża?

— Ja także uwierzyłam. Może mnie pan nie znać: nazywam się Eugenia Bosch. Kierowałam egzekucjami Białych na Krymie.

— Nie słyszałem — odparł Beria i uściśnął podaną mu chłodną dłoń rewolucjonistki.

Był w totalnej rozterce. Gdzie się właściwie znalazł? Nie istnieje przecież żaden podziemny świat, marksizm tego nie dopuszczał, a jedynie cerkiew. Chwilami zdawało mu się, że otaczają go sami szaleńcy, ocaleli z atomowej zagłady, to znów dochodził do wniosku, że Beethoven jednak nie kłamie: bo jakże inaczej dacza stalinowska mogła popaść w taką ruinę? Kto mógł ją zniszczyć? Ławrientij Pawłowicz był raczej zwolennikiem nieoczekiwanych wypadków.

— A gdzie jest Chruszczow? — zapytał pseudo — Stalina. — Gdzie Nikita Sergejewicz?

— Wciąż tam — odpowiedział Beethoven zamiast samozwańca. — Jeszcze do nas nie przybył.

— Jesteście pewni?

— Niczego nie jesteśmy pewni.

— Oczekiwaliśmy waszego przybycia, Ławrientiju Pawłowiczu — powiedziała bojowniczką Bosch. — Chcemy, żeby zajął się pan w naszym kolektywie informacją polityczną i wprowadził nas w aktualne wydarzenia wewnętrzne i zagraniczne. Można na was polegać?

To na pewno banda wariatów. Lecz szaleństwo jest rzeczą względną, gdyż nie uwzględnia faktu, że cały świat mógł oszaleć. Ławrientij musiał uznać, że może się mylić, skoro tylu rzeczy nie rozumie. Z natury był człowiekiem obdarzonym zdrowym rozsądkiem. Tacy ludzie bywają skrajnie niebezpieczni, gdy przyjdzie im służyć obłąkanym tyranom.

Zrobił ciekawe spostrzeżenie: na dacy Stalina w Wołyńsku zebrała się niewielka grupa ludzi, którzy uważają się za członków partii i oczekują informacji politycznych. Wśród nich ta Eugenia Bosch — być może nawet prawdziwa? I inni towarzysze. Tak więc istnieje baza do rozpoczęcia działalności.

A skoro ten niesamowity świat nie jest przedłużeniem naszego, skoro nie ma tutaj Chruszczowa, jeśli rządzi się własnymi prawami, można tym światem zawładnąć. Potem się zorientuje, kto tu jest naprawdę nieśmiertelny, a kogo będzie można wydać na pastwę...

— Śpiewajcie dalej, towarzyszki, my tak lubimy tę pieśń — rzekł Ławrientij i usiadł na krześle zajmowanym wcześniej przez pseudo-Stalina.

Rozdział trzeci

Ławrientij Beria

Wiał lekki wietrzyk. Raczej trudno byłoby go nazwać porządnym wiatrem. A zatem wietrzyk...

Dla zasiedziałych od dawna mieszkańców był jednak niemiłą oznaką możliwych przemian, dlatego wzbudzał lęk.

Senatorowie przybywali w rikszach rowerowych albo w lektykach pod niezwykle budynek restauracji „Nadmorska” i wchodzili po szerokich schodach prosto do głównej sali. Budowlę postawiono w latach siedemdziesiątych pod Leningradem na użytek fińskich turystów w pobliżu autostrady na Wyborg. Okrągły, przeszklony budynek zawisł, wysunięty, nad plażą i płytką zatoką.

Beria stwierdził, że z zewnątrz budynek przypomina przedwojenne lody, kulkę wciśniętą pomiędzy dwa wafelki. Lodziarz szybko kładł na aluminiowej łyżce wafel z twoim imieniem, później nakładał kulkę i przykrywszy drugim płatkim, wystawiał smakołyk przez okienko. Nigdy jednak chłopiec nie dostał lodów ze swoim imieniem, w fabryce nie produkowano wafelków z tak rzadkim imieniem, jak „Ławrientij”. Myślał wtedy: kiedy urosnę, wszyscy będą musieli mnie słuchać. Przyjdę do fabryki i powiem: „Natychmiast zróbcie płytkę waflową z imieniem Ławrientij. Inaczej polecą głowy!”. Wykonają żądany wafelek, a on będzie wylizywał wyciekające spod niego słodkości, podtrzymując go językiem i podnosząc wysoko, tak żeby wszyscy widzieli napis: ŁAWRIENTIJ.

Było to bez wątpienia bardzo zabawne wspomnienie, lecz wiodło do niewesołych myśli. Przed wojną, kiedy stał się dorosły, mógł, oczywiście, zarządzić, aby wykonano takie wafelki, tym bardziej, że w Gruzji już wtedy zaczynano nadawać jego imię noworodkom. Nie miał jednak czasu i zapomniał o takim drobiazgu.

A tutaj, można powiedzieć, pośmiertnie, zaczęły powracać ziemskie, niespełnione pragnienia. Nie powinny się pojawiać, tak jak głód, pragnienie, czy też pożądanie do płci przeciwnej. Wszystko okazało się jednak bardziej skomplikowane. Niektóre uczucia zachowują się także w świecie cieni: strach, nienawiść, chęć zemsty... One zaś wloką za sobą i ożywiają pragnienia, których być nie powinno.

Beria zatrzymał się i objął wzrokiem pokraczny gmach restauracji. Za nim ciągnęła się pusta plaża, prawie szara pod szarym niebem, przechodząca w szare morze. Szarość ta miała swoje odcienie, od łagodnej żółtości piasku do ciemnej wilgoci na samym brzegu. Nie było fal, ale powierzchnia zatoki nie była całkiem gładka. Wspomniany wcześniej wietrzyk tu i ówdzie marszczył jej taflę i po zwierciadle wód biegły smugi jasne lub ciemne w zależności od oświetlenia.

Na plaży nie było nikogo. Podarte strzepy jedyne parasola ochronnego lekko szeleściły pod wpływem ruchów powietrza. Jakies sto metrów od restauracji można było, co prawda, dostrzec samotną sylwetkę strażnika. Stał w pobliżu uschniętej, krzywej sosny, którą za życia zniszczyły morskie wiatry, a po śmierci samotność.

W tej chwili podjechał konsul Kliukin ze swą piękną przyjaciółką, Łarisą. Przyjechali karetą, znaną w magazynach „Lenfilmu”, zaprzęzoną w dwóch rowerzystów w czerwonych Pelerynach i strażackich hełmach. Pomimo usiłowań, aby być pierwszą osobą w mieście, Kliukin nie mógł dorównać Berii. Ten ostatni rozjeżdżał się packardem, a jego cykliści odziani byli wszyscy w jednolite, błyszczące czarne płaszcze do kostek i stalowe hełmy niemieckie, zabrane z Muzeum Obrony Leningradu. Tym razem zostawił auto w pobliżu i starał się zrobić wrażenie, że przyszedł na piechotę, tak było bardziej demokratycznie. Przecież nawet sam Czajanow uparcie chadzał pieszo na wszystkie narady, wychodząc z domu trzy godziny wcześniej. Tylko kto był w stanie wymierzyć te trzy godziny?

— Trochę dzisiaj wieje — stwierdził Kliukin.

Był kiedyś bardzo gruby i zajmował odpowiedzialne stanowisko. Nie bez ironii wobec siebie samego zwykł cytować powieść Sałtykowa — Szczedriny *Szkice gubernialne*. Z tego powodu nosił zawsze przy sobie zetlałą na zagięciach kartkę: *Jest rzeczą konieczną, żeby administrator miał odpowiednią powierzchowność. Nie powinien być opasty ani wychudły, nazbyt wysoki ani zbyt mały, całe ciało winno mieć proporcjonalną budowę, twarz musi być czysta, nie zeszpecona brodawkami ani, tym bardziej, złośliwą wysypką. Przede wszystkim zaś winien nosić mundur*. Odczytując ostatnie zdanie Kliukin zaczynał się śmiać. Wszyscy od dawna mieli go dosyć, jak to zwykle nudziarza, który zna tylko jeden dowcip. Mundur horodniczego, który wy dostał z Teatru Młodego Widza, był już mocno znoszony, lecz potwierdzał, że Kliukin należał do świty Jego Wysokości. Ławrientij Pawłowicz z właściwą dla niego skrupulatnością przekopał się przez jego papiery. Tak naprawdę był tylko rotmistrzem żandarmerii. Ponieważ przyłapano go na kradzieży, powinien był się zastrzelić, na co liczyli nawet jego krewni. Zamiast tego uciekł do Taszkientu, potem pojawił się w Pskowie. Dalej Beria stracił ślad. Z samego Kliukina nie sposób było wydobyć prawdy. Jego przyjaciółka, Łarisa, którą Ławrientij dawno już uczynił swoją agentką, nie mogła lub nie chciała mu pomóc. Była rudowłosą piękną, niegdyś żoną kogoś ważnego. Niemal umarła na cholera podczas wojny domowej, a jej dwudziestoletniego męża współpracownicy Berii wyrzucili przez okno piątego piętra pewnego hotelu. A może nie hotelu, tylko szpitala...

Ławrientij Pawłowicz lubił dokładność, szczególnie kiedy dotyczyła spraw jego pracowników albo innych podejrzanych. Tylko że w tych przeklętych zaświatach z niczym nie można było dojść do ładu. Niektóre dokumenty poginęły, inne w ogóle nie istniały.

Łarisa popatrzyła Ławrientijowi prosto w oczy. To była taka jej sztuczka, wypróbowana za młodu. Mężczyźni peszyli się pod tym spojrzeniem, nie wiedząc, czy zaprasza ich ono do łóżka, czy też zapowiada poważną rozmowę o dalszych losach rewolucji.

— Później pogadamy, Lara — powiedział Ławrientij. — A jest o czym.

— Nie strasz jej — odparł Kliukin. — Łarisa jest pod moją opieką.

Ławrientij obserwował ich, jak wchodzi po schodach. Czekał, czy kobieta się obejrzy. Jeśli to zrobi, oznacza to, że nadal ma nad nią władzę. Odwróciła się już u samych drzwi.

— Nie napalaj się tak — powiedziała. — I zdejmij kapelusz. Tutaj nigdy nie pada.

Za plecami Ławrientija Pawłowicza zaśmiał się wysokim głosem niejaki Gracki. Oszust, który potrafiłby się urządzać nawet w piekle. Wysoki, gładki, oślizgły typ. Ponieważ nie działają tu telefony, przepędza cały czas na wizytach. Ponieważ wszystkie dobre pojazdy dawno już zostały rozchwyte, jeździ motocyklem z przyczepą, zaprzężonym w riksze. Opowiada, że ten niezwykle wehikuł skonstruowano na jego polecenie w USA, kiedy w zeszłym roku pływał tam w łodzi

podwodnej. Oczywista bzdura, skoro w tym świecie nie ma nie tylko łodzi podwodnych, ale najprawdopodobniej także Stanów Zjednoczonych. Wszyscy jednak słuchają Grackiego i nikt mu nie zaprzecza, chociaż nikt także mu nie wierzy. Nosi mundur z epoletami i dlatego nazywa siebie ni mniej, ni więcej, tylko ministrem obrony — Jest stosunkowo młody, trafił do tego świata dwadzieścia lat temu. Sprawiał wrażenie kobieciarza i składał nawet jakieś propozycje Łarisie.

— Chłopcze — odpowiedziała mu wtedy piękność — mam już równo sto lat. Mają mnie za to odznaczyć. Taka choroba, jak twoja, nazywa się gerontofilia.

— Nie masz wieku wypisanego na twarzy — stwierdził tamten. — Przede wszystkim, musisz wiedzieć, że jestem jednym z ostatnich towarzyszy broni Napoleona. To imię ci chyba coś mówi?

— Absolutnie nic.

Łarisa rozłożyła delikatne dłonie, pstryknęła palcami przed jego nosem i dodała:

— Kliukin jest bajecznie bogaty i troszczy się o mnie. Ty jesteś zwykłym samochwałą. Kobieta musi mieć opiekuna, który potrafi jej bronić. Może kiedyś przejdę pod opiekę Ławrientija. On jest jak boa dusiciel.

Beria często zastanawiał się, skąd się wzięło bogactwo Kliukina? Tutaj właściwie nietrudno stać się zamożnym, jeśli ktoś się specjalnie tym zajmie. Przecież w sklepach, również jubilerskich, zostało sporo rzeczy, które nie wiadomo czemu nie przeszły w przyszłość. Można także bezkarnie brać cenne obrazy i rzeźby, znacznie trudniej za to o pierzyny, czy dobrą bieliznę. Chcesz zająć pusty pałac — proszę bardzo! Lecz bogactwo jest znacznie bardziej skomplikowaną sprawą niż suma posiadanych kosztowności, brylantowych pierścieni, strojów, czy apartamentów. Rozsiewa specjalny blask talentu, oczywisty dla całego otoczenia. Prawdziwy bogacz emanuje nim nawet wówczas, kiedy jest zrujnowany. Znacznie trudniej w każdym razie być kimś takim w krainie cieni. A Kliukin był bogaczem, miał klasę, korzystał z usług pokojówki i ogrodnika, choć nie było żadnego ogrodu. Jego utrzymanką była Łarisa Reisner, najpiękniejsza kobieta Leningradu, chociaż tak naprawdę nie potrzebował kochanki.

Leningrad... wciąż nosił tutaj owo miano, choć nowo przybyli opowiadali, że w realnym świecie przywrócono starą, przedrewolucyjną nazwę.

Ławrientij Pawłowicz wszedł po schodach i wkroczył do holu restauracyjnego. Nie miał zamiaru zdejmować kapelusza. Przestał to robić, kiedy zrozumiał, że może w nim spać lub wypoczywać. Kapelusz zakrywał łysinę, okrywał cieniem wyblakłą twarz, tylko spod runda pobłyskiwały szkła okularów. Wolałby nosić binokle jak za młodych lat, lecz nie udało się odpowiednich znaleźć. Zdawałoby się, że skoro w tym świecie nie ma chorób, jego wzrok powinien wrócić do normy, tak się jednak nie stało. Nie szkodzi, był przyzwyczajony do okularów.

Beria wszedł jako ostatni.

Pięciu pozostałych konsulów zasiadało już w miękkich fotelach ustawionych w szerokie półkole, zwrócone ku morzu, widocznemu za przeszkloną ścianą restauracji. Niektóre szyby były wprawdzie wybite, lecz to nie odgrywało roli, skoro zazwyczaj nie było tu silnych wiatrów ani poważnych chłódów. Obecny wietrzyk był swego rodzaju anomalią. Spóźnienie Berii nikogo nie zdziwiło, skoro dbał o bezpieczeństwo pozostałych. Chociaż senatorom w zasadzie nic nie zagrażało, nikt nie miał zamiaru podważać jego roli. Działanie owej służby przydawało senatowi powagi.

Beria powiódł wzrokiem po sali od lewej strony do prawej.

Pierwszy konsul: Kliukin, a obok niego Łarisa. Było to przekroczenie zasad, z którym trzeba się było pogodzić. Mówił, że kobieta jest jego sekretarką i to urządzało wszystkich.

Dalej oślizgły, wiercący się wciąż, aczkolwiek zachowujący przy tym pewne dostojęstwo, minister obrony Gracki. Zerkając w lusterko, wygładzał rzadki wąsik. Jedną z zalet życia na tym świecie polegała na tym, że człowiek nie obrastał tu niepotrzebnie: nie rosły mu włosy ani paznokcie, nie wspominając o wąsach. Te zaś, które miałeś w chwili przejścia, powoli rzedną i zanikają. Ławrientija to nie przerażało, gdyż dawno Wyłysiał. Gracki pielęgnował wciąż resztki swoich wąsów, lecz nie było ucieczki. Wszystko, co nie rośnie, umiera.

W centrum siedział młodo wyglądający ciemnowłosy osobnik, ruchliwy akademik Czajanow, ekonomista w poprzednim wcieleniu. Beria sprawdził ten fakt. Rzeczywiście padłby ofiarą represji w 1930, zresztą wtedy represje dotknęły wszystkich, których uznano za opozycjonistów. Ławrientij naturalnie nie odpowiadał za jego kłopoty, lecz bez względu na to wyraźnie iskrzyło między nimi. W tym człowieku zachowało się wyjątkowo dużo wigoru życiowego. Beria nie zdziwiłby się, zastawszy Czajanowa przy obiedzie albo z kobietą w łóżku. Ponieważ była w tym pewna nieprawidłowość, podejrzewał tamtego, iż ukrywa jakiś medyczny albo nawet magiczny sekret — w końcu nikt przekonująco nie dowiódł, że czary nie istnieją. Czajanow także nie lubił Berii, chociaż nie zdążył poznać go w prawdziwym świecie. Nie ukrywał jednak, że zginął z ręki czekistów, a w związku z tym uważał, że dobry czekista to martwy czekista.

Dalej zasiadał Pobiedonoscew: stary kruk, prawdziwy Kościej Nieśmiertelny. Można by o nim napisać baśń. Nie zwracając jednak uwagi na jego wiek i złe humory, przejawiające się w każdym jego ruchu, trzeba było przyznać, że jest mądrym i stanowczym człowiekiem, dzięki czemu został zaliczony przez Berię w poczet sojuszników. Był mu bliski poprzez fakt, że obaj nikomu nie wierzyli i uważali, że człowiek jest z natury leniwy oraz kieruje się niskimi pobudkami.

A otóż i ostatni z konsulów: jego świątobliwość, czy jak tam tytułują metropolitów, Nikifor. Uroczy staruszek z brodą jak Dziadek Mróz*. To jednak fałszywe wrażenie. Gdyby tylko dać mu władzę, pochwyci ją kościstymi dłońmi i spali na stosach wszystkich niedowiarków. To właśnie on stoi na straży czystości martwych ciał mieszkańców i pragnie zlikwidować wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym, a najchętniej, gdyby to było możliwe, całkowicie zniszczyć świat zewnętrzny, z którego przenikają wciąż niebezpieczni wolnomyśliciele i heretycy.

Konsulowie przywykli do tego, że Beria odpowiadał za bezpieczeństwo ich zebrań. Ktoś powinien wziąć na siebie ten niemiły obowiązek, a on miał w tym duże doświadczenie. Z małymi wyjątkami, nikt tutaj nie znał go w przeszłym życiu, kiedy spełniał ważną i złowieszczą funkcję, za co w końcu został skazany na śmierć. Gracki był pewien, że Ławrientij aresztował i torturował jego ojca, lecz kiedy Łarisa zapytają wprost Berię o tę sprawę, kategorycznie zaprzeczył. Przyznawał, że był prawą ręką Stalina, twierdził jednak, że kierował badaniami atomowymi i nigdy nikogo nie aresztował ani nie torturował. Nie sposób było tego sprawdzić, skoro nie zachowały się dokumenty i nie było świadków.

Ławrientij Pawłowicz ze smutkiem myślał, jak dziwnie układało mu się w życiu. Tutaj wszystko to nie miało znaczenia. Zdawałoby się, że wraz z zanikiem instynktu walki, pociągu do kobiet i innych namiętności, powinien pożegnać się z mroczną stroną swej egzystencji, lecz nawet za progiem życia zachował dość sił, by nadal pożądać władzy. Taki ma pan genotyp, tłumaczył mu stary doktor, bez względu na to, jak by pan usiłował go poskromić. Codziennie przychodził do tegoż lekarza na pełne badanie. Dbał o swoje zdrowie, chociaż już przestał żyć.

— Wieje — oznajmił Nikifor — wyraźnie wieje.

Wszyscy spojrzeli na morze, na zmarszczki na powierzchni i zrozumieli, że metropolita ma rację,

lecz owe delikatne wodne smugi naruszały w tak nieznacznym stopniu tutejszy porządek rzeczy, iż lepiej byłoby je zignorować. Co prawda, Ławrientij Pawłowicz wciąż twardo powtarzał: nie ma drobnostek. Nie należy lekceważyć żadnych zagrożeń tylko dlatego, że coś wydaje się nam mało znaczące lub na tyle nieprzyjemne, że nie chce się zwracać nań uwagi. Oczy słuchaczy odwracały się od okien z widokiem na morze, natrafiały na spojrzenie zza szkieł spod szerokiego ronda kapelusza i zwracały się ku podłodze.

— Zaczynamy? — zapytał konsul Czajanow.

Był niebezpieczny i należało go bacznie obserwować. W każdej chwili mógł zdradzić, gdyż tacy jak on zawsze zdradzają, ponieważ zbyt wiele rozmyślają i analizują.

Co począć. Zazwyczaj, w normalnym życiu ludzie przechodzą naturalny lub, jak kto woli, sztuczny dobór. Tak tworzy się społeczna piramida. Ci którzy znajdują się na szczycie, mają prawo albo raczej nieszczęście zapisać się w historii. Ich imiona zapisane zostaną na ścianie tej piramidy zgłoskami zależnymi od dokonań i reputacji. We wnętrzu natomiast kryją się niewidzialne siły, ludzie zdolni władać światem nie gorzej od słynnych przywódców. Jeśli usunąć wierzchołek piramidy, wypełzną na zewnątrz jak dżdżownice na deszcz, ujawniające się także wtedy, gdy przerwiesz łopatą grudę wilgotnej ziemi. Taki chociażby Kliukin — kto go znał w tamtym, prawdziwym świecie? Podobnie Czajanow. Beria nigdy nie słyszał wcześniej o kimś takim. Akademik? Doktor? Uczony? Wielu widział uczonych i wiedział, że potrafią zmoczyć gacie jak zwykły chłop. A ten tutaj wypłynął na wierzch.

Powinien być jednak Wódz, którego teraz brakuje. Prawdziwy Wódz przestał istnieć, rozplynał się w powietrzu, zniknął. Dla prawdziwego racjonalisty sama myśl, że na tym świecie można zużyć się i stać niczym wydaje się absurdalna, filozoficznie niemożliwa do ogarnięcia. A jednak tak tu bywa. Ciało, nawet gdy zdoła uchronić się przed niszczącym wpływem czasu, wydostać się z tego nurtu, nie przestaje tracić zamierających komórek...

Jeszcze pół roku temu mieli Głównego Przywódcę. Nazywali go Iwan. Żył pod koniec XVIII wieku i został skazany na powieszenie za rozboje. Kaźń miała się odbyć rankiem Nowego Roku, a w poprzedzającą go noc skazaniec zniknął z celi. Tak bał się śmierci i tak pragnął dalej żyć, że o północy przeniósł się tutaj, gdzie czas nie istnieje i nie ma prawdziwego życia. Jako że był prawdziwym zbrojcem, nie potrafił się całkiem zmienić, lecz w ciągu dwustu lat przeobraził się w Najwyższego Prawodawcę, okrutnego, zimnego i mądrego truposza w świecie żywych trupów.

Skoro raz się umarło, trudno umrzeć ponownie, zwłaszcza w świecie bez czasu. Człowieka można jednak spalić na stosie, porąbać na kawałki — przemocą przerwać czyjeś życie, chociaż oczywiście jest to tutaj trudniejsze niż w świecie żywych.

Rządzący światem od stu lat Iwan po prostu przestał istnieć i była w tym odejściu prawdziwa mądrość. Pozostawił po sobie sześciu konsułów, pięciu starszych i Berię jako szóstego, zajmującego opróżnione miejsce. Obecnie trzeba więc będzie wybrać najbardziej godnego z owej szóstki i powinien być to wybór bezbłędny. Zebrali się więc dzisiaj, by wybrać Głównego Przywódcę i poruszyć niektóre bieżące problemy, dotyczące mieszkańców krainy, skoro tyle się ich nawarstwiło, że nie można ich było dłużej lekceważyć.

Ławrientij usiadł na swoim miejscu. Siadając stwierdził, że fotel wymaga renowacji. Jeśli go wybiorą, obieca naprawę tapicerki wszystkich sześciu foteli. Trzeba będzie dokonać zdecydowanych posunięć i odnowić styl rządzenia. Pozostali nie mają żadnego programu. A wciąż narastają zagrożenia. Takie jest życie, nawet kiedy brakuje życia.

— Zebraliśmy się — podjął Czajanow — żeby omówić niektóre niedawne zdarzenia, a także wybrać Głównego Przywódcę na nową kadencję.

Tutaj nie było żadnych kadencji. Skoro ktoś zajął już owo miejsce, nie tracił go aż do kompletnego zużycia i rozpląnięcia się. Mogą władcę zamordować lub zaszczuć. Nie zdarzyło się jednak jeszcze, by Główny sam odszedł ze stanowiska.

— Zaczniemy od wyborów? — zapytał. — Czy też od innych kwestii?

Głosujący podzielili się. Ci, którzy mieli nadzieję zająć miejsce Przywódcy, chcieli zacząć od wyborów, ci zaś, którzy nie mieli szans pragnęli rozpatrywać inne problemy. Ławrientij także się z tym nie spieszył. Lepiej, żeby osoby widzące w wyborach zagrożenie dla własnej pozycji, uspokoiły się i straciły czujność.

— Więc porozmawiajmy o życiu — zdecydował Czajanow. — O naszym życiu. Ja zacznę, jeśli pozwolicie.

Póležał w fotelu, wyciągnawszy na całą długość nogi w obcisłych spodniach i staromodnych pantoflach. Nigdy nie skrywał wyraźnej skłonności do mody z XVIII wieku, a nawet czasami, chociaż nie dzisiaj, nosił perukę.

— Ostatnimi czasy — kontynuował — nasiliły się panikarskie tendencje. Powód mamy przed naszymi oczami: wiatr, którego być tu nie powinno. Do tej pory go nigdy nie było. W każdym świecie obowiązuje związek przyczynowo–skutkowy. Nie ma następstw bez jakiejś przyczyny.

Nie popisuj się tak, zgasił w myślach profesora Ławrientij. I tak cię nie wybiorą. Młody jeszcze, więc nie zna metod rządzenia. Taki Kliukin to poważny przeciwnik, zwłaszcza z sojusznikiem w osobie Łarisy.

Poczuł żal, że jego organizm nie pragnie już kobiecego ciała i pozostały mu jedynie okruchy pięknych wspomnień. Może to jednak wróci?

A gdyby tak spróbować? Powrócić tam, do świata żywych i sprawdzić, czy znowu zagrają w jego duszy zwycięskie trąbki. Triumfalne fanfary...

— w ostatnich dniach zająłem się rachunkami — mówił dalej Czajanow — na prośbę kolegów.

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Pobiedonoscew, historyczna skamielina i zacofaniec, w gruncie rzeczy nie tylko obskurant, ale przede wszystkim formalista. W zasadzie nikt go nie traktował poważnie, ale także nikt się nie sprzeciwiał, jako najstarszemu z konsulów. Ławrientij nieraz słyszał, że w świecie cieni ludzie egzystują przez wieki, ale doświadczenie podpowiadało mu, że nie ma niczego niezniszczalnego nawet w wieczności. Ciało fizyczne lub, jak kto woli, astralne, również się zużywa. Nie ma niczego wiecznego, ponieważ zawsze w końcu pojawia się coś innego, coś nowego. „Tato, czy to prawda, że wszechświat jest nieskończony?” — „Oczywiście!” — „A jak się kończy, co jest dalej?”

Powiadają, że na wsiach ukrywają się starcy, żyjący trzysta, pięćset lat, mówi się także o faraonie, który miał się pojawić na Newskim Prospekcie, szukając swojej królowej Nefretete, lecz ta opowieść pachnie apokryfem.

— Żądam — oznajmił Pobiedonoscew — a raczej zgodnie z moimi uprawnieniami proszę kolegów o uczczenie pamięci naszych towarzyszy, bestialsko zamordowanych senatorów z Guberni Jarosławskiej.

Wszyscy powstali i pomilczeli, rozmyślając o swoich sprawach.

Beria patrzył na plażę. Tam, gdzie wcześniej stał samotny wartownik, zobaczył teraz dwie postaci, mężczyznę i kobietę. Para szła powoli wzdłuż brzegu, zatrzymując się chwilami i

spoglądając w dal. Gdzie się podział strażnik?

Historia, która zdarzyła się w Jarosławie, to zły znak. Jeśli Czajanow nie odniesie się do niej, trzeba będzie się wtrącić do rozmowy.

— Zrządzeniem złego losu — podjął znowu Czajanow — znaleźliśmy się w zaświatach. Nie ma sensu teraz rozprawiać o sprawiedliwej lub okrutnej karze, jaka na nas spadła. Człowiek jest już tak skonstruowany, że przystosowuje się do warunków, nawet jeśli są one niedogodne.

Do rzeczy, poganiał w myśli mówcę Beria. Można by pomyśleć, że mamy przed sobą całą wieczność, jak zwykł mawiać mój zmarły przyjaciel, pisarz Maksym Gorki.

— Bez względu na dobre czy złe warunki naszej tutejszej egzystencji, kiedy tylko pojawiła się anomalia, natychmiast się ożywiliśmy. Tacy już jesteśmy: szemraliśmy, przerażeni faktem, iż do końca swego nieśmiertelnego żywota będziemy zmuszeni przebywać w świecie bez czasu, bez ruchu, nawet bez obłoków na niebie.

— Daj spokój z wykładem, profesorze — wtrąciła Łarisa.

— Każdy z nas przerwał swoją egzystencję w świecie na powierzchni, kiedy wybiła północ. To oznacza, że nikt z nas nie chciał tam dłużej być. Już to wyjaśniliśmy.

— Istotnie, jestem profesorem — odparł Czajanow z uśmiechem — dlatego czasami chciałbym rozwikłać zagadkę tego, co się z nami stało. Dlaczego niektóre osoby w niebezpiecznym dla siebie momencie lęku przed nadchodzącą przyszłością w noc noworoczną — samo w sobie zastanawiające, że dzieje się to właśnie owej nocy — a wszak jest to umowna jednostka czasowa, zależna od mnóstwa czynników — dlaczego więc w tych osobach zbudziła się wewnętrzna chęć oderwania się od normalnego życia i następstwa czasów, ucieczki na inny plan egzystencji, gdzie brak czasu jest swoistym wariantem alternatywnej śmierci. Czy mówię zrozumiale?

— Mówisz o tym nie w porę — odpowiedział za wszystkich Beria.

Nie potrafił się wyzbyć przy tym gruzińskiego akcentu. Gruzini, nawet długo przebywając między Rosjanami, zachowują swój akcent, on zaś przybył do Moskwy już jako dorosły człowiek, z długim stażem partyjnym.

— Lepiej przypomnieć jeden raz za dużo, niż zapomnieć — odparował Czajanow. — Dobrze o tym wiecie, Ławrientiju Pawłowiczu.

Beria wysłedził niedawno, że Czajanow posiada książkę, jedną z tych niepoważnych publikacji z lat 90., oczerniających najważniejszych partyjnych przywódców. Jak się należało spodziewać, w owych książeczkach Ławrientij był przedstawiany jako symbol wszelakiej podłości, a jego zasługi dla ojczyzny całkiem przemilczano. Strach pomyśleć, co będą o nim opowiadać ludzie w przyszłości!

Odwrócił się ponownie w stronę okna. Strażnik siedział na piasku, wsparty plecami o pień uschłej sosny. Wietrzyk nadal wiał, marszcząc powierzchnię wody w zatoce.

— Wiemy — ciągnął dalej profesor — że nie ma dla nas powrotu do świata żywych. Nie ma stąd wyjścia. Trzeba tak mówić wszystkim tutaj przychodzącym, aby porzucili złudną nadzieję. Udało nam się ją poskromić. Żyliśmy w tym słabo zaludnionym świecie, jednocząc się w małe grupy, które nie mogły stać się liczniejsze choćby z tego powodu, że przybywa tutaj tak niewielu ludzi.

— I brak motywacji do tego — wtrącił Gracki. — Po co się stowarzyszać? Co to nam da? Sławę, może bogactwa?

— Chciałam założyć gazetę — powiedziała Łarisa. — Jak wiecie, odzew był zerowy.

Nikt nawet na nią nie spojrział.

— Ponieważ jednak cechą typowo ludzką jest zbieranie się w rozmaitych społecznych grupach, w

naszym świecie także pojawiały się różne rodzaje rządów. Jeśli zajrzeć w przeszłość świata bez przeszłości...

Gracki zaklaskał w dłonie.

— Brawo, brawo! Piękny aforyzm!

— Stopniowo wyłonił się system rządów — kontynuował Czajanow — początkowo tajny, później ogólnie przyjęty. Władza konsulów. Jakkolwiek by nas nazywano i jakkolwiek byśmy sami siebie nazwali! Senatorami, strażnikami wieczności, czy też działaczami podziemia... Nawet taki świat, jak nasz, potrzebuje stabilnego i sprawiedliwego systemu, inaczej jego mieszkańcy staną się niesfornymi zwierzętami.

Ławrientij zaczął się nudzić. Miał dosyć popisów cudzej elokwencji.

— Ochranialiśmy nasz świat przed zewnętrznymi wpływami — mówił dalej Czajanow — i nie są to puste słowa, gdyż odzwierciedlają rzeczywiste niebezpieczeństwo. Okazuje się, że granica między nami a światem, w którym żyliśmy dawniej, bywa przepuszczalna, istnieją bowiem punkty łączności między światami, umożliwiające przekroczenie bariery. Kilka lat temu nasi moskiewscy koledzy przekonali się jak niebezpieczne są takie kontakty i zrozumieli, że tą drogą przyjdzie do nas zagłada! Postarali się ukrócić owe kontakty, lecz byli na to zbyt słabi... a jeśli ktoś jest słaby, drugi to wykorzysta, a trzeci okaże się sprzedajny. Nawet w naszym środowisku brak porządku i nie ma na kim polegać.

— Pan Czajanow ma, niestety, absolutną rację. Zło nie tylko podniosło głowę, ale także przeniknęło w nasze szeregi — stwierdził Pobiedonoscew.

Nikifor mruknął coś pod nosem.

Ławrientij pomyślał, że wszystko dzieje się jak w powieści, której autor daje bohaterom zaprezentować się po kolei, żeby czytelnik zrozumiał, kto jest dobry a kto zły. Łarisa zaraz wtrąci swoje trzy grosze, po niej odezwie się Gracki i cała dyskusja utonie w morzu pustosłowia.

— Mów dalej, Czajanow — rzekł Beria, traktując profesora obcesowo po nazwisku, według starego partyjnego zwyczaju.

— Nie ma potrzeby — stwierdziła Łarisa — mówić o tym, co i tak wszyscy wiedzą.

— Będę kontynuował — oświadczył Czajanow — bo to ważny temat naszego spotkania.

Beria spojrział w okno. Strażnik wciąż pozostawał w tej samej pozie, dziewczyna stała przy samej linii wody. Nagle uniosła dłoń, aby rzucić kamyk. Cisnęła go i około dziesięciu metrów od brzegu rozbryznęły się fontanny wody.

— Ostatni sygnał — mówił dalej Czajanow — z Jarosławia wskazuje, jak bardzo niepewne i niebezpieczne jest nasze położenie. Jak to zwykle bywa, zorientowaliśmy się w tym dopiero teraz. Oczywiście należało zacząć działać już po wydarzeniach na Dworcu Kijowskim w Moskwie.

— Za moich czasów coś takiego było nie do pomyślenia — powiedział Pobiedonoscew.

— Za naszych czasów, kolego — odparł Czajanow — w ogóle nic się nie działo. Tym niemniej doświadczyliśmy upadku imperium.

— Gdybym tylko żył... — zaczął Pobiedonoscew, a Kliukin go przedrzeźniał:

— Gdybym tylko żył...

— To właśnie wy doprowadziliście nasz kraj, nasze imperium, do upadku — orzekł Pobiedonoscew, unosząc pożąłkły, kościsty palec ku sufitowi.

Jak w nim mocno siedzi jego dusza, pomyślał Ławrientij Pawłowicz i omal się nie uśmiechnął, na co pozwalał sobie raczej rzadko. Kwestia umiejscowienia duszy w ciele wciąż pozostawała

otwarta.

— Niech pan nam lepiej poda wyniki rozliczeń — powiedziała Łarisa. — I co nam grozi.

Słuszne pytanie. Do rzeczy. „Gdybym spotkał ją jakieś pięćdziesiąt albo sto lat temu, na pewno bym ją miał”. Prawdziwa kobieta, szlachcianka według dokumentów. Ławrientij uwielbiał szlachcianki.

Znowu spojrzął na dziewczynę idącą wzdłuż brzegu. Podeszła w pobliże restauracji. Tego już za wiele. Osobom nieupoważnionym zabroniony był wstęp do „Nadmorskiej”. Zapewne zaraz ją zauważą cykliści lub któryś ze strażników. Trzeba ją przesłuchać, co robiła na pustej plaży bez towarzystwa? Trzeba także będzie przesłuchać dowódcę okręgu.

Zajęty swoimi myślami Ławrientij puścił mimo uszu początek kolejnej wypowiedzi Czajanowa, ale mógł się domyślać jej treści, skoro słyszał go nie po raz pierwszy.

— Niech pan przestanie!

Słowa te odnosiły się do Pobiedonoscewa, który nie był w stanie wszystkiego uchwycić w lot, gdyż starość mąciła mu umysł. Uważał siebie za mądrzejszego niż był w istocie, jak ci kaukascy starcy, którzy dawno już stumanieli i dlatego stanowią wyrocznie dla religijnych ekstremistów, gotowych odnajdować w bełkocie ich wyschłych warg inspirację dla swych obłąkanych idei.

Wszyscy syknęli na staruszkę, który zamilkł niechętnie.

— Na pewno każdy z nas marzył lub, przeciwnie, obawiał się powrotu: zmartwychwstać, wydostać się z tego piekła, zobaczyć swoich bliskich... Mijały lata i owe pragnienia utrzymywały nas w ryzach. Nie tylko dlatego, że nasi bliscy i wszyscy ludzie, którzy mogliby o nas pamiętać, dawno rozstali się z życiem, ale również dlatego, że nie moglibyśmy tam egzystować. Zmieniła się nasza krew, tkanki uległy przemianie... Trudno w to uwierzyć, ale jesteśmy w zasadzie martwi. Gdybym powrócił do mego świata, w ciągu paru godzin, a może nawet minut przestałbym istnieć. Otwórzcie grób, do którego nie dochodziło powietrze, a ujrzycie nieboszczyka nie zniszczonego, jakby dopiero co zasnął, lecz po chwili dopływ tlenu dokona strasznego dzieła. Zwłoki zamienią się w poczerniałą kupę zgnilizny...

— Panie profesorze, błagam! — krzyknął Kliukin. — Wystarczy mi już powtarzania, że moje ciało jest kruche i niszczone, niech pan nie przypomina, że jest ohydne!

— Właściwie jesteśmy bezcieleśni, mój drogi — zauważyła Łarisa — i jest nam z tym dobrze.

— Tylko bez bluźnierstw! — szepnął Nikifor. Ławrientij spoglądał na brzeg. Dziewczyna znikła, chociaż nie odeszła w głąb lądu. Na pewno by to zauważył. Powinno się zejść na dół, żeby sprawdzić, czy jacyś agenci nie próbują przedostać się do restauracji. Jacyś agenci! Jak to głupio tu brzmi.

— Najważniejsze — znowu usłyszał monotony głos Czajanowa — że nie mamy możliwości powrotu. Przebywamy w zalutowanej trumnie. Dlatego też byle wietrzyk jest dla nas niebezpieczny.

Wszyscy spojrzeli na morze. Wiedzieli, że wietrzyk nadal wieje, niosąc wraz z sobą niebezpieczeństwo zakłócenia równowagi.

— Nasz świat to jednokierunkowa ulica. To swoista cela śmierci. Możesz się znaleźć w tym piekle, ale nigdy nie zdołasz się z niego wydobyć. I jeśli ktoś zdoła otworzyć przejście między dwoma światami, wchodzący tu pozostaną żywi, lecz dotychczasowi mieszkańcy umrą.

Czajanow zrobił pauzę.

— Oto, co nam grozi — zakończył.

Wszyscy milczeli, dlatego też Pobiedonoscew wtrącił swoje ulubione powiedzonko:

— Za moich czasów coś takiego było nie do pomyślenia.

— Ach, co tam pan wie! — zawołała Łarisa. — Być może ten świat jest jak wodna bańka i już parę razy pojawiał się i znikał. Wszystko jest możliwe.

— Nie wiemy — stwierdził Czajanow — kiedy pojawiła się granica między naszym a normalnym światem. Jak wyglądała tysiące lat temu i jak się przez ten czas zmieniła.

— Więc po co tracić na to czas — burknął Pobiedonoscew.

Czajanow nie słuchał.

— Możemy jednak prześledzić, jak wyglądała w ciągu ostatnich stu, dwustu, może nawet trzystu lat.

— Raczej nie trzystu. Nie ma pośród nas żyjących tak długo.

— Są — sprzeciwił się profesor — i ja ich odnalazłem. I wykryłem różnice między czasami dawnymi a obecnymi.

Ławrientij był niezadowolony. Okazało się, że ten gnojek Czajanow wykopał skądś jakichś staruchów, on zaś o tym nie wiedział. Podejrzewał, że w spisku uczestniczyli mieszkańcy Leningradu i mieszkańcy prowincji.

— Gdzie są ci ludzie? — zapytała Łarisa. — Jestem ich ciekawa.

— W klasztorze — wyjaśnił Czajanow. — Znalazłem leśny klasztor i umieściłem tam staruszków.

— I nikt mi o tym nie doniósł? — rozżłościł się Nikifor.

— Tego się po tobie nie spodziewałem, kochasiu.

„Oczywiście słyszałem o sektach, o ludziach, którzy kryją się całe dziesięciolecia w jaskiniach lub w lasach, uważając, że muszą odpokutować za swoje lub cudze grzechy. Nigdy ich jednak nie spotkałem i specjalnie się takimi nie zajmowałem” — pomyślał z irytacją Beria.

— To nie moja sprawa łowić dla ciebie wiernych — odparł Czajanow. — To nie jest najważniejsze. Ważne natomiast jest to, że od wieków aż do naszych czasów nie zdarzyły się kontakty z drugim światem ani powroty. Oczywiście tutaj można było się przenieść. Lecz powrót jest niemożliwy. Nie było żadnych dziur w zasłonie oddzielającej nas od przeszłości. Tutejszy świat pochłania cię niczym chciwy złodziej i nie ujrzysz drogi powrotnej, w ostatnich latach to się jednak zmieniło i nadal niepokojąco się zmienia.

— Ma rację — stwierdził Kliukin.

— Przyjmę teraz inną metodę wykładania. Najpierw wytłumaczę wam, jaka jest przyczyna tej zmiany. Później podam przykłady i dowody.

Nikt się nie sprzeciwił.

— Zwiększyło się katastrofalnie zaludnienie na Ziemi. Już na początku stulecia zaczęto mówić o przeludnieniu. Na początku dwudziestego wieku liczba ludności wynosiła miliard. Pod koniec, bez względu na dwie wojny światowe, ludobójstwo, represje i głód, na Ziemi pojawiło się pięć miliardów. Pięć razy więcej. I cóż to oznacza?

Czajanow ogarnął wzrokiem wszystkich zasiadających w radzie, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej:

— A to oznacza, że w konsekwencji przenika do nas pięć razy więcej ludzi. To oczywiste, że zachodzi korelacja między liczbą mieszkańców na Ziemi a tutejszym osadnictwem. Powiem więcej: według moich obserwacji liczba osób przenikających do naszego świata zwiększyła się nie pięciokrotnie, lecz nawet dziesięciokrotnie, ponieważ tam wciąż wzrasta niepewność jutra i lęk

przed końcem świata... Dziesięć razy więcej w ciągu stu lat!

Czajanow zamilkł na chwilę, dając kolegom chwilę na ogarnięcie rozumem jego wywodów. Pierwszy oprzytomniał Gracki.

— Moje dane tego nie potwierdzają — oznajmił. — Prowadzę pobór do wojska i nie zauważyłem znaczącego zwiększenia się liczby rekrutów.

— A kto chciałby pójść do twojej armii? — zapytała Łarisa. — Podejrzewam, że nikt o niej nie słyszał już za granicą Newskiego Prospektu.

— A nasza parada w rocznicę Rewolucji? — odparował Gracki. — Orkiestra dęta? Proszę nie pleść głupot. Armia to największa świętość.

— Ludzie pojawiają się nie tylko w Moskwie i Pitrze — zauważył Czajanow. — Zjawiają się w odległych wsiach i za Uralem. Istotne jest to, że zachodzi tak zwany wyż demograficzny, który powoduje zmiany również w naszym świecie. Pozwolicie, że podam przykłady?

— Podawaj — powiedział Beria.

Nie podobało mu się, jak gładko jego rywal poprowadził posiedzenie Biura Politycznego. Od dawna tak nazywał Radę, oczywiście tylko w myślach.

— Ograniczę się tylko do kilku, a wy sami zdecydujecie, czy świadczą o niebezpieczeństwie. Pierwszy przykład: parę lat temu, za pamięci wszystkich tu obecnych, na Dworcu Kijowskim w Moskwie istniało tak zwane Imperium.

Obecni kiwnęli głowami, gdyż wszyscy o tym słyszeli.

— Jeden z drobnych tworów, jakich tutaj dziesiątki — stwierdził Czajanow.

Wszyscy znowu zgodnie skinęli.

— Mieli tam imperatora.

— Ach, nie rozśmieszajcie mnie — powiedziała Łarisa, machnąwszy ręką.

— Ludzie układają sobie życie według form, do jakich przywykli. Zamiast żyć, jak każdemu dane, w pojedynkę, lgną do siebie niczym krople tłuszczu. Wolą mieć imperatora, srogiego tyrana albo chociaż dobrego pana. Najważniejsze, żeby ich ktoś trzymał na smyczy.

Skrzywił twarz w zabawnym grymasie: zwiesił dolną wargę i przymknął oczy, co miało przedstawiać tępego, pokornego sługę.

— Zabawna jest ta pańska miłość do ludu — stwierdził Gracki. — Pogardza pan nim w głębi duszy.

— A po co zaglądać w głąb mojej duszy? Wystarczy to, co na zewnątrz.

— Czekamy — upomniał go surowo Ławrientij Pawłowicz. — Zebraliśmy się tutaj w ważnej sprawie.

— Beria, jak zwykle, ma rację. Nie bez powodu okazał się znakomitym liderem — zauważyła Łarisa.

— Dziękuj losowi, że nie dożyłaś moich czasów — odparł Beria. — Gwarantowałoby to ci nieziemską rozkosz i męczeńską śmierć.

— Chciałbym kontynuować — rzekł Czajanow. — Czy dalej będziemy żartować, panowie?

Wiedział, że Ławrientij nie lubi słowa „pan”, dlatego też używał go specjalnie. Zjawił się tutaj w roku trzydziestym, podobnie jak Gurewicz, wyrwawszy się z piekła przesłuchań i egzekucji, jakie stworzył dla nich Beria. Tutaj trudno kogoś zabić, ludzie wydają się niepokonani. Gdyby było inaczej, na pewno zgotowałyby śmierć swemu niedoszłemu oprawcy, ponieważ z natury był mściwy. Ostatecznie zdołał zabić tutaj powtórnie Rasputina. Była to całkiem osobna sprawa, o której

nieprzyjemnie było wspominać.

— Więc tenże idiota...

— Paweł Pierwszy — odpowiedział Kliukin. — Wybierałem się go odwiedzić z czystej ciekawości.

— Przywrócił u siebie *auto da fé* — oznajmił Czajanow — i czasem palił nieposłusznych na stosie.

— A także niewierne kochanki — dodała Łarisa.

— Właśnie największy problem wyniknął w związku z kochankami — podjął profesor. — Jakimś sposobem ów imperator nawiązał kontakt z prawdziwym światem.

— Zbadaliśmy to — wtrącił Beria — i przepytaliśmy ludzi. Miał na swoim dworze upośledzonego, medium, który wyczuwał, gdzie i w którym momencie pojawi się portal. Potem tego kalekę zabili.

— To stało się później — odparł Czajanow. — Najdziwniejsze jednak, że imperator zdołał sobie zapewnić regularny kontakt z drugim światem. Sprowadzał stamtąd banany i dziewczęta, w każdym razie tak nam opowiadano. Ściągnął też niezmiernie bogatego, lecz nieuleczalnie chorego śpiewaka, żeby zaczekał tutaj, aż wynajdą lekarstwo na jego chorobę.

— Pewien jestem, że to jakaś bzdura — stwierdził Gracki.

— Jak można się tutaj czegokolwiek doczekać, skoro nie można stąd odejść?

— Niektórzy nie chcieli w to uwierzyć — wyjaśnił Beria.

— Wszystko to zakończyło się rozruchami i buntem, wojną, która zmiotła imperatora. Wysłani tam nasi ludzie już nie wrócili.

— A gdzie była ta dziura? — zapytała Łarisa. — Czyli przejście? Przecież musieli regularnie się nim posługiwać.

— Słuszne pytanie — orzekł Czajanow. — Nie ma jednak na nie odpowiedzi. Imperator zginął, przepadli też nasi szpiedzy, jakkolwiek najwidoczniej nie zginęli agenci przenikający z drugiego świata do Imperium Dworca Kijowskiego.

— W takim razie gdzie są? — zapytał Beria.

Właściwie nie było to pytanie, lecz ciąg dalszy sporu, jaki ze sobą wiedli. Czajanow był przekonany, że dwójka młodych ludzi, znanych mu rzekomo z imienia: Igor i Ludmiła, przybyli z normalnego świata nie za pomocą noworocznego życzenia, lecz poprzez portal. Była to istotna różnica.

— Żywcem do nieba idą jedynie sprawiedliwi — zauważył Nikifor.

— Najwyraźniej żywi zjawili się w naszym czyścicu — stwierdził Czajanow.

— I pomarli wraz z nami — zasugerowała Łarisa — stając się cieniami.

— Tak wygląda historia pierwszego ewidentnego kontaktu, o jakim nam wiadomo — ciągnął dalej Czajanow. — Zwróćcie uwagę, że nadal nie wiemy, jak wielu ludzi przekraczało granicę między światami i ilu z nich tutaj pozostało.

— I jak wiele paskudztwa i brudu przyszło wraz z nimi z pełnej grzechu krainy — dodał Nikifor. — Boże, wybacz mnie, grzesznemu.

— Paskudztwo i brud — zgodził się z nim Pobiedonoszew.

Beria obserwował, jak niewielkie fale zalewają piasek. Żyli już tutaj wystarczająco długo, aby zrozumieć, że nie ma stąd wyjścia, dlatego zdecydowali się wziąć na siebie brzemień rządzenia ową pustynną krainą, która właśnie chyliła się ku zagładzie.

— Ginie w oczach — powiedział na głos.

— Co ty pleciesz? — zapytał Kliukin.

— Wiatr — odparł Beria — którego tutaj być nie powinno.

— Dlaczego?

— Dlatego, że może rozegnać chmury i odsłonić pułap, pojmujecie, towarzyszu Kliukin?

— Niedawno przydarzył się nowy wypadek, znacznie bardziej niepokojący — powiedział

Czajanow — ponieważ dotyczył naszych kolegów, senatorów z Jarosławia.

Chociaż owa straszna historia wszystkim była dobrze znana, zamarli, oczekując na opowieść, niczym dzieci, znające na Pamięć okrutną baśń, gotowe jednak bać się śmiertelnie, wysłuchując jej po raz kolejny.

— Grupa senatorów w Jarosławiu...

— Wszyscy senatorowie z Jarosławia — poprawił go Nikifor.

Władyka był już od kilku miesięcy głęboko poruszony omawianymi wydarzeniami.

— Wszyscy senatorowie skusili się albo ktoś ich skusił, by nawiązać kontakt z prawdziwym światem w celu osiągnięcia wymiernych korzyści.

— Tym gorzej dla świętokradców! — wrzasnął Pobiedonoscew.

Nikt nie spodziewał się po nim takiego wybuchu. Nastąpiła długa chwila milczenia, w końcu Beria odchrząknął.

— Pozwólcie, że nie będziemy dzisiaj osądzać senatorów. Mamy znacznie ważniejsze problemy — zasugerował Czajanow.

— Ma rację — poparł go Kliukin.

— Tak więc... — zaczął Czajanow, unosząc dłoń, jakby uciszał uczniów podczas lekcji.

Był stosunkowo młodym profesorem, nie zdążył nawet zapuścić brody, zanim go załatwili, a raczej próbowali załatwić.

— Senatorowie wymyślili coś przechodzącego ludzki rozum. Zmęczeni nudą i wszechwładzą, znaleźli przejście do drugiego świata i umożliwili swobodne przechodzenie tam i z powrotem rozmaitym przekupnym łajdakom. Ci ostatni dostarczali im żołnierzy, wojowników, gladiatorów, nazwijcie ich, jak chcecie, którym wmawiano, że są na prawdziwej wojnie. Walczyli ze sobą na śmierć i życie na krytym stadionie, senatorowie zaś, siedząc na niewidocznej od dołu trybunie, robili zakłady o walczących, stworzyli prawdziwy totalizator... w końcu któryś z żołnierzy nie poddał się zbiorowej psychozie i wszystkich powystrzelał. To wszystko oznacza dla nas... ostatni dzwonek.

— Ostatni dzwonek — powtórzył za nim Beria.

Wyjątkowo zgadzał się z Czajanowem. Jeszcze parę lat, jeszcze kilka portali i diabli wiedzą ile kontaktów, a ten świat przestanie istnieć.

Wiemy o tragicznych wypadkach w Jarosławiu i na Dworcu Kijowskim w Moskwie, o tym wszystkim, co jeszcze pół wieku temu wydawało się niemożliwe. Nadciąga ku nam zaraza, a wraz z nią totalny upadek.

Tego nie powiedział Czajanow, który jakby przekazał postawienie kropki nad „i” komuś starszemu stopniem, czyli władcyce Nikiforowi. Ten wstał z fotela, przez co jednak wcale nie wydawał się wyższy.

— Bóg postanowił nas pokarać za wszystkie grzechy, w jakie popadliśmy już tutaj, w owym czyścicu. Nie będzie dla nas przebaczenia, jeśli nie ujmijemy w dłoń miecza sprawiedliwości!

Zakończywszy przemowę ogarnął wzrokiem audytorium, by przekonać się, że nikt go nie słucha.

Wszyscy nadal patrzyli na Czajanowa.

— Zatem — oznajmił tenże — potok uciekinierów coraz bardziej rozwiera przejście do naszego świata. Podejrzewam jednak, że jego wytrzymałość ma swoje granice. Im więcej mamy tutaj ludzi, tym więcej szans, że między nami pojawi się coraz więcej szaleńców, zbrodniarzy, a także osobników pragnących utrzymać za wszelką cenę więź ze swoją przeszłością. Niewykluczone, że tacy już znaleźli się między nami.

— Już są — oznajmił Beria. — Ich celem jest przebić się przez portal. Jedni pragną grabić bezkarnie, drugim zależy na nieśmiertelności.

— Na iluzji nieśmiertelności — zauważyła Łarisa Reisner.

Beria znowu spojrział na brzeg morza. Dziewczyny nie było widać. Gdzie się podziała? Strażnik nadal siedział oparty plecami o pień sosny. Dlaczego? Trzeba to będzie zaraz sprawdzić.

— Na którą jesteśmy skazani — stwierdził Czajanow. — Trzeba na ten fakt spojrzeć trzeźwo. Słyszałem, że w USA polecano lekarzom mówić prawdę chorym na raka, że są skazani na śmierć i określić, ile zostało im jeszcze życia. Tak jak amerykański lekarz, mogę wam powiedzieć, że istnienie naszego niedoskonałego i niezbyt przyjemnego, ale jedyne możliwego dla nas świata zanika z miesiąca na miesiąc, a może nawet z dnia na dzień. Jeśli niczego nie zrobimy, w najbliższym czasie dziury w murze granicznym zamienią się w wielkie wyrwy. Przeniknie do naszego świata zabójcze powietrze, a z nim ludzie niosący dla nas zagrożenie i, niech Bóg broni, ich ignorancja. Być może sami także zginą w owym potopie, krocząc po naszych ciałach... I co będzie potem?

— Nieważne, co będzie potem — odparł Beria. — To jednak wcale nie oznacza, że się poddamy. Mamy plan.

— Jaki? — zapytała Łarisa.

— Na razie znamy go tylko my dwaj — wyjaśnił. — Czajanow i ja. Kto będzie tym trzecim, zdecydujemy na podstawie jego osiągnięć.

— Moglibyście chociaż napomknąć, o co chodzi — odpowiedziała urażona Łarisa. — Jeśli ukrywacie coś nawet przed nami, to znaczy, że nikomu już nie można ufać.

— Dobrze, napomknij im — rzekł Beria. — Ja muszę tymczasem coś sprawdzić.

Ruszył prędko do wyjścia.

— Naszym celem — oznajmił Czajanow za jego plecami — jedynym dla nas możliwym jest zniszczyć prawdziwy świat.

— Jak to? — ozwał się głos Nikifora.

— Jak Bóg, kiedy zesłał potop — odparł Czajanow. — My jednak nie będziemy szukać pośród nich jedyne sprawiedliwego. Minał czas sprawiedliwych. Jeśli nie zniszczymy ludzi żyjących na powierzchni, oni wedrą się tutaj nieodwracalnie, a wówczas wszyscy zginiemy.

* * *

Beria minął strażników siedzących przy schodach, zszedł na dół i poszedł ku cyklistom, tragarzom i innym służącym. Każdy z konsulów miał własną świtę, jak choćby kareta rozkoszy Kliukina z lokajami odzianymi w czerwone liberie.

Skąd tych dwoje tutaj przyszło? Gdzie się podziali? Po co ktoś miałby spacerować po morskim brzegu?

Schodził powoli po schodach, rozglądając się i próbuje wyobrazić sobie, gdzie urządziłby kryjówkę, gdyby jemu samemu przyszło do głowy śledzić konsulów i podsłuchiwać ich obrady.

Otóż i szerokie wejście do sali bankietowej, całkiem przyjemnej, lecz pozbawionej widoku na morze, jak ta okrągła. Wydaje się przyczepiona do tamtej, niczym gondola sterowca.

Ławrientij Pawłowicz dobrze pamiętał przelot sterowca „Kraj Rad” nad głównym pasmem gór Kaukazu. Kiedy to było? w tysiąc dziewięćset trzydziestym? Odlot z lotniska wojskowego pod Tbilisi, wielka uroczystość i jeszcze większa biesiada. Kapitan sterowca... jakże się on nazywał? Pankratiew? Udało się go później odnaleźć i zabić gdzieś w Argentynie. Zajmował się tym Sudopłatow. Parasol? Z ukrytą w nim zatrutą igłą? Jak brzmiało nazwisko głównego twórcy takich zabawek? Mogilewski? Mogilny? Doktor nauk, na pewno pozostał w instytucie... To przecież nie był doktor Mengele... A Sudopłatowa pochowano z honorami. Sterowiec pięknie wznosił się do góry, płynął majestatycznie, jak wspaniałe objawienie ludzkiego ducha. Ławrientij w odróżnieniu od zwykłych ludzi, potrafił myśleć jednocześnie na dwóch płaszczyznach. Nie przyzwyczajeni do tego ludzie wpadali w zastawione przez niego sidła. Za fasadą obojętności wobec otaczającego świata krył się uważny obserwator. Wielu tutaj traciło powoli sens życia i jego ziemskie atrybuty, siłę fizyczną, co prowadziło prosto do zniknięcia — nie do śmierci, a właśnie zniknięcia. Ławrientij uważał jednak, że skoro los rzucił go w tę daleką krainę, oznacza to, że potrzebny jest jej wódz. Nie obejdzie się przy tym bez walki.

W ciągu pięćdziesięciu lat spędzonych w martwym świecie, jeszcze bardziej utwierdził się w swym przekonaniu. Być może nie stał się najważniejszym człowiekiem na tej Ziemi, ale bez wątpienia jednym z najważniejszych, w końcu stanie się największy, kiedy tylko sprzątnie swoich najbliższych towarzyszy.

Pięćdziesiąt lat minęło jak jedna chwila? Niezupełnie. Czasami niektóre dni ciągnęły się w nieskończoność, czasem rozpacz obezwładniała jego naturę działacza i chciało się przerwać ten łańcuch dni samobójstwem.

Dopóki istnieje świat na powierzchni, nie ma mowy o osiągnięciu tutaj pełni władzy. Zawsze będzie wpływać na nasze sprawy, wtrącać się, aby w końcu nas zmiażdżyć i pochłonąć.

Świat na powierzchni powinien zostać zniszczony. Ławrientij Pawłowicz nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

W tej chwili zobaczył, że strażnicy prowadzą do niego dziewczynę, tę samą, która spacerowała brzegiem morza.

* * *

Od dwóch godzin przesłuchiwał ją w Smolnym Instytucie, w dawnym gabinecie Lenina.

— Imię?

— Ludmiła.

— Więcej: imię własne, imię ojca, nazwisko!

— Tutaj to nie ma znaczenia.

— Dla mnie ma.

— Ludmiła Tichonowa.

— Wiesz kim jestem?

— Kiedyś myślałam, że pan od dawna nie żyje, a okazało się zwał pan tutaj. Mieli pana rozstrzelać? Czytałam, że pana rozstrzelali, Ławrientiju Pawłowiczu.

— Więc jednak o mnie pamiętasz. To ciekawe. Wielu jeszcze pamięta?

— Szczególnie znają pana z filmów. Jest tam pan straszniejszy niż w życiu, w kapeluszu i malutkich okularkach.

— Co złego w moim kapeluszu? Wtedy wszyscy je nosili.

— Jakby to powiedzieć: Lenin w kaszkiecie, Stalin w furazerce, a pan w kapeluszu.

— Stawiają mnie na równi z tamtymi?

— W filmie pokazali, że był pan wyjątkowo sadystycznym funkcjonariuszem.

— Nie przyszło ci do głowy, że to przesada?

— Dlaczego? Wciąż jeszcze blisko...

— Jak to, blisko? — zdziwił się Beria.

— Żyje jeszcze dużo ludzi pamiętających tamte czasy — wyjaśniła Lusia — którym zabito krewnych. Kiedy już wszyscy wymrą, a pozostałym będzie wszystko jedno, może pan wtedy wrócić.

— Myślisz, że to będzie możliwe?

— Do prawdziwego życia fizycznie chyba wrócić się nie da. Tak jednak, żeby tam zajrzeć na chwilę i zobaczyć, jak toczy się świat... to chyba będzie możliwe.

— To tylko twoja mrzonka, czy też są ku temu jakieś podstawy?

Lusia zaniepokoiła się. Beria nie rozmawiał z nią przecież zwyczajnie, tylko ją przesłuchiwał. I chociaż dziwnie było znaleźć się na przesłuchaniu w gabinecie znanym z filmów, z którego Lenin dowodził zdobyciem Pałacu Zimowego, Beria był śmiertelnie poważny, a największa dziwność tkwiła w tym, że miał powody, by ją wypytywać, ona zaś miała co przed nim ukrywać.

— Mam nadzieję, że jest taka możliwość — powiedziała w końcu. — Bardzo bym tego chciała.

— Dlaczego?

— Znudziło mnie już wałęsanie się tutaj.

— A wiesz, jak wrócić?

— Nie wiem. A pan wie?

— Są pewne przypuszczenia na ten temat. Myślę, że dobrze ci znane.

— Podzieli się pan nimi?

— Byłaś kiedyś ładniutka.

— Nadal jestem.

— U nas uroda prędko więdnie. Widać to także po tobie. Musisz się pospieszyć z powrotem.

— Jeśli tylko będę mogła.

— Samej ciężko. Potrzebne ci towarzystwo. Z kim byłaś na plaży?

— Był tam jeden mężczyzna — odparła szczerze Lusia. — Podszedł do mnie jeszcze w osadzie. Sympatyczny wujcio. Tutejszy.

— Młody, czy stary?

— Nie ma tu młodych.

— Ty jesteś młoda.

— Jestem wyjątkiem.

— I gdzie się podział ten twój... wujcio?

— Powiedział, że jest zmęczony i wrócił do siebie.

— Dokąd?

— Nie wiem! Niech pan lepiej zapyta swego wartownika, który zdierał buty na plaży. Widział nas i z nami rozmawiał.

— Zapytam — oznajmił Ławrientij Pawłowicz.

Spoglądał na nią ze smutkiem, ponieważ mógł ją rozbierać oczyma i wyobrażać sobie, że mu się odda, lecz w rzeczywistości nie odczuwał prawdziwego pożądania, w więziennej celi nocami przesuwwały się mu pod powiekami lubieżne obrazki, ale obecnie wiedział już, że niczego z tego nie będzie. Czterdzieści, może czterdzieści pięć lat temu próbował i musiał się poddać. To było nie do wytrzymania i właśnie dlatego postanowił zemścić się na świecie z powierzchni, gdzie można rozkoszować się łózkowymi uciechami. Kiedy ktoś lepiej od innych poznał skalę owego szczęścia, jego różne aspekty i zrozumiał to, że nie ma niestety niczego wspanialszego niż złączenie się z kobietą, skoro tego zabraknie, pozostają tylko nienawiść i władza. Tego jednak nikt nie powinien się domyślać.

Zagłębił się w czytanie papierów zalegających biurko. Rozrzucone były po całym zielonym blacie niedbale, jakby rozwiał je przeciąg od okna i teraz wymagały uporządkowania.

— Mogę iść? — zapytała Lusja.

Beria wytrzymał chwilę milczenia, aż do tej tysięcznej części sekundy, kiedy przesłuchiwana już miała powtórzyć pytanie. Podniósł wzrok i przeszył ją uważnym spojrzeniem małych, piwnych oczek.

Ujrzał chudziutką, a może tylko szczupłą, całkiem jeszcze młodą dziewczuszkę, około dwudziestoletnią. Twarz miała pospolitą — takie jak ona kojarzą się z podwórzowym kundlem Jej babcia pewnie była zwykłą chłopką, o wystających kościach policzkowych i zadartym nosie, matka mogła mieć lepszy wygląd: zgrabne nogi, niewielki biust, bladą cerę, będącą skutkiem wiecznego niedojadania albo, być może, pijaństwa. Chłopska krew została nieco rozcieńczona miejskim alkoholem. W siedzącej przed nim dziewczynie wszystko to objawiło się doskonałym pięknem pochodzącym z kiepskiej dzielnicą brudnych podwórek, a może bursy w Mytiszcze. Pod koniec wieku, według informacji, jakie miał Beria, tego rodzaju dziewczyny często się pojawiały, z czego połowa albo nawet dwie trzecie nadawała się na spędzenie z nią upojonej nocy. Pojawiły się takie dlatego, że było na nie wielkie zapotrzebowanie: obok nich wyrosli dwumetrowi młodzieńcy, a także niewysocy, lecz bogaci podstarzali panowie z brzuszkiem, którzy mogli je słono opłacać i zdobywać w nocnych klubach lub jechać z nimi na Wyspy Kanaryjskie. Wiele z nich zostawało modelkami albo zwykłymi prostytutkami, do czego gnała je nędza. Ludmiła też była takim długonogim chudzielcem, białą podwórzową suczką. Wyższa o dwie głowy od Berii. Całe szczęście, że jej nie pragnie, zbyt bowiem odczuwalna byłaby w łóżku różnica w ich gabarytach.

— Opowiedz swój życiorys — zażądał.

Zdał sobie sprawę, że nie widywał jej wcześniej w martwym świecie. Tak więc albo to nowicjuszka, albo mieszkała gdzie indziej. Prawie nie było tutaj młodych dziewcząt. Młodzi nie są w stanie pragnąć czegoś z taką pasją, potrzebne jest do tego życiowe doświadczenie. Nie cenią własnego życia i nie trzymają się go tak kurczowo. Bo jak można trzymać się tego, co nie ma w naszych oczach wartości?

Dziewczyna miała włosy ciemnoblonde, dość pospolitej barwy, twarz o regularnych rysach,

szerokim czole, o kościach policzkowych nieco wystających, lecz dodających uroku, lekko zadartym nosku, ustach nieco zbyt wydatnych, ale tylko trochę. Zdecydowanie nie była w typie Ławrientija Pawłowicza, który lubił piersiaste blondynki, mogły być nawet farbowane. Na pewno nie takie tyki, jak tu obecna. A jednak miała coś w sobie...

— Urodziłam się w roku 1980 — zaczęła. — Znalazłam się tutaj w wieku dwunastu lat.

— Dzieckiem?

To było całkowicie nie do pomyślenia. Dzieci tutaj nie było.

— Żyliśmy w biedzie — odpowiedziała szczerze. — Matka piła i miała wielu facetów. Nie znałam swojego ojca, lecz jednego z jej mężczyzn bardzo polubiłam i miałam nadzieję, że mnie zechce zabrać. Czekałam na niego w noworoczny wieczór...

Uśmiechnęła się, wspominając salę prowadzącą do ruchomych schodów na stacji „Uniwersytet” w Moskwie. Obserwowała ludzi wjeżdżających na górę i czekała, kiedy wynurzy się z tłumu głowa Konstantego, który ucieszy się na widok Lusi: „Co z tobą, mała, przyszłaś tu w nocy, pewnie znowu matka się zabawia?” Co prawda, sam też lubił wypić. Może właśnie z tego powodu nie dojechał w ten Nowy Rok?

— Kłamiesz — stwierdził Ławrientij — i nawet ci nie drgnie powieka.

— Dlaczego? — spytała bez urazy ni strachu.

— Bo skoro miałaś wtedy dwanaście lat, pozostałabyś w tym samym wieku. Nie sądz, że rozmawiasz z głupkiem.

W owej chwili poczuł dawno już zapomniane pragnienie: miał ochotę stłuc ją tak mocno, żeby krzyczała i błagała o litość, a potem ją zniewolić... Czy taki cud był wciąż jeszcze możliwy? Czy dałby radę?

Przelotna pokusa zaraz znikła i powróciła świadomość, że wszystko to należy już do przeszłości.

„Trzeba będzie poczekać — rzekł sobie w myślach — a skoro tylko cokolwiek poczuję, zaraz wprowadzę w czyn”.

— Zgadza się — przyznała. — Byłam tutaj dwa razy.

— Co?!

Beria wpił się palcami w krawędź biurka, żeby się opanować i nie okazać nadmiernego zdumienia.

— Ty... tutaj wróciłaś?

— Dziwne, że pan o tym nie słyszał. Nie ma tu zbyt wielu ludzi, a pan już wtedy był także — odparła. — Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą.

Rzeczywiście, coś o tym słyszał dawno temu. I co z tego? Znowu zawiodła go pamięć, chociaż powinna być niezawodna i wszyscy winni mieć tego świadomość.

— Krótko tutaj byłam. Zaledwie parę dni. Nie zdążyłam się zarazić... Można tutaj być do tygodnia, jak pan zapewne wie.

— Wiem.

— Potem udało mi się uciec. Właściwie to mnie wypuścili. Wymknęłam się Imperatorowi Dworca Kijowskiego w Moskwie. Czyżby nic pan o tym nie wiedział?

— Wiem, wiem — przypomniał sobie Beria. — To właśnie ciebie sprowadził z powrotem po sześciu latach, żeby się z tobą ożenić? Myślał, że może się żenić, idiota!

— To byłam ja — potwierdziła. — Porwali mnie i zaciągnęli tutaj. Pewien człowiek zrobił to, gdyż obiecano mu tutaj przejście. Nie zwyczajnie w Nowy Rok, tylko przez dziurę w przestrzeni...

— To właśnie jest najbardziej przerażające — powiedział z westchnieniem Ławrientij. — Zginiemy, jeśli będzie więcej takich dziur. Zdajesz sobie sprawę, że przesącza się przez nie śmiertelna dla nas substancja?

— Nie, nie wiedziałam.

— Udowodnię ci to.

Wstał zza biurka i poszedł do okna. Kiedyś przez to okno wyglądał sam Włodzimierz Iljicz. Obecnie istniało w innym świecie, po którym stapał Beria. Gdy Lenin był ciężko chory, zapewne chętnie uciekłby tutaj, ale nie wpadł na to. Taki geniusz, a nie przyszło mu to na myśl. A szkoda. Dobrze by się im razem współpracowało. Brakowało mu tutaj kogoś naprawdę mądrego. Otaczały go same miernoty.

A z tej dziewczyny udało mu się wydobyć wszystko, co trzeba. Podszedł ją, nie zawiodła go intuicja. Nie wyprowadzisz w pole starego szpicla. To oczywiste, że ona była już tutaj w swoim czasie, potem uciekła i znowu wróciła. „Mam w to wszystko uwierzyć? Ona jest jak kamikadze, poświęciła się, żeby zdobyć nad nami kontrolę... a jeśli wcale się nie poświęciła? Może jest jakiś sposób, by tutaj pozostać zdrowym? I właśnie owa Ludmiła ze swoją świeżą krwią stała się częścią spisku?”

— I jak wygląda teraz twoje połowiczne życie? — zapytał niespodziewanie.

— Tak samo, jak i pańskie.

— Nie zużywasz się?

— Jesteśmy na pół martwi — oznajmiła.

— Znasz historię Aleksandra Matrosowa?

— A także Mucjusza Scewoli — odparła.

Ławrientij nigdy nie słyszał o Scewoli, puścił więc tę odpowiedź mimo uszu.

— Niektórzy — oświadczył — poświęcają się dla dobrej sprawy. Rozumiem to. Szanuję takich ludzi. Dobry szpieg zawsze doceni drugiego szpiega.

Wpił się w nią wyczekującym spojrzeniem.

— Myli się pan, Ławrientiju Pawłowiczu, tutaj nie ma szpiegów z prawdziwego świata. Przynajmniej ja takich nie spotkałam.

— Dlaczego nie?

— Myślę, że to niemożliwe — odparła. — Nikt tam nie wierzy, że nadal żyjemy. A dziury pojawiają się tylko czasem i nigdy na stałe. Nie każdy je zauważy...

— Ale przecież Imperator Dworca Kijowskiego miał swój portal?

— Miał inwalidę na wózku, obdarzonego niezwykłymi umiejętnościami. Widziałam go. Wyczuwał gdzie i kiedy pojawi się kolejna dziura. Zabili go.

— Zgadza się — potwierdził Beria. — Na początku jednak popełniłaś błąd.

— Jaki?

Cienkie kreseczki brwi uniosły się ku górze, niemal do nasady włosów. — Jaki błąd?

— Lepiej byłoby, gdybyś się trzymała jednej wersji — powiedział.

Mówił do niej pouczającym, troskliwym tonem, jak do agenta przygotowywanego do poważnej akcji.

— Zostałabyś przy swoim, to może bym w końcu uwierzył, że oczy mnie na starość zawodzą. Na początku mówiłaś, że byłaś sama, potem zaś zmyśliłaś jakiegoś tutejszego mieszkańca. A w tej okolicy nie ma żadnych mieszkańców. To już sprawdzone.

Lusia patrzyła obok niego, nie odpowiadając.

— Twoja reakcja jest dla mnie oczywista — ocenił z uśmiechem — zabrnęłaś w ślepy zaułek.

Dziewczyna wzruszyła chudymi ramionami i wyprostowała się.

— Szkoda, gdyż mi się spodobałaś — ciągnął dalej. — Na początku chciałem ci zawierzyć i nie podejrzewałem niczego złego. Nie zawiodła mnie jednak intuicja. Sprawa jest poważna. Kto pragnąłby dowiedzieć się, o czym tutaj rozmawiamy? Możemy mieć wrogów dwojakiemu rodzaju. Na przykład wróg wewnętrzny, jakaś opozycyjna organizacja w Leningradzie. O ile wiem, już jej nie ma. Była grupka intelektualistów, ale ją rozpędziliśmy... A może nie do końca?

Miał taki styl przesłuchiwania: gadać jak najwięcej i nagle przerywając potok własnych słów, zadać niespodziewane pytanie.

— Nie wiem — odparła Lusia. „Może istotnie nie wie?”

— Pozostaje więc wróg zewnętrzny. To rzecz niebezpieczna, a dzisiaj nasza rada zebrała się, by wyjaśnić kwestie zewnętrznego zagrożenia. Tajne sprawy. I nagle zjawiasz się w towarzystwie nieznanego mężczyzny i z tajemniczym życiorysem. Co byś zrobiła, będąc na moim miejscu?

— Wypuściłabym mnie.

— Po co? Ktoś na ciebie czeka? Nie, nie wypuszczę cię. Przede wszystkim spróbuję się dowiedzieć o tobie wszystkiego, co się da. Nie jestem sam, mam pod sobą całą agenturę. Mam spis mieszkańców Leningradu, mogę także zażądać spisu z Moskwy. Odnajdę twojego towarzysza. Tymczasem popędzisz u mnie, tym bardziej, że nie potrzebujesz jeść. Czy nadal musisz?

Ławrientij oczekiwał niecierpliwie odpowiedzi, od niej bowiem wiele zależało. Kiedy beznadziejnie chory dowie się, że ktoś inny zdołał wyleczyć się z tej samej choroby, sam zaczyna mieć nadzieję ratunku.

— Nie muszę jeść — odpowiedziała z lekkim uśmiechem, zapewne domyślając się celu pytania.

Ławrientij Pawłowicz podszedł do drzwi i spojrzał na siedzącego w białym korytarzu strażnika.

— Jest tutaj odpowiednie miejsce, by ją zamknąć, czy trzeba zawieźć na Prospekt Litiejnyj? — zapytał.

Pytanie było czysto retoryczne, w rzeczywistości na Litiejnym nikogo nie było, dawny gmach NKWD ział pustką. Zbyt mało miał ludzi, żeby utrzymać go w dawnej formie. Zbyt mało było także spraw, którymi mogliby się zajmować, ze względu na słabe zasiedlenie.

— Znajdziemy odpowiednie miejsce, Ławrientiju Pawłowiczu — odpowiedział wartownik.

— Więc proszę odprowadzić obywatelkę Tichonową — rozkazał Beria. — Jutro z nią porozmawiam.

Wszystko to był zbiór określeń, pochodzących z dawno minionego życia, lecz strażnik był niegdyś majorem Bezpieki i przez sentyment dla swej dawnej władzy podtrzymywał z upodobaniem, służąc Berii, ową iluzję przeszłości.

* * *

Beria pozostał sam w lenińskim gabinecie.

Siedział za biurkiem Wodza Rewolucji, lecz niewykluczone, iż nie było ono autentyczne, a zatem nie mogło stanowić dla niego źródła inspiracji, której bardzo potrzebował.

Nieoczekiwanie dla samego siebie zapragnął pojechać do zatoki, przy której odbywała się narada. Coś nie dawało mu spokoju...

Cykliści pedałowali mozolnie. Patrząc na ich plecy, wyczuwał nienawiść do siebie. Byli jednak jego ludźmi, weteranami, a niektórzy znaleźli się tutaj w tę samą noc noworoczną, co on. Jak widać bękart Chruszczowa podniosły rękę na największą świętość, czyli na kadry bojowe.

Gdy zatrzymali się przed restauracją, zwrócił się do nich:

— Nasza służba nie drużba. Ktoś jednak musi wziąć na siebie odpowiedzialność. Jesteście wolnymi ludźmi i w każdej chwili możecie rozejść się w cztery strony świata. Zrozumcie jednak, że ten, kto pozostaje w naszych szeregach, podlega surowszej dyscyplinie. Inaczej wrogowie nas rozdepczą.

Cykliści znali wagę tych słów. Ludzie muszą czuć bat nad sobą i zrozumieć w końcu prawo przewagi silniejszych nad słabszymi.

Beria wkroczył do restauracji ze starszym majorem za plecami. Interesowały go w tej chwili pomieszczenia służbowe, znajdujące się wokół sali, w której toczyła się narada. Rozdzielnia, z której wydawano półmiski z potrawami ze znajdującej się w dole kuchni, zmywalnia, toalety, spiżarnia...

— Gdyby to było dawniej — powiedział domyślnie oficer — puścilibyśmy psa tropiciela, ale tutaj nawet jednej kury nie uświadczysz.

Można było wejść z zewnątrz przez kuchnię, z której wiodła drabinka do rozdzielni. Wcześniej o tym nie pomyśleli. Nie spodobało się to Berii. U góry drabinki, pod niewysokim sufitem znajdowały się w ścianie niewielkie kratki. Stojąc na taborecie można było widzieć i słyszeć wszystko, co działo się w głównej sali. Ławrientij uczynił tak. „Wszystko świetnie widoczne, pomyślał, jak na wystawie”.

— Świetny stąd widok — zwrócił się do majora. — Co o tym myślisz?

— To pan podstawił taboret? — zapytał tamten.

Beria spojrział sobie pod nogi i omal nie stracił równowagi — Przecież jeśli na zakurzonem siedzeniu pozostały ślady towarzysza Lusi, właśnie je zatarł. Oficer ma rację...

Zeskoczył na ziemię i zaraz się zrewanżował.

— Cofnij stopę, bo na coś nastąpisz — powiedział.

Na zakurzonej podłodze odznaczały się cztery niewielkie kwadraty, gdzie wcześniej stał taboret. Biegły od tego miejsca siady, niewyraźne, ale wystarczające. Obuwie męskie, rozmiar czterdzieści cztery.

— Sądząc po kształcie — stwierdził major — raczej nowe, z importu.

Beria spojrział z góry na swego asystenta. Z zamiłowania zajmował się kryminalistyką, to było jego największe hobby. Wszędzie są tacy maniacy.

— Musimy wracać — oznajmił. — Jeśli nas podsłuchał, nasze plany są zagrożone.

— Ma współników? — zapytał starszy major.

— Wydusimy to z Tichonowej — odparł — i to natychmiast, dopóki tamten nie ucieknie.

Na nieszczęście dla Ławrientija nie udało się niczego zrobić natychmiast. Kiedy poszedł zagonić do roboty rowerzystów, z góry zbiegł za nim po schodach agent, jeden z tych, którzy podsłuchiwali pod nieobecność szefa, kryjąc się za zasłonami.

— Ławrientiju Pawłowiczu! — zakrzyczał. — Oni zrobili wybory!

— Nie rozumiem — odpowiedział, chociaż po chwili do niego dotarło, że sytuacja jest poważna. Odsunął agenta, który chciał mu dalej coś wyjaśniać i ruszył powolnym, ciężkim krokiem w górę schodów. Tak należało.

Wszedł do sali narad w chwili, gdy wszyscy już zbierali się do wyjścia.

— Co tu się stało? — zapytał od wejścia.

— Aha, jednak wróciłeś — odpowiedział Kliukin. — No i dobrze. Myśleliśmy, że jak zwykle uganiasz się za wrogami ojczyzny.

Wcale się przy tym nie uśmiechał, wredny uśmieszek gościł za to na ustach Łarisy. Od dawna go nienawidziła i pogardzała nim. Jeszcze jej za to odpłaci.

— Przeprowadziliście wybory beze mnie? — zapytał cicho, z wyraźnie gruzińskim akcentem, naśladowując styl swego Wodza.

— Obradowaliśmy — odparł niepewnie Gracki, wyraźnie przestraszony.

— Obradowaliście beze mnie i podjęliście decyzję?

— Ławrientiju Pawłowiczu — powiedział Czajanow — możecie pogratulować mi wyboru na odpowiedzialne stanowisko, niosące ze sobą więcej problemów niż przywilejów.

— Dlaczego nie poczekaliście na mnie?

— Nie wiedzieliśmy, czy pan jeszcze wróci — wyjaśnił metropolita.

— Zrobiliśmy wszystko zgodnie z prawem — oświadczył Kliukin. — Było kworum, a głosowaliśmy jawnie. Jeden głos za Pobiedonoscewem, pozostałe na Czajanowa.

Beria mimowolnie skinął głową. Domyślał się, że Pobiedonoscew odda głos na samego siebie.

— Ale dlaczego z tym nie poczekaliście? — powtórzył. Stary Nikifor zaczął się boczkim przemykać ku drzwiom.

Beria chwycił go za rękaw sutanny i przytrzymał.

— Powiem panu — rzekła Łarisa. — Pragniemy zgody, a nie rządów strachu. I bez tego jest tutaj okropnie. Żandarm na stanowisku przewodniczącego to byłaby klęska dla kraju. Dlatego zazwyczaj nikt nie wybiera żandarmów.

— Nawet gdybyś tutaj był — zauważył Kliukin — niczego by to nie zmieniło. Nie przegłosowałbyś nas, skoro wszyscy byli przeciw.

— Nie osobiście przeciwko tobie — wtrącił Czajanow. — Postanowiliśmy powierzyć ci realizację ważnego projektu.

— Jakiego? — spytał Beria ze złością.

— Likwidację świata z powierzchni, w twojej gestii będą wszystkie możliwości naszego czyśca.

— Oddam pod pańską komendę tylu żołnierzy, ilu pan potrzebuje — dodał szybko Gracki.

— To oznaka absolutnego zaufania ze strony konsulów — Podjął Czajanow. — Proponuję, abyś został tu ze mną naradzić się w pewnych sekretnych sprawach. Mam nadzieję, że pozowali nie mają nic przeciwko temu?

Ostatnie zdanie odnosiło się do konsulów. Nie mieli nic Przeciwno. Po kolei podchodzili do Czajanowa. Ściskali mu on i życzyli sukcesów w trudnej roli Głównego Przywódcy czyśca.

Rozdział czwarty

Ludmiła Tichonowa

Strażnik, któremu Beria rozkazał odprowadzić Ludmiłę, zaprowadził ją do podziemi. Znajdowały się tam obszerne, niskie pomieszczenia ze stołami o marmurowych blatach, zapewne kiedyś była tutaj kuchnia.

Odszukał pustą spizarkę za kuchnią. Nie było w niej nawet krzesła ani okna. Nie było w ogóle niczego. Strażnik pchnął Lusię w plecy. Przebiegła pięć kroków i oparła się dłońmi o ścianę. Drzwi trzasnęły i słychać było szcęk zasuwki. Dziewczyna domyślała się, że ta komórka służyła już wcześniej jako cela więzienna.

Wszystko było jasne. Drzwi pozbawione choćby najmniejszej szparki. Jak tu oddychać? Wiedziała, że wobec ustania przemiany materii zapotrzebowanie organizmu na tlen nie jest zbyt duże. Tym niemniej starali się z Igorem pobudzić krążenie krwi, dużo chodząc, biegając, pijąc, a nawet się całując...

Usiadła na podłodze, obejmując rękami kolana i czekała. Na pewno ktoś jednak po nią przyjdzie, zanim tu się udusi Ciekawe, dokąd pospieszył Beria? Czyżby się przed nim wy — gadała? Chyba jednak nie.

Siedziała tak bardzo długo. Zresztą, upływ czasu był tutaj względny, jakkolwiek istniały pojęcia: długo i krótko, a także pojęcie dni, które upływały wraz z przesypującym się piaskiem w klepsydrach. Czy ktoś mógłby zatrzymać osypywanie się piasku? Klepsydry odmierzały czas niezależnie od jego braku.

Niewątpliwie Igorowi udało się dowiedzieć czegoś ważnego, skoro wybrał się z nią tak daleko. Konsulowie zebrali się w tym ponurym miejscu, żeby nikt ich nie zobaczył i wezwali tylko same najważniejsze osoby. Czyżby plotka, iż postanowili przeciąć nabrzmiewający wrzód tego świata, zawierała w sobie ziarno prawdy?

Lusia nienawidziła tego świata i mówiła niejedną raz Igorowi, że lepiej już ze sobą skończyć. Ci bowiem, którzy wiedzą tutaj swoje życie bez życia, najczęściej nie pragną rozpamiętywać tego, co utracili. Dziewczyna jednak dobrze wiedziała, co oboje z Igorem stracili, skoro chłopak został tu dla niej. Właśnie tego nie mogła mu wybaczyć. Gdyby go przy niej nie było, dawno już by się powiesiła albo jeszcze lepiej, skoczyła z dachu hotelu „Astoria”. A ponieważ jest tutaj, nie może tego zrobić.

Później jednak pojawiły się słuchy, jakoby konsulowie znaleźli sposób, aby zniszczyć świat na powierzchni, który oboje uważali jednak za swój, chociaż go porzucili. Byli jednymi z ostatnich ludzi w Leningradzie, którzy nazywali to miasto Pitrem i naprawdę je lubili.

Igor stwierdził, że ich obowiązkiem jest dowiedzieć się, co zamyślają senatorowie. Przecież oni są bezsilni, dowodziła Lusia, to tylko banda starych, nieśmiertelnych mizantropów.

— Masz rację, ale oni mają złe umysły, a oba światy są ze sobą powiązane, co ty akurat wiesz

najlepiej ze wszystkich. A skoro są ze sobą połączone, świat na powierzchni można zniszczyć.

— W jaki sposób?

— Nie wiem.

— To bzdurny wymysł.

— Być może. Okażemy się nic nie warci, jeśli niczego nie zrobimy dla ratowania ludzkości.

— Nie jesteśmy już ludźmi.

— Wcale tak nie myślisz.

— Nie muszę rozmyślać nad tym, co wiem.

— Odmawiasz?

— Oczywiście, że nie.

Siedzieli wówczas w swojej kryjówce na piątym piętrze dobrze zachowanego domu przy Wielkiej Podiachewskiej. Na frontonie widniał łaciński napis *SALVE!* Spoglądali przez okno na dachy niższych domostw i wyrwy pomiędzy nimi.

— Jeśli jednak odkryjemy coś ważnego, co nie okaże się brednią...

— Jak to może nie być brednią? — zdziwiła się Lusia.

— Wyjaśnię ci to. Wyobraź sobie kamienny zamek, zbudowany na zmurszałej skale. Szczelina jest na razie niewielka, lecz znajduje się pod główną basztą.

— Ależ z ciebie fantasta!

— Pewnego pięknego dnia runie cały zamek. — I co nam da wiedza na ten temat?

— W ostateczności uratujemy życie. Czasami rozumuje jak mały chłopiec...

Lusia siedziała, obejmując kolana i rozmyślała, wspominając. Wyciągnęła w końcu przed siebie długie i zgrabne nogi. Była dumna z wąskich kostek, niczym u łani. Tak je określił jeszcze w prawdziwym świecie jeden absztyfikant i ten komplement całkiem jej się spodobał. Szkoda tylko, że tutaj nikogo nie obchodzą. Wiedziała, że Igor ją kocha, lecz nogi kobiece nie zostały stworzone po to, żeby wałęsać się beczynnym po pustych ulicach albo podejmować idiotyczną pieszą wycieczkę do Helsinek, później uciekać przed bandytami szosą w okolicach Wyborga i wrócić do domu ledwie żywym — I to ma być życie?

Ktoś nadchodził korytarzem. Strażnik? A może powrócił Beria?

Zaczęła się bać. Berii bali się wszyscy za życia i teraz boją się go w zaświatach. To jednak nie są jego ostrożne, skradające się kroki.

Lusia rzuciła się ku drzwiom i zaszepotała, przywierając ustami do framugi:

— To ty, Igorku?

Zatrzymał się i odsunął zasuwę. Rzuciła się mu na szyję.

— Bałem się o ciebie — powiedział Igor — i chyba słusznie.

— Jak się domyśliłeś, gdzie mnie szukać?

— Widziałem, jak cię zatrzymali. Nietrudno było się domyślić dalszego ciągu, oni wciąż rozumują schematami z tamtego świata. Jeśli ktoś jest Ławrientijem Berią, na pewno odwiezie ofiarę do swej rezydencji. Chodźmy stąd, zanim ktoś zauważy.

— Słyszałeś wszystko? Dowiedziałeś się czegoś? Widzę po oczach, że coś wiesz.

— Miałem rację. Chcą zabić wszystkich żywych.

Mieszkali we dwoje na Wielkiej Podiaczewskiej w ogromnej kamienicy czynszowej z końca XIX wieku. Większość pustych domów przy tej prostej, ponurej ulicy dawno obróciła się w ruinę, a poprzez wyrwy w murach można było zobaczyć kanał Gribojedowa. Z tego powodu mieszkali tu tylko cztery osoby: Igor z Lusią, ślusarz Edek i niejaka Czumaziłła, która odkryła to siedlisko.

Była dziwną dziewczyną, ukrywającą przed pozostałymi swą przeszłość i wiek. Chwilami wydawała się całkiem młoda, częściej jednak niezmiernie stara, władająca licznymi talentami — Jednym z nich była umiejętność wyczuwania domów.

Okazuje się, że istnieją całkiem martwe domy, w których źle się mieszka. Lepiej już nocować na nadbrzeżu, ale nie każdy to lubi, chociaż nie ma w Pitrze nocy: panowała tutaj niekończąca się biała noc. W Moskwie to samo zjawisko wydawało się dziwne, w Petersburgu jednak było czymś normalnym.

Bywają też domy neutralne, nijakie.

Niektóre natomiast zachowały żywotność. Jak mawiała Czumaziłła: emanację życia, czyli jego ślad. Emitują pole ciepła, gdyż zachowały w sobie resztki człowieczej ciepłoty. Dobrze się w nich mieszka, a i one czują się lepiej, kiedy mają mieszkańców.

Naturalnie owe teorie, które dziewczyna wygłaszała spokojnym tonem, dla kogoś postronnego mogły się wydać absurdalne, lecz w tym świecie nikt nie wiedział już, w co ma wierzyć, dlatego każdy wybierał dla siebie dowolną głupotę jako objawioną prawdę, w czym zresztą ta sytuacja nie tak bardzo różniła się od poprzedniego życia.

Igor i Ludmiła wprowadzili się do mieszkania na trzecim piętrze. Generał Midzoguti Kodzi twierdził, że lepiej mieszkać jeszcze wyżej, bowiem zabójcy nie lubią wspinać się po schodach. Lusi także nie chciało się wchodzić zbyt wysoko, obawiała się dostać zadyszki. Wybrali pokój w długim komunalnym mieszkaniu ze sporą kuchnią, w której zachowały się cztery gazowe kuchenki. Mieli widok z okna na Isaakij i rzędy dachów, wyglądających jak po nalocie bombowym.

Generał odwiedził swoich młodych przyjaciół i mieszkał u nich, dopóki mu się nie przejadło. Nikomu nie przeszkadzał. O zaszczyt goszczenia generała walczyły najtęższe umysły w Leningradzie. Był całkiem łysy i miał sympatyczne, typowo japońskie oblicze z orlim nosem i wąskimi ustami. Nosił płaszcz przypominający kimono i lubił siadać na podłodze, na dywaniku lub na poduszce. Od dawna był przyjacielem Rosjan. U progu lat trzydziestych, kiedy był młodym kapitanem w Charbinie, zobaczył w rosyjskim teatrze *Na dzień* Gorkiego, w tym czasie pracował już w wywiadzie i jako szpieg uczył się rosyjskiego. Nie rozumiał wszystkich dialogów, lecz zaczął odtąd uczyć się jeszcze intensywniej, chodząc co wieczór do teatru w Nowym Mieście. Nawiązał także romans z pozbawioną talentu, lecz ładniutką aktorką.

Przyszły generał wstrząśnięty był zwłaszcza postacią Łuki, tego samego, którego przyjęło się wyklinać w szkołach sowieckich. Jego nihilizm stał się, o zgrozo, dewizą życiową Midzogutiego. Im wyżej wspinał się po zbryzganych krwią stopniach kariery służbowej, tym lepiej mówił po rosyjsku i coraz bardziej współczuł temu narodowi, któremu, jak by nie było, powiodło się w dziejach trochę mniej niż Japończykom.

Do czyścica przybył w Nowy Rok 1949, kiedy zrozumiał, że nie zdoła dalej żyć w łagrze dla japońskich jeńców w Kańsku. Uciekł. Zamarzając w pustym stepie, zdecydował, że nie wróci do obozu. Zamiast umrzeć trafił tutaj i nie dziwiąc się niczemu, przeszedł przez świat bez czasu około

tysiąca wiorst, aby w końcu osiąść w Leningradzie. Mógłby pójść dalej na zachód, lecz w owym mieście znalazł podobnie myślących przyjaciół, w ten sposób osiągnął cel swojej egzystencji: zatrzymać potok czasu i prowadzić przez całą wieczność spokojne rozmowy.

Trudno wyjaśnić, dlaczego właściwie niektórzy mieszkańcy uznali tego niewysokiego, japońskiego wojskowego za swego mistrza. Może dlatego, że w prawdziwym dowódcy drzemie siła, która pozwala mu rządzić innymi, w przeciwnym wypadku nie zostałby generałem.

Pewnego razu Igor zapytał:

— Dlaczego nie wróci pan do Japonii?

— Nie ma jak dojść do Japonii — odpowiedział z tajemniczym, japońskim uśmiechem, chociaż zazwyczaj uśmiechał się szczerze, po rosyjsku.

Mówił po rosyjsku niezwykle poprawnie, językiem nie potocznym, jakim posługiwała się większość miejscowych, lecz wyuczonym. Mieszkał gdzieś w centrum, być może w gmachu Admiralicji, lecz nigdy nikogo nie zapraszał do siebie.

Czumaziła powiedziała kiedyś:

— Chętnie prałabym panu skarpetki i wynosiła nocniki.

— To zabawne — odparł generał — że ludzkie uczucia, dajmy na to macierzyńskie, nie zanikają wraz z ciałem, lecz nadal w nas się odzywają. Może zatem naprawdę istnieją piekło i raj?

Igor i Lusia przebywali tu rok, a może dłużej — jak bowiem wyliczać upływ dni w ciągu wiecznej białej nocy? Polubili generała, ponieważ podobnie jak oni przynależał do plemienia podróżników. Ogromna większość mieszkańców martwego świata nigdzie się nie ruszała. Można było tutaj przeżyć dwieście lat, nie podnosząc się wcale z łóżka, tylko powoli niszcząc.

W Pitrze dziewczynę i chłopaka nazywano młodożeńcami, co było w pewnym sensie stwierdzeniem faktu. Wcześniej mieszkali w Moskwie, gdzie było ponuro, strasznie i beznadziejnie. Miasto było podzielone między gangsterów i samozwańcych władców, toczących między sobą groteskowe wojny w świecie, w którym zarówno trudno było kogoś zabić, jak i stworzyć prawdziwą armię. Po co bowiem wojować, skoro brak rzeczywistych powodów do walki? Brakowało tutaj miłości, instynktu rozrodczego, woli przedłużenia gatunku, nie było też lęku przed śmiercią. Wojny wybuchały powodowane złością, próżnością i zawiścią, gdy zwierzęcy instynkt zamieniał się w pragnienie bogacenia się.

Igor dziwił się z początku, jak wielu jest w owym czyścicu kolekcjonerów, zbierających najdziwniejsze rzeczy. Zapewne zbieractwo kompensowało inne namiętności.

Oboje z Lusią nieraz słyszeli po drodze, że właśnie w Petersburgu, który został stolicą ni to Rosji, ni to Związku Radzieckiego, żyje się prawie jak w bajce pośród ciekawych ludzi. Mieszkają tam sami inteligenci, czytający mądre książki i dyskutujący o losie człowieka. Wprawdzie każda władza próbuje zniszczyć inteligencję, a jeśli nie może jej całkowicie usunąć, to przynajmniej obwinia o wszystkie nieszczęścia spadające na ziemię rosyjską, ale pomimo tego inteligencja wciąż odżywa, jakby była nieśmiertelna.

Z Moskwy do Pitra szli ponad trzy miesiące. Nie mieli przy sobie klepsydry, tak więc upływ czasu mogli odmierzać jedynie w sposób umowny. Wiadomo, na przykład, że nawet w normalnym świecie, jeśli umieści się speleologów na kilka tygodni w ciszy i ciemności, stopniowo przechodzą na czterdziestośmiogodzinną miarę czasu i kiedy wychodzą w końcu na powierzchnię, zazwyczaj mylnie oceniają okres pobytu pod ziemią.

Podróż dwojga młodożeńców wydawała się niewiarygodna również według zasad rządzących

czyśćcem. Zdarzenia i istoty, z jakimi się stykali, były tak niesamowite i nieoczekiwane, że nawet osoby przywykłe do dziwactw martwego świata, wyobrażając je sobie, wzdrygały się ze strachu albo wybuchały niepowstrzymanym chichotem. Kusi wprawdzie, by o tym opowiedzieć, gdyż można było porównać tę wędrówkę do wyprawy Magellana lub podróży na biegun kapitana Siedowa, lecz w toku naszej opowieści musimy pominąć cuda tej Odysei, albowiem nie możemy zatrzymać się w pół drogi i cofnąć. Pogódźmy się z myślą, że to wszystko się zdarzyło, lecz nigdy nie dowiemy się, co...

Igor i Lusia wspinali się po schodach. Przed rewolucją musieli tutaj mieszkać bogaci ludzie, o ich dostatku świadczył wystrój klatki schodowej.

Igor otworzył drzwi, w których zamek był wyłamany od niepamiętnych czasów. Korytarz był całkiem ciemny. Chłopak zamarł, nasłuchując. Usłyszał czyjeś westchnienie, dochodzące z ich pokoju. Dał znak dziewczynie, żeby pozostała na półpiętrze. Trzeba było zachować ostrożność, w Petersburgu od niedawna ludzie zaczęli znikać. Trudno pojąć, komu chciało się wdzierać do cudzych mieszkań i porywać obywateli. Generał podejrzewał sekciarzy, Czumaziła obwiniała starych pustelników z wyspy Waalam. Mogli to być także jacyś dewianci albo zwyczajni bandyci.

Zupełna cisza.

Igor szedł przodem, Ludmiła dwa kroki za nim.

Ci, którzy porywali, może nawet zabijali ludzi, nie pozostawiali żadnych śladów: napisów na ścianie, czy też krzyża nasmarowanego węglem na drzwiach. Generał doradzał wszystkim znajomym zamykać się od wewnątrz, lecz było to raczej niełatwe, szczególnie, że nie wszyscy mieszkali w normalnych domach, preferując bardziej odkryte lub przeciwnie, ukryte Miejsca. Większość nie kierowała się zdrowym rozsądkiem. Był utaj na przykład pewien filozof, były major milicji, który uwił sobie gniazdo na dachu Giełdy. Był też jeden brodaty jakaś, podobno homoseksualista, który zagospodarował studzienkę kanalizacyjną. Znakomita większość nie miała ochoty mieszkać pod dachem zwykłego domu. Często pociągały ich pałace lub muzea, w których od dawna nie było eksponatów.

Lusia miała koleżankę feministkę, która nawet w martwym świecie z trudem znosiła obecność mężczyzn, tych bydlaków i gnębicieli. Nazywała się Lukrecja i zajmowała sypialnię carowej w Pałacu Zimowym, do której przyniosła trochę koców z magazynu wojskowego. Niedawno całkiem jej odbiło, gdyż zaczęła zapewniać znajomych, że odkryła na łóżku Piotra Wielkiego, iż jego sperma jakimś cudownym sposobem zachowała się na prześcieradłach. Słabo знаła historię Lukrecji Borgii, nie miała także pojęcia, że pałac zbudowano po śmierci wielkiego cara.

Po tym, jak zniknęło trzech, czy czterech przyjaciół generała, ślusarz Edward założył zamki tym, którzy sobie tego życzyli. Rzemieślnik był dziwnym człowiekiem, który trafił tutaj prosto z więzienia, gdzie siedział za beznadziejną próbę ucieczki do Europy, schwytany podczas przekradania się przez granicę w 1939 roku. Stracił wszystkie pieniądze i siły, aby przedostać się do Polski, skrycie podążając za kolumnami czołgów i piechoty. Dwie doby ukrywał się w lesie po drugiej stronie granicy, kiedy zaś wyszedł w końcu na drogę do Lwowa, został na przedmieściach miasta zatrzymany przez patrol NKWD, ponieważ tymczasem nasza dzielna armia, oswobadzając Ukrainę Zachodnią, wkroczyła dość głęboko na terytorium Rzeczypospolitej i prześcignęła uciekiniera. Zamiast zeznać, iż podążał za Armią Czerwoną, by umacniać władzę sowiecką na tych ziemiach, próbował uciekać, wylądował więc w więzieniu, szczęściem od razu nie rozstrzelany. Tak go przesłuchiwali, że po pół roku próbował się powiesić... i obudził się tutaj. Teraz instalował zamki w mieszkaniach swoich znajomych. On także pragnął dowiedzieć się, co stało się z ludźmi, którzy przepadli bez wieści.

Kiedy Igor i Lusia wrócili z nadmorskiej wyprawy, czekał na nich w domu. Przyniósł zamek, ale nie ośmielił się go wstawiać pod nieobecność gospodarzy. Siedział na tapczanie i czytał czasopismo „Nowy Świat”, w którym zamieszczona był nowela Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza*. Od dawna chciał ją przeczytać, słyszał o niej od japońskiego generała, ale nikt nie miał tej książki.

Igor powiedział mu, że musi pójść do generała, aby opowiedzieć mu, czego się z Lusią dowiedzieli. Na to Edward sprzeciwił się, że nie ma pośpiechu, gdyż najpierw musi zainstalować zamek.

— Generał poczeka — zrzędził. — Nie mogliście znaleźć naszego wojskowego, tylko koniecznie Japońca!

Według reguł gry należało teraz zaprotestować w obronie generała, a ślusarz powinien był dalej się spierać. Igor jednak nie miał nastroju do kłótni, był zanadto zmęczony.

— Dużo masz książek, bardzo dużo — stwierdził ślusarz.

— Wiadomo — odpowiedziała Lusia.

Mocno rwało ją w nogach, lecz był to przyjemny ból, którego dawno nie odczuwała. Oznaczał, że zachowała się w niej jakaś resztką życia, w końcu życie to ból. Skoro nic cię nie boli, znaczy, że nie żyjesz.

Dziewczyna zrzuciła buciki, rozchodzone jak łapcie. Innych nie potrzebowała. Oczywiście, należało wystroić się elegancko na bal u konsulów albo na kolację u Kliukina, ale ten problem jej nie dotyczył.

— Dlatego przyszedłem właśnie do was — powiedział Edek — bo chciałbym, żebyście mnie wzięli ze sobą.

— Może następnym razem? — zasugerowała dziewczyna.

— Ty lepiej zostań w domu. Zaraz założę zamek, a potem pójdziemy z Igorem.

Ślusarz był zajadłym czytelnikiem, ale książki i gazety rzadko przedostawały się do tego świata, a chociaż byli podobno ludzie mający spore księgozbiory, rzemieślnik ich nie znał i nie miał do nich dostępu. Igor miał natomiast reputację zdolnego zbieracza książek.

— Mieszkaniec martwego świata — powiedział kiedyś ślusarz — żywi szczególne zamiłowanie do czytania rozmaitych znaków.

— Znaków? — zdziwił się Igor.

— Czarne znaczki na papirusie lub na papierze to mistyczny symbol wyższej egzystencji, danej człowiekowi. Taki los.

Edward zachował z poprzedniego życia skłonność do używania trudnych słów w najmniej odpowiednich kontekstach, żeby pochwalić się swą rzekomą wiedzą.

Inteligenci z otoczenia generała łasi byli na wszelkie gazetowe aktualności, dochodzące ze świata na powierzchnię. Ekscytowali się bataliami o Biały Dom, obserwowali konflikty w Dumie, płakali na wieść o śmierci księżnej Diany. Mało kto miał okazję widzieć Lady D za życia, lecz smutek bywa zaraźliwy i na pewno angielskie czasopisma zapłaciłyby niesamowite pieniądze za wywiad z kapitanem napoleońskim, który dostał się do rosyjskiej niewoli w 1812 roku, by dowiedzieć się, jak zachwycała go postać księżnej.

Zamiary ślusarza Edwarda były także związane z chęcią uzyskania informacji. Podobnie jak Igor pragnął nawiązać kontakt z prawdziwym światem, dać znać o sobie, mając nadzieję, że nowoczesna nauka znalazła tymczasem sposób, by ożywić nieboszczyków i rozgrzać ich krew. Przecież cuda się czasem zdarzają. Tutaj, na owym wygnaniu, człowieka czekało tylko powolne niszczenie, ponura

śmierć w świecie, gdzie wprawdzie nigdy nie bywa ciemno, ale także nie zobaczysz słońca.

— Czumażiła znalazła niedawno nowy podręcznik historii — oznajmił ślusarz. — Nie masz pojęcia, Igorze, jak tam traktują stalinowskie pięćiolatki!

— Negatywnie?

— Były ustanowione po to, żeby całkowicie wykrwawić naród rosyjski i zlikwidować wszelki opór. A Mołotowa i Kaganowicza nazywają zbrodniarzami! Czy to sprawiedliwe, żeby wdowy po nich były represjonowane? Przynieść ci ten podręcznik?

— Nie trzeba, widziałem go, tylko nie zdążyłem przeczytać.

— Wciąż zapominam, że jesteś świeży — zaśmiał się Edek. — Jesteś tutaj jak gdyby gościem. Tak czy inaczej nadal cię interesuje, co tam się dzieje?

— Jak widzisz, nie kłamałem, że wciąż szukam książek.

— Dobrze, postaram się zaraz sprawić jak najszybciej.

— A potem zaprowadzisz mnie do generała? — upewnił się chłopak.

— Zaprowadzę. Uważam, że powinien często zmieniać miejsce pobytu. Agenci starców chcą go dorwać.

— Chyba agenci Berii?

— Czy ja wiem? Dowiedzieć się nie zawadzi. A czego chcesz od niego?

— Nie obrazisz się, jeśli najpierw opowiem wszystko generałowi, a dopiero potem pozostałym?

— Oczywiście, że się obrażę — odparł ślusarz. — Lubisz tajemnice, dlatego ludzie ci nie ufają. Przyszedłem do ciebie zainstalować zamek po przyjaźni, ponieważ chcę cię chronić przed niebezpieczeństwami. Najwyżej przestanę się z tobą przyjaźnić, a ty sobie mieszkaj bez zamka.

— I tak ciągle go nie mam — zauważył chłopak. — Jeszcze go nie zainstalowałeś.

— Nie założyłem, ponieważ zbywasz mnie pustą gadaniną.

— Więc chodźmy do generała — zdecydował Igor. Zostawili dziewczynę samą w domu, lecz tak naprawdę ani ona, ani Igor nie bali się zabójców. Nie można przecież bać się bez przerwy.

Ślusarz kroczył samym środkiem ulicy, Igor trochę z boku. Niebezpiecznie było chodzić blisko domów, ponieważ niekiedy spadały z góry cegły lub fragmenty sztukaterii. Jezdnią szło się łatwiej, nie przeszkadzał gruz.

Edward przemawiał półgłosem sam do siebie. Nikt nie miał tutaj odwagi głośno przemawiać. Wielu ludzi wierzyło w duchy, które niemal wszyscy widzieli, chociaż nie mogli Uzgodnić stanowiska, co te omamy oznaczają. Czy były związane ze światem ludzi, czy też były to prawdziwe fantomy.

— Doszedłem do wniosku — mówił Edward, a w zatechłym Powietrzu jego słowa grzęzły jak w gęstym kisielu — że wszyscy wykonujemy swoje funkcje w mrowisku, zwanym ludzkością. Pojawia się pytanie: gdzie jesteśmy? To nie mrowisko, tylko porzucona gałązka, po której biega kilka mrówek. Może jestem winien coś narodowi? Jak myślisz, jestem winien, według prostej zasady prawdopodobieństwa? Słuchasz mnie w ogóle?

— Słucham, ale nie wiem, co odpowiedzieć.

— Generał na przykład uważa, że oprócz niego nie ma nikogo na świecie. Wszyscy inni są jedynie złudzeniem.

— Tylko tak żartuje.

— Też tak myślę.

Mostek nad kanałem Gribojedowa odbijał się w sieniej wodzie. Było cicho i bardzo ładnie.

Przeszli na drugi brzeg i weszli na jedno z podwórek.

— Kodzi! — zawołał Edek. — Przyszliśmy do pana!

Gdzieś z góry, jakby z nieba, dobiegła odpowiedź:

— Wejdźcie.

— Idź teraz wreszcie założyć zamek — powiedział Igor do ślusarza.

— Jeśli przysięgniesz, że potem poszukamy książek — odparł Edek.

— Idź już, skoro cię o to proszą — rzekł generał, który wyszedł na półpiętro na spotkanie Igora.

— Tak jest!

Edward lubił, kiedy wydawano mu proste polecenia. Odszedł na rozkaz.

Generał zaprowadził Igora do siebie. Była to tymczasowa kryjówka, którą doprowadził do swego ulubionego stanu: wszędzie walało się pełno papierów i książek. Było to jakby sro—cze gniazdo, które jednak nie sprawiało niechlujnego wrażenia. Na tym polegała jego tajemnica, że zawsze był schludny.

— Dostałem dzisiaj — oznajmił generał — rocznik „Moskiewskich Nowości” z osiemdziesiątego dziewiątego. Wspaniała lektura. Aleksander Dumas. Czemu jesteś taki niespokojny, Igorze?

— Byłem nad morzem — odparł młodzieniec. — Ukryłem się w pomieszczeniu nad salą, w której naradzali się konsulowie.

— Uprzedzałem cię przecież, że to niebezpieczne.

— Wie pan, że od dawna podejrzewałem ich o spisek. Nawet rozmawiałem z Łarisą Reisner...

— Za wysokie progi — stwierdził Japończyk.

Usiadł na dywaniku i zaczął chciwie kartkować poszarzałe ze starości lub od wilgoci strony rocznika. Igora to nie zrażało, wiedział, że jego rozmówca nadal wszystko widzi i słyszy. Czytanie było tylko dodatkowym zajęciem i nie przeszkadzało w rozmowie.

— Ona twierdziła, że granica między światami staje się coraz bardziej przejrzysta i że nasz świat wkrótce zginie, z powodu zewnętrznej ingerencji. Imigracja przewyższyła jego możliwości.

Generał kiwał głową w takt wypowiedzianych słów.

— Mówił pan — kontynuował Igor — że konsulowie mogą być niebezpieczni, lecz czysto teoretycznie i że nie są w stanie przedostać się do świata na powierzchni.

— Istotnie — zgodził się wojskowy. — Nadal tak sądzę.

— Lecz jeśli przejścia stają się coraz większe, w czym się zgadzam z Łarisą, to znaczy, że są też wyjścia na zewnątrz. Przypomina pan sobie zdarzenia w Jarosławie?

— Nie pouczaj mnie — odparł z uprzejmym uśmiechem Japończyk. — Moje myśli idą takim samym torem, jak twoje. To, co mnie się wydaje niemożliwe, niekoniecznie musi być takie dla drugiego człowieka. Ktoś taki pokona wszelkie przeszkody, gdy nie będzie zdawał sobie sprawy, że są one niepokonane.

— Tam, na powierzchni, jest miasto albo baza, która nazywa się Maksimowo czy jakoś tak. Być może znajdują się tam bomby atomowe. Mają zamiar posłać tam swoich ludzi lub pozyskać jakichś na górze i z ich pomocą zrobić wielkie bum! Wypuścić dzinna z butelki, jak mówili.

— Kto był obecny na naradzie?

— Wszyscy, oprócz Berii, w tym czasie aresztował Lusię i zawiózł ją do swego gabinetu w Smolnym...

— I do tej pory tam jest? Nie pomogłeś jej?

— Jest już w domu. Uwolniłem ją stamtąd. Beria był bardzo zajęty, gdzieś pojechał ze swoimi cyklistami. Pod jego nieobecność wybrano Czajanowa na przywódcę.

— Jest stosunkowo młody — zauważył generał.

— On także uważa, że ratunkiem dla tego świata jest zniszczenie tamtego i że należy koniecznie to zrobić.

— Pozostali także?

— Przekonali ich. Wszyscy boją się śmierci.

— Właściwie boją się życia, które dla nich oznaczałoby śmierć — uściślił generał.

— Chcą wysłać na powierzchnię dywersantów — podjął Igor.

— Jak zdołają zdetonować bombę, skoro nie możemy tam żyć? — zapytał Japończyk. — Umrą w ciągu paru godzin.

— Po pierwsze, można żyć nieco dłużej — odparł chłopak — a po drugie, może to także zrobić przekupiony przez nich człowiek lub nawet grupa ludzi. Mają dosyć złota i kamieni szlachetnych, żeby kupić jakiegoś pułkownika.

— Co możemy zrobić?

— Możemy uprzedzić naszych przyjaciół — stwierdził Igor.

— Myślisz, że są tam wciąż twoi przyjaciele?

— Wiem, że są i oczekują ode mnie wiadomości.

— Zazdroścę ci — oznajmił generał. — Tak mi brakuje żywych przyjaciół... Wiesz, jak się z nimi skomunikować?

— Tak. A pan zna jakąś drogę na powierzchnię?

— Być może wkrótce się otworzy. Wybacz, ale na razie nie mogę powiedzieć ci więcej.

—1 tak się cieszę. Straciłem już nadzieję na uzyskanie kontaktu. Mogę od razu napisać list? Dotrze, gdzie trzeba?

— Trzymaj kopertę — odparł wojskowy. — Jest prawie czysta.

Igor napisał na niej adres, który przechowywał w pa—mięci w ciągu długich miesięcy. Oczywiście mógł napisać do Garika i Kalerii, ale lepiej do wujka Miszy, jeżeli jeszcze żyje — Baza. Maksimowo. Najprawdopodobniej bomba. Chociaż w rzeczywistości trzeba dużo bomb, żeby zniszczyć cały świat na powierzchni.

Rozdział piąty

Garik Gagarin

Dawniej należałoby zacząć tak: w jednym z cichych moskiewskich zaułków znajdowała się starodawna willa hrabiostwa Sz...

A teraz należy zacząć tak: w jednym z niegdyś cichych, obecnie zastawionym trzema rzędami zagranicznych aut zaułku, znajdowała się willa hrabiostwa Sz., na którą niejednokrotnie ostrzył już sobie zęby niejeden biznesmen.

Mowa o naszym Instytucie Ekspertyz, całkowicie akademickiej instytucji, prawdziwie akademickiej, skoro nie płaci nam już od trzech miesięcy. Instytut ma problemy bytowe, których z jakiejś przyczyny nie zdołano rozwiązać wcześniej, albo może kłopoty pojawiły się dopiero teraz. Być może zresztą są to problemy nierozwiązywalne, z którymi nikt sobie nie może dać rady.

Trochę jest u nas jak wszędzie, a trochę jak w domu wariatów. Przede wszystkim kiepsko z pomieszczeniami. Kiedyś willa składała się z samych przestronnych pokojów, które potem podzielono na szereg małych klitek. Na przykład w naszym laboratorium mamy dwie takie klitki. Pracujemy więc n zmianę, żeby nie wchodzić jeden drugiemu na głowę.

Właściwie mówiąc, tylko Lera–Kaleria Pietrowna Danilewska, doktor fizyki, nasza szefowa, jest stale obecna. Wcale nie dlatego, że jest dziwaczką, pozbawioną życia osobistego. To kobieta niezwyklej urody, matka i żona (oczywiście poza instytutem), kierująca się głównie poczuciem obowiązku. To piękna cecha u kobiety, choć wcale jej nie upiększa. Różnica jest bardzo subtelna i nie dla wszystkich oczywista.

Na mojej zmianie pracują także laborantka Tamara, pochodząca z przedmieścia Moskwy, na której zawsze mogłem polegać, jeśli coś poleciłem, a także Katrin, która na moich oczach wyrosła na młodszego asystenta i robi zaocznie aspiranturę. Nasze wzajemne relacje nie należą do prostych i balansują na granicy konfliktu. Może się całkowicie rozstaniemy, a może się z którąś ożenię. Nie wiem, co byłoby lepsze.

Na drugą zmianę przychodzi pracownik naukowo—techniczny Sania Dobriak, niekoniecznie dobry charakter, zwłaszcza jeśli chodzi o traktowanie mnie i bardzo poważna osobka w wielkich okularach o imieniu Ninoczka, która także jest aspirantką i pojawiła się u nas niedawno.

Dwa słowa o mnie samym. Jestem młodszym asystentem, wychowankiem Domu Dziecka. Nazywam się Jurij Gagarin, ale żeby nie mylono mnie ze sławnym bohaterem, wszyscy mówią na mnie Garik. Oczywiście imię i nazwisko jest wymyślone, skoro znaleźli mnie w lesie lub w polu, gdzie mnie upuścił przelatujący bocian, w sierocińcu znalazłem się, jak na złość, akurat 12 kwietnia, w Dzień Astronautyki. To właśnie natchnęło piastunki, aby ochrzcić mnie tym bohaterskim mianem.

Zajmuję się działem osobliwości, które zwróciły na siebie uwagę Kalerii. Początkowo zresztą

obserwowano mnie, niczym kolejny obiekt badań i zapewne dlatego podesłali mi Katan. Zainicjowała ze mną burzliwy romans, ale nie wiem do tej pory, czy na serio była we mnie zakochana, czy też zrobiła 0 z polecenia. Ponieważ owa kwestia nie została wyjaśniona, Pozostajemy ze sobą w niejasnych stosunkach: nie wiadomo, czy jestem narzeczonym, czy tylko królikiem doświadczalnym, który nie cierpi tych, co go tym królikiem zrobili. Chwilami naprawdę lubię Katrin, chwilami jej nie znoszę, choć jej wina polega głównie na tym, że jako osoba bardzo odpowiedzialna, wykonała zadanie zlecone przez Kalerię z pełną powagą.

Zarówno ja sam, jak i Kaleria, a także niestety Katrin, uważamy, że jestem kosmitą. To nie żaden wymysł: kilka dni przed tym, jak zostałem przyjęty do instytutu, zjawił się u mnie mój pobratymiec i zaproponował powrót na rodzinną planetę. Prawie się zgodziłem, lecz stchórzyłem w ostatnim momencie: zanadto pogodziłem się ze swoim losem, aby pociągała mnie kosmiczna dal. Po takim zdemaskowaniu nie pozostawało mi nic innego, jak oddać się w ręce Kalerii, wszystko jednak udało się załatwić ku powszechnemu zadowoleniu: zaproponowano mi stanowisko młodszego asystenta i wyznaczono skromną pensyjkę.

To byłoby z grubsza wszystko.

Dzisiaj spóźniłem się do pracy, ponieważ pociąg metra na całe dwadzieścia minut utknął w tunelu, co wywołało u mnie atak klaustrofobii. Poczulem się tak fatalnie, że starając się nie zwracać na siebie uwagi, wyszedłem z wagonu i poszedłem torami do następnej stacji. Tuż za mną nadjechał pociąg, nieomal mnie miażdżąc. Schroniłem się w jakiejś komórce służbowej, gdzie się trochę otrzepałem z kurzu, lecz po chwili pojawił się elektryk, który potraktował mnie jak dzikiego podróżnika po tunelach. Rzeczywiście istnieje w Moskwie taka grupa ludzi, może nawet parę grup, zdaje się, że nazywają siebie grotolazami. Jako lokalna ciekawostka są ulubieńcami dziennikarzy, lecz naturalnymi wrogami pracowników metra.

Uciekłem elektrykowi, a kiedy wreszcie dotarłem do instytutu, zastałem puste laboratorium, ponieważ dyrektor wezwał wszystkich na zebranie w sprawie prywatyzacji, a może transformacji w spółkę akcyjną, nie mogłem się w tym połapać. Skoro byłem sam, sięgnąłem po dziennik doświadczalnych obserwacji, ulubiony twór Kalerii. Zapisuje się w nim wszystko to, co niezwykłego dzieje się z nami albo na naszych oczach. Jest tylko jeden warunek: piszemy całą prawdę.

Otworzyłem dziennik na stronie 87 i zacząłem opisywać swoją podziemną podróż. Oczywiście można było zmyślać, co komu przyszło do głowy, lecz Kaleria jest konserwatystką, my zaś czujemy się jej dziećmi, współplemieńcami lub członkami rodziny i pragniemy postępować według praw przez nią ustanowionych, ponieważ ją kochamy. I jeśli muszę, niestety, czasami przyznać się do jakiegoś błędu, w pierwszym rzędzie przyznaję się przed nią.

Zadzwonił telefon — usłyszałem w słuchawce męski głos. Nie od razu rozpoznałem, że należy do wujka Miszy.

* * *

W rzeczywistości wcale nie jest moim wujkiem, nadałem mu to przezwisko w zeszłym roku, kiedy zaszły wydarzenia związane ze światem bez czasu. Nikt prawie nie wierzy w jego istnienie, i

całe szczęście. Im jesteśmy dalej od tej sprawy, tym lepiej.

To jakby podziemny świat, gdzie w ciemności kłębią się roje ślepych szczurów. Być może nieładnie tak mówić o ludziach, którzy popadli w bezmiar wolny od bólu i lęku przed śmiercią. Tak czy inaczej są martwi. Nawet urocza Lusia i wspaniała Igor.

Niedawno czytałem rozprawę pewnego naszego mędrka, niejakiego Mirskiego, przeznaczoną wyłącznie DUW. Wiecie, co to takiego? „Do użytku wewnętrznego”. Istnieje gałąź nauki wyłącznie DUW. I nie tylko u nas, ale także w USA. w tych poufnych materiałach jest też podobno coś o mnie. Z pewnością warto byłoby je dorwać i przeczytać, co na temat mego fenomenu zmyślają uczeni.

Mirski napisał artykuł o zombie. Stwierdził, że owe żywe trupy są mieszkańcami świata bez czasu, trafiającymi do nas 1 prędko umierającymi od upływu czasu i od nadmiaru świat—te. Niewykluczone, iż w basenie Morza Karaibskiego istnieje wyrwa wiodąca do owego świata, najprawdopodobniej w Trójkącie Bermudzkim.

Jutro lub pojutrze, kiedy tylko znajdę trochę wolnego czasu. Poszperam w Internecie, czy gdzieś już przeciekły na ten temat informacje. Na pewno coś przeciekło, tylko użytkownicy nie zorientowali się, z czym mają do czynienia. A może resort wujka Miszy zdołał skutecznie zataić prawdę? Jeszcze w zeszłym roku sami nie mieli pojęcia, z czym mają do czynienia. Dopiero po wypadkach w Jarosławiu niektórzy się połapali.

Kiedy w swoim czasie próbowałem odnaleźć Aleksandrę, moją znajomą z Miechowska, okazało się, że nigdzie jej nie ma.

Wymeldowała się. Wyjechała. Znikła. Nawet Lera nie zdołała mi pomóc mimo swoich kontaktów. Być może nie zwróciła się do wujka Miszy.

— To ty, Garik? — zapytał.

W tej chwili go rozpoznałem.

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedziałem.

Zwracając się do kogoś na „pan” czułem się niezręcznie, jakbym żartował z rozmówcy, ale forma „towarzysz” także zrobiła się niezręczna.

— Spocznij — rzekł tamten. — Tym bardziej, że pomyliłeś stopień.

— Jasne — zgodziłem się — przecież pana zdegradowali.

— Albo awansowali. Zastałem Kalerię Pietrownę?

— Jest na zebraniu.

— Powiedz, żeby do mnie zatelefonowała. Chciałbym z nią porozmawiać. Sam także nigdzie nie wychodź.

— Dokąd mam iść?

— To narada u dyrektora?

— Dużo pan wie, panie generale.

Tym razem się nie sprzeciwił, więc dobrze odgadłem rangę. Nie domyśla się nawet, że wkrótce go usuną.

— Skończą przed lunchem?

— Tak, za czterdzieści pięć minut.

— Będę u was za godzinę. Przywieźć kawę, czy jeszcze macie?

— Jak przyjdzie Tamara, ona zdecyduje — odpowiedziałem.

— Kupię na wszelki wypadek. Straszni z was kawiarze. Pijecie jak we współczesnej powieści detektywistycznej, gdzie śledczy biegają od gabinetu do gabinetu i wszędzie proszą o filiżankę kawy.

— Czytałem to — przyznałem.

Wujek Misza odwiesił słuchawkę.

Dawno go u nas niebyło, więc żyliśmy w spokoju. Zawsze przynosił ze sobą niebezpieczeństwa, lęki i tajemnice. Niczego dobrego, jeśli człowiek nie lubi dzikich afer. Osobiście nie lubię dzikich, wolę cywilizowane.

Weszła Tamara, anioł łagodności, dopóki nie rozewrze różowych usteczek. Właśnie je otwarła.

— Byłam w aprowizacji — oznajmiła. — Jeden pseudo–Neron złapał mnie za pierś. Po prostu cudownie!

Zrozumcie to, jak chcecie. Naturalnie oczekiwała pytań i współczucia z mojej strony, lecz ja ciągle myślałem o wujku Miszy, więc ją rozczarowałem.

— Co z tobą? — spytała, gdy minęło pół minuty i nie doczekała się mojej reakcji. — Ząb cię boli?

— Nie — odparłem. — Z moimi zębami wszystko w porządku. Wkrótce przyjdzie tu wujek Misza.

— O, cholera! — Tamara natychmiast zapomniała o swoich problemach. — Znowu jakaś obsuwa? Chętnie bym wyszła za niego. A potem by nas rano na podjeździe powitali z kałasznikowów najemni mordercy: tra–ta–ta–ta!

— Gdy jest uczucie, rozum niepotrzebny — odpowiedziałem niezbyt grzecznie, lecz nie uraziłem Tamary, ona bowiem jest absolutnie przekonana o swojej głębokiej mądrości.

— Nie kupiłam kawy — zatroskała się. — A ten wojskowy złopie kawę jak wódkę, stakanami.

— Przyniesie — uspokoiłem ją.

Nadeszły Lera i Katrin. Lera jest harmonijnie zbudowana. Jeśli chce, jej doskonałość emanuje niezauważalnie jak dyskretny aromat. Co innego Katrin: wysoka, lecz nie masywna, ma elegancką posturę baseballisty. Sam nie jestem ułomkiem, lecz przewyższa mnie o dwa centymetry. Właściwie chyba nawet trzy, choć ona twierdzi, że jeden, więc zgodziliśmy się na lowę. Ma niesamowitą grzywę, przypominającą pole pszenicy. Mamy teraz lato, więc zdążyła się lekko opalić, nasek jej poczerwieniał, oczy zaś przybrały nieco spłowiały odcień berylu. Może widzieliście kiedyś piękny beryl, który nie zamienił się w szmaragd, ponieważ stracił swój kolor, wcale nie ustępujący bardziej drogocennym kamieniom?

— Co tam tworzysz? — zapytała na dzień dobry Lera, spoglądając na rozłożony przede mną dziennik.

— Dlaczego nie byłeś na zebraniu? — spytała Katrin.

— Wujek Misza telefonował — odparłem. — Został generałem.

— Świętowali ten fakt ponad miesiąc temu, ale nie poszłam — oznajmiła Lera.

Ta kobieta ma jedną wadę: wie absolutnie WSZYSTKO. Z wyjątkiem tego, z jakiej planety pochodzę.

— Kiedy przyjdzie? — dopytywała się Katrin.

Nie przepadała za wujkiem Misza, wyczuwając jakieś niebezpieczeństwo grożące mi z jego strony. Rozumiałem ją, gdyż wiedziałem, że temu człowiekowi ogólnie rzecz biorąc jest obojętne, czy pozostanę przy życiu, czy wszystkich nas zabiją lub czy zachowamy swoje imiona w historii. Dla niego najważniejsze było wykonanie zadania.

Czasami zastanawiałem się: dlaczego Lenin dokonał tego wszystkiego? Po co mu była cała ta rewolucja, czemu tak zaciekle i konsekwentnie o nią walczył? Czy rzeczywiście kochał proletariat i

lud pracujący? Nigdy w to nie uwierzę. Lud był tylko narzędziem służącym zdobyciu władzy. Mieli potem pracować, realizując jego idee. Dla niego był wymyśloną abstrakcją, tym bardziej, że robotnicy i chłopcy wcale go nie lubili, zresztą z wzajemnością, zwłaszcza że rosyjscy pracownicy trochę się różnili od sumiennych i solidnych niemieckich arbeiterów. Och, jak on czekał na wybuch rewolucji w Niemczech. Jak dążył do niej, jak ciągle w nią wierzył, jeszcze w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim! Z jego rozumem nietrudno było zorientować się przecież, że była to bezsensowna i marna awantura. Zresztą w owym czasie funkcjonowała już u niego tylko niewielka część mózgu.

Może więc kierowała nim chęć zemsty? Zemsty za śmierć brata i nienawiść do Romanowów? Myślę jednak, że nie był owładnięty pragnieniem zemsty. Raczej Stalin się nią delectował. Oczywiście Lenin nienawidził cara i jego rodziny, dlatego kazał ich wszystkich zamordować, co do jednego. Uczynił to jednak cudzymi rękami. Zrobił to towarzysz numer jeden: Swierdłow. Nie Stalin, przezeń nie lubiany, lecz właśnie Swierdłow, którego uważał za równego sobie. Chociaż trochę obawiał się to uczynić w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, ale jednak zrobił to — i basta. Senne koszmary chyba go nie dręczyły, a o czymś takim jak sumienie miał pojęcie tylko w przybliżeniu, jako o jednym z pojęć psychologicznych. A zatem zemstę możemy wykluczyć.

Próżność? Jeżeli nawet, to jej specjalna odmiana, typowa dla tyranów, kiedy pyszałek podkreśla swoją skromność, pozostawiając kogucią pychę podwładnym, którymi może z tego powodu pogardzać. Napoleon, Lenin, Hitler i wczesny Stalin jakże gardzili blichtrzem władzy! Lubili jednak, kiedy ów splendor ich zewsząd otaczał, tym bardziej uwydatniając cenną postać odzianego w szary kabat przywódcy.

A może strach? Cecha wielu tyranów, którzy zaczynają w pewnej chwili rozumieć, że zgromadzona przez nich suma nienawiści jest tak ogromna, że nie sposób się już zatrzymać, a każde zboczenie z obranej drogi równa się śmierci. Lenin nie cierpiał niewygód i całe życie przeżył jak typowy burzuj, dlatego też nie spieszyło mu się do Rosji, bo tam czekało na niego więzienie. I nie będzie już drugiego Szuszeńskiego, gdzie teściowa i żona karmiły go racuszkami, a służba zmywała podłogi.

Nie mógł być absolutnie dobry ani zły, zwłaszcza w rodzinnym gronie. Zainteresowały mnie publikowane obecnie Jego rozkazy i notatki: rozstrzelać, zlikwidować! Pouczająca tektura! Ciekawe, które z tych poleceń były wypełnione, które zaś były odbierane przez podwładnych jako czysta retoryka?

Istnieją rozmaite tabu. Jednym z najważniejszych jest nas Lenin. Nawet badacze postaci wodza pewne tematy omijają z daleka.

Dlaczego pomyślałem o Leninie? Zapewne dlatego, że pewne cechy jego charakteru odnajduję w niepojętych dla mnie, chłodnych z natury, ważnych ludziach, takich jak generał, czyli wujek Misza.

Na pewno jest doskonałym pracownikiem, w każdej konkretnej sprawie dostrzega interesującą stronę, tak, jak on ją pojmuje. Wszystko dobrze pamięta, gdyż ma starannie poukładane w szufladkach swego mózgu. Jaki jest jednak ostateczny cel? Władza? Strach? Próżność? Trudno wyobrazić sobie człowieka, który kierowałby się wyłącznie interesem narodu lub państwa, bez żadnych sympatii i antypatii. Czy zdaje sobie sprawę, że wszyscy tańczymy na wulkanie? Wciąż nie wiemy, co knują mieszkańcy świata bez czasu. Jaki Lenin lub Hitler tam się właśnie narodził albo przeniósł się tam z naszego świata. Czy rzeczywiście w mauzoleum spoczywa prawdziwy Lenin? Czy istotnie Hitler popełnił samobójstwo, zamiast uciec do wiadomej otchłani? Przecież podobno ciągle pojawiają się

nowe przejścia między światami, chociaż nigdy nie wiemy gdzie. Może zechce tam uciec jakiś sławny śpiewak lub aktor?...

* * *

Wszedł do nas wujek Misza.

— Widzę, że wszyscy w komplecie. Przyniosłem kawę „Złota Nestle”, chociaż osobiście preferuję bardziej czarną.

Pocałował Katrin w dół policzka. Był niższy od niej jakieś pół głowy. To zrozumiałe: generał nie powinien być zbyt wysoki, bo wtedy łatwiej go zastrzelić. „A, widzicie tam wśród wrogów tego dryblasza, skierujcie cały ogień na niego!”

Lerę ucałował w rękę — spryciarz nie miał zamiaru się z nią ścisnąć.

Tamara sama go ucałowała, pozostawiając na policzku mężczyzny ciemnoczerwony ślad i wyraźnie delektowała się swoim dziełem. Generał jednak powinien posiadać przenikliwą intuicję, inaczej nie pożyłby zbyt długo. Zorientował się po jej spojrzeniu, że coś nie tak, wziął ze stołu serwetkę i wytarł policzki, czym wielce rozczarował dziewczynę.

— Ależ pan domyślny — powiedziała z prawdziwym, nie udawanym ukraińskim akcentem.

Jej matka pochodziła z południa Ukrainy, a na przedmieścia Moskwy przywiał ją w swoim czasie turecki wiatr, pragnęła bowiem znaleźć tutaj szczęście, męża i doświadczenie. Póki co była prawie szczęśliwa, pozostałe marzenia były w trakcie realizacji.

Wujek Misza skłonił swoją zasuszoną, zwyczajnie starczą głowę, uśmiechnął się cienkimi wargami, przygładził rzadkie włosy i rzekł:

— Plotka to materiał dla szpiega.

— Mogę sobie pójść — odparła. — w ogóle mogę wyjechać z Moskwy i wyemigrować do Izraela. Dinka już poleciała, więc i mnie utracicie.

— Jesteś Żydówką? — zapytał.

— No co pan? — sprzeciwiła się. — Wąsatą Mordwinką.

Wujek Misza uśmiechnął się od ucha do ucha. Tamara, bardzo zadowolona, że przegadała generała, poszła więc na zaplecze, gdzie znajdował się ekspres i zajęła się zaparzeniem kawy. Słyszała stamtąd zresztą każde słowo.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Generał nie miał zamiaru wypytywać, czy rzeczywiście Tamara jest z pochodzenia Mordwinką*. Zamiast tego sięgnął do swojej walizeczki dyplomatki i wydobyl plastikową teczkę, a z niej białą kartkę.

— Otrzymaliśmy list.

Nikt mu się nie sprzeciwił, chociaż dla wszystkich było jasne, że list otrzymał on osobiście lub jego biuro.

Spojrzałem na kartkę: zwykły papier maszynowy, w formacie A-4. A jednak serce mi mocniej zabiło. Wierzę swoim przeczuciom. Nie wiem, czy telepatia jest tworem oszustów, ale na pewno istnieje empatia i ja właśnie jestem rzadkim przypadkiem absolutnego empatyka. Niczego dobrego nie należało oczekiwać po tym liście.

Wujek Misza głośno przeczytał jego treść:

Konsulowie postanowili zniszczyć Ziemię. Rozmawiali o broni masowego rażenia, umieszczonej w okolicy miasta lub wsi Maksimowo. Najprawdopodobniej nieopodal Petersburga, inaczej nie mogliby się do niej dostać. Celem jest zlikwidowanie życia na powierzchni, żeby powstrzymać dalsze przenikanie ludzi do tego świata. Konsulowie obawiają się, że zaniknie granica między światami, a kiedy zniknie całkiem, wtedy i oni szeszczą. Niebezpieczeństwo z ich strony jest poważne, ponieważ wierzą w sukces swoich działań. Mnie i Lusię zdemaskował Ł. P. Beria, który przebywa tutaj od dawna. Pewnie o nim słyszeliście? Ukrywamy się, ale nie jest to takie proste. W. I. obiecał przekazać mój list sobie wiadomym kanałem. W nim cała nadzieja. Podejrzewam, że jest to kanał wykorzystywany przez handlarzy narkotykami, ale najważniejsze, że istnieje. Odnajdźcie Maksimowo, gdzie skrywa się ta potworność. Nie mogę napisać, gdzie się będziemy ukrywać, gdyż obawiam się zdrady. Nie znamy dnia ani godziny.

Wasi przyjaciele, Lusia i Igor

Przekazał lista Kalerii i powiedział:

— Napisane zwykłym ołówkiem.

Podczas gdy Lera oglądała list, z zaplecza wyszła Tamara, niosąc dzbanek z kawą. Postawiła go na stole i potrząsnęła dłonią. Wtedy szefowa przekazała jej kartkę, później zobaczyła ją Katrin, aż wreszcie ja. I tak byłem pewien, że pierwszym kandydatem do wysłania na misję w martwym świecie będzie „wasz sługa uniżony”. A może lepiej należałoby powiedzieć: „wasz sługa załatwiony”.

Tamara naląła kawę do filiżanek. Mamy piękny serwis z Fabryki Łomonosowa, подарowany przez Dom Puszkina za elektronicznego pieska. Poczuliśmy się jak na rządowym raucie, statecznie i arystokratycznie, czemu bez wątpienia sprzyjała także obecność towarzysza generała.

— I co pani o tym sądzi, Kalerio Pietrowana? — zapytał w końcu nasz gość.

— To na pewno pismo Igora? — odpowiedziała pytaniem.

— Tak, sprawdziliśmy — odparł.

Nie był zaskoczony. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy detektywami.

— Tak więc nie mam wątpiwości — oświadczyła.

— Co za zuchy! — wtrąciła Tamara, od razu zaczynając szlochać. — Gdyby tylko pan wiedział!

Wujek Misza wzdrygnął się, gdyż nie zdążył jeszcze przywyknąć do jej gwałtownych reakcji: Tamara prędko płacze i szybko zaczyna się śmiać, zawsze ma nerwy na wierzchu. Dobrze ją rozumiałem. Cieszyłem się, że Igor zdołał przesłać do nas list i ciągle ma kontakt ze światem żywych, chociaż umarł dla niego. Wspaniały chłopak.

— Co z tobą? — zapytał generał.

— Ona tak bardzo chciała mieć dziecko — jęczała dziewczyna.

Nie wiem, czy miała okazję porozmawiać z Lusią sam na sam, ale rozumowała chyba prawidłowo. Nasi przyjaciele pozostali tam, ponieważ nie mogli powrócić, stając się żywymi trupami, ale nie zostali przesiąknięci lodowatym złem martwego świata.

— Skoro nikt z was nie ma wątpiwości — stwierdził wujek Misza — powinniście także uwierzyć w treść tego listu.

— Wyobraża pan sobie, jak było mu trudno przesłać do nas wiadomość? — zauważyła Katrin.

— Myślę, że było trudno — zgodził się generał.

— Zlokalizowaliście ten kanał? — spytała Lera.

— Jak dotąd nie — oświadczył.

— Więc jak dotarł list?

— Ludzie, którzy go otrzymali, wiedzieli o mnie — wyjaśnił. — Nie wiedzieli za to o waszym instytucie i zresztą mieli to w nosie, przepraszam za wyrażenie.

— Rozumiem — odparła Lera z uśmiechem. Tamara wtrąciła z urazą:

— Skoro mają w nosie, czemu przyszedli do pana? Chyba nie Wszystko mają w nosie?

— Przesadzasz, Tamaro — zwrócił jej uwagę generał.

— A pan wszystko bagatelizuje — odcięła się dziewczyna.

Nastąpiła znów chwila milczenia, jakby preludium do następnego etapu rozmowy.

— Może ktoś z was spędziłby tam jeden dzionek? — zapytał nasz gość.

— Może — odpowiedziałem.

Po co ktoś inny miałby odpowiadać za mnie, skoro było jasne, że wujek Misza miał na myśli tylko mnie jednego.

— Nie teraz — powiedziała Kaleria Pietrowna. — Jest na to zbyt wcześnie.

— Zapewne — zgodził się z nią generał. — Ale tak ogólnie?

— Tak ogólnie nie mam dokąd stąd odejść — powiedziałem.

— Sprawa jest dostatecznie poważna — stwierdził wujek Misza — abym zwrócił waszą uwagę na możliwe następstwa nie tylko dla nas osobiście, ale także dla naszego kraju.

— I dla przyszłości ludzkości!

Kiedy Tamara jest poruszona, zawsze ma na końcu języka ciętą ripostę.

— I całej Ziemi — dokończyłem. — Jak widzę, uważa mnie pan za altruistę.

— Jakie możliwe następstwa? — wtrąciła Kaleria. — Co mamy robić?

— Po pierwsze — zaczął wujek Misza, zaginając palec — trzeba znaleźć to Maksimowo i dowiedzieć się, jaka znajduje się tam broń masowego rażenia. Wiele od tego zależy. Po drugie: nawiązać kontakt z dziećmiakami, żeby uruchomić kanał dla naszych celów. Jest to tym bardziej ważne, że nie mamy obecnie czynnego kanału, a bardzo by się przydał.

— A po trzecie? — spytała Katrin.

— Rozpocząć obserwację konsulów, władców tak zwanego martwego świata. Może uda się z którymś nawiązać współpracę. Są wśród nich różni ludzie...

* * *

Rozmowa z wujkiem Miszą miała miejsce we wtorek. W piątek po obiedzie zatelefonowano od niego. Miły kobiecy głos zapytał, czym się zmiierzam zajmować w weekend. Samokształceniem, odpowiedziałem. Najwyraźniej miła osobka nie była przygotowana na taką odpowiedź. Nastąpiła krótka pauza, potem kobieta cicho zachichotała i odparła:

— Więc proszę zabrać ciepłą kurtkę, bo tam jest dziesięć, góra dwanaście stopni...

— A są komary? — zapytałem.

— O komarach nie było mowy — odrzekł miły głos.

— To znaczy, że także będą. A kiedy wracamy?

— Powrót w niedzielę o godzinie osiemnastej.

Nie było sensu zadawać więcej pytań. I tak dowiem się wszystkiego na miejscu.

Samochód zatrzymał się i zatrąbił pod moim oknem o szóstej trzydzieści w sobotni poranek. W skromnym, lecz eleganckim audi siedział wojskowy szofer po cywilnemu. Kiedy zszedłem na dół z torbą na ramieniu, w której miałem kurtkę i bieliznę, zapytał:

— Pańskie nazwisko, przepraszam?

— Georgij Aleksiejewicz Gagarin.

— Gdzie pan woli usiąść: z przodu, czy z tyłu?

— Z przodu.

Trochę porozmawialiśmy po drodze o fruwającym wszędzie topolowym puchu, uschniętych brzoźach przy szosie i o patrolach drogowych, które wprawdzie nam nie groziły, ale kierowca i tak ich nie lubił. Podjechaliśmy pod dom wujka Miszy w pobliżu „Aeroportu”. Czekał na nas przed wejściem.

— Wypałeś się? — zapytał.

— Prawie.

— Myślałem, że sen nie jest dla ciebie konieczny.

— Ale upragniony — odparłem.

— No nic, w samolocie się wyśpisz.

Nie wiedzieć czemu sprawiał wrażenie zawiedzionego.

— Nie jestem Supermanem — przyznałem — i proszę na to nie liczyć.

— Za to dowcipu masz za dwóch Supermanów — karcąco stwierdził wujek Misza, który miał problem z poczuciem humoru.

— Dokąd jedziemy? Do Maksimowa? — spytałem.

— Żadnych nazw ani nazwisk — powiedział. — Zachowaj je dla siebie.

— Gdzie znaleźliście to Maksimowo? — nie ustępowałem.

— Garik!

— Czyżbyście nie ufali własnym szoferom? Wujek Misza westchnął, kierowca odchrząknął.

— Szukaliśmy po całej mapie. Nigdy nie sądziłem, że jest aż tyle miejscowości o takiej nazwie.

— Ile?

— Siedemnaście.

— Niedużo...

— Każdą trzeba było sprawdzić. Nazwa mogła się okazać tylko orientacyjna. Istnieje na przykład miasto Maksimów, a wokół niego jest pełno wiosek.

— I obiektów specjalnych?

— Oczywiście, inaczej po co byśmy szukali?

— A co później zrobicie ze wszystkimi Maksimowskimi, Maksimami i Maksimyczami? Ich także sporo?

— Owszem.

— A nie znaleźliście parostatku?

— Jakiego parostatku?

— „Maksym Gorki”.

— Już się napływał.

— I co w końcu znaleźliście?

— Niestety, nie tak wiele, jak chcieliśmy.

— Im mniej znaleźliście, tym lepsza wiadomość dla ludzkości.

— Jest jedno miejsce — oznajmił wujek Misza. — Pokażę ci w samolocie dokumenty. Nasi koledzy twierdzą jednak, że niczego tam już nie ma. Właśnie dlatego wezwałem ciebie.

— Czyli dlaczego?

— Masz doświadczenie, bo znasz sprawę. Poza tym masz intuicję.

— Jeśli można tak to nazwać — odparłem z westchnieniem.

Kiedy dotarliśmy do lotniska Szeremietiewo 1 (swoją drogą sądziłem, że polecimy z jakiejś tajnej bazy), weszło tymczasem słońce. Dzień zapowiadał się pogodny. Tylko że my będziemy gdzie indziej!

— Chciałbym cię zapytać — podjął wujek Misza — dlaczego siedzisz wciąż na tej akademickiej posadce? Z twoimi zdolnościami można hipnotyzować tłumy.

— Zajmuję się prywatną praktyką — odpowiedziałem poważnie. — Mam w domu kryształową kulę. Umiem przepowiadać przyszłość.

— Przepowiadaj tu i teraz, w warunkach polowych.

— Nie wolno. To by było nieprofesjonalne.

Samolot był całkowicie cywilny: JAK 40, czy coś w tym rodzaju. Oprócz nas w przedziale znajdował się jakiś pułkownik, wyglądający bardzo ponuro. Miał gęste, zrosnięte brwi i czarne oczy.

— Owsiepien — przedstawił się.

— German Arszakowicz — dokończył za niego generał.

— Lecę z wami na wypadek ewentualnych problemów — wyjaśnił pułkownik.

Usiadł osobno i palił papierosy przez całą podróż. Lecieliśmy trzy godziny. Początkowo trochę rozmawiałem z wujkiem Misza, który wspominał towarzyszy broni i dawne bitwy. Stwierdziłem, że najwyższy czas ujawnić istnienie świata bez czasu, gdyż prędzej czy później wszystko wymknie się spod kontroli i to najprawdopodobniej z wielkim hukiem.

— Głuptas z ciebie, Garik — odrzekł generał. — Po omacku wczepiamy się w walącą się już zaporę. Zrozum, że to kompletne obalenie praw znanej nam fizyki!

— I religii — dodałem.

— Religia się z tego wypłacze, znajdzie się na to rada. Stwierdzą, że jest to czyściec dla niektórych dusz, a dalsza droga wiedzie do piekła albo do raju.

— A może to w istocie jest piekło.

— Póki sami tego nie zrozumiemy — rozważał wujek Misza — religia może trochę ucierpieć.

— Możecie się spóźnić. Imperializm amerykański wciąż czuwa.

— Jak się domyślasz, nie jestem sam. Pół roku temu było nas zaledwie szesnastu, teraz, po rozmaitych połączeniach wydziałów, jest nas ponad tysiąc.

— I nadal chronicie tajemnicę?

— Z tego tysiąca ledwie dziesiątka wie, o co naprawdę chodzi. Jeśli ujmiesz sprawę w licznych paragrafach, nigdy nie dojdiesz, fragment czego dostał się w twoje ręce i co on będzie znaczył, jeśli złożyć do kupy sto takich odcinków. Nie chcę, aby zbyt wielu poznało prawdę właśnie z całkiem ludzkich powodów. To przecież świat pogrzebanych nadziei.

— Być może ma pan rację — stwierdziłem. — W końcu nie bez powodu nic nie wypłynęło z

naszego instytutu. Tylko Tamara jest u nas jak otwarta księga...

— Tamara ma swój rozum. Niektórym jednak trzeba było zaszyć usta.

— Co? — nie rozumiałem.

— Mówiąc metaforycznie. Niektórym ludziom musieliśmy wyczyścić pamięć dotyczącą podziemnego świata bez czasu. Stracili motywację do podzielenia się z innymi owym sekretem. A w ogóle chciałem ci powiedzieć, że odkrycie alternatywnego świata dopomogło nam w rozwiązaniu paru naukowych problemów... ho, ho!

— Więc czemu mnie pan wezwał?

— Wasze laboratorium jest dla mnie jak dom rodzinny. Wiesz, kiedy prowadzę u siebie naradę, rozumiem z tego inni mówią co piąte słowo. Wszyscy są tam ode mnie mądrzejsi. A dla was jestem przedstawicielem władzy albo Einsteinem.

— Niech się pan tak nie puszy — powiedziałem. — Chociaż może być pan dla mnie Einsteinem.

— Myślisz, że miałbym odwagę rzucić kamieniem w Kalerię Pietrowną?

W owej chwili objawiło się u niego poczucie humoru, jakkolwiek w stopniu minimalnym.

— Ten świat — powiedział po chwili milczenia, podczas której wydobył i zapalił papierosa — jest częścią straszliwych tajemnic i zagrożeń, jakie nas osaczają. Niewielką częścią. Po prostu nie rozumiesz sytuacji.

— Niewielką częścią? Proszę więc o przykład większego problemu.

— Na pewno słyszałeś o słynnym skrzypku Menuhinie. Zapytano go kiedyś, co sądzi o naszym skrzypku, Ojstrachu, laureacie nagrody stalinowskiej. Menuhin odpowiedział, że Ojstrach jest drugim skrzypkiem na świecie. A kto jest pierwszym? — zapytali ludzie radzieccy. Pierwszych jest bardzo dużo, odpowiedział ten syjonistyczny agent.

Wujek Misza zamilkł, gdyż powiedział wszystko, co należało. Byłem o tym przekonany, widząc jego tajemniczy uśmiezek, godny Napoleona.

Byłem jednak niewyspany, więc się trochę zdrzemnąłem. Jeśli generał chciał sprawdzić, czy rzeczywiście nie potrzebuję snu, na pewno się rozczarował i nie zostanie jego dobrze opłacanym agentem. Będzie miał słuszość. Początkowo uwielbiałem, a potem zniechęciłem się audycję „Co? Gdzie? Kiedy?”, którą w swoim czasie uważałem za jeden z lepszych spektakli telewizyjnych. Zamiast współzawodnictwa intelektów i poczucia humoru, zaczęła się rywalizacja o forszę. Oczy błyszczą chciwie, ręce się trzęsą — cóż za nędzna ekipa! Nie kupisz nas, sierotek, za żadne pieniądze! Dlaczego ciągle siedzę w tym instytucie. Dlatego, że interesuje mnie taka praca i lubię żyć jego życiem, gdyż pracują tam ludzie, którzy są dla mnie jak rodzina, może nie idealni, ale jednak trudno znaleźć lepszych i bardziej nieprzekupnych — Możecie mi nawet proponować milion dolarów miesięcznie, żebym polubił towarzyszków Iwanowa, Pietrowa i Rabinowicza, a ja i tak ich nie polubię. Taki mamy charakter. Mówią, że można kupić każdego, to tylko kwestia ceny. Nieprawda, od tej reguły są jednak wyjątki. Wasz sługa uniżony zadowolona się swoją pensyjką...

Obudziłem się, kiedy samolot podchodził do lądowania. Wujek Misza z wyższością szefa, który nigdy nie śpi, oświadczył:

— Okazuje się, że na dodatek chrapiesz.

— U nas tylko w ten sposób odróżniają arystokratę od plebejusza.

Generał zaśmiał się i zapiął pas, był bowiem człowiekiem, który zawsze postępuje według instrukcji.

Wylądowaliśmy na wojskowym lotnisku. Z obu stron pasa startowego rósł las. Jak długo

lecieliśmy? Trzy godziny, a może dwie i pół? Jesteśmy na Uralu? Nie widać wcale gór... Pogoda panowała tutaj gorsza niż w Moskwie, było chłodniej i bardziej wietrznie. Wiatr pachniał leśną wilgocią.

— Myślałem, że zabierze pan ze sobą cały oddział — powiedziałem, gdy stanęliśmy już na betonie.

— Wzięłeś kurtkę? — zapytał wujek Misza. Otworzyłem torbę i wyciągnąłem kurtkę. Dopiero wtedy generał odpowiedział na moje pytanie:

— Nawet wśród moich najbliższych współpracowników nikt nie wie tego, co wiesz ty. Po co powiększać grono wtajemniczonych? Moi ludzie przeczesałi okolice wszystkich miejscowości o nazwie Maksimowo i znaleźli odpowiednie dokumenty. Znaleźli Maksimówkę, pod którą mieściła się baza wojskowa, zamknięta zgodnie z umowami międzynarodowymi dwa lata temu, ale była. Ci jednak, którzy szukali, nie wiedzieli, do czego to jest nam potrzebne. Pułkownik Owsiepian na przykład reprezentuje odpowiedni wydział Ministerstwa Obrony. Nie wie, czego szukamy, a ty nie wiesz, w jakim oddziale służy. Tak jest lepiej.

— A pan wie, czego szukamy?

— W tym cały problem — stwierdził.

Po trapie zszedł na dół rzeczony pułkownik w płaszcz i furażerce. Od strony budynków, nad którymi górowała wieża kontroli lotów, jechały ku nam dwa samochody. Pierwsi z nich okazał się, ku memu zaskoczeniu, malinowym mercedesem, nie nowym wprawdzie, ale solidnie utrzymanym. Drugi był zwyczajnym wojskowym łazikiem.

Mercedes dotoczył się do nas powoli i zahamował. Wysiedli z niego dwaj oficerowie, major i pułkownik. Ten ostatni był nieco młodszy, niewysoki, a niedostatek postury kompensował czapą tak wysoką, że mogliby jej z powodzeniem używać wojacy spod Borodino. Major sprawiał wrażenie ospałego i leniwego, typowy prowincjonalny oficer sztabowy, od dawna nie ćwiczący na porannej zaprawie. Czapkę nosił normalną.

Pułkownik od razu zorientował się, kto jest naszym szefem, zaszutował i powiedział:

— Szauro, miejscowy dowódca.

Bez wątpienia był na lekkim gazie. Rozpoznaję takich na milę. Bezczelne oczka, aroganckie z powodu bezkarności. Pomyślałem, że nikt go nie poinformował o randze wujka Miszy, choć wiedział, że przyjeżdżają jakieś szychy z Moskwy, z ministerstwa, które będą szperać w podziemnych szybach. Sądzę, że się nie pomyliłem. Tacy ludzie jak pułkownik Szauro raczej rzadko mają okazję stanąć twarzą w twarz z generałem tajnych służb. Major stał krok w tyle i również chwiał się na nogach. Też pijany.

Wujek Misza przedstawił się, nie podając stopnia, po czym ustąpił miejsca Owsiepianowi. Najwidoczniej tak się umówili, gdy spałem.

— Przyjechaliśmy tutaj na krótko — oznajmił smutnym tonem, wyginając brwi w groźne zygzaki, podczas gdy koniuszek nosa przybliżył się do górnej wargi. — Bądźcie uprzejmi pokazać nam, w jakim stanie są szyby kopalni...

I zamilkł, spoglądając na wujka Misze, który był wyraźnie niezadowolony. Spodziewał się chyba, że Owsiepian będzie ostry i rzeczowy, ale to jakoś nie wyszło.

— Rozumiem — odpowiedział pułkownik Szauro. — Najpierw zjemy śniadanie. Czekaliśmy z tym na was. Sami rozumiecie: goście z Moskwy na kontrolę...

Tak więc sam nam obwieścił, kim jesteśmy i po co tutaj Przybyliśmy. Wujek Misza spojrział w

niebo.

— Będzie deszcz — oznajmił.

„Ach, gdzie się podziały twoja zdolność przewidywania i instynkt samozachowawczy, pułkowniku Szauro? — pomyślałem. — Ni cholery nie czujesz sprawy. Myślisz, że jak jeździsz mercedesem i masz plecy w okręgu, możesz lekceważąco traktować mężczyznę w cywilu, dla którego władza z Moskwy przy wszystkich trudnościach ekonomicznych nie pożalowała samolotu?”

Nałogowe pijaństwo osłabiło zapewne bystrość umysłu. Szauro kontynuował:

— Ulokujemy was w kwaterze majora Chromego. Skinął w stronę rozlazłego majora, który zaraz zaczął kiwać głową jak figurynka.

— Stołówka nie działa z powodu braku personelu, pozostały tylko składy materiałów i budynki. Kiedy zdecydują w Moskwie, co z tym wszystkim począć, natychmiast stąd wyjadę! Jakie jest pańskie otczestwo?

— Michaił Iwanowicz.

— Wspaniale. Ja jestem Matwiej Iwanowicz, czyli prawie imiennik. Małżonka majora już przygotowała sałatkę, lemoniada się chłodzi... — Nie wytrzymał w tym momencie i roześmiał się. — Herbata się parzy.

— Chcielibyśmy natychmiast obejrzyć bazę — powiedział pułkownik Owsiepian.

— Nie da rady — sprzeciwił się twardo mały oficer. — Kto tutaj jest gospodarzem? Miejscowym młynarzem? Ja!

Zrobił krok w stronę mercedesa, z którego wyskoczył chłopak w polowym mundurze z pistoletem maszynowym zawieszonym na wysokości brzucha i otworzył tylne drzwiczki. Spostrzegłem, że oprócz niego siedział w aucie jeszcze szofer, także w maskującym mundurze.

— Wsiadajcie, miejsca jest dosyć — rzekł Szauro. Jedną ręką podprowadził wujka Misze do samochodu i wepchnął go do środka, drugą uczynił to samo z Owsiepianem. Mnie wskazał wyciągniętym palcem na łazika, gdzie w»z ze mną wsiadł major Chromy. Zaraz zdjął czapkę i zaczął wycierać pot z łysiny wielką, kraciastą chustką.

— Pogoda ostatnio się u nas nie zmieniała — powiedział do mnie. — Ciągłe opady. Dzisiaj jest pierwszy dzień bez deszczu.

— Daleko jedziemy? — spytałem.

— A pan jest z jakiego wydziału? — odpowiedział major pytaniem.

Zauważyłem, że na siedzeniu obok kierowcy leży pistolet maszynowy.

— Macie tutaj trudną sytuację? — zapytałem z kolei ja, wskazując na broń.

— Wszędzie jest trudna sytuacja — odpowiedział. — Rozwalili nasz kraj, łajdacy i teraz zżerają resztki. A górnicy idą na tory.

— A pan?

— Wie pan, kiedy ostatni raz wypłacili nam pensję? Wiosną, proszę sobie wyobrazić!

Kierowca miał przepisowo podgolony kark i przepisowo udawał, że nie słucha. Major zastanowił się chwilę i dorzucił:

— Demokraci!

W tej chwili zauważyłem, że mercedes zjechał z betonowego pasa startowego w bok i zaczął się toczyć po starej asfaltowej szosie.

— Co to — powiedział — czyżby się dogadali?

Domyśliłem się, co się stało: generał nakazał odłożyć śniadanie i rozpocząć zwiedzanie obiektu.

Pułkownik Szauro był w mniejszości w środku mercedesa, musiał więc ustąpić.

— Myślę, że Michaił Iwanowicz — wyjaśniłem — chce jak najszybciej wracać.

— Czy on nie jest przypadkiem z Ministerstwa Gospodarki?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Słyszałem, że chcą utylizować szyby.

Nie odpowiedziałem. W im większej niewiedzy będą powstawać miejscowe władze, tym lepiej dla sprawy. Bo jak wybaczyć temu wojskowemu, że na ten właśnie obiekt zwrócił uwagę konsulowie i to w dodatku sowieccy.

Po bokach drogi przesuwiał się rzadki, karłowaty lasek chwilami między pniami błyskała jakaś woda. Mokradła albo niewielkie jeziorka. Niezbyt atrakcyjny krajobraz.

Major był wyraźnie przestraszony, nie spodziewał się bowiem niczego dobrego ze strony wyższych władz. Siedzieli tutaj cicho i spokojnie, nawet sprowadzili sobie mercedesa. Nie potrzeba im cudzych oczu.

Wyczuwałem kolejne fale jego strachu i niechęci. Uświadomiłem sobie, że w moskiewskim instytucie całymi tygodniami nie odczuwałem czyichś uczuć tego rodzaju. Tutaj od razu stałem się czujny, jakby ktoś w środku mówił do mnie: weź się do roboty, Garik, wujek Misza liczy na ciebie.

— Jak się nazywa ta miejscowość? — zapytałem. — Maksi — mowo?

— Maksimowka — poprawił major. — Trzy kilometry stąd.

Wskazał palcem na prawo.

— Obiekt także nazywa się Maksimowka. A bo co?

— Nic — odparłem. — W dokumentach było Maksimowo.

— Nie, Maksimowka.

— Dawno pan jest tutaj?

— Sześć lat.

— Ma pan rodzinę?

— Żonę i dwoje dzieci.

Z jakiegoś powodu uznał, że ma obowiązek odpowiadać na moje pytania, chociaż byłem od niego młodszy wiekiem. Przyleciałem jednak ze stolicy specjalnym samolotowym rejsiem. I choć było oczywiste, że nie jestem najwyższą szyszka ale ktoś, kto ma bezpośredni dostęp do władzy zawsze może być niebezpieczny. Często gorszy od samego szefa.

Łazik wjechał w szeroką przesiekę. Przegrodzona by płotem z drewnianych bali, w którym znajdowała się brama. Mercedes stanął przed wrotami. Zauważyłem skrytą między wiekowymi sosnami stróżówkę, z której wyszedł żołnierz i zaczął grzebać w kłódce przy bramie. Całkiem zwyczajnej kłódce. W ostateczności są tu jednak wartownicy... W tej chwili zrozumiałem: zdążyli wystawić wartę i przygotować inne rzeczy. W tej chwili major uspokoił się całkiem, nie spodziewając się niczego złego. Mogli nie zaglądać do środka całe lata. A żeby postawić strażnika, wystarczy minuta.

Brama zachrząściła, zaskrzypiała. Żołnierz pociągnął jedno skrzydło w swoją stronę, nie poddawało się, w końcu z mercedesa wyskoczył ochroniarz i zaczął mu pomagać. Zdążyli postawić wartownika, lecz zapomnieli, że nie otwierali wrót co najmniej dwa lata. Widocznie, odkąd się stąd wynieśli, nie przyszło im do głowy zaglądać do szybów. Zanadto zajęci byli swoimi ciemnymi sprawkami.

Obserwując ze złośliwą uciechą wysiłki miejscowych niedołęgów, doczekałem się w końcu, że

samochody wjechały na wewnętrzną drogę i zatrzymały się przed wejściem do bunkra, ukrytym na podobieństwo wiejskiej piwniczki, przykrytej wzgórkami porośniętymi trawą.

Pułkownik Owsiepian wysiadł z samochodu, wydobyl z teczki plan i wspólnie z wujkiem Misza rozłożyli kartkę na przedniej masce. Szauro także spojrzal na rozrysowany schemat i wetknawszy dłoń między gości, zaczął wodzić po nim palcem. Po każdym jego zdaniu moi towarzysze unosili głowy i odnajdywali wzrokiem obiekt zaznaczony na planie. Kiedy zbliżyliśmy się do nich z majorem, generał akurat powiedział:

— I tutaj właśnie zaczniemy.

Skierował się w lewą stronę ku prześwitowi w krzewach. Szedł krokiem wodza, szybko i zdecydowanie, tak że pozostali musieli za nim nadążyć. Podobnie chodził wraz z dworzanami po morskim brzegu car Piotr Wielki na obrazie Lancere'a... Zapomniałem tytułu.

Pułkownik przyklęknął pod drzwiami bunkra, gdyż zamek nie chciał się otworzyć. Wujek Misza odnalazł mnie wzrokiem.

— Wszystko w porządku? — zapytał głosem prawdziwego generała, który przypomniał sobie o istnieniu adiutanta.

— Tak jest — odpowiedziałem.

Kiedyś drzwi do bunkra były zapewne lepsze, nowocześniejsze, lecz wszystko wywieźli przy demontażu, tak więc obecnie resztki dobytku bazy chroniły niemal stuletnie kłódki, odpowiednie dla wrót stodoły.

— Dlaczego nie ma światła? — zapytał groźnie wujek Misza.

— Podłączyliśmy prąd — wyjaśnił pułkownik — ale widocznie lampy się przepaliły.

Wskazał dłonią na lampę przy windzie. Widać było, że kiedyś była tutaj żarówka w matowym kloszu, obciążonym drucianą siatką ochronną. Klosz był stłuczony, a po żarówce nie było śladu.

— I oto co się narobiło — dokończył Szauro.

— Wszystko jasne — rzekł wujek Misza tonem człowieka niezadowolonego. — Dlaczego tego nie sprawdziliście, jak dostaliście szyfrowany telegram o naszym przybyciu?

— Myśleliśmy, że najpierw zjemy śniadanie — wtrącił major Chromy. — Wydałem polecenie, ale u nas jest ciągły deficyt, musimy wykręcać żarówki w jednym miejscu, żeby wkręcić w drugim.

— Od Annasza do Kajfasza — stwierdziłem.

Pułkownik Owsiepian uśmiechnął się samymi kącikami pełnych warg.

— Słucham? — zapytał pułkownik Szauro, przesywając mnie wrogim spojrzeniem.

Tylko wujek Misza, odnoszący się zawsze lekceważąco do moich żartów, nie będąc przy tym przesadnie odczytanym, pozostał niewzruszony.

— No cóż — stwierdził — przespacerujemy się dookoła, dopóki nie przywiozą żarówek.

— Nie, nie — sprzeciwił się zdenerwowany Szauro. — Zaraz będzie wszystko. Tymczasem zjedzmy śniadanie. Przecież was uprzedzałem!

Wujek Misza nie dał się zbić z tropu.

— Nie jesteśmy pewni — wtrącił znów major — czy żarówki z naszego magazynu tutaj pasują. Przysłali je nam niedawno, a tu mamy przecież bardzo stare oświetlenie.

— Chodźmy, Garik — powiedział wujek Misza — a wy, towarzyszu Owsiepian, odpocznijcie nieco, zapalcie... Zdaje się, że palicie?

— Palę — swobodnie odparł moskiewski pułkownik. Generał ruszył w stronę zagajnika, więc pognałem za nim.

Kroczył niczym statua Komandora po dokonaniu swego dzieła. Prosić go o pobłażliwość wydawało się totalną głupotą. Za plecami słyszeliśmy, jakby zza gęstej mgły, ściszone rozmowy tamtych. Kiedy dogoniłem wujka Misze, rozległ się warkot motoru łazika. Najwyraźniej pojechali po żarówki.

— A ja sobie myślę — powiedział generał, podtrzymując wiszące nad nami gałęzie i czekając aż przejdę — że te żarówki najprawdopodobniej przypadły minionej nocy.

— Nie chcą nas tam wpuścić?

— Oczywiście, że nie chcą. I to mnie cieszy. Okazuje się, że nie przyjechaliśmy tutaj na próżno.

— Może być chyba jeszcze jakieś inne wyjaśnienie ich dziwnego zachowania?

— Naturalnie, może. Wolałbym jednak skończyć wizytę w tym domu wariatów jak najszybciej, zamiast wciąż zauważać kolejne nieprawidłowości i niedociągnięcia. To wszystko jakaś schizofrenia!

— Co pan ma na myśli?

— Kiedy schizofrenikowi zdarza się chwila jasności umysłu, zaczyna się zastanawiać i pyta samego siebie: czego się wczoraj tak bałem? Co za idiotyczne halucynacje mnie nawiedzały? Nigdy więcej w to nie uwierzę... W rzeczywistości jednak obawia się, że wizje powrócą, a nawet wie to ze stuprocentową pewnością. Wolałbym, żeby nie było tego podziemnego świata i oszalałych w nieśmiertelności konsulów... Dosyć mam tego siedzenia na beczce prochu! Zastanawiam się, co będzie, jeśli dorwą się do jakiejś zapomnianej bomby atomowej i ją zdetonują? Zaraz jednak myślę sobie, że na pewno nie ma żadnej zapomnianej bomby i szkoda czasu na jej szukanie. Tylko skoro uwierzę, że nie istnieje, a ona mimo to wybuchnie?

— To nie żadna schizofrenia — odpowiedziałem. — Byłem tam, a wcale nie jestem schizofrenikiem.

— Ty w ogóle jesteś odmieńcem z Marsa — burknął wujek Misza.

Nie obraził mnie tym. Rzeczywiście jestem kosmitą.

— Żeby chociaż z Marsa — odparłem z westchnieniem. Generał nawet się nie uśmiechnął.

— Posłuchaj, Garik — powiedział — zabrałem cię ze sobą nie bez przyczyny. Jesteś więcej dla mnie wart niż dziesiątka współpracowników. Nie podoba mi się zachowanie Szauro i tego... drugiego.

— Chromego.

— I ten ich mercedes mi się nie podoba, a także śniadanie i sprawa żarówek. Potrafisz czytać w myślach?

— Dobrze pan wie, że nie potrafię. Wątpię, czy rzeczywiście ktoś to naprawdę umie.

— Mimo wszystko spróbuj odczytać — rozkazał generał. — Tak jest.

— Nie śmieję się, bo wcale mi nie do śmiechu.

— Mnie oni także się nie podobają — oświadczyłem.

— Uważaj, żeby po ciemku coś ci nie spadło na głowę. Zameldują potem, że przyjechali głupki z Moskwy, poleżli gdzie nie trzeba i dach się na nich zawalił.

— Nie są aż do tego stopnia wystraszeni — stwierdziłem — Gdyby były w nich aż tak silne uczucia, strach i nienawiść, na pewno bym je wyczuł.

— Daj Boże. Nie jesteś głodny?

— Nie mam zamiaru jeść z nimi śniadania. Dobrze pan zna Owsiepiana?

— Myślę, że czuje się tu obco. Tak więc mogę mu zaufać. Jest mi potrzebny, ponieważ zna

położenie wszystkich obiektów.

— Dopuszcza pan możliwość, że są tu gdzieś zapomniane bomby?

— To była baza raketowa. Wykluczone, aby zapomnieli o bombach. Lecz, choć to mało prawdopodobne, mogła tu gdzieś się zawieruszyć głowica nuklearna. Jeszcze trzy lata temu znajdowały się w gotowości bojowej. Ale nie wierzę w to.

— Gdzie się znajdujemy? — spytałem.

— Nawet jeśli pokażę ci dane i tak się nie zorientujesz.

— Jak pan uważa.

Nie ufał mi. Tak czy owak, byłem dla niego obcy. Jeśli trzeba mnie będzie zlikwidować dla dobrej sprawy, zrobi to bez mrugnięcia okiem.

Ruszyliśmy z powrotem i prędko wyszliśmy na polanę. Zastaliśmy tam tylko Owsiepiana, który siedział na głazie i palił papierosa, wydmuchując z lubością kłęby dymu. Sądząc po rodzaju głazu, zauważyłem w myśli, znajdujemy się gdzieś na północ od Moskwy, w strefie podbiegunowej.

Mercedes stał przy bramie. Widziałem przez okienko, jak siedzący w środku szofer i ochroniarz o czymś spokojnie rozmawiają.

Kiedy wreszcie przywiozą te cholerne żarówki?! Ci także powinni byli jechać! W chwili, gdy owa myśl przebiegła mi przez głowę, dał się słyszeć ryk mocno forsowanego silnika, co oznaczało, że wracał łazik. Trzy minuty później minął bramę. Wyskoczył z niego pułkownik, całą swoją postawą wyrażający chęć usłużenia znakomitym gościom. Za nim szedł chwiejnym krokiem major Chromy, niosący sporą torbę.

— I stanie się światłość! — oznajmił Owsiepian z twardym, kaukaskim akcentem.

Myślałem, że był raczej moskiewskim Ormianinem. Gruzini jednak zawsze mówią z lekkim akcentem, nawet jeśli spędzili większość życia w stolicy, podobnie jak inni cudzoziemcy — chociażby Anglicy. Ludzie z ormiańskiej diaspory natomiast mówią czysto, podobnie jak Buriaci.

Znowu zeszliśmy w dół całą szóstką. Nasza trójka i tamci z uzbrojonym ochroniarzem.

— Zrób to, Sasza! — rozkazał pułkownik żołnierzowi, zapewne pragnąc zachować resztki oficerskiej godności.

Ochroniarz wspiał się na palcach i wkręcił żarówkę. Nie zapaliła się.

— Pewnie trzeba wcisnąć włącznik — stwierdził wujek Misza.

— Sasza! — nakazał pułkownik.

Żołnierz zniknął w ciemności i po chwili żarówka się rozjarzyła.

— A tak pan narzekał — zauważył z wyrzutem Szauro.

— Nie narzekałem — sprzeciwił się wujek Misza — tylko zadawałem pytania. Winda działa?

— A jakże! — zawołał pułkownik. — Wszystko w jak najlepszym porządku, sprzęt był konserwowany. Tylko o żarówkach zapomnieliśmy.

Domyślałem się, że pułkownik żywił w sercu naiwną nadzieję, iż kiedy przyjezdny inspektor ujrzy przepaloną lampkę, zaklnie tylko i pójdzie na śniadanie, na czym inspekcja się zakończy, tak jak się kończyła w poprzednich przypadkach.

Zjechaliśmy windą dzieląc się na dwie grupy, gdyż wszyscy nie mogliśmy się zmieścić. Na dolnym poziomie trzeba było wkręcić jeszcze jedną żarówkę. Dalej jednak, o dziwo, wszystkie żarówki były na swoich miejscach, a zatem nie dobrali się do nich złodzieje ani bandyci. Leniwych macie złodziei, towarzysze!

Wszędzie panowała zapuszczona, zasnuta kurzem i pajęczynami pustka. To samo w pokojach

służbowych, gdzie ocalały resztki mebli i stare komputery. Pułkownik zaczął mówić, że trzeba byłoby to wydobyć na powierzchnię, ale brakuje środków na zakończenie demontażu. Wujek Misza i Owsie — pian wiedzieli, dokąd iść i na co patrzeć. Okazało się, że cała podziemna struktura nie składała się jedynie z szybów, z których wystawałyby drapieżnie żądła raket dalekiego zasięga. Niemało państwowych pieniędzy musiało pójść na budowę tego podziemnego miasteczka.

Owsie pian najaktywniej ze wszystkich zaglądał we wszystkie kąty i ciągle wypytywał: gdzie jest to, a gdzie tamto? Wujek Misza uważnie słuchał odpowiedzi, podobnie zresztą jak ja, starałem się bowiem wnikać w podteksty ich wypowiedzi. Kłamią, czy nie kłamią?

Jeśli jednak z początku były z tamtej strony jakieś uprzedzenia, to już wszystko się uspokoiło. Przyczyna usunięcia żarówek pozostawała wciąż niepojęta. Z tego, co wywnioskowałem na podstawie pytań Owsie pian, czegoś tam brakowało, coś wynieśli, legalnie albo i nie, trudno powiedzieć. Wszystko to jednak nie były żadne poważne przewinienia, jedynie drobne kręctwa, toteż nasz pułkownik wysłuchiwał odpowiedzi ze spokojem.

W mętym świetle lampek ujrzałem przebiegającą polną mysz. Ciekawe, jak się tutaj dostała? Czyżby przegryzła beton?

Dotarliśmy do drugiej windy. Pułkownik uśmiechał się z pozornym spokojem.

— Oto wszystko — oznajmił. — Teraz chyba już pora na obiad.

— Na pewno wszystko? — zapytał wujek Misza.

— Wszystko, wszystko!

Pułkownika Szauro znowu ogarnął strach, który mocno mną wstrząsnął. Zaczął się pocić.

— Nie ma już więcej pomieszczeń? — indagował generał, zerkając na Owsie pian, który nie oczekiwał tego pytania i zamierzał już wejść do windy.

— Może jeszcze jakieś są — powiedział po namyśle, marszcząc czoło i starając się sobie uzmysłwić, czy czegoś nie przeoczyli. W zasadzie niewiele mu zależało na tym, czy coś znajdą. Nawet nie spoglądał już na mapkę, chociaż usiłował sprawiać takie wrażenie. Niby odpowiadał na pytanie zwierzchnika, lecz myślami był wyraźnie gdzie indziej.

— Pokaż mi plan — polecił generał.

— Wszystko już zobaczyliśmy, jak Boga kocham, wszystko — jęczał mały pułkownik.

Wujek Misza przytknął schemat do betonowej ściany, wygładził dłońmi i uważnie się mu przyjrząwszy, zapytał:

— Jesteśmy w tym miejscu?

— Chyba tak — niepewnie odparł Szauro.

— Tutaj? — spytał niecierpliwie generał drugiego pułkownika.

— Tak — potwierdził Owsie pian.

Przyglądał się mapce pochylony, jakby zapomniał wziąć okulary.

— A to co? — zadał pytanie Misza.

Stałem z boku i nie wszystko mogłem widzieć. Wyczuwałem tylko przez skórę zmianę uczuć i myśli kłębiących się wokół.

— Pytam, co to jest?

Owsie pian zawrzał gniewem, jakby Szauro go czymś obraził.

— Pytamy was, co tam jest? — zakrzyczał. — Odpowiedzcie wreszcie!

— Gdzie? Tutaj? Hej, majorze — zwrócił się pułkownik do Chrome go — towarzyszy interesuje, co jest w twoim rejonie.

— Wie pan — płaczkliwie odparł officer — że to jeszcze zamurowali za czasów Jazowa. Coś tam się zawaliło i zamurowali.

— Pokażcie nam — rozkazał wujek Misza.

— Co pokazać? — zapytał major.

Głupiec nad głupcami. Zawsze najbardziej przerażają mnie głupcy, którzy na pierwszy rzut oka wcale się nimi nie wydają.

— W którym miejscu zamurowali?

— Macie nieaktualne plany — zauważył Szauro. — Niech mu pan powie, pułkownikowi Owsiepian, że plany są przestarzałe.

— Innych nie ma! — odciął się nasz pułkownik. — Cóż to za samowola!

Najwidoczniej spanikował i teraz bał się o własną skórę: specjalnie przysłali go z Moskwy po to, żeby cały czas myślał o śniadanku?

— Chodźcie, pokażę wam — rzekł w końcu Szauro. — Sami się przekonacie.

Poszliśmy korytarzem. Wujek Misza trzymał plan w ten sposób, żeby ciągle mieć przed oczami właściwą część podziemia.

— Stop! — zawołał nieoczekiwanie. — To tutaj! Jedyna lampka oświetlała tę część korytarza, pogrążony częściowo w półmroku ślepy zaułek.

— Widzicie, tutaj był kładziony tynk — objaśniał pułkownik Szauro. — Niech pan zastuka.

Wujek Misza posłusznie zastukał końcami palców. Rozległ się głuchy stuk — wyczuwałem, że nie jest to ściana nośna.

— Powinno to być uwzględnione w dokumentach — oświadczył major. — Pokażę wam, jeśli chcecie, kosztorys.

— Jaki kosztorys! — zakrzyczał pułkownik Szauro. — To przecież dawno było! Chyba pięć lat temu, ja jeszcze tutaj nie pracowałem. Nikogo z nas nie było.

— Ja byłem — odparł Chromy. — Przy mnie to zamurowali. Wtedy zarządzał okręgiem Iwanienko i on podpisał zlecenie. Pamiętam wszystkie niezwykle zdarzenia. Przyjeżdżali ze sztabu okręgu, straszili, że zawał może zagrozić tunelom, geolodzy brali próbki. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

— Widzi pan — powiedział Szauro do wujka Miszy. — A pan zaraz coś sugerował...

— Niczego nie sugerowałem — odparł ponuro generał. — Nie należy jednak zapominać o takich rzeczach podczas inspekcji.

— To prawda — zgodził się Szauro.

Sam nie wiedział, jak okazać swą cześć wujkowi Miszy, więc kolejne zdania zdawał się mieć na końcu języka.

— To już wszystko? — chciał wiedzieć Misza.

— Wszystko — odpowiedział Owsiepian, zadowolony, że szef znowu zwrócił się do niego.

— No to chodźmy — zdecydował generał z miną kogoś niezadowolonego.

Wszyscy ruszyli ku wyjściu, gdyż czuli się przygnębieni półmrokiem i pustką podziemia. Wujek Misza pozostał ze mną w tyle, czego nikt nie zauważył.

— I co o tym myślisz? — zapytał tak cicho, żeby nikt nas nie podsłuchał.

— Nie wierzę im.

— Ja także. Musisz zostać w tyle i przyjrzeć się dokładnie wszystkiemu.

— Dobrze — zgodziłem się. — Może coś wymyślę.

— Spróbuj — polecił generał. — Bo nie wiem, co jeszcze można zrobić.

Jego szczerość sprawiła mi satysfakcję. Wujek Misza nieczęsto przyznawał się do porażki.

— Nie zostawajcie w tyle! — zawołał pułkownik Szauro.

— Przez waszą opieszałość, będą musieli piąty raz wszystko odgrzewać. Specjalnie dla was grzybki zbieraliśmy...

— Tutaj rosną grzyby?

— Jak się trochę pochodzi po całej bazie — oznajmił major — nazbierać można cały koszyk prawdziwków. Lecz nie ma komu zbierać. Mieszkańcy wioski tu nie przychodzą, a dla nas za daleko. Pułkownik nie daje samochodu.

— Chętnie bym został, żeby nazbierać grzybów — zaproponowałem.

— Lubi pan grzybki? — spytał major. — Zorganizujemy je dla pana. Mamy solone, marynowane, a ostatnio Klaudia trochę ususzyła.

— Sam lubię zbierać — powiedziałem. — Bardzo lubię.

Kiepski ze mnie kłamca. Słuchałem sam siebie i stwierdziłem, jak nieprzekonująco brzmi głos tego młodego szpiega —

— A skoro życzy pan sobie świeże — odpowiedział pułkownik Szauro — to moja żona dzisiaj o świcie zbierała, więc damy panu koszyczek.

— Wspaniale — przerwał wujek Misza moje dalsze nieudolne próby oddalenia się od grupy pod grzybowym pretekstem

— Dziękujemy za życzliwość.

Wsiedliśmy do samochodów, ja znowu u boku majora. Był w świetnym nastroju — niebezpieczeństwo minęło!

* * *

Rzeczywiście czekały na nas wykończone niekończącym się odgrzewaniem potraw i częstym podbieganiem do okna jadą już, czy nie jadą? — żony oficerów. Specjalnie dla mnie przywieźli jakąś młodziutką kuzynkę. Oprócz naszych wojskowych pojawił się jeszcze maleńki oficer polityczny, podpułkownik, przypominający trochę Suworowa, piszącego akurat *Sztukę zwycięzania*. Wujek Misza nie sprzeciwiał się temu, całkowicie poddał się sytuacji.

Dom, w którym mieszkały oficerskie rodziny, znajdował się na skraju wioski Maksimowka, na wysokim brzegu rzeczki, z którego rozpościerał się widok na bezkresną północną dal.

Po pierwszym toaście zwróciłem się do Chromego:

— Muszę wyjść na zewnątrz.

— Po co? Mamy tu wszelkie wygody.

— Chcę sfotografować ten przepiękny widok.

— Czy naprawdę warto? Chromy nie chciał łatwo ustąpić.

— Dokąd idziesz? — usłyszałem pytanie Miszy.

— Zrobić zdjęcie.

— Garik jest naszym najlepszym fotografem — oznajmił wujek Misza.

Major dogonił mnie przy drzwiach.

— A gdzie masz aparat?

— W samochodzie.

— Pójdę z tobą — zaferował, przechodząc po przyjacielsku na ty.

— Nie odejdę daleko — zapewniłem.

Rozmawialiśmy niegłośno, ale i tak byliśmy słyszani, pomimo gwaru, czynionego przez wesołego po paru kieliszkach Owsiepiana i kobiety, uradowane, że ich oczekiwanie na gości nareszcie się skończyło, a kulinarne wysiłki nie poszły na marne. Słuchał nas wujek Misza, uśmiechając się do żony Chromego, a pułkownik Szauro także nadstawiał ucha.

— Zaprowadź gościa — rozkazał, a raczej poprosił ten ostatni.

— Właśnie to robię — odparł Chromy i ruszył ku drzwiom.

Biesiadowaliśmy na drugim piętrze koszarowego budynku, podzielonym na kwatery. Wyszedłem na szeroką, świeżo pomalowaną klatkę schodową o pobielonych sufitach w stylu zamożnej burżuazji.

Łazik stał w pobliżu, obok niego zaś w cieniu świerka siedział w kucki kierowca. Tak uczą kucać więźniów w łagrach, ale wojskowi także potrafią siadać w ten sposób, kiedy nie mają na czym.

— Otwórz samochód — powiedziałem do szofera. — Muszę wziąć torbę.

— Tam nie ma żadnej torby — odparł kierowca.

— Jak to nie ma? Zostawiłem w samochodzie. Miałem w niej aparat...

— U nas nic nie ginie — oświadczył Chromy.

Otworzył drzwiczki auta i zajrzał do środka. Zad miał szeroki, niczym zażywna kucharka.

— Nie ma — powiedział.

Kierowca wstał i podszedł do auta.

— Mówiłem przecież, że nie ma. Chyba bym ją zauważył?

Przyłączył się do poszukiwań, lecz na próżno. Mojej torby nigdzie nie było.

— Wsiadł pan do samochodu bez torby — stwierdził kierowca. Był już niemłody i zwracał się do mnie surowym tonem, jakby strofował sprawiającego trudności nastolatka.

— Na pewno bym to zauważył.

— Więc gdzie ją mogłem zostawić? — zapytałem. — Miałem w niej zagraniczny aparat.

— Nie bój się, nie zginie! — warknął Chromy bardzo nie — przyjaźnie.

— Może w ogóle przyleciał pan bez niej? — zasugerował kierowca.

— Chwalił się pan dobrą pamięcią — odparłem z wyrzutem — a nie pamięta, że wyjmowałem z torby różne rzeczy.

Nie sprecyzowałem, o co chodzi, lecz mówiłem z przekonaniem.

— To twoja sprawa, co wyjmowałeś — rzekł szofer.

— Widocznie zostawiłem ją w podziemiach — stwierdziłem.

— Tego jeszcze brakowało! — zdenerwował się Chromy.

— Proszę mi pozwolić tam pojechać — poprosiłem. — Mogę skorzystać z łazika?

— Jak to „skorzystać”? — zapytał major.

— Obróć nim szybko...

— A kto cię tam wpuści? — spytał ironicznie oficer. — Twoja babcia?

— Niech pan przekaże szoferowi hasło, czy co tam trzeba, żeby podał je strażnikowi.

— Byłeś w wojsku?

— A dlaczego nie wolno mi tam pojechać?

— No dobrze — powiedział major, wzdychając. — Muszę przekazać sprawę pułkownikowi, niech on zdecyduje.

Zostałem na dole w dużym rozstroju duchowym, nie chciałem bowiem stracić torby. Wydawało mi się, że majora nie było pół godziny, bo zmarzłem tymczasem. Wreszcie wrócił z ponurym wyrazem twarzy.

— Ja sam pojedę z szoferem — oświadczył — a ty wracaj do stołu.

— Nie ma sprawy — odpowiedziałem — nie jestem zmęczony. Szybko razem obrócimy tam i z powrotem.

Mogłem uprzeć się, żeby został. W końcu różne rzeczy można wmówić zastraszonemu wojskowemu. Pomyślałem jednak, że z pewnością mi będzie wejść do podziemi razem z Chromym, trzeba przecież będzie przekonać strażnika, zjechać na dół... Udało mi się sprawić, że poczuł zmieszanie i zamęt w myślach. Wpatrywał się we mnie tępym wzrokiem, kiedy siadałem obok niego na tylnym siedzeniu.

— Jedźmy — powiedziałem do kierowcy, który także wsiadł do samochodu, ale niczego nie zrobił.

Szofer odwrócił się w stronę majora, który zagapił się w niego, a potem nacisnął czapkę na czoło i rzekł:

— Dostałeś rozkaz!

— Z wami nigdy nic nie wiadomo — stwierdził kierowca.

Droga była niedaleka, ale nie zamierzałem dać majorowi możliwości opamiętania się i zastanowienia się nad tym, dlaczego chcę wracać do podziemnych tuneli.

— A pan nie fotografuje? — zapytałem.

Odpowiedział mi ogłupiałym spojrzeniem.

— Macie tu takie piękne plenery — podjąłem. — To byłaby prawdziwa przyjemność robić tutaj zdjęcia. Na pańskim miejscu kupiłbym też kamerę wideo.

— A po jaką cholere? — zapytał Chromy.

— To nie taka droga rzecz — przekonywałem. — Ma pan przecież dwoje dzieci, które mogłyby filmować na pamiątkę. Jak wrócimy, muszę koniecznie zrobić im zdjęcia. Potem przyślę wywołane. Nie trzeba dziękować, to tylko z poczucia wdzięczności za miłą gościnę.

Kierowcy nie podobała się nasza rozmowa, wyczuwałem to po ruchach jego głowy.

— Słuchaj pan — zwrócił się nagle do majora bardzo nieregularnie — przecież wartownik już zdjęty, sam słyszałem, że pułkownik miał zamiar go zwolnić.

— Uważaj, co gadasz! — rozzłościł się oficer. — Jeszcze nie dojechaliśmy.

W tej samej chwili zobaczyliśmy strażnika, który zjawił się jak na zawołanie kierowcy. Wlókł się mokrą, szarą dróżką, przeskakując kałuże i rozpadliny, idąc nam na spotkanie. Gdybyśmy wyjechali nieco później, tym trudniej byłoby odzyskać moją torbę.

— Wsiadaj — krzyknął kierowca. — Jedziemy do ciebie w gości. Klucze masz przy sobie?

— Idę na obiad — oznajmił wartownik, chociaż nie nadeszła jeszcze pora obiadowa.

„Nieźle rozpuszczonych ma pan ludzi, majorze” — chciałem rzec, lecz oczywiście tego nie powiedziałem. Chromy nie powinien się mnie obawiać.

— Siadaj z nami — rozkazał oficer. — Ile razy można ci powtarzać? Nasz gość zostawił sprzęt w podziemiach.

— Jaki znowu sprzęt? — zapytał młody żołnierz, z okrągłą różowawą i głupawą twarzą.

Chyba wziął mnie za szpiega.

— Aparat fotograficzny — wyjaśniłem.

Kiedy stanęliśmy przed bramą, strażnik wydawał groźne pomruki niczym rozdrażniony niedźwiedź.

Ciekaw byłem, czy zdążyli tymczasem wykręcić ponownie żarówki? Nie, raczej nie.

— Proszę tutaj poczekać — zwróciłem się do strażnika, kiedy otworzył drzwi do bunkra. — Ja tylko na minutkę.

Major, naturalnie, nie miał zamiaru puszczać mnie samego.

— Tak nie wolno, Garik — powiedział. Najwidoczniej podsłuchiwał, jak mnie nazywał mój generał.

— Skoro nie wolno, pójdziemy razem — oświadczyłem. — Po odjeździe naszej grupy zdążyliście już tu coś narozrabiać?

— Narozrabiać? — powtórzył nachmurzony major. Kiedy zjechaliśmy winda na niższe piętro, zapytał:

— Pamiętasz chociaż, gdzie ją posiałeś?

— A szliśmy tędy?

Już był w moich rękach. Otumanić jednego majora, niepewnego siebie, rozstrojonego nerwowo, który dla kurażu spożył uprzednio trzysta gramów alkoholu, było dla mnie dziecinną igraszką.

— Dokąd jeszcze mamy iść? — spytał Chromy.

Wyteż teraz całą swą moc, kosmiczny potworze, Gariku Gagarinie! Przeprowadzimy klasyczne przesłuchanie podejrzanego majora.

— Spójrz na mnie — nakazałem.

Zdażyłem już wypatrzeć moją torbę, którą godzinę temu zręcznie porzuciłem za przewróconym krzesłem.

Chromy patrzył na mnie z pełną gotowością, ponieważ wydawało mu się, że usłyszał głos swego dowódcy. Teraz go także zobaczył i próbował zrozumieć, co on robi.

— Towarzyszu pułkowniku!

— Ani słowa — osadziłem go natychmiast. — Ten przyjezdny fotograf mógł coś zauważyć?

— Nie dopuściłem go nazbyt blisko — odparł major z satysfakcją.

— Nie dopuściłeś? — powtórzyłem zjadliwie. — A gdzie go, mój drogi, zostawiłeś?

— On... gdzieś tutaj jest — odrzekł, rozglądając się niespokojnie.

— Nie ma co się oglądać, na pewno już tam jest — powiedziałem.

Chromy poszedł od razu w stronę, gdzie zapewne była bomba.

— Zaczekaj — podjąłem — najpierw pójdziemy go poszukać. Chyba nie chcesz, żeby twoje dzieci zostały sierotami?

— Dlaczego?

— Dlatego, że te łobuzy przyleciały specjalnym rejssem. Zapomniałeś? Z Owsiepianiem. Wszystko jasne? Nie odczepią się od nas. Zabicie ich nic nie da.

— Chciałem ich tylko postraszyć — odparł skruszony major.

— Otóż to, sam widzisz.

Był w trudnej sytuacji. O kilka kroków stał przed nim ulubiony albo i nie lubiany, dowódca. Mam talent hipnotyzera i potrafię wpływać na innych, lecz, po pierwsze, jestem w zasadzie amatorem, nigdy bowiem nie nauczyłem się robić tego profesjonalnie, a po drugie, zawsze mam skrupuły: jakie

— mam prawo włączyć zabłoconymi buciorami w umysł drugiego człowieka? Czy ja jestem faszysta albo jakiś Sudopłatow z NKWD?

— Niczego nie wywęszy? — zapytał „mój” Szauro.

— A co ma wywęszyć?

W umyśle Chromego walczyły właśnie o lepsze strach, ostrożność i pragnienie zaufania zwierzchnikowi.

— Sam dobrze wiesz, co! — rozsierdził się dowódca. — Wolałbym, żebyś nie gadał za dużo!

Boję się, że ściana jest tu cienka!

— Oszalałeś! Stawialiśmy trzy rzędy cegieł!

— Chodźmy sprawdzić. Nie podoba mi się to wszystko.

Poszedł w stronę ślepego zaułka, który kończył się zamurowanym pomieszczeniem. Schyliłem się, by podnieść torbę i chwilowo straciłem nad nim kontrolę. Kiedy się wyprostowałem, przywarł plecami do ściany. Naprawdę się przestraszył.

— Chodźmy, chodźmy już — powiedziałem, ujmując go za łokieć, ponieważ kontakt fizyczny wzmacniał moją iluzję.

Chromy dał się posłusznie doprowadzić do ściany. Mamrotał coś niewyraźnie pod nosem, lecz znaczenie tego bełkotu było dość jasne.

— Ty, co... nie rozumiem, kim jesteś i jak się tu znalazłeś, co mam robić, może byś chociaż wyjaśnił...

— To tutaj? — zapytałem, nie puszczając jego łokcia.

— Nie wiesz tego? — w pytaniu kryła się wątpliwość.

— Co wiem, to wiem, nie twoja sprawa. A z tamtej strony mur jest także solidny?

Zakładałem, że skoro ta część podziemia została zamurowana, to nie ma tutaj żadnego wejścia. Skoro coś zamurowano i ukrywano to przed Moskwą, musiała to być rzeczywiście ważna tajemnica. Cóż to jednak za tajemnica, skoro nie ma się do niej samemu dostępu. Pomyślałem, że może być jakieś wejście z drugiej strony. W tej chwili obawiałem się zadawać zbyt proste pytania, na które Szauro na pewno znał odpowiedź. Źle zadane pytanie mogło wszystko zepsuć.

— Sam wiesz — odparł Chromy.

Szarpnął ręką, starając się oswobodzić łokieć. W chwili natchnienia zadałem całkiem szalone pytanie:

— A ludzi stamtąd zabrałeś?

— Jakich ludzi?

Staliśmy u samej ściany. Czulem, że po drugiej stronie ktoś jest. Jak potwór zamknięty w jamie... Wyczuwałem czyjaś obecność. Nie mogłem się jednak rozdzielić! Przeniosłem swą uwagę na to, co się dzieje za ścianą...

Chromy wyrwał łokieć z uścisku i odskoczył ode mnie.

— Stój!

Rzuciłem się szybko za nim. Będąc w całkowitej panice, major popędził korytarzem, minął windę i zaczął wspinać się do góry po kręconych, żelaznych schodach. Goniłem go, ponieważ nie należało go tak zostawiać samemu sobie. Diabli wiedzą, jak tutaj jest wszystko zorganizowane...

Wjechałem na górę windą, ale nie zdołałem go dopaść. Był człowiekiem niemłodym, ociężałym i nie wytrenowanym, a jednak pędził jak spłoszony zając. Wyskoczył na zewnątrz bunkra i zaczął napierać na drzwi, starając się zamknąć mnie w środku. Nie był sobą w tej chwili, inaczej

pomyślałby o możliwych konsekwencjach dla swojej wojskowej kariery. Podczas gdy napierałem na drzwi od swojej strony, tamten wrzeszczał do żołnierzy.

— Chodźcie, trzeba go zamknąć! Wróg, wróg!

„Dlaczego zaraz: wróg? — pomyślałem. — Nie mógł wymyślić czegoś lepszego?”

Szczelina w drzwiach ciągle się poszerzała, nie mogłem mi dać rady. Wtedy ujrzałem, jak pojawiła się w niej dłoń dzierząca pistolet. Major kompletnie zwariował! Oskoczyłem pod ścianę w chwili, gdy pistolet zaczął pluć ogniem. Rozległy się wystrzały i usłyszałem dziwny dźwięk, jaki wydają kule, uderzające o betonową ścianę.

Potem usłyszałem kilka niewyraźnych głosów z zewnątrz i podwoje do bunkra, zdolne przetrzymać atak atomowy, zawarły się całkiem. Stałem się więźniem podziemi, hrabią Monte Christo albo Żelazną Maską.

Zapadła cisza. Nigdy nie sądziłem, że może istnieć cisza tak absolutna.

Co za głupiec. To określenie odnosiło się zarówno do mnie, jaki do majora. Duet głupców. Ja byłem głupi, że wpadłem, on natomiast, że się zdemaskował.

Ciekawe, jakiego stwora tam ukrywają?

Cóż, trzeba pójść i jeszcze raz obejrzeć ścianę. Na co tracie czas po próżnicy? Miejmy nadzieję, że nie otworzą teraz śluzy, żeby mnie zalać i utopić. Wyglądałoby to jak scena z amerykańskiego hitu filmowego. A może rozpoczną polowanie na mnie? Co tam mają? Tylko jednego kałasznikowa. To za mało, żeby mnie dopaść. Trzech ludzi...

Nie odważyli się jednak mnie tropić. Major Chromy nie okazał się wojowniczym wodzem i zwyczajnie stchórzył. Pomknął do Maksimowki naradzić się z pułkownikiem.

Wybrali trzecie wyjście, które zresztą nie wykluczało wypadu do pułkownika.

Brzdęk! Zgasło światło. W końcu nie jestem kretem, żeby swobodnie poruszać się w egipskich ciemnościach. Miałem nadzieję, że na zewnątrz nie ma wyłącznika, okazało się, że jednak jest. Na szczęście mam nie najgorszą pamięć przestrzenną. Zmrużyłem oczy, żeby przyzwyczaić je do ciemności, i ruszyłem w drogę ku wiadomej ścianie.

Dotarłem do niej w ciągu dziesięciu minut, włączając w to zejście po kręconych schodach cztery piętra w dół. W końcu przywarłem do betonowej ściany, za którą moje wrażliwe zmysły wyczuwały puls jakiejś biologicznej egzystencji. Tylko osoby niezbyt mądre mogły mi nie uwierzyć, ale kto słuchałby ich zdania?

Przesunąłem się w dół ściany, ostukując ją ciągle i starając się wychwycić fale, emanujące od owej formy istnienia. Major w gruncie rzeczy przyznał, że w bunkrze jest drugie wejście. Trzeba się przebić do środka. Zajęło mi to dalszych piętnaście minut.

Działając bez żadnej pomocy, połamane paznokcie. Mogę się wprawdzie skoncentrować, by uderzyć w dany punkt w odpowiednim momencie, ale przydałoby się jednak mieć jakieś narzędzie albo ładunek wybuchowy. Dłonie są dobre do grania na fortepianie, a nie do przebijania ceglanych ścian. Na moje szczęście stawiali ją dość tandetnie jacyś bumelanci, którzy wszystko potrafią spartolić. Zdołałem metodycznie rozebrać najsłabszą część ściany i mogłem precyzyjnie się między przerdzewiałymi prętami i bryłami rozkruszonego betonu.

Przezołgałem się na drugą stronę do tajemniczej komnaty Tam również panowała ciemność, ale nie tak całkowita jak w reszcie bunkra. Kiedy przeszedłem po omacku mniej więcej pięćdziesiąt metrów, ujrzałem w oddali światełko nagiej żarówki. Podwoilem ostrożność — mogła tam na mnie czyhać jakaś niebezpieczna zasadzka...

Usłyszałem przed sobą głosy, przytłumione przez niski sufit. Rozległ się jakiś brzęczyk. Znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu, zastawionym skrzynkami, za którymi mogłem się bezpiecznie ukryć. Wyjrzałem zza ostatniego stosu.

Przy marnym świetle gołych żarówek kilku ludzi zdejmowało jednakowe butelki z wolno sunącej taśmy i umieszczało je w skrzynkach. Sięgnąłem do najbliższej i wydobyłem butelkę wódki „Maksimowka”. Etykieta przedstawiała nagą kobietę w wannie, dzieło miejscowego artysty, Piastowa. Oczywiście, można to wszystko zbyć śmiechem, a jednak ta podziemna gorzelnia była źródłem kolosalnych dochodów, a zatem wystarczającym powodem, aby rozprawić się z niejakim Garikiem i generałem po cywilnemu, a potem zapłacić haracz za ich śmierć w zaprzyjaźnionej prokuraturze według obowiązującego kursu.

Zapewne taka sama myśl kierowała dzielnym wujkiem Misza, który w tym momencie mnie odnalazł. Towarzyszył mu pułkownik Owsiepian, powtarzający bez przerwy:

— Nie mam pojęcia... Nie mam pojęcia, jak mogłem to przeoczyć...

Domyśliłem się tymczasem, że dlatego go tutaj z nami wysłali, bo zarząd miał nadzieję, iż wyjaśni się jego rola w tej całej sprawie — kto był parasolem dla Szauro, dla jego mercedesa i wielkich wpływów w całym rejonie. Wujek Misza najwyraźniej zgadzał się z moją diagnozą:

— Najprościej byłoby dla nich rozprawić się z nami. Dwa trupy w tę, czy w tę, w tak ogromnym kraju, co za różnica?

— A ja? — zapytał Owsiepian.

— Z panem trudniejsza sprawa — gniewnie odparł generał — ale także by musieli pana sprzątnąć. Za dużo pan wiedział. Jak w starym szpiegowskim filmie.

— Też tak myślę — zgodził się ze smutkiem Owsiepian, muskając koniuszkami palców rękaw marynarki generała.

— Jestem jednak panu bardzo wdzięczny — powiedział wujek Misza, chyba w dużym stopniu szczerze. — Tak się pan przestraszył, kiedy nasz młody przyjaciel pojechał na poszukiwanie swojej torby, że zaraz zrozumiałem, iż musi być panu znana tajemnica podziemi.

— Właśnie zamierzałem panu powiedzieć — zapewnił tamten pospiesznie. — Kiedy tylko pan zapytał... przecież niczego nie ukrywałem?

— Lepiej późno niż wcale.

— I lepiej wejść drzwiami niż przebijać się przez betonową ścianę — dodałem.

— Bez ciebie byłoby mi trudniej odnaleźć tę nielegalną gorzelnię — oznajmił wujek Misza.

W tej chwili zrozumiałem, że moja rola w całej tej operacji była na tyle mało znacząca, że można ją było z powodzeniem pominąć. Generał był jednak wielkodusznym człowiekiem, który potrafił złożyć podziękowania nawet człowieczkowi, który odegrał rolę przynęty.

Robotnicy o wschodnim wyglądzie dosyć się zdziwili, gdy ujrzeli wyłaniających się spomiędzy skrzynek trzech nieznanych ludzi, w tym ormiańskiego pułkownika, ale nie przestali pracować.

— Głupi Chromy palnął sobie w łeb — oświadczył wujek Misza. — Ta wpadka zepsuła im wszystkie plany.

— To straszne, po prostu okropne — skomentował Owsiepian.

Podszedł pierwszy do wartownika, który strzegł wejścia do tego skarbcza Ali Baby i rozkazał:

— Wypuść nas. — Tak jest!

Żołnierz poderwał się i nacisnął co trzeba, a wówczas wrota się przed nami rozwarły. Strażnik spoglądał za nami, podobnie jak robotnicy. Wyszliśmy na wysoki brzeg rzeki. Wyjąłem z torby aparat

i zrobiłem dwa udane zdjęcia.

— Pójdziemy prosto na lotnisko — zdecydował wujek Misza i dodał, zwracając się do Owsiepiana — a pan może zostać, jeśli to konieczne.

— To nie mój resort — odparł tamten uprzejmie. — Lepiej niech się nimi zajmie prokuratura wojskowa.

Musieliśmy przejść na lotnisko aż trzy kilometry, nikt jednak nas po drodze nie zatrzymywał ani nie niepokoił. W samolocie wujek Misza stwierdził:

— Może to i lepiej, że nie znaleźliśmy niczego.

Rozdział szósty

Ławrientij Beria

W świecie bez czasu nie ma samochodów, a ogień rozpała się ciężko i płonie tak marnie, jakby brakowało mu tlenu — zapewne tak jest w istocie.

Jeśli jesteś zwykłym człowiekiem, wędrujesz na piechotę, zwłaszcza że nikt się tutaj nie męczy, nikt nie głoduje ani nie odczuwa pragnienia, czy też potrzeby snu. W ciągu dwóch, trzech lat można obejść cały kontynent. Zdarzały się już takie próby tyle że nikt z owych wędrowców nie wrócił.

Czumaziła twierdziła, iż uważa się tutaj, jakoby Ziemia przestała być okrągła, lecz pływa niczym deszczułka po oceanie.

Wysoko postawione osoby, które istnieją nawet w Czyścicu, nie lubią poruszać się na własnych nogach. Mają dwa rodzaje transportu: furmanki albo karety, zaprzężone w cyklistów, oraz lektyki.

Ławrientij Pawłowicz miał packarda z lat 50. Z przodu siedział kierowca, dyrygujący czterema rowerzystami, a na tylnym siedzeniu rozpierał się konsul we własnej osobie, czasami zapraszając także potrzebnych mu ludzi, z którymi chciał zmawiać. Niekiedy jeździł z nim również ochroniarz. Cykliści wywodzili się z tajnych służb i byli uzbrojeni w kusze bojowe, toteż Ławrientij zabierał ze sobą ochroniarza tylko w skrajnie niebezpiecznych sytuacjach.

Tego dnia rowerzyści mieli powody do zmęczenia. Każdy by zawył z rozpacz, zmuszony do czterech kursów pomiędzy miastem a morskim wybrzeżem. Pedalowali bardzo ospale. Chociaż Berii, owładniętemu poczuciem urażonej dumy, typowym dla kogoś przegranego, ogromnie się spieszyło, rozumiał jednak, że nie wyciśnie już więcej ze swoich „rumaków” mimo iż byli jego najwierniejszymi współpracownikami.

W świecie bez czasu raczej trudno zmusić drugiego człowieka do zrobienia tego, na co nie ma ochoty, są jednak na to pewne metody. Wszyscy zachowali strach przed bólem, a właściwie pamięć o bólu, którą można przywołać. Wiedzieli o tym lepiej od innych współpracownicy Ławrientija, którzy uciekli tutaj ze strachu przed swymi byłymi kolegami i ofiarami. Nie wiadomo, kto wzbudzał w nich większy lęk. Chyba jednak swoi.

Bez wątpienia dla normalnych ludzi cztery podróże Berii w ciągu jednego dnia byłyby nieprawdopodobnym przedsięwzięciem. Któż jednak określił długość dnia w owym świecie? Przecież tutaj nigdy nie zapada noc ani nie wschodzi słońce. Skoro nie ma czasu, brak również temperatury, deszczu i śniegu, wiatru i obłoków. Gdyby Ławrientij woził ze sobą klepsydrę, mógłby obiektywnie stwierdzić, ile odcinków czasu minęło, jak gdyby mierzył poziom wody w wyschniętej rzece.

Sam Beria czuł się zmęczony, nie mogąc przerwać całego szeregu spraw, intryg, konfliktów i zmian personalnych. Wiedział jednak, że nie powinien odpuszczać, ponieważ każda porażka

wywoływała w jego niezwykłej osobowości, zamiast strachu i upadku sił, jeszcze większe pragnienie walki. Ktokolwiek by był jego wrogiem, i tak w końcu nie dorównywał mu w bezwzględności.

Obecnie był wielce rozczarowany swymi dotychczasowymi sojusznikami, którzy wykorzystali chwilę jego nieobecności, aby zagrozić mu drogę do tronu. Nie byli jednak bezwzględnymi ludźmi. Spodziewali się, że pogodzi się z sytuacją, zrozumie ją i będzie dalej z nimi współpracował, nie będąc najwyższym władcą, lecz zachowując przywileje drugiego po nim. Ci głupcy sądzą, że pokonali niewysokiego, tęgawego, łysego człowieka, który, cóż miał począć, odnalazł w tym świecie swój stary kapelusz i nosił go nadal, jak wtedy, kiedy stał podczas defilad na trybunie obok samego Wodza.

Cykliści dwukrotnie zatrzymywali się, by wypocząć. Beria nie poganiał ich, gdyż pojmował, że już się zużyli i potrzebują zmiany. Powiadają, że ponoć gdzieś na brzegu Zatoki Ryskiej działa ośrodek „Zdrowe Ciało”. Trzeba będzie to sprawdzić.

Myśli Berii pobiegły w innym kierunku, ku znacznie ważniejszym sprawom. Przede wszystkim, należało postanowić, w jaki sposób pozbyć się konsulów. Skoro ośmielili się zjednoczyć i jednogłośnie odrzucić jego kandydaturę, nie należy spodziewać się po nich w przyszłości niczego dobrego. Nie tylko go nienawidzą, ale też całkiem słusznie lękają. Spróbują go zabić przy pierwszej nadarżającej się sposobności. Lepiej nie mieć ich za plecami. Gdyby nie byli ślamazarami, zdolnymi tylko do gadania i przerzucania najgorszej roboty na jego barki, dawno by już go zabili. Znaleźliby podstawę do działania, gdyby nie to, że nie ma komu wykonać wyroku. Doprawdy: w całym państwie ani jednego kata! Ławrientij miał w ostateczności wśród swoich cyklistów aż trzech wykonawców.

Nie dokończył tej ważnej myśli, bo nagle się zreflektował: kto i dlaczego podsłuchiwał ich w restauracji „Nadmorska”? Ludzie stąd, czy z zewnątrz? Różnica mogła okazać się decydująca dla ich egzystencji. Musi się zająć dziewczyną. Nigdzie mu nie ucieknie. Najpierw należało uruchomić podstawowy mechanizm. Na szczęście los obdarował go naprawdę niezwykłym, wyjątkowymi agentami. Dopóki ma ich w rękach, dopóty jest z nimi bezpieczny. Niech tylko któryś z konsulów śmieli się podnieść na niego rękę! Czajanow wie o agentach, a tylko się domyśla, kim są naprawdę.

Zawsze cieszą takie atuty w dłoni. Warto żyć na świecie, dopóki można ciągle werbować i utrzymywać w posłuchu takich ludzi!

Należy uwzględnić wszystkie aspekty sprawy: kto go śledzi, kto go zdradził, kto ostatnio ma go na oku.

W żadnym wypadku nie należy pozostawiać pojazdu przed Klubem Szachowym.

Klub znajdował się w samym centrum Wyspy Jełagina, był więc niedostrzegalny z zewnątrz. Nad wejściem zachował się szyld: „CPK i O im. S. M. Kirowa”. Dla rdzennych mieszkańców Leningradu skrót ten był łatwy do rozszyfrowania, lecz dla przyjezdnych były to bez wątpienia egipskie hieroglify, dlatego wszyscy dobrze zorientowani nazywali park Wyspą Jełagina.

Beria wyskoczył z pojazdu i kazał cyklistom jechać dalej. Wiedzieli, dokąd.

Kładka nad potokiem była niebezpiecznie chwiejna. Gdzieniedzie deski wypadły i widać było bieżącą wodę poprzez szerokie dziury. W jednym miejscu Ławrientij musiał się zatrzymać i skoczyć do przodu. Udało mu się nie wpaść do wody. Nawet gdyby zdołał się wydobyć z toni, byłby przemoknięty do suchej nitki, a tutaj wszystko sennie tak wolno!

Skierował się ścieżką w głąb wyspy. Na dróżce walały się gałązki, strzępki papierów, przerdzewiałe puszki po konserwach, czyjaś zelówka i podarta zielona czapka. Tu i ówdzie na nagich

pninach przybite były kartonowe strzałki z napisem „KSZ”, co oznaczało „Klub Szachowy”.

Mieścił się na polanie pomiędzy pałacem Jełagina a kawiarnianym ogródkiem. Był to udeptyany trawnik z estradą, długimi ławkami i kilkoma stołami, najwidoczniej przyniesionymi z różnych stron parku albo nawet skądinąd. Tylko nie liczne były naprawdę stolikami szachowymi, lecz na wszystkich namalowano białe i czarne kwadraciki. Tak właśnie wyglądał Główny Klub Szachowy.

Nie było tu zbyt wielu ludzi. Ławrientij natrafił na przerwę między większymi turniejami, czego się zresztą spodziewał, bo często tu zachodził. Lubił obserwować graczy, lecz sam się nie przyłączał, nie chcąc przegrywać.

Szachiści w większości zasiadali przy stolikach, ale nie wszyscy. Niektórzy leżeli albo siedzieli na ziemi, inni przechadzali się, obserwując grę kolegów lub po prostu rozmawiając. Na uboczu, w pobliżu szubienicy z wisielcem, stali obecny mistrz świata Edek Mirzojan i główny sędzia federacji, a przy tym niezmienny szachowy oprawca, Chłopski. Ławrientij skierował swoje kroki w ich stronę.

Po drodze zatrzymał się przy stoliku, przy którym grali Majoranski i Liadow. Wykonywali błyskawiczne ruchy, co chwila sięgając ku zegarowi szachowemu, żeby zatrzymać bieg czasu. Zegar oczywiście nie funkcjonował. Byli tak pochłonięci końcówką rozgrywki, że w ogóle nie zauważyli Ławrientija. Ten ostatni nie chciał wcale zwracać na siebie ich uwagi, toteż podszedł w stronę szubienicy, żeby się rozmówić z czempionem i katem.

— Macie jakiś problem? — zapytał.

Nie przywitał się z nimi, ponieważ w owym świecie nie było przyjęte się witać. Tego rodzaju formy grzecznościowe także są zależne od biegu czasu. Skoro czas stoi w miejscu, nie istnieją w zasadzie prawdziwe rozstania ani ponowne spotkania.

— Trzeba go zdjąć — oświadczył Chłopski.

Był to bardzo wysoki mężczyzna, przypominający budową wrzeciono, toteż najszerszy był w biodrach. Przypominał także posągi faraonów egipskich z okresu zwyrodnienia dynastii: mała główka na zapadłej, wąskiej klatce piersiowej, okrągły brzusek, szeroki zadek i nogi zakończone małymi stopkami.

W szachy grał słabo, ale lubił grać i nie wyobrażał sobie życia bez tego. Wspinając się po szczeblach drabiny społecznej, doszedł na sam szczyt po to, żeby zająć wysoką pozycję w federacji szachowej. W poprzednim życiu doszedł do stanowiska wiceministra przemysłu paliwowego i członka federacji Moskiewskiej. Po upadku Chruszczowa stracił jednak plecy, toteż akurat tuż przed Nowym Rokiem pozbyto się go jak potrzebnego śmiecia. Kiedy znalazł się w świecie bez czasu, wrócił do federacji, którą w zasadzie zrekonstruował.

Oskar Chłopski był więc jednym z nielicznych mieszkańców Czyścica, którego w pełni zadowalała tutejsza egzystencja i który sądził, że mu się w życiu powiodło. Nie tylko został głównym sędzią federacji, ale miał też widoki na przyszłość, co najmniej na dwieście lat wprzód. Osobiście cenił Ławrentija Pawłowicza, uważając go za wiecznie zajętego swoimi sprawami kolegę, który także do czegoś tutaj doszedł. Dlatego też chętnie zaczął wyjaśniać czekaście, cóż tak zaniepokoiło elitę szachistów.

Powieszony w pobliżu szachowych stolików międzynarodowy mistrz Kremers od kilku dni zaczął dawać oznaki życia. Należało zdecydować, czy skazać go na dalszą mękę, jak wymagała ustawa stowarzyszenia szachistów, czy też okazać łaskę i próbować ożywić, bez żadnej nadziei, czyjego mózg nadal funkcjonuje. Bądź co bądź już prawie miesiąc wisiał nad estradą.

— Jakie są objawy? — spytał Ławrientij Pawłowicz.

— Niech pan się przyjrzy palcom — odparł mistrz Mirzojan.

Beria uczynił to i stwierdził, że czempion miał rację. Po mniej więcej minucie obserwacji dostrzegł lekkie drżenie zsiniałych palców wisielca.

— Powieki także mu drgają — zauważył Chłopski.

— Rozumiem — powiedział Beria.

Był to rzeczywiście poważny problem. Trudno zabić człowieka w świecie bez czasu, ponieważ zmienia się jego system odporności. Nieraz się zdarzało, że osobnicy powaleni serią z karabinu maszynowego lub uderzeniem ciężkiej pałki, jednak wracali po jakimś czasie do życia, jedni we własnym łóżku, inni w mogile. Od dawna więc przyjęło się pozostawić trupa na jakiś czas w kostnicy, aby się przekonać, czy aby na pewno umarł.

Jak jednak zatrzymać szachistę w domu? Szachista nie ma domu, żadnego dachu nad głową. Jest jednym z nielicznych tutaj ludzi, którzy mają cel w życiu, ma przyjaciół i wielbicieli, wrogów i rywali. Jego życie jest znacznie bogatsze niż innych mieszkańców getta. Szachista, który znalazł drogę do placu gry, pozostaje tu do końca, czyli ostatecznego przejścia do niebytu, do czego wiodą też różne drogi. Można na przykład przegrać turniej, w którym stawką jest twoje życie. Zazwyczaj takie turnieje kończą się czymś zejściem, zwłaszcza, gdy rozgrywka toczy się o tytuł czempiona. Ktoś powiedział już dawno temu, że pojedynki szachowe przypominają walki gladiatorów. Tutejsi szachiści potraktowali to stwierdzenie poważnie.

Edek Mirzojan w trakcie swej kariery pozbawił życia już sześciu mistrzów, co było swego rodzaju rekordem. Sam jednak nikogo nie zabijał, tylko z nimi wygrywał. Później wkraczali sędziowie.

Bardzo często na egzekucję niefortunnego pretendenta przychodziło więcej widzów niż na sam turniej. Część jednak przybywała na początek rozgrywki i zostawała do samej kaźni.

Pewnego razu Łarisa Reisner zażądała od Ławrientija Pawłowicza, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo mieszkańców stolicy, aby zabronił tych straszliwych pojedynków.

— Nie masz racji, Łariso — stwierdził Beria. — Walka o szachową koronę pochłania całą duszę człowieka, prawdziwy gracz myśli jedynie o zwycięstwie. Powiedz mi, czym możemy u nas nagrodzić czempiona? Na czym będą polegały jego sukces lub klęska?

— Mogą przecież grać od nowa.

— Bzdura. To było dobre, kiedy przyjeżdżali do nas gracze z innych krajów lub nawet kontynentów, zarabiali ogromne pieniądze i jedynym ich kłopotem było, na co je wydać. Na co jednak teraz zwycięzca może wydać honorarium? Na nowy koc, żeby wygodniej było mu leżeć koło stolika? Mają siebie nawzajem dosyć. Czyż nie jest dla nich największym szczęściem pozbyć się konkurenta za pomocą swego rozumu i talentu?

— Jest pan potworem, Ławrientiju Pawłowiczu — oświadczyła Łarisa.

— Raczej oni są potworami. Ja z nikim nie gram o życie.

Beria stał pod szubienicą i obserwował blade oznaki życia, objawiające się u Kremersa, który trochę już sobie wisiał.

— To może go przywrócimy życiu? — spytał w owej chwili Mirzojan.

— I natychmiast stracisz główną nagrodę — powiedział Chłopski. — Jestem za tym, żeby zawsze triumfowała historyczna sprawiedliwość.

— Ach, dosyć mam tego wszystkiego — oznajmił z westchnieniem Mirzojan, *vel* Diuka, jak zwali go koledzy.

— Pójdę po drabinę — zaproponował główny sędzia.

— Macie jakieś twórcze plany? — zapytał Beria. — Będziemy wkrótce świadkami nowych osiągnięć?

Mirzojan nie odpowiedział. Stał z podniesioną głową i wpatrywał się w oblicze powieszzonego rywala.

— Lubię obserwować zabójców — oznajmił Beria. — Ciekawą macie psychologię.

— Milcz, oprawco! — odparł Mirzojan, nie patrząc na niego.

— Za jakiś czas, raczej prędko, pojawi się tu młody wilk, który cię pożre.

— To się nigdy nie zdarzy. Pozostanę wiecznie młodym, najmłodszym mistrzem świata, rozumiesz, wstrętny glino?

Słowo „głina” pojawiło się w języku rosyjskim później, nim Beria opuścił świat żywych. Chociaż go nie zrozumiał, wyczuł obraźliwą intencję.

— Doczekam jeszcze, aż ciebie powieszają... czempionie! — odgryzł się z irytacją, chociaż wiele razy sobie powtarzał, by nie kierować się chęcią odwetu, gdyż jest to najbardziej nieproduktywny stosunek do życia.

Podszedł znów do Majoranskiego i Liadowa. Kontynuowali grę, nie zwracając uwagi na rozmowy pod szubienicą

— Może się przejdziemy? — zaproponował.

Jego agenci nie mieli ochoty przerywać partii. Byli prawdziwymi szachowymi wojownikami, gra im się jeszcze m znudziła i nic ich nie obchodziły wyrachowane lub chełp we działania wielkich szachistów. Kiedy wylądowali w Czyścu i znaleźli dla siebie szachowy kącik, ich życie nabrało nowego sensu. Nawet tego nie zauważyli, że nowe życie urządził dla nich Ławrientij Pawłowicz, który prowadząc z nimi długie, niespieszne rozmowy, wydobył z nich wszelkie słabości, a przede wszystkim namiętność do gry w szachy, co pozwoliło mu wysłać ich do owego getta z dala od niepowołanych oczu. Któż miałby szukać jego agentów między szachistami? Jaki bowiem pożytek z gracza, który marzy tylko o tym, żeby mu nie przeszkadzali i nie odrywali go od stolika?

— Zaraz — mruknął Majoranski — teraz mój ruch.

I zaczął znowu poruszać dłońmi: guzik na zegarze, figura, guzik, figura...

Nie zdołał zbić pionkiem hetmana, gdyż Liadow odpowiedział błyskotliwym posunięciem. Beria pomyślał, że jeśli w Czyścu zaznaczył się jakikolwiek postęp, to chyba tylko w grze szachowej. Chociaż tutaj głowy trochę pracują, a to znaczy, że można je czegoś nauczyć.

Minęli szubienicę, z której akurat oprawca ścigał krótkie, szerokie i kościste ciało Kremersa. Mirzojan pomagał mu, chociaż nie powinien dotykać ofiary.

Berię opanował złośliwy nastrój, zawsze gdzieś się w nim tłący. Jeśli istnieje ofiara, człowiek od niego słabszy, należy go obezwładnić i poniżyć. Taka chłopięca zachcianka. Zepsute uczniaki podkładają nauczycielowi pinezkę na krzesło, a kiedy któryś zostanie ministrem, podłoży urzędnikowi niższego szczebla świnię na wyraźne życzenie wodza. Nie każdemu bowiem można podłożyć.

— No, chłopcze — powiedział — pomóżmy głównemu sędziemu, bo coś ciężko mu idzie.

— Od tego jest pierwsza liga — odparł Majoranski, który dbał o swoją renomę kandydata do mistrzostwa.

Liadow, zawodnik pierwszej ligi, niczego nie zdążył wyzlic, ponieważ Beria pchnął go w stronę szubienicy i musiał nadstawić ręce.

— Dołącz do niego, Lwie Jakowlewiczu — poleciał Beria. Niaładnie zostawiać przyjaciela w potrzebie. Wkrótce będziesz miał swoją pierwszą akcję, a jeszcze nie przeszedłeś chrztu bojowego.

Majoranski zrobił krok w stronę szubienicy, lecz w tej chwili trup, któremu już zdjęto pętlę z szyi i układano go na ziemi, szarpnął się, jakby próbując się wyrwać. Agent odskoczył gwałtownie, chwycił szefa za rękaw i wyszeptał:

— Boję się... boję się nieboszczyków!

— Daj spokój, bracie — rzekł Beria — myślisz, że nie czytałem twojej teczki?

— Tam jest nieprawda, same kłamstwa — zawołał Majoranski.

Tak się wystraszył, że utracił częściowo wygląd inteligentnego człowieka. Zawsze starał się wyglądać jak prawdziwy inteligent, w związku z czym nosił szpiczastą bródkę. W sowieckich filmach zawsze tak przedstawiali mienszewików lub trockistów. W prawdziwym życiu był zapewne tęgawy, wyhodował brzusek, do którego pasowałyby burżujskie binokle. Tutaj jednak nie zdołał się odpowiednio zakonserwować i wyglądał jak były grubas. Niemało tutaj byłych ludzi, nawet byłych bohaterów. Beria przyglądał się mu z ciekawością. Na twarzy profesora przerażenie mieszało się z jakimś dziwnym wyrazem zachwytu. Jak nazywa się takich osobników? Kiedyś słyszał takie specjalne określenie...

— Jesteś nekrofilem — przypomniał sobie w końcu.

— W żadnym wypadku! Tylko nie to! — A co?

— Stary, znerwicowany człowiek. Mam delikatną konstrukcję psychiczną.

Tymczasem udział Majoranskiego stał się niepotrzebny Liadow pomógł Chłopskiemu ułożyć trupa na ziemi.

— Jak pan sądzi? — zapytał profesora główny sędzia. — Wróci do życia?

— Bez wątpienia — odparł Majoranski, nie patrząc na zwłoki.

— Protestuję, wiecie dlaczego — wtrącił Edek Mirzojan. — Gdybym ja przegrał turniej, Kremers domagałby się mojej śmierci. Skoro teraz ożyje, stanie się moim najgorszym wrogiem. Wszyscy wiedzą, co dzieje się z zombie.

Wszyscy się z nim zgodzili. Zdarzały się już przypadki, że nie do bicia do końca truposze wracali jako półmartwi zabójcy. Jedynym ludzkim uczuciem, jakie w nich jeszcze się tliło, było pragnienie zemsty. Stawali się tępymi i bezlitosnymi tropicielami tych, których uważali za winowajców.

— Trzeba będzie odciąć głowę — stwierdził ponuro Chłopski.

Ostatnia łaska, jak zwano tę procedurę, należała także do jego obowiązków.

— Przyniosę topór — zaoferował Edek.

Zbliżyli się pozostali szachiści, aby obejrzeć żywego trupa. Beria popchnął Majoranskiego, który w żaden sposób nie mógł sam zrobić kroku w stronę, gdzie czekał na nich Liadow. Tenże czyścił dłonie piaskiem, dając wyraz swemu całkiem zrozumiałemu obrzydzeniu. Ławrientij siedł pośrodku, szachiści po bokach.

— Nasz czas nadszedł — oznajmił, kiedy odeszli na przyzwoitą odległość od placu gry. — Czas rozstrzygnięć.

Majoranski zapytał:

— Gwarantuje nam pan, że pozostaniemy przy życiu?

— Niczego nie gwarantuję — odparł Beria. — Nie jestem w tej dziedzinie specjalistą.

Liadow przypominał trochę Suworowa, ale młodszego od przedstawianego zwykle na portretach marszałka, jakkolwiek mało kto widział go na własne oczy przed czterdziestką. Chodził

wyprostowany, był szybki w ruchach, na głowie zaś piętrzył się suworowski czub włosów. Mimo młodego wieku wyglądał starzej, sądząc po twarzy, poranej mnóstwem zmarszczek.

Beria przysiadł na pniu powalonego drzewa. Liadow pognie usiadł obok, Majoranski natomiast odszedł na bok. Cały as Podkreślał dystans między sobą a Berią. Liadowowi cała sytuacja wydawała się interesująca, a nawet zabawna, Majoranskiego zaś przerażała. Jego strach wypełniał przestrzeń między Berią a czekającym ich zadaniem. Sam nie wiedział, co gorsze. Wszystko wydawało się złe.

Majoranski był wybitnym, aczkolwiek nie znanym szerzej specjalistą od wszelkiego rodzaju trucizn. Nie stał się znany, ponieważ całe życie przepracował w jednym z najbardziej tajnych laboratoriów KGB.

Jego szef, generał Sudopłatow, obserwował aktywną działalność podwładnego z mieszaniną wstrętu i oburzenia. Między najbliższymi nie określał Majoranskiego inaczej, jak „ten bydlak”. Osobiście jednak podpisał dla niego nominację do orderu Czerwonego Sztandaru Bojowego po udanej śmierci czechosłowackiego prezydenta Benesza, który torpedował wszelkie nasze próby przeprowadzenia w Pradze prawdziwej rewolucji. Generał zaczął nazywać Majoranskiego bydlakiem, kiedy przyjrzał się paru jego eksperymentom. Tak to się nazywało: przyjrzeć się eksperymentom. Niektórym się to podobało, inni unikali takich wizyt jak ognia.

Majoranski przeprowadzał próby na oczach generałów, żeby byli na bieżąco z jego odkryciami i wynalazkami. Niektórzy nie wytrzymywali, słuchając krzyków i jęków byłych inżynierów i pisarzy. Wszystko jedno, czy wdeptujesz ofiarę w ziemię, czy tylko łamiesz jej palce. To było proste do zrozumienia dla „dzieci Dzierżyńskiego”. Inna sprawa, kiedy widzisz posiniałego człowieka, który wymiotuje, modli się ochryple o szybką śmierć, kiedy straszliwe skurcze w żaden sposób nie przybliżają końca, zaś Majoranski razem z asystentami robią wszystko, żeby przedłużyć życie ofiary tylko po to, by następnego dnia powtórzyć eksperyment i wyjaśnić, co przeszkodziło skazanemu umrzeć wczoraj.

Kiedy Majoranski został uwięziony razem z Sudopłatowem, otrzymał łagodny wyrok, gdyż w końcu nie był katem tylko uczonym. Zaczął zasypywać rozmaite urzędy błagalnymi listami, w których dowodził, że całe życie ciężko pracował dla Ojczyzny, niczego nie zyskując oprócz nieżyty żołądka i hemoroidów, nagród i odznaczeń. Nadal mógłby W pomocny, znając rozmaite sposoby usuwania z tego świata imperialistów. Odsiedziawszy swoje, otrzymał, dzięki protekcji starych przyjaciół, ciepłą posadkę w Instytucie Biosyntezy, gdzie spokojnie pracował nad zleconymi eksperymentami, czekając, kiedy powróci prawdziwa władza, która wydobędzie go z zapomnienia i da mu odpowiednie stanowisko. Wówczas będzie mógł dokończyć swoje rewolucyjne prace nad skracaniem życia organizmów pod wpływem zewnętrznych czynników.

Potem wydarzyła się głupia historia. Zdarzają się przecież omyłki nawet w tajnych służbach, zwłaszcza gdy spada na nie grom jakichś idiotycznych, liberalnych, czyli zbrodniczych reform.

Ktoś rozpoznał go zwyczajnie na ulicy. Była pielęgniarka. Majoranski szczególnie nie znosił pielęgniarek, gdyż miały zazwyczaj słabe nerwy. Jego specjalny współpracownik, porucznik Bezpieki Srogi (prawdziwe nazwisko, a nie ksywa) wciąż obserwował stan psychiczny młodszego personelu, bez którego, niestety, nie można się obejść przeprowadzając większe doświadczenia. Jeśli dostrzegał u danej siostry lub sanitariusza niebezpieczne objawy załamania, dana osoba zostawała natychmiast likwidowana lub stawała się obiektem kolejnych eksperymentów, bez nadziei na przeżycie.

Rzeczona pielęgniarka bardzo chciała żyć. Sypiała z ulubionym strażnikiem na służbowej

kanapie, zawsze była posłuszna i przypochlebna. Srogi mógłby ją zlikwidować, lecz widocznie była tak dobra w tym, co robiła, że nie podniósł na nią ręki. To właśnie porucznik sprawił, że została przeniesiona do zwyczajnego łagru, a potem na zesłanie. W pięćdziesiątym trzecim roku zdołał uniknąć wyroku, został zwolniony z pracy w tajnych służbach i pojechał do Kramatorska na Ukrainie, gdzie mieszkała owa Albina, aby się z nią ożenić. Naturalnie odpowiednie służby wyśledziły go i zlikwidowały, lecz nie dotarły do niej. Cwaniak Srogi wyrobił jej wcześniej lipne dokumenty. Gdyby owa słuszna likwidacja została doprowadzona do końca, pozostała przy życiu kobitka nie zaczęłaby szukać Majoranskiego i nie strawiłaby całych lat, żeby wyśledzić go po wyjściu na wolność. Rozpoznała go na ulicy, podeszła i powiedziała twardo:

— Zabiję cię. Ale nie od razu. Wcześniej trochę się pomęczysz, tchórzliwa szmato. Będziesz czekać na śmierć i modlić się o nią, wiedząc, że twoje dni są policzone.

W końcu grudnia 1964 roku profesor Majoranski, zasłużony naukowiec, znakomity biolog, specjalista od wszelkiego rodzaju zatruc, egzystował w strasznym oczekiwaniu na śmierć. Wychudł, stracił sporo włosów, nie mógł także sprostać skromnym oczekiwaniom swej konkubiny. Wiedział, że Albina spełni groźbę.

Pierwszej nocy 1965 roku zobaczył, że przed jego domem zatrzymała się taksówka, z niej zaś wysiadła owa kobieta w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Za późno było dzwonić na milicję. Czy zresztą milicja zechce w ogóle go bronić?

Majoranski zamknął się w łazience. Był sam w mieszkaniu, jego kochanka pojechała świętować Nowy Rok u mamy. Siedział na sedesie i umierał ze strachu, słysząc dzwonek do drzwi... A potem ocknął się w świetle bez czasu.

Prędko spotkał tu Ławrientija Pawłowicza, który wprawdzie nie był jego bezpośrednim przełożonym, ale dosyć często zaglądał do laboratorium na pokazy działania trucizn na organizmy przestępców. Beria nie dostrzegał w tym niczego zabawnego, lecz podobnie jak inni generałowie, uważał, że nie należy uchylać się od wizyt. Służba nie drużba. Im łatwiej przełkniesz rozmaite nieprzyjemne aspekty, tym wyżej zajdziesz na służbowej drabinie.

Majoranski, wyzbywszy się strachu w Czyścucu, zaczął w końcu tęsknić do poprzedniego życia i poszukiwać drogi powrotnej, odkąd zrozumiał, że jego zdemaskowanie było koniecznością, być może przezeń oczekiwaną i drugi raz już się nie powtórzy. Nikt jednak nie mógł ani też nie chciał go stąd uwolnić. Jakby trafił z jednego więzienia do drugiego, tyle że bezterminowego.

Spotkanie z Ławrientijem Pawłowiczem początkowo go wystraszyło, lecz Beria niczego od niego nie żądał, a nawet jakby go nie poznawał. Nie zostawił go jednak całkowicie w spokoju. Obserwował i nawet chronił przed obłędem. Szaleńcy to osobny temat, zdarza się, że miotają się po świecie, chcąc zabijać albo samemu zginąć.

Ławrientij Pawłowicz nie działał pospiesznie. Pomysł zniszczenia świata na powierzchni zasugerował na początek temu głupkowi, Grackiemu, w taki sposób, że Czajanow uznał go za swój i nie wiązał tej idei z osobą Berii. W imieniu wszystkich konsulów polecił realizację Ławrientijowi.

Beria nigdy i przed nikim nie przechwalał się swymi wygranymi. Wystarczała mu świadomość zwycięstwa. Mało kto zachowuje swoje sukcesy dla siebie. Takich ludzi nikt się nie obawia, dlatego mogą ciągle triumfować.

Myśl o konieczności ratowania Czyścucca przed ludźmi przenikającymi z powierzchni, przed nieuchronną zarazą i zagładą, która zawładnęła umysłami konsulów, była w istocie jego dziełem.

Właśnie z tego powodu opiekował się i chronił Majoranskiego. Później także odnalazł Liadowa,

spotykając go niby przypadkiem, chociaż w rzeczywistości go poszukiwał. Dokładnie kogoś takiego: skromnego, prostego chłopaka, biologa z prowincjonalnej miejsciny.

„Kto szuka, ten znajdzie” — słowa sowieckiej pieśni były jego bojową dewizą.

Przeprowadził jednak staranną selekcję w całym Leningradzie. Zrobił nawet spis ludności. Nie było to łatwe i zapewne nie wszyscy wpadli w jego sidła. Za to jakich pożytecznych ludzi wyszukał! Liadow to był prawdziwy skarb, być może większy niż Majoranski. Był jednak mało ambitny i pozbawiony inicjatywy. Całe jego poprzednie życie składało się z wygodnych kompromisów, które jednak nie przeszkodziły mu wylądować w zaświatach. Wtedy pojawił się Ławrientij Pawłowicz jako reprezentant Pastwa, któremu Liadow tak wiernie służył. Teraz więc służył wiernie Berii. Zawsze użyteczny, pracował nie ze strachu, lecz własnej chęci, ponieważ w jego maleńkiej duszyczce również dojrzewała cierpliwie przemożna chęć zemsty.

Najpierw wstrzymano mu wypłatę, potem całkowicie zamknięto sowchoz imienia Maksyma Gorkiego, w którym pracował. Pozostał w nim jako jeden z ostatnich. Nie chciał szukać sobie nowej roboty, polubił miejsce, w którym spędził ćwierć wieku. Sam w niemal pustej osadzie, w której odłączono też światło i wodę, życzył sobie śmierci lub cudu w noc noworoczną 1993. I obudził się tutaj.

Nie mógł tego wiedzieć, że tydzień później przyjechali po niego z Semipałatyńska, gdzie upadało podobne przedsiębiorstwo, ratowane przez współpracę z pewnym azjatyckim krajem... I nigdy się nie dowiedział, ponieważ przyjechali siódmego stycznia. Zastali puste mieszkanie. Zadziwiające: wszystkie rzeczy pozostały, tylko człowiek zniknął. Nie wziął nawet gitary. Doszli do wniosku, że poszedł do lasu, zabłądził tam i zginął. Zdarzały się już takie przypadki. Pamiętała o nim tylko pierwsza żona, od dawna zamężna po raz drugi, przy czym ich syn, Kola, uważał ojczyma za ojca.

— Bądźcie czujni — powiedział Beria. — Rozpocząłem przygotowania do akcji, będzie więc obowiązywać surowsza dyscyplina. Możecie siebie uznać za zmobilizowanych. Pod względem fizycznym wszystko z wami w porządku? Gotowi do działania?

Liadow wzruszył ramionami.

— Od dawna na to czekam. Chcę zobaczyć, jak wszyscy zdychają.

— Zobaczysz.

— Pojawiły się nowe możliwości? — spytał Majoranski. Pragnął dokonać wielkiego czynu. Choć zabił tylu ludzi, uważał że jest niewinny.

— Niedawno rozmawiałem z doktorem Freudem — odparł Beria. — Dostaniecie zastrzyki, które pozwolą wam przebywać trzy doby na tyłach wroga. Mam nadzieję, że więcej nie będzie trzeba. Trzy doby to aż nadto. Trzeba będzie jechać pociągiem...

— Nie jesteśmy szpiegami — stwierdził Liadow — więc nie mamy się czego bać.

— Tymczasem grajcie dalej w szachy — polecił Beria. — Tylko uważajcie na siebie. Nie dawajcie się pobić ani wciągnąć w turnieje.

— Jeszcze nie czas na szubienicę — mruknął Majoranski.

W zamyśleniu pogładził rzadką, trójkątną bródkę. Beria mógł czytać w jego myślach. Biolog nie ufał mu. Całkiem słusznie.

Pozostawiwszy biologów, Beria opuścił Wyspę Jelagina, przechodząc przez mostek z drugiej strony, gdzie czekali już na niego nieco wypoczęci rowerzyści.

— Do Smolnego! — rozkazał.

Czekała ich daleka droga, skoro jechał limuzyną ciągniętą przez czterech rowerzystów. Beria rozparł się wygodnie na skórzanym siedzeniu odkrytego kabrioletu i zaczął przypominać sobie rozmowę z doktorem Leonidem Moisiejewiczem, noszącym przezwisko Freud. Niewysoki, delikatny i dobry z natury człowieczek był niezmiernie lękliwy i z tego też względu zawsze gotów podporządkować się rozkazom. Wypełniał je, ponieważ nie wyobrażał sobie, jak można tego nie zrobić. Wszystko wykonywał uczciwie i skrupulatnie, zawsze dotrzymując słowa. Dla Ławrientija ktoś taki był szczególnie cenny. Na początek trzeba go jednak będzie przekonać albo nastraszyć. Jaką drogę najlepiej teraz obrać? Najlepiej grać rolę dobrego śledczego.

Niepokoiliła go dziewczyna, którą przywieźli do Smolnego. Kto i dlaczego go obserwuje? Podśłuchuje konsulów? Być może w mieście są siły, które pragną przejąć władzę? Czy przypadkiem nie ten japoński generał? Cholerny samuraj!

Ostatecznie w stolicy niewielu jest aktywnych działaczy. W większości mieszkają tutaj neutralne ameby. Ale ten samuraj to niebezpieczny ptaszek. Wydaje się, że jednak nie ma dość sił za sobą, by zdobyć władzę. Zresztą, wcale mu nie jest potrzebna. I tak ma, czego chce.

Przed wejściem do Smolnego czekał na Berię sierżant. Dziewczyna uciekła. Nie było w tym niczego dziwnego. Piwnice, stare przejścia, szczurze nory, przewody kablowe i kanalizacyjne...

Beria kolejny raz pożałował, że nie ma pistoletu. Należałoby rozmazać mózg tego sierżanta na ścianie. Policzył w myślach do pięćdziesięciu. Sierżant stał w pokornej postawie obok cyklistów. Przyglądali mu się, przechyliwszy na bok rowery i opierając się o ziemię jedną nogą.

— Wiesz, jak ona wygląda — powiedział do oficera całkowicie spokojnym tonem.

Zdjął okulary, przetaił je i od nowa umieścił na nosie.

— Tak jest — potwierdził sierżant.

— Więc ją odnajdziesz, ale w taki sposób, żeby ciebie nie zdemaskowali. W przeciwnym razie nikt cię nie będzie żałował, sukinsynu. Ja także nie. Jeśli wrócisz nie wypełniwszy rozkazu, moi chłopcy cię zlikwidują.

Chłopcy, czyli rowerzyści, odpowiedzieli zgodnym wyciem, niczym psy łańcuchowe.

— Dokąd leziesz, idioto? — zatrzymał jeszcze sierżanta Beria. — Najpierw idź do archiwum w sztabie, do działu obserwacji. Niech ci tam dadzą raporcik na temat japońskiego generała. Dzięki niemu znajdziesz dziewczuchę. Zrozumiano?

— Tak jest, towarzyszu ministrze!

— Wykonać.

Beria ruszył w górę po szerokich schodach. Zawsze mu się wydawało, że klatka schodowa oświetlona jest ruchomymi smugami reflektorów, a na górze stoją kulomioty i ustawione w piramidki karabiny. Wszędzie biegają ludzie z czerwonymi opaskami na rękawach. Wartownicy palą cygaretki... Czekają na Lenina.

Wszedł na schody mając przed oczami plecy sierżanta i udał się prosto do swego gabinetu. Drzwi pilnował strażnic Wasyl, którego nazwisko uleciało Berii z pamięci.

— Przywieźli doktora? — zapytał Ławrientij Pawłowicz.

— Jest tutaj.

— Od razu przyprowadźcie. Nie ma się co cackać!

Usiadł za pustym biurkiem. Kiedy urzędował na Kremlu, także nie lubił trzymać papierów na wierzchu.

Stara gwardia jego współpracowników nie mogła wyzbyć się chamskich zachowań. Gruboskórność była niezbędna, aby zniszczyć pierwszą linię obrony aresztanta. Zatrzymany musi zrozumieć, że tutaj jest niczym, nędznym robakiem i śmieciem.

Ostatnimi czasy Ławrientij Pawłowicz stracił jednak zainteresowanie dla skomplikowanych gier międzyludzkich i działania innych już go tak mocno nie zajmowały. Tak było, na przykład, dzisiaj, z tym powieszonym pretendentem do mistrzostwa. Nie zareagował najmniejszym drgnieniem duszy. Wisi, to wisi, do diabła z nim!

Kiedy strażnik wepchnął Leonida Moisiejewicza, Beria go ofuknął:

— Ty durniu, czemu szarpiesz staruszka. Wynoś się, pogadamy bez ciebie.

Wartownik zaraz zniknął, mało obcasami nie trzasnął. Takie tu ostatnio panowało rozpasanie, co zresztą nie miało większego znaczenia.

— Proszę usiąść, Leonidzie Moisiejewiczu — zaproponował Beria. — Na stojąco źle się zoznaje.

— Dziękuję, Ławrientiju Pawłowiczu — odpowiedział doktor.

Zawsze chodził ubrany w poźółkły, ale czysty fartuch. Lekarz dawniej był na służbie u Imperatora Dworca Kijowskiego, potem wpadł w ręce bandytów, którzy sprzedali go Władcy Kalinina. Lekarze są wszędzie potrzebni, toteż, zmieniając kolejnych panów, dostał się w końcu w Leningradzie pod władzę Ławrientija Pawłowicza. Beria polubił go, na ile w ogóle był w stanie polubić drugiego człowieka, lecz nie pokazał nigdy oktorowi swojej do niego sympatii. Uważał, że wyznawanie takich uczuć osłabia człowieka i naraża go na prędką śmierć. Freud był mu niezbędny do wykonania niezmiernie ważnego zadania. Nie znalazł nikogo lepszego. Wybadał wcześniej starannie Leonida Moisiejewicza i nie spodziewał się wielkiego sukcesu. Trzeba będzie stale mieć go na oku. Jest taki miękki, dobroduszny i pełen skrupułów, a zatem mocno niepewny.

— Wysyłamy ekspedycję na tamten świat — oznajmił Berła. — Wszystko gotowe. Czekales na tę chwilę?

— Czuję się trochę niezręcznie — odparł lekarz. — Jak baran prowadzony na rzez. A może raczej jak stary kozioł?

— Nie rozumiem.

— W rzeźni jest zawsze specjalny kozioł. Kiedy przyprowadzają stado owiec, wypuszczają do nich kozła, który je zachęca: chodźcie, tam dadzą wam jeść! I prowadzi je pod nóż.

— Spędza ci to sen z powiek? — zapytał Beria.

— Jestem tu dłużej od innych — odparł doktor. — Doszedłem do kresu podróży.

— Nie bredź, jeśli będzie trzeba znajdę innego „kozła”.

— Cieszę się.

Wstał, trzymając przed sobą splecione dłonie. Żałosny człowieczyna, ale budzący współczucie. Nie da się uciec przed odruchami własnego dobrego serca.

— Szczepionka gotowa?

— Potrzebuję pomocników, gdyż jeszcze nie zakończyłem badań. Znajdźcie chociaż jednego profesjonalnego medyka.

— Wszystko w swoim czasie. Wracaj do instytutu i czekaj Nie uciekaj, nie śpij, nie chodź na spacer. W odpowiedniej chwili, za godzinę, a może za sto, przyjdę do ciebie.

— Godzinę lub sto godzinek — powtórzył Freud. — Właśnie napisałem o tym wiersz.

— Więc mi przeczytaj.

Godzinę lub sto godzinek

Czas tutaj wcale nie płynie

I tylko ta pustka w głowie...

— Gumka od spodenek! — przerwał mu Beria ze śmiechem.

— Co proszę? — zdziwił się doktor.

— Też pisałem takie wiersze, kiedy byłem biednym, małym chłopaczkiem. Sto godzinek — gumka od spodenek. Idź już.

Lekarz nie wychodził, czekając na najważniejszą odpowiedź.

— Coś jeszcze? — zapytał Beria.

— Boję się, że mogę pana zawieść, Ławrientiju Pawłowiczu i zgubić niewinnego człowieka.

— Jeśli zginie, pošlemy następnego. Człowiek jest nieistotny, najważniejsza jest sprawa.

— Na czym ona polega?

— To tajemnica państwowa.

— A co będą robić ci ludzie na powierzchni?

— Wypełniać powierzone zadanie — odparł Beria. — Co jeszcze mogliby tam robić?

— Mam nadzieję, że nie będzie to przestępstwo? Beria znowu się zaśmiał.

— Przestępstwo zależy od punktu widzenia na dany postępek — odpowiedział. — Dla ciebie może być przestępstwem to, co według mnie będzie bohaterskim czynem ku chwale naszej wielonarodowej ojczyzny. Teraz odejdz.

Doktor wzruszył ramionami. Niczego się nie dowiedział, lecz był przekonany, że stał się współuczestnikiem przestępstwa. Z tą myślą opuścił gabinet.

Beria podszedł niespiesznie do okna. Po spękanych asfalcie szedł ku bramie maleńki, przygarbiony człowiek w białym fartuchu. Zatonął we mgle, w otaczającej wszystko beznadziejnej pustce.

— No nic — powiedział Beria do siebie. — Nic takiego. Damy sobie z nim radę.

Doktor zatrzymał się i obejrzał. Najwidoczniej uznał, że nie ma dokąd iść i zawrócił do Smolnego.

— Wasyl! Przyrowadź tu zaraz Kruszyne! — zawołał Bena.

Strażnik usłyszał rozkaz, trudno zresztą było go nie usłyszeć w martwej ciszy, i pobiegł wolnym truchtem przez kojarsz.

Do gabinetu zajrzał sierżant, który przyniósł teczkę generała Midzoguti Kodzi. Beria otworzył ją i zaczął czytać. Wiele o nim wiedział, teraz jednak poszukiwał śladów wrogiej organizacji i niebezpiecznego spisku. Związku z dziewczyną, którą zatrzymali nad morzem. Do tej pory nie udało się ustalić, kto jej dopomógł w ucieczce. Zapewne jej chłopak. Może mają już swoich bojowców?

Weszła Kruszyna.

Wyglądała jak liliputka, lecz miała twarz pięknej miniaturowej kobiety. Ukrywała jakąś miłosną historię z normalnym mężczyzną albo może z prawdziwym, mniejszym od niej karzełkiem. Znalazła się tutaj stosunkowo niedawno i zachowała sporo sił, zapewne dlatego, że jej niewielkie ciało nie

potrzebowało zbyt wiele energii.

Kiedy Beria zobaczył ją na ulicy, zaraz kazał do siebie przyprowadzić. Miał nadzieję, że zdobędzie Kruszykę i znowu stanie się przy niej mężczyzną. Nadzieja okazała się płonna, ale liliputce i tak było przyjemnie. Lubiła mężczyzn, jak więc miała nie pokochać całym sercem kogoś tak ważnego, kto nawet w łóżku nie zdejmował kapelusza ani okularów. Ławrientij Pawłowicz nie ufał jej do końca, ale była mu bliższa niż ktokolwiek inny i czasem kładł się z nią do łóżka z prawdziwą, choć bezowocną uciechą. Naprawdę nazywała się Zinaida Durnich. Twierdziła, że to niemieckie nazwisko, ale Beria uważał je raczej za chachłackie.

— Siadaj w kącie — rozkazał — i przeczytaj to. Musisz dowiedzieć się wszystkiego o tym japońskim generale i jego bandzie. Pójdiesz do niego i zdobędziesz jego zaufanie. Jak najprędzej.

* * *

Generał powiedział Igorowi, że jego list przedostał się na powierzchnię i dotarł do adresata zapewne tego samego dnia, kiedy u nich spadł deszcz.

Rzecz do tej pory niewiarygodna. Niektórzy przeżyli tutaj dwieście lat, lecz nawet nie podejrzewali, że mogą się pojawić opady. Chociaż wszyscy pojmowali, że mają nad sobą prawdziwe niebo, skoro masy powietrza unosiły się do góry i nikły we mgle oraz nieprzenikniętych obłokach, to nikt jeszcze nie dotarł do firmamentu, co oznaczało, że nie istnieje. Istnieje więc jakieś umowne niebo, tak jak istniejące tutaj umowne życie.

Kiedy więc przeleciał nad miastem lekki deszczyk, niesiony niewielkim wietrzykiem, wszystkich mieszkańców Leningradu ogarnęła prawdziwa trwoga.

Człowiek jest w stanie przywyknąć do nieustannej biedy, niewoli albo choroby, lecz nagła zmiana, zapowiadająca nowe problemy, zawsze przeraża, bez względu na to jak marnie by się żyło. Wydawałoby się, że galernik może pragnąć jedynie śmierci, kiedy jednak nadciąga burza i dno statku zaczyna przeciekać, często boi się bardziej niż kapitan statku. Być może dlatego, że dowódca nie jest przykuty do ławki i ma większą szansę wyskoczyć w razie czego za burtę.

Deszcz zatem wystraszył wszystkich mieszkańców Leningradu.

Ławrientija Pawłowicza doprowadził do wściekłości, ponieważ przemiany klimatyczne oznaczały dla niego kolejny stopień połączenia ze starym światem, który jest w stanie zniszczyć swoich słabszych pobratymców. Chętnie odczekałby jeszcze jakiś czas, gdyż był zajęty innymi planami i chciał zyskać absolutną pewność na temat tego, co się dzieje. Teraz jednak sam pojechał do Czajanowa, który przebywał w Muzeum Etnografii: odpowiadała mu atmosfera zniszczonych sal i własnymi rękami zaprowadził porządek w tamtejszej bibliotece.

Drzwi do gabinetu Czajanowa zastał zamknięte. Widocznie obawiał się zamachu na swoje życie, a jeszcze bardziej bał się Ławrientija Pawłowicza.

Beria wcale nie zamierzał go zabijać. Deszczyk wystraszył go na tyle, że potrzebował sojuszników. Deszcz był potwierdzeniem zagrożenia, że granica między światami zanika i prędzej czy później zniknie całkiem, niszcząc wszystkich mieszkańców Czyścća. Sytuacja wymagała pośpiechu. Rozprawę z niewiernymi, zdraдлиwymi kolegami można odłożyć na później. To głupie

pozostawać osamotnionym w obliczu zagłady.

Ławrientij zastukał do drzwi. Wmontowany był w nie szklany judasz, wydobyty z jakiegoś nowego domu. Beria cofnął się o krok, dając się obejrzeć w całej okazałości.

— To pan, Ławrientiju Pawłowiczu? — zapytał zza drzwi Wódz Naczelny. — Czego pan sobie życzy?

— Rozmowy — odparł Beria.

Obejrzał się za siebie. Za plecami miał tylko pustą salę biblioteczną.

— Niech pan nie będzie głupi — dodał. — Jeśli zaczniemy bać się siebie wzajemnie, łatwo się z nami rozprawia.

Czajanow nadal zwlekał z otwarciem drzwi.

— Aleksandrze Wasiliewiczu — podjął Beria — mogę pana wykończyć kiedy tylko zechcę, to jednak nie leży w moim interesie.

Tamten w końcu otworzył. Czuł się niezręcznie z powodu swej podejrzliwości.

— Przepraszam — rzekł — lecz oderwałem się właśnie od literatury pięknej. Proszę wybaczyć, lecz pióro lgnie do kartki papieru. Odesłałem ochronę. Na co mi ona?

Czajanow rzeczywiście nie miał prawdziwej ochrony. Beria proponował mu swoich ludzi, lecz Naczelny odpowiedział, że nikt nie ośmieli się podnieść na niego ręki. Teraz pewnie tego żałuje albo cieszy się z tego, że nie zaufał Bezpiece.

Ławrientij Pawłowicz wkroczył do gabinetu Głównego Przywódcy Czyścica.

Czajanow był ubrany starannie. Garnitur miał lekko wytarty, lecz odprasowany. Pewnie trzyma go w nocy pod materacem, pomyślał gość. Krawat i jasna koszula dopełniały obrazu typowego dla naszych czasów urzędnika średniego szczebla. Tylko oblicze nie pasowało ani do urzędnika, ani do naukowca. Wyglądał raczej jak jakiś... radioamator.

— Deszcz pada — oznajmił Beria.

Nie zdejmując kapelusza, podszedł do wąskiego, wysokiego okna. Deszczyk zelżał, lecz jezdnia była cała mokra. Cykliści otworzyli parasole. Skąd je wytrzasnęli? Przecież wcześniej nigdy nie padało.

Czajanow także podszedł do okna.

— Nie zauważyłem tego — wyznał. — To przecież niemożliwe.

— A jednak się zdarzyło, Aleksandrze Wasiliewiczu. Dopóki nie wybrali Czajanowa Naczelnym, Beria unikał zwracania się do niego po imieniu, teraz natomiast specjalnie podkreślał tę formę.

— Sądzi pan, że jest to związane... z ogólną tendencją?

— A jest inna możliwość? — odpowiedział Beria pytaniem. — Ludzie żyją tutaj sto, a nawet dwieście lat i nikt dotychczas nie widział ani jednej kropli deszczu.

— Hm, tak — zgodził się Czajanow. — W takiej sytuacji należy odłożyć na bok wzajemne urazy i spiski. Wie pan, że ktoś morduje ludzi? W każdym razie znikają.

— Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny i jako jedyny staram się coś z tym zrobić.

— Niektórzy sądzą, że za tym zabójstwami stoją wasi funkcjonariusze — oznajmił Czajanow.

Powiedział to zdecydowanie nie w porę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zmienił temat:

— Deszcz był chłodny?

Beria zdjął okulary i przecierał je bez potrzeby, nadal milcząc.

— Wszystko układa się w logiczny ciąg wydarzeń — podjął Czajanow. — Niestety, są to objawy tego samego procesu.

Brzegiem rzeki szedł nieznajomy człowiek w długim płaszczu.

Beria uświadomił sobie, że nadal nie dowiedział się, kim była zbiegła dziewczyna i jej towarzyszy. Obawiał się wysłać ekspedycję na powierzchnię, skoro wokół czają się szpiegowie, agenci nieznanego wroga. Lepiej, żeby był znany, gdyż nieznanego trudniej pokonać.

Mężczyzna zrównał się z cyklistami czekającymi przed wejściem do muzeum. Coś do nich powiedział, a tamci odpowiadali.

— To nonsens — stwierdził Beria — podejrzewać mnie o chęć mordowania tutejszych mieszkańców. Potrzebuję świata zasiedlonego przez ludzi. Im ich więcej, tym lepiej. Czyżby pan tego nie rozumiał?

— Rozumiem — odparł Czajanow. — Proszę powiedzieć, jak idą przygotowania do ekspedycji.

— Czego się pan chce dowiedzieć?

— Kiedy, ilu ludzi, gdzie znajduje się cel waszej wycieczki? A na koniec najważniejsze, o czym tak uparcie nie chce pan mówić, Ławrientiju Pawłowiczu. Jak zamierzacie sprawić, żeby wysłani tam ludzie pozostali żywi po wypełnieniu zadania?

— Odwrotnie — odrzekł Beria z uśmiechem, odwracając się do okna plecami.

Jego sylwetka wydała się Czajanowowi karykaturą człowieka: coś jak beczka z ogromnym czopem.

— Powinni wiedzieć, że pozostając tam na górze i zdradzając mnie, na pewno umrą. Winni mieć tylko jedno pragnienie: jak najszybciej wrócić.

— Jak długo tam mają przebywać?

— Nie dłużej niż trzy dni. Taka jest prawda. Znalazłem lekarza, który posiada szczepionkę.

— Nie kłamie pan?

— Nie mam zamiaru podzielić się z panem jej sekretem. Nie życzę sobie, żeby wszyscy zaczęli urządzać sobie wycieczki na powierzchnię. Kiedy jednak nikt żywy tam nie zostanie, sam zorganizuję wycieczkę dla pana.

— Ufają panu?

Pytanie oznaczało, że Czajanow sam do końca mu nie ufał.

W tej chwili wbiegła do pokoju Łarisa Reisner. Czarne loki miała zakręcone w gęste rureczki.

— Wybaczcie, drzwi zastałam otwarte — powiedziała. — Wiecie, że spadł deszcz?

— Nawet zmokłem — odpowiedział Beria. — Opad może być radioaktywny.

— Nie o to chodzi — zawołała.

Zamilkła, dysząc ciężko. W tym świecie nie należy biegać zbyt długo.

— Co się jeszcze zdarzyło? — spytał niechętnie Beria.

Niezwykłe wydarzenie mocno go poruszyło, a nie znosił przede wszystkim niewiedzy. Nie lubił zwłaszcza dowiadywać się o czymś z drugiej ręki.

— Na zewnątrz jest jakiś obcy człowiek.

— No i co z tego? Nawet ja nie znam tutaj wszystkich — stwierdził Beria.

— Nie rozumiał mnie pan, Ławrientiju Pawłowiczu, to całkiem nowy człowiek. Nowocześnie umundurowany wojskowy.

— I co? — zapytał Czajanow. — Nadal nie rozumiem.

— Zaraz, gdy się pojawił... kiedy go zobaczyli... zaczął strzelać!

— Co ty gadasz!

Beria skierował się w stronę drzwi. Nie pobiegł i nie rzucił się, lecz dosłownie skierował, jak

przystało człowiekowi opanowanemu. Spieszył przywrócić porządek.

— On nie rozumie! Nie rozumie, że ten osobnik przeszedł przez jakiś otwór gdzieś w pobliżu. Dosłownie obok!

Beria pojmował znacznie więcej niż ci mądrale. Wiedział, że tego dnia nigdzie nie wypada Nowy Rok, nawet w dalekich Chinach, czy u muzułmanów. Jest koniec sierpnia i wkrótce dzieci pójną do szkoły. A to znaczy, że zostało naruszone najważniejsze prawo dwóch światów: przejście jest możliwe tylko w „dzień świętego Jerzego”. Beria pamiętał jeszcze z dzieciństwa powiedzonko: „Ot i masz, babo, dzień świętego Jerzego!” Przysłowie to związane było z dawnym prawem, umożliwiającym przejście chłopów pańszczyźnianych na służbę do innego pana. Choć w ciągu jednego dnia zbyt wielu nie mogło przejść... Skoro jednak spadł deszcz i ktoś przeniósł się do nich w końcówce sierpnia, sprawa źle wyglądała. Nie da się niczego porządnie zaplanować ani na dziś, ani na jutro. Nie można dłużej czekać...

Zbiegł po schodach. Za plecami słyszał szybkie kroki Łarisy i Naczelnego. Cykliści zbili się w ciasną grupkę i nasłuchiwali. W tej chwili Beria i inni usłyszeli wystrzały. Dziwnie brzmiały tutaj, w świecie pozbawionym broni palnej.

— Przygotować się! — rozkazał sierżant.

Cykliści otworzyli bagażniki rowerów i wydobyli z nich krótkie, czarne kusze, broń przysługującą wyłącznie policji.

— Do czego on strzela? — zapytał Czajanow.

— Do ludzi — odparła Łarisa. — Pobiegł w stronę Giełdy. Trzech rowerzystów ruszyło przodem razem z sierżantem, trzeci pozostał, żeby strzec bezpieczeństwa limuzyny szefa Bezpieki. Po chwili rozwarła się przed nimi wielka przestrzeń placu przed Giełdą. Na wprost wspaniale rzeźbione kolumny, po prawej stronie most wiodący do centrum miasta.

Żołnierz stał na schodach budynku, skąd mógł doskonale widzieć wszystko dookoła. Pod jego stopami leżało bezwładnie ciało człowieka. Wojskowy rozglądał się nerwowo.

— Rozproszyc się! — komenderował sierżant radośnie, gdyż dawno nie miał okazji dowodzić w warunkach bojowych. — Numery pierwszy i drugi zachodzić z prawej strony, trzeci za mną, biegiem!

Ton jego głosu podniósł Berię na duchu. Zaczęło się polowanie na prawdziwego człowieka!

Cykliści popędzili w dwóch parach ku schodom Giełdy, aby zgodnie z rozkazem zająć wroga na obu flankach. Beria i Czajanow z Łarisą pozostali pośrodku, lecz wcale nie spieszyli się iść do przodu. Woleli pozostać obserwatorami. Żołnierz nie strzelał, czekał aż przeciwnicy podejną bliżej. A może zastanawiał się, dokąd uciekać.

— Może zapytamy go, czego chce? — zaproponowała Łarisa.

— Najpierw trzeba unieszkodliwić — oświadczył Beria. — Potem go przesłuchamy.

Łarisa jednak, jak zwykle, zrobiła mu na przekór. Weszła jej w krew robić wszystko na złość Ławrientijowi. Do tego stopnia, że Beria zaczął się zastanawiać, czy czasem nie jest w nim zakochana. Bywa tak z kobietami, które nie zdobyły swojej miłości i nie mają odwagi się do niej przyznać. Mówiła mu kiedyś o tym prześliczna dziewczuszka, której nie potrafił wspominać bez rozkosznego dreszczu.

Łarisa prędko ruszyła do przodu i weszła kilka stopni do góry. Żołnierz wszedł nieco wyżej, uważnie się jej przyglądając.

— Hej! — zawołała. — Nie chcemy cię skrzywdzić. Skąd tutaj przybyłeś i w jakim celu?

Tamten patrzył na nią w milczeniu.

— Zabiłeś kogoś?

— Nie — odpowiedział w końcu. — Uciekłem z koszar. Nie mogłem znieść dłużej sierżanta Mitajewa. Ciągle mnie bił i szykanował. No to prysnąłem z jednostki. Co teraz będzie?

— Niczego nie będzie — oznajmiła.

— Tutaj zabiłem jednego — przyznał, pokazując lufą automatu na zwłoki u swoich stóp. — Nie chciałem, myślałem, że mnie ściga.

— Nic nie szkodzi, wyjaśnimy to — oświadczyła kobieta i podeszła do niego. — Oddaj mi broń. Wystarczy tego zabijania, prawda? Masz pewnie matkę, a może i żonę?

Żołnierz nie wiedział, co odpowiedzieć. Co ma tu żona do rzeczy, skoro stoi na najwyższym stopniu gigantycznych schodów całkiem odkryty i nie wie, kto spróbuje go zabić.

W tej chwili najbliższy stojący rowerzysta podniósł kuszę i szybko wypuścił strzałę, która pofrunęła ze świstem i wbiła się w ramię żołnierza tak mocno, że prawie go przewróciła. Zachwiał się i chwycił za ramię. Między palcami przeciekała krew. Wyrwał strzałę, która spadła na kamienne stopnie. On sam padł na brzuch i odpowiedział długą serią.

Część kul trafiła cyklistów, jeden upadł, drugi zgiął się, trzymając za brzuch. Padła także Łarisa, trafiona prosto w twarz. Żołnierz zaczął uciekać w stronę budynku Giełdy. Ocaleli rowerzyści wypuścili za nim strzały. Jedna z nich ugodziła go pod łopatką i sterczała z munduru na plecach, drgając przy każdym jego kroku.

— Sukinsyny! — krzyczał żołnierz.

Słowo to dotarło do Berii w kompletnej ciszy.

— To nie w porządku — powiedział Czajanow. — Nie mieliśmy zamiaru go zabijać. Proszę zatrzymać pościg, Ławrientiju Pawłowiczu.

— Po pierwsze, to moja sprawa — odparł Beria — i mój problem. Po drugie, nie zdołam powstrzymać ludzi ogarniętych słusznym gniewem.

— Nie truj głupot! — krzyknął ze złością Czajanow i pobiegł na schody tam, gdzie leżała Łarisa Reisner.

Przykucnął nad nią i obrócił twarzą ku sobie. Policzek miała rozorany od kuli i Czajanow zrozumiał, że nawet jeśli wyżyje, nie będzie już taką pięknoscią. Uroda nigdy nie wróci. Nie zwracał uwagi na Bериę i rowerzystów pędzących za żołnierzem. Temu skończyły się magazynki, automat zamilkł, więc go cisnął na ziemię. Kolejna strzała trafiła go w plecy. Biegł do balustrady nad wodą, uważając z jakiegoś powodu, że to go uratuje. Przy balustradzie zatrzymał się jednak, uniósł pięść i zaczął nią wygrażać, a także kląć na czym świat stoi.

Beria skonstatował, że chłopak jest bardzo młody, ma najwyżej osiemnaście lat. Czy to zdarzenie zapowiadało stały kontakt z drugim światem? Z taką sytuacją dotychczas się nie zetknął, należałoby się więc właściwie rozmówić się z nowo przybyłym, gdyby nie było już na to za późno.

Cykliści podbiegli całkiem blisko do ściganego i wycelowali weń kusze. Żołnierz zrozumiał, że nie może liczyć na zmiłowanie, przeskoczył więc przez balustradę i zniknął. Na granicy i asfalcie pełno było szkarłatnej krwi, jaka nie płynęła już w żyłach tutejszych. Prawdziwa, żywa krew. Ścigający podbiegli do balustrady.

Nurty Newy płynęły w tym miejscu niespiesznie, lekko omywając granitowy brzeg i zawracając w stronę mostu i Akademii Sztuk Pięknych. Woda była czerwona i dało się w niej dostrzec unoszącą się sylwetkę żołnierza. Po chwili toń się wzburzyła i wynurzyła się głowa ściganego, który starał się zaczerpnąć tchu. Sierżant był na to przygotowany. Wypuść strzałę prosto w szyję tamtego. Żołnierz

sięgnął dłońmi do gardła, lecz zanim zdążył to uczynić, poszedł pod wodę.

— Kundlowi psia śmierć pisana — stwierdził Ławrientij, cytując czyjeś powiedzonko.

Spojrzał na sierżanta, który odpowiedział:

— Tak jest, towarzyszu marszałku Związku Radzieckiego.

— Idź, pomóż rannym towarzyszom — polecił Beria. — Połóżcie ich w samochodzie, tylko nie zapaskudźcie siedzeń. Zawieźcie jak najszybciej do lekarza w Smolnym.

Sam podszedł do Czajanowa. Ten wciąż siedział na schodach, trzymając główkę Łarisy na kolanach. Beria pokiwał głową. Rana wyglądała paskudnie.

— Na pewno straci wzrok — stwierdził.

— A tak dbała o swoją urodę...

— Prawdziwa estетка — ocenił Beria.

W dole rozległ się szum nadjeżdżającego pojazdu. Kiedy się zatrzymał, szofer pobiegł na górę, dopomóc prowadzić rannych. Jeden szedł sam, drugiego podtrzymywali, z trudem przebierał nogami. „Całe szczęście — pomyślał Beria. — Tak trudno tutaj o dobrych agentów, a tych nieomal straciłem”.

— Potrzebny jej lekarz — powiedział Czajanow.

— Najpierw odwiozą moich ludzi — oznajmił Beria — a potem samochód tu wróci. Wtedy ją zawieziemy.

— Proszę zmienić kolejność — zażądał tamten. — W pierwszym rzędzie musimy ratować Łarisę. Jest konsulem republiki.

— I kochanką konsula Kliukina — zauważył Beria. — Do tego lipną.

— Jest bliską mi osobą...

— Jedziemy, Ławrientiju Pawłowiczu! — zawołał sierżant.

— Przekażcie ich pod opiekę lekarza i zaraz wracajcie — rozkazał Beria. — Będę czekał przy moście.

Samochód z dwójką rannych ruszył z miejsca, kiedy sierżant i ocalały cyklista zakręcili ostro pedałami. Beria spoglądał za nimi.

— Jesteś bydlakiem — powiedział Czajanow.

— Wiem — odparł Ławrientij. — To jednak zależy od punktu widzenia, rozumiesz? Dla ciebie jestem bydlakiem, a dla moich pracowników łaskawym bogiem.

— Ciszej — przerwał mu tamten — wraca jej przytomność.

— Zobaczmy...

Beria zajrzał ponad ramieniem Czajanowa, którego cała uwaga skoncentrowana była na kobiecie. Potem się rozejrzał. Samochód był już na drugim końcu mostu. Na pewno niczego nie zobaczą. Prędko wydobył wielki i bardzo ostry nóż. Fachowo dźgnął nim plecy Czajanowa, który natychmiast upadł bezwładnie obok rannej. Dwie zakrwawione głowy, Łarisy i Czajanowa spoczęły obok siebie, jak w tanim horrorze.

Kobieta cicho jęknęła. Beria podniósł ją za ramiona, uwalniając spod ciężaru męskiego ciała, które bezceremonialnie odsunął na bok. Podciął gardło Łarisy szybkim ruchem. W krtani coś zbulgotało, zachrypiało, a całe ciało zadrgało konwulsyjnie.

Minister znał dobrze twarde prawo Czyśca: naprawdę martwy jest tylko człowiek bez głowy. Chwycił garścią gęste włosy ofiary i odciął głowę trzema, może czterema cięciami. Na szczęście miała cienką szyję. Z Czajanowem trzeba się było trochę dłużej pomęczyć, lecz podwładni

dostarczyli szefowi naprawdę dobre ostrze.

Doprowadziwszy sprawę do końca, Ławrientij schował narzędzie zbrodni, podniósł za włosy obie głowy, podszedł z nimi do balustrady i cisnął do rzeki. Później obszukał ciała, sprawdzając, czy w kieszeniach lub zaszewkach nie pozostało nic cennego, ale niczego nie znalazł. Zwłoki pozostawił na schodach. W tym świecie nic się nie psuło: będą leżeć tu całą wieczność. Sporo ludzi tutaj zagłada. Kiedy znajdą dwa bezgłowe kadłuby, jeśli nawet je rozpoznają, nikomu nie przyjdzie do głowy pomścić zabitych, czy też kogokolwiek obwiniać.

Beria przeszedł niespiesznie mostem na drugi brzeg i czekał na samochód w pobliżu gmachu Admiralicji.

Rozdział siódmy

Agentka Kruszyna

Goście schodzili się na koncert.

Tym razem generał wybrał dość przestronną, lecz nie za dużą salkę w „Lenfilmie”, w której zbierali się ongiś redaktorzy lub ekipy filmowe oglądały nakręcony materiał. Dwadzieścia miękkich foteli, biały ekran na całą ścianę i otwory w przeciwległej, przez które padały kiedyś na ekran snopy światła. Generał wybrał tę salę także dlatego, że posiadała okna. Dawniej przeszkadzały w przeglądach, więc zasłaniano je ciężkim kotarami. Kotar od dawna nie było, a miejsc siedzących zostało siedem.

Gości witała Czumaziła przebrana w białe spodnie, stożkową czapczkę z pomponikiem, na policzkach wymalowała CZerw^one koła. Prawdziwy Pierrot! Trudno powiedzieć, skąd Wytrzasnęła ten kostium. Stała przed wejściem do studia i tłumaczyła każdemu jak ma iść dalej.

Zeszło się piętnaścioro ludzi. Fotele dostały się najbardziej potrzebującym, pozostali, przyzwyczajeni do artystycznego stylu życia, rozsiedli się na podłodze w odległości dwóch metrów od ekranu. Tam mieli występować aktorzy.

Generał także pragnął usiąść na podłodze, tłumacząc, że to stara japońska tradycja, ale nie chcieli go nawet słuchać i posadzili w pierwszym rzędzie.

Igor usiadł na ziemi z boku ekranu, oparty plecami o ścianę, przy nim zaś pótleżała Lusia, wsparta główką na jego ramieniu. Malarz Bogusławski ze Srebrnego Wieku zaczął się zachwycać, jaka piękna z nich para i zapraszał do swojej pracowni, żeby ich sportretować. Wszyscy wiedzieli jednak, że artysta od dawna nie bierze pędzla do ręki i tylko wmawia całemu światu, że jego pracownia na Zwierzynieckiej wciąż jest pełna zaczętych płócien, szkiców, a nawet rzeźb.

Czumaziła, zakończywszy swój dyżur przy drzwiach, zjawiała się w końcu na widowni i zapytała:

— Są już wszyscy?

Igor zwrócił się do generała:

— Jest pan pewien, że nasz list dotarł na miejsce?

— Ile można pytać wciąż o jedno i to samo! Nie mam przecież ciągłej, dwustronnej komunikacji z powierzchnią.

Generał wyraźnie był czymś przejęty. Po chwili powód stał się jasny. W wejściu pojawiła się prześliczna dziewczęca twarzyczka.

— To tutaj ten teatr? — zapytała.

Małeńka, wręcz miniaturowa, prawie liliputka, a jednak nie karlica, tylko mała dziewczynka. Wzruszająco bezbronna. Generał zerwał się z fotela, nie potrafiąc ukryć radości.

— Wchodź, wchodź, Kruszyno — zachęcił, przyzywając ją dłonią.

Kruszyna pobiegła ku niemu. Igorowi wydało się, że jeszcze wypiękniała, choć zdawało się to

niemożliwe. Generał ustawił dziewczynkę twarzą do audytorium i oznajmił:

— Czekałem, aż zjawi się Kruszyna. To nasza nowa przyjaciółka, dobra osoba, utalentowana poetka.

— Wybacz pan! — zawołał Marat Czubajew. — Poetycką rangę zdobywa się twórczością, a nie poprzez protekcję władz.

— Co ty wygadujesz, Marat — osadziła go Czumaziłła. — Cóż za banalna scena zazdrości. Chciałabym ci uświadomić, że na polu poezji starczy miejsca dla wszystkich. Nieraz przepisywaliśmy od reki różne utwory...

— Ja swoje kopiuję na maszynie — odgryzł się poeta, jakby był to istotny argument.

— Kruszyna przyszła do nas z Carskiego Sioła, gdzie mieszkała dotychczas w Liceum.

Przez salę przeleciał szmerek: po co mieszkać w Liceum?

— Może coś opowiem? — spytała Kruszyna.

Jej głos okazał się dźwięczny i głęboki, niezwykle w tak małym ciałku.

— Ona wam opowie — potwierdził generał, spoglądając z czułością na maleństwo.

Może owa słabość wynikała z faktu, że przewyższał ją niczym wielka góra, ale ustępował jednak wzrostem swemu ulubionemu uczniowi i przyjacielowi.

— Kiedy się ocknęłam — zaczęła — poszłam na piechotę do Carskiego Sioła, gdzie przebywał mój idol, Puszkina. Chyba mnie rozumiecie?

— Rozumiemy — przytaknął Marat, gotów już przejść na stronę wielbicieli maleńkiej poetki.

— Przepędziłam kilka lat, a może tylko miesięcy... to w końcu nieistotne... w pokoju mojego Aleksandra. Saszy... Leżałam na jego łóżku, zalewając się łzami, które tryskały niczym woda z konewki.

— Niezłe porównanie — ocenił Marat.

— Przeczytasz nam później swoje wiersze?

— Na samym końcu — odparła Kruszyna. — Jestem tutaj nowa i nie zasłużyłam jeszcze na miejsce pod słońcem.

— Nasz generał — szepnęła Lusia — topnieje niczym lód w Promieniach tego słoneczka.

— Ciekawe, gdzie ją znalazł? Przecież prawie nie wychodzi z domu.

— Słowo „prawie” zawiera już w sobie wątpliwość — odpowiedziała Lusia.

Na początek wystąpiła Czumaziłła. Wyszperowała gdzieś sztukę Gozziego, a w niej ładny, choć smutny monolog Pierrota. Wykonała go jednak na wesoło, z przedziwnymi minami i tańcami, co zostało nagrodzone gromkimi brawami i tanecznym bisem.

Po niej generał odczytał fragment opowiadania Czechowa *O miłości*, z tomiku trzymanego w delikatnej dłoni.

Marat Czubajew popisał się wielce formalistycznym poematem, opartym na ciągłym powtarzaniu się tych samych samogłosek. Wykonanie przypominało wycie oszalałych kojotów, nikt jednak nie gwizdał ani nie wyganiał poety ze sceny. Nie pierwszy raz słuchano już tego wycia.

Potem wyszedł jakiś człowiek, który rzadko przychodził na koncerty, ponieważ mieszkał gdzieś daleko, aż za Udzielną. Opowiadał stare dowcipy. Nauczył się już ich na pamięć około trzech tysięcy. Uważał, że skoro skończy się papier, będzie chodził od wioski do wioski niczym żywa księga, jak w powieści Raya Bradbury’ego *Fahrenheit 451*.

Kruszyna miała czytać jako ostatnia. Wszyscy już byli gotowi ją polubić, nie bacząc na sympatię żywioną do niej przez generała. Stała przed ekranem. Wyglądała naprawdę wzruszająco i

naturalnie: ubogi płaszczyk z okrągłym kołnierzykiem, na który opadały jasne loczki.

— Wiersze o życiu i śmierci — oznajmiła — napisane pod wielkim wpływem mego bożyszcza, Aleksandra Sergiejewicza Puszkina. Proszę o ciszę.

Wszyscy rzeczywiście zamarli.

— Najwyższy czas, przyjaciele — zaczęła Kruszyna — dopóki serce pragnie...

Lecą nad nami dni

I każda godzina kradnie

Kawałek mojego mózgu.

A chcieliśmy oboje

Zasnąć bardzo głęboko,

Lecz sen nasz będzie śmiercią.

Kruszyna westchnęła. W sali panowała głęboka cisza, areszcie generał zaczął klaskać.

— Brawo — zawołał i dodał, zwracając się do widzów: — Uznajmy to jako udaną wariację na temat.

— A mnie się zdaje, że to kpina — sprzeciwił się Marat — i będę przy tym obstawał.

— Aleksander Siergiejewicz do mnie przychodził — oświadczyła mała poetka — i szeptał mi do ucha odpowiednie słowa i wyrażenia. Zapamiętałam je i teraz wam przynoszę. Myślę, że nie zdążył zapisać tych utworów, skoro zastrzelili go w pojedynku.

— Otóż to — wtrąciła Czumaziłła. — Zdołał jednak zapisać je dzięki tobie, co prawda za cenę kawałka mózgu.

— Daj spokój, Czumaziłło — wziął ją w obronę generał. — Tak się jej wydaje. Każdy z nas ma swój wewnętrzny świat fantazji.

— Ona chyba udaje — zasugerował Igor tak cicho, żeby tylko Luscia mogła go usłyszeć.

— Ona mi się w ogóle nie podoba — szepnęła dziewczyna.

Igor pogładził jej wciąż piękne włosy, choć nie tak błyszczące życiem jak dawniej.

Po koncercie odbywały się ożywione rozmowy i zażarte dyskusje. Generał bardzo cenił ten rodzaj międzyludzkich kontaktów.

— Dopóki interesujemy się sobą wzajemnie, dopóty jesteśmy żywi — mawiał.

Kruszyna usiadła u jego stóp, jak żywy kłębuszek. Wodziła po dyskutantach zdziwionym spojrzeniem błękitnych oczu, z półotwartymi koralowymi usteczkami, jakby chciała wtrącić się do rozmowy, lecz powstrzymała się, zmieszana ich śmiałością. Uniosła śliczną główkę w stronę generała. Ten ciągle mrugał oczyma, zdejmował i przecierał okulary z miną winowajcy, jakby obawiał się, że jego uczniowie zauważą słabość mistrza.

Marat Czubajew przysiadł się do Igora i zaczął mówić o poezji jako o kwestii szacunku. Nie może przecież człowiek przekręcający cudze wspaniałe strofy, choćby i podświadomie uważać się za prawdziwego poetę, nieprawdaż?

Kiedy Kruszyna porzuciła miejsce obok generała i zbliżyła się do nich, poeta odszedł demonstracyjnie.

— Jak się pani nazywa? — zapytała Lusia. — Wszyscy mówią na mnie Kruszyna, a naprawdę mam na imię Miranda. Ładnie, prawda?

— Luscia.

— A nazwisko?

— Tichonowa.

— Jakie zgrabne połączenie — oceniła Kruszyna Miranda. — Od dawna jest pani tutaj?

— Nie bardzo.

— Też się pani poświęciła poezji? — Nie.

— Co za szkoda! Wszyscy dobrzy ludzie powinni być poetami. Czy nie spotkałyśmy się już kiedyś?

— Na pewno nie — odparła Ludmiła. — Zapamiętałabym panią.

— Całkiem słusznie! Chciałabym się z wami zaprzyjaźnić z panią i jej chłopakiem.

— Mnie ma pani na myśli? — zapytał Igor.

— Może mnie pan pocałować. Wszyscy mi mówią, że mam jedwabną skórę, więc pan pewnie też ma na to ochotę, prawda? Lusia nie będzie się gniewać.

Kruszyna zaniósła się perlistym śmiechem, nieco odsunęła od Lusi, a potem pochyliła się ku Igorowi. Poczul na po policzku lekkie muśnięcie jej warg.

— Ach, jaki on słodki — stwierdziła. — Będziemy razem spacerować. Lubicie długie przechadzki?

— Czasem gdzieś chodzimy — odpowiedziała Lusia, bardzo tym rozbawiona.

Igor wyczuł w zachowaniu karliczki coś złowieszczonego. Nie potrafiłby tego racjonalnie wyjaśnić, a jednak intuicja ostrzegała go z siłą syreny alarmowej.

— Ja lubię chodzić brzegiem morza. Pięknie tam, prawda?

— Prawda — przytaknęła Lusia.

— Masz prześliczne włosy. Tutaj wszystkim wypadają. Ty nie masz z tym problemu?

— Nie mam.

— Nie dalej jak wczoraj chodziłam po plaży, ale was nie spotkałam. Chodziliście tam wczoraj?

— Co to znaczy: wczoraj? — zapytał Igor.

— To znaczy niedawno — odparła Kruszyna. — Będę cię nazywała Igorkiem. Wyglądasz jak wiking z moich dziewczęcych marzeń. Szkoda, że nie mogę ci go odbić, Lusi.

— Skąd pani zna moje imię? — zapytał ostro chłopak.

— Kodzi mi powiedział. On jest taki miły. Może wyjdę za niego. Będę miała uroczego, platonicznego męża. Czy to nie jest spełnienie pragnień kobiety w mojej sytuacji?

— Nie widzę niczego szczególnego w pani sytuacji — odparła Lusia, której Kruszyna także się nie podobała.

Właściwie początkowo uważała ją za zabawną, ale teraz zaczęła dostrzegać u niej małe ostre ząbki, jak u młodziutkiego rekina.

W tej chwili podszedł generał.

— Pozwolę sobie przerwać waszą rozmowę — oznajmił. — Kiedy spogląda się na was z boku, ma się wrażenie, jakbyśmy wciąż przebywali w świecie żywych. Cieszę się, że już się zaprzyjaźniliście.

— Jak pani odnalazła generała? — zapytał Igor.

— To ja ją znalazłem — odpowiedział za nią Japończyk. — Podczas spaceru ujrzałem jej filigranową figurkę, biegnącą po ulicy. Ot i wszystko.

— Goniły za mną szczury — oświadczyła Kruszyna, drżąc na samo wspomnienie. — Nie wiedziałam, dokąd uciekać.

Szczury były częścią miejscowego folkloru. Wielu ludzi twierdziło, że je widziało, inni mówili,

że nawet rozumne szczury nie zdołałyby przedostać się do Czyścica. Igor i Lusia wiedzieli jednak, że w tym świecie jest przynajmniej jeden piesek. A skoro mogą być psy, tym bardziej prawdopodobne są szczury.

— Takie ogromne.

Rozstawiła ręce na całą szerokość, żeby pokazać jak były wielkie.

— Kruszyna zamieszka u mnie — oświadczył generał.

Uwiesiła się u jego ramienia, ocierając się jak mały kociak.

— Niech Bóg da panu zdrowie, generale — odparła Czu maziła.

Wszyscy obecni odczuwali różne stopnie zazdrości. Do tej pory generał należał do wszystkich. Miłość platoniczna także może wzbudzać zazdrość.

Igor i Lusia mieli daleko do domu, wyszli więc najwcześniej. Chociaż mieszkali razem z Czumaziłą i Edkiem, pragnęli pobyć tylko we dwoje. Zeszli z Królewskiego Prospektu na szyny tramwajowe i trzymając się tej linii, minęli Zwierzyniec na tyłach Twierdzy Pietropawłowskiej. Znikła gdzieś dzwonnica soboru, a może nigdy nie doczekała się złotej igły na czubku, przez co zmienił się miejski krajobraz. Później przeszli przez most w stronę Domu Puszkina i skręcili w lewo, ku kolumnom Giełdy.

Na stopniach jej schodów ujrzeli coś okropnego. Wiedzieli to i owo o bandytach i mordercach, lecz ten widok przekraczał wszelkie wyobrażenia. Leżały tam cztery trupy, przy czym dwa bezgłowe. Zapewne zabójca bał się, że jego ofiary ożyją, jak to się tu nierzadko zdarzało.

Nie zdobyli się na to, aby podejść do zwłok. Oczywiście, można było przeszukać im kieszenie, aby się dowiedzieć kim byli ci ludzie. W gruncie rzeczy jednak ich tożsamość nie miała w Czyścicu żadnego znaczenia. Przypominały jedynie o znikomości ludzkiego istnienia.

— Chcę stąd uciec — powiedziała Lusia.

— Jak?

Dziewczyna nie po raz pierwszy zaczynała taką rozmowę i chłopak wiedział, co będzie dalej. Była trochę od niego poważniejsza w tym sensie, że nie potrafiła lekceważyć i odsuwać swoich zmartwień na plan dalszy: „jutro też będzie dzień i wszystko się poprawi!” W jej życiu nigdy się nie poprawiało.

— Można się utopić — powiedziała. — Trzeba tylko porządnie przywiązać do nóg betonowe płyty, tak żeby się nie urwały.

— To głupie — odparł. — Co bym zrobił bez ciebie?

Nie mówiąc wprost, przypominał jej delikatnie, że został w tym świecie tylko dla niej.

— Mówiłam przecież, że tylko razem. Może następny świat będzie lepszy?

— Wierzysz w jeszcze jeden świat?

— A kto by uwierzył, że trafimy tutaj?

— Uważam — rzekł Igor — że nasi przyjaciele na powierzchni coś wymyślą. Na pewno.

— Najpierw wymyślą lekarstwo na AIDS, potem środek na raka, a dopiero później dotrą do nas. Jak można żywić ciągle nadzieję, skoro my wszyscy tutaj jakbyśmy nie żyli? Ci, którzy o nas wiedzą, boją się to ogłosić publicznie, żeby nasza zaraza nie przeniosła się na powierzchnię Ziemi albo planują umieścić tutaj bazy wojskowe czy składy broni.

— I pokonać Amerykę — dodał chłopak z uśmiechem.

Przechodzili przez most, mając po lewej stronie Pałac Zimowy, zachowany prawie w całości, a po prawej Admiralicję.

— To naprawdę ciekawe, czy nasz świat rozciąga się pod całą Ziemią?

Zatrzymała się i zapatrzyła w wodę. Oboje zapomnieli o ciałach leżących na schodach Giełdy. W tego rodzaju egzystencji, gdzie zanikła większość związków międzyludzkich, łatwiej o czymś takim zapomnieć.

— A Newa ciągle płynie — stwierdziła Lusja, mówiąc to nie pierwszy raz — powoli toczy swe czarne wody.

— Nie ma czego odbijać — zauważył chłopak.

Na placu przed Pałacem Zimowym spotkali dziwną parę: staruszka odzianego w mundur z ostatniej wojny i babuszkę w długiej sukni, należeli zatem do różnych epok.

— Tutaj się spotkali — stwierdziła dziewczyna.

Wymienili z parą staruszków uprzejme ukłony. Potem usiedli na skwerze przed Admiralicją, na ławeczce pod pomnikiem bajkopisarza Kryłowa.

— Po ulicy słonia wiedli... — zaczął Igor. — Dlaczego ta Kruszyna nie pisze bajek? Nadawałaby się do tego.

— Tobie także się nie podoba?

— Jest strasznie fałszywa.

* * *

Beria nakazał dyżurnemu w Smolnym przyprowadzić do siebie Kruszyne, kiedy tylko się pojawi, gdziekolwiek by przebywał. Informacja przede wszystkim. Wiele sobie obiecywał po jej raporcie. Nie po raz pierwszy Kruszyna wydobywała dla niego wiadomości, jakich nie zdobyłoby dziesięciu innych szpiegów. Była jego najlepszą agentką. W dodatku bezinteresowną i nieprzekupną. Uwielbiała swoją pracę, smak ryzyka balansowania na skraju przepaści.

Ławrientij Pawłowicz zszedł do piwnicy, gdzie kiedyś mieściła się kuchnia, a obecnie znajdowało się laboratorium Leonida Moisiejewicza. Odkąd zaczął on pracować pod opieką Berii, laboratorium wzbogacono odpowiednim sprzętem, wydobytym z magazynów. Niczego doktorowi nie odmawiano.

Beria nie był aż tak naiwny, żeby uważać, iż doktor o przezwisku Freud, były nadworny medyk Imperatora Dworca Kijowskiego w Moskwie, naprawdę stworzy jakąś cudowną szczepionkę. Bardzo tego chcieli, ale oczywiste było, że prawdziwe odkrycia naukowe robią większe zespoły. Nie bez powodu nad bombą atomową pracowało kilka instytutów, a także dziesiątki kół naukowych i oficjalnych grup w Akademii Nauk. Samotni geniusze występują tylko w powieściach Juliusza Verne'a.

W Czyścucu panują inne reguły życia. Nie ma tutaj zorganizowanych grup społecznych, trudno też znaleźć naukowców. Wygląda na to, że uczeni nie pragną rozstawać się z życiem w ten sposób. A lekarze by się tutaj przydali, skoro siła współczesnych społeczeństw opiera się na dobrze zorganizowanej służbie zdrowia. Tutaj, jeśli ktoś złamie nogę, tak już z tym zostanie — noga się nie zrośnie. Głębokie skaleczenia goją się bardzo wolno. Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się nie tylko zwykłym ludziom, ale także władcom Czyścúca. Leonid Moisiejewicz dawno się już pogodził z

faktem, że ciągle ktoś potrzebuje jego usług.

Całe życie marzył o tym, żeby się zajmować nauką, ale utrudniały mu to żona, dzieci, wieczny brak pieniędzy i inne problemy, na tyle poważne, że postanowił skończyć z życiowym bezsensem i samym sobą. W rezultacie wylądował tutaj. Był jednak wiecznym optymistą i uważał, że wszystko ułożyło się jak najlepiej: nie musi martwić się o rodzinę, pieniądze nie są mu potrzebne, a czas się nie liczy. Sam los zdecydował więc o tym, żeby doktor mógł się nareszcie zagłębić w badaniach naukowych.

Nikt nie wiedział właściwie, co dzieje się tutaj z organizmem człowieka, badał to jedynie Leonid Moisiejewicz. Niepotrzebny był mu do tego instytut, wystarczyły wrodzony upór i talent, ukończenie dobrej akademii medycznej, a przede wszystkim dużo czasu, którego nie trzeba marnować na sen i jedzenie. Wprost idealna sytuacja.

Przetrwiał upadek Imperium Dworca Kijowskiego i po szeregu wpadek pojawił się w Leningradzie. Nawet bandyci potrzebowali lekarza. W nowej stolicy zwrócił na siebie uwagę Grackiego i został jego osobistym medykiem, a wówczas o jego perypetiach dowiedział się Beria. Nie przedstawiało dlań żadnego problemu uprowadzić doktora Freuda i stworzyć podziemne laboratorium. Dał mu także na początek dwóch pracowników, zwanych sanitariuszami, których zadaniem było poświęcić w razie potrzeby swoje ciała lub poszczególne organy do eksperymentów, później dodał też dwóch asystentów.

Nieco wcześniej, zanim pojawiła się idea zniszczenia świata na powierzchni, Beria chciał skłonić Freuda do współpracy z Liadowem. Dwaj mężczyźni jednak nie zdołali się porozumieć. Liadow zaszył się w Klubie Szachowym, co doktor przyjął z westchnieniem ulgi. Nie cierpiał, kiedy ktoś stał mu plecami i zaglądał przez ramię.

Beria oświadczył doktorowi, że pokłada wielkie nadzieje w jego szczepionce. Może nie tyle będzie to szczepionka, lecz raczej środek nie wypróbowany nawet na psach albo myszach — bo skąd je tutaj wytrzasnąć? Specyfik, który pozwoli przeżyć w prawdziwym świecie trzy, cztery dni, a choćby i tylko dwa. Pod warunkiem, oczywiście, że ktoś będzie przestrzegał surowych reguł, bo inaczej umrze w męczarniach.

— Przeniosą się tam na ochotnika — powiedział doktorowi. — Pod jednym warunkiem, Leonidzie Moisiejewiczu, proszę mnie dobrze zrozumieć: ludzie ci nie powinni wiedzieć wszystkiego. Inaczej umrą ze strachu.

Tamten kiwał rozczochną głową, dobrze wiedząc, jak można umrzeć ze strachu.

— To będzie zastrzyk? — zapytał Beria.

— Raczej kurs przygotowawczy.

— Proszę zrobić pigułki — polecił Ławrientij. — Najzwyklejsze pigułki.

— To da się łatwo zrobić.

— Postaraj się wykonać je jak najszybciej, w ciągu najbliższych dwóch godzin, żeby były gotowe na wieczór, rozumiesz? Zawsze mogę znaleźć drugiego doktora.

Odszedł w przekonaniu, że lekarz drży przed nim ze strachu i robi wszystko, co możliwe, nie mogąc dociec, czy Beria mówi mu prawdę, czy też tylko go straszy. Dlaczego nie miałby gdzieś ukrywać drugiego naukowca w kolejnym laboratorium? To się mieściło w granicach teorii prawdopodobieństwa.

Doktor zdawał sobie oczywiście sprawę z faktu, że pigułka w niczym nie pomoże terrorystom. Beria uważał jednak, że nie zlecił mu niczego złego i będzie strzegł go jak źrenicy własnego oka. Był

całą jego nadzieją. Można uznać, że owa nadzieja stanowi niską cenę owego układu. Właśnie dlatego Ławrientij idąc do doktora po śmierci Czajanowa i nieprzyjemnej rozmowie z Kliukinem, który szuka po całym mieście swej ukochanej Łarisy, postarał się przybrać nieprzystępny, złowieszczy wygląd, co też mu się zawsze udawało.

Freud narzekał na panujące w piwnicy ciemności i proponował przenieść laboratorium na dach Smolnego, lecz Ławrientij Pawłowicz nie zgodził się na to ze względu na sabotażystów. Rzeczywiście panował tu ciągły półmrok.

Strażnik siedział przykucnięty przed drzwiami, nie spał jednak ani się nie zabawiał. Zerwał się na widok szefa.

— Spocznij — rzekł Beria. — Nie było żadnych problemów?

— Melduję, że nie — odparł wartownik. — Wszyscy są w środku, nikt nie wychodził.

Pomieszczenie było dosyć obszerne, a stoły z marmurowymi blatami uchowały się jeszcze z czasów przedrewolucyjnych. Znajdowało się na nich sporo rozmaitych instrumentów. Beria był zadowolony, że udało mu się dobrze zorganizować funkcjonowanie laboratorium. Nigdy się nie dowiedział, że znakomita większość przyniesionych tutaj z jego rozkazu przyborów była całkiem bezużyteczna, a z połową pozostałych doktor i jego pomocnicy nie potrafili się obchodzić. Na zewnątrz jednak wyglądało to efektownie i Beria miał wrażenie, że w piwnicy działa prawdziwy instytut naukowy. Dlatego życzył sobie, żeby zarówno Freud, jak i jego asystenci zawsze nosili białe fartuchy. Chodzili w nich zatem, choć były już stare i zabrudzone.

Freud niemal wybiegł na spotkanie Berii. Ten potrząsnął w uścisku jego starczą, kościstą dłoń.

— Jakiś postęp w badaniach, Leonidzie Moisiejewiczu? — zapytał. — Usłyszemy od was dobrą wiadomość?

W laboratorium znowu poczuł się sowieckim ministrem, dlatego też zaczął posługiwać się stylistyką i tonem z przeszłości.

— Pracujemy nad tym — odparł szybko doktor. — Robimy, co możemy.

Pozostali pracownicy dosłownie zastygli w miejscach, gdzie ich zaskoczył wchodzący Beria, co mu się bardzo spodobało.

— Mam zamiar przywieźć tutaj naszych towarzyszy — wyjaśnił — którzy wyruszą tam.

Wskazał palcem sufit.

— Pochlebia mi to — odparł lekarz.

— Niech to będzie pigułka. Połkną ją i w drogę!

— Najpierw powinienem zrobić im testy — stwierdził doktor, starając się nie okazać strachu. — Ponieważ przygotowujemy szczepionkę na bazie krwi konkretnego pacjenta.

— Tego jeszcze brakowało!

Beria zdawał sobie sprawę, że taka powinna być procedura, gdyż doktor nieraz mu o tym wspominał. Sprawiał jednak wrażenie, jakby usłyszał to po raz pierwszy w życiu.

— Inaczej nic z tego nie będzie! — dowodził płaczkliwym tonem Freud. — Chcemy przecież, żeby towarzysze wrócili tu cali i zdrowi.

— Otóż to — odparł Beria. — Cali i zdrowi. Tworząc szerokie możliwości współpracy z tamtym światem.

Ponownie wskazał palcem na sufit. Doktor pokiwał ze smutkiem głową.

— Ile czasu im gwarantujecie? — zapytał minister.

— Niestety, nie mogę niczego zagwarantować — odparł naukowiec. — Nie przeprowadziliśmy

przecież ani jednej próby.

— To znaczy, że środek może wcale nie zadziałać?

— W ogóle to zadziała. Przeprowadzaliśmy przecież pewne próby na panu... Faktem jest, że krew zmienia konsystencję.

— Więc postaraj się zrobić pigułkę — nakazał Beria, śmiejąc się.

Wszystko mu się dzisiaj udawało. Czajanow i Łarisa sami mu weszli pod nóż i to bez świadków. Prawdziwy fart!

Pozostawił otwarte drzwi do laboratorium, toteż Kruszyna weszła niepostrzeżenie. Zatrzymała się, przekroczywszy próg i zapytała głębokim, zaskakującym przy jej niewielkiej figurce, głosem:

— Mogę z panem porozmawiać, Ławrientiju Pawłowiczu?

— A cóż to! — zwrócił się Beria do agentki. — Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

— Przeciwnie — odparła Kruszyna.

Bała się go trochę mniej niż inni mieszkańcy Czyśśca, zapewne nie tylko dlatego, że była cennym szpiegiem, ale ponieważ uważała się za kochankę Ławrientija. Oczywiście nie była to prawdziwa miłość, lecz Beria odpowiednio ją łaskotał, gładził, szczypał i ugniatał, aż zaczynała jęczeć i zawodzić:

— Ach, ty mój wikingu! Mój bohaterze! Zadaż mi więcej bólu!

Oboje dobrze wiedzieli, że to jedynie namiastka, lecz zachowywali się, jakby to była prawdziwa miłość, wyjątkowa w tym świecie.

— Przeciwnie — powtórzyła — kazał mi pan przyjść do siebie od razu, gdziekolwiek by pan się znajdował.

— Chodźmy zatem do gabinetu — polecił Beria.

— Mam mało czasu — odparła. — Okłamałam generała, że muszę iść do Sałtykowki po tomiki poetyckie, ale w każdej chwili może mnie przyłapać na gorącym uczynku. Zakochał się we mnie.

— Tego jeszcze brakowało! — rzekł Beria ze złością. — Nie posyłałem cię tam na rozpustę! Więc mów, tylko krótko.

— Znalazłam ludzi, których pan poszukiwał, Ławrienti — ju Pawłowiczu.

— Nie do wiary!

Beria zapomniał, że ciągle są w laboratorium i kilka osób przysłuchuje się rozmowie.

— Nie do wiary! Kim oni są? I jak ci się to udało?

— Zawsze udaje mi się to, czego inni nie potrafią — oświadczyła Kruszyna. — Jestem maleńka, bezradna i sympatyczna.

— Mów, kim jest jej facet! I komu służy?

— Tego jeszcze nie zdążyłam wybadać, ale dużo się dowiedziałam. Chodzi o Ludmiłę Tichonową? To ona wam uciekła?

— A on kim jest?

— Nazywa się Igor Czechonin. Razem mieszkają.

— Pod jakim adresem?

— Nie mogłam za nimi nadążyć. Szli bardzo szybko... Najprawdopodobniej mieszkają w okolicy kanału Gribojedowa, na Podiaczewskiej.

— Wyślę tam moich ludzi.

— Nie do pomyslenia. Jak pan zamierza przeszukać wszystkie tamtejsze zaułki?

— Wystarczy mi funkcjonariuszy, żeby przeszukać całą dzielnicę!

— Ławrientiju Pawłowiczu — osadziła go karliczka — mamy jeszcze czas.

— Nie ma czasu.

— Czyżby coś się stało?

Beria nie dosłyszał pytania.

— To dla mnie arcyważne dowiedzieć się jak najszybciej, kto stoi za tą łajdacką parką. Podlegają tylko generałowi, czy jest jeszcze ktoś wyżej nad nimi? Czego chcą i dlaczego mnie śledzili?

— Wszystkiego się dowiem, mój kochany wikingu — zapewniła. — Obiecuję.

— Świetnie — stwierdził Beria. — To czego jeszcze stoisz? Idź.

— Jak w cyrku — powiedziała Kruszyna. — Morski lew otwiera paszczę, a trener rzuca w nią rybkę.

— Pamiętam — odparł Beria.

— Zawsze pan zapomina. Czas tutaj przecież nie płynie?

— Dobrze, chodźmy do mnie.

Wyszedł jako pierwszy, nie przekazując więcej wskazówek doktorowi. Leonid przysiadł za stołem i siedział nieruchomo, patrząc martwo przed siebie. Było to tak do niego niepodobne, że asystent, były technik dentystyczny, próżniak i szkolny dwójkowicz, Kola Goglidze podszedł do niego i spytał:

— Ten bydlak cię obraził?

— Kto? — odpowiedział Leonid, z trudem odrywając się od swoich myśli.

— A ten parszywy Mingrel — wyjaśnił Goglidze, zniżając głos do szeptu.

— Ach, nie, nie — zaprzeczył doktor. — Po prostu zamyśliłem się nad tym, jaki nasz świat jest mały.

— To prawda: od ściany do ściany. Żyjemy tu jak pod kloszem.

Doktor poznał Igora i Lusię, trudno orzec jak dawno temu. Wiódł wtedy inne życie w Moskwie, a dziewczynkę sprowadzili na dwór jako nową faworytę imperatora. Na Boga, cóż to był za idiotyzm! Potem jednak chłopiec i dziewczyna uciekli, a pozostali zginęli. Teraz okazało się, że mieszkają w pobliżu. Lekarz nie odczuwał z tego powodu radości. Poluje teraz na nich jego szef, Ławrientij Beria, najbardziej jadowita żmija na tym świecie. Posłał na poszukiwania najlepszą agentkę, Kruszyne. Mówi tak o dziewczynie, jakby była jego największym wrogiem, którego trzeba się obawiać. Pragnie śledzić Lusię i na pewno postara się ją usunąć, wszystko jedno, z jakiego powodu.

Najważniejsze to nie dopuścić do tego. Trzeba ich uprzedzić. Kto z jego znajomych mieszka na Podiaczewskiej?

Znał tam niejaką Czumaziłłę, która go nawet w swoim czasie zapraszała na koncert. Ostatecznie się nie dogadali — doktor rozpoczął właśnie swoje badania i nie pragnął nowych związków, ludzi, próżnych rozmów, a już tym bardziej koncertów, całkiem nienaturalnych na tym cmentarzysku. Pamiętał, jak przechadzał się raz nad kanałem Gribojedowa z tą dziwną osobą, a ona opowiadała mu o martwych i żywych domach. Niemal namówiła go, aby zmienił mieszkanie i przeprowadził się do żywego budynku. Tymczasem on przeniósł się właśnie do podziemi Smolnego, o czym nie odważył się jej powiedzieć. Wstydził się przyznać, że pracuje dla Berii.

— Goglidze — oznajmił Freud — chcę się troszkę przejść.

— Ty? — zdziwił się asystent.

— Dość już mam tych przesyconych chemikaliami podziemi.

— Wreszcie usłyszałem męską decyzję — pochwalił go współpracownik. — A nasz poczciwy

Ławrientij nie powinien się o tym dowiedzieć?

— Nie zamierzam robić niczego zakazanego...

— Myślę, że nie zjawi się tutaj w ciągu najbliższych dwóch godzin.

— Dziwne uczucie — stwierdził doktor — wybierać się na stare lata na tajne spotkanie.

Powoli poszedł na parter i wyszedł na prostą dróżkę wiodącą ku bramie wyjściowej. Droga była wolna, jeśli nie liczyć idącego mu naprzeciw cyklisty i wartownika u bramy. Lekarz obejrzał się, gdyż wydało mu się, że ktoś obserwuje go z okna budynku. Mylił się jednak, bo nie zauważył nikogo w ciemnych, odbijających tylko szare obłoki szybach. Pomimo tego szedł na wszelki wypadek powoli, udając starszego pana, któremu lekarz przepisał codzienny spacer.

Rozdział ósmy

Doktor Freud

Podeszwy pantofli głośno plaskały na mokrej od niedawnego deszczu jezdni. To były domowe kapcie, bez pięty, porządnie rozdeptane, wygodne, lecz całkiem nieprzystosowane do chodzenia w nich po ulicy.

Daleką drogę miał przed sobą. Musiał dojść do Dworca Moskiewskiego, stamtąd na Newski Prospekt i dalej w stronę targowiska Gostinyj Dwór. Ciekawe, że hala znikła, jakby jej nigdy nie było. Zamiast niej widniał pusty plac, jak wymieciony po ogromnym śmietniku.

Doktor miał jednak szczęście. Idąc, rozmyślał ze strachem, że Beria na pewno zauważy jego nieobecność w tak ważnym momencie, kiedy trzeba przyspieszyć prace nad szczepionką. I nagle zobaczył riksze.

Człowiek ten był żywą legendą, wyjątkowy dziwak, nawet jak na stolicę. Swój pojazd skonstruował z połączenia roweru z wózkiem inwalidzkim. Sterował fotelem, siedząc z tyłu na siodełku. Zapewne był dziwakiem także w prawdziwym życiu — Miał długą siwą brodę i także włosy. Mówił o sobie, że jest byłym mistrzem kolarskich wyścigów, dlatego tak tęskno mu do roweru. Policjantem jednak nie chciał zostać, wołał wozić ludzi. Nigdy nie pobierał opłaty za przejazd, twierdził bowiem, że owe jazdy hartują jego ciało. Być może tak było w istocie. Doktor do tej pory go nie spotkał, ale słyszał o nim od znajomych.

— Hej, frajerze! — zawołał riksarz.

Freud nie od razu pojął, że to zawołanie odnosi się do niego. W końcu jednak się ucieszył. Riksarz czekał na niewielkim postoju przed Ławrą Aleksandrowską. Doktor zachodził tutaj czasem, dziwiąc się, że ze świątyni przepadły niektóre nagrobki, a może wcale ich w tym świecie nie było. Zauważył, że cudak ma zdrowy odcień skóry i pomyślał, że trzeba będzie go namówić na badania w Smolnym. Krew każdego z pacjentów stanowiła dla niego zagadkę, bowiem zawierała w sobie zadziwiająco nielogiczne elementy byłego życia, każda w inny sposób.

Riksarz okrywał się peleryną, jaką nosili przed rewolucją studenci i gimnazjaliści, co doktor miał okazję zobaczyć w starych filmach. Siwo — żółte kosmyki opadały na kark i ramiona, broda wyglądała niechlujnie, tak że miało się ochotę zawołać: wyrównaj ją wreszcie!

— Siądź wygodnie — zachęcał riksarz. — Podwiozę cię. Znasz taryfę?

— Nie znam — odpowiedział Leonid, klepiąc się po bokach, jakby szukał pod fartuchem albo w kieszeniach spodni portfela z pieniędzmi.

— Prawdziwa opowieść o życiu — wyjaśnił tamten. — Opowiedziana w trakcie jazdy. Zgadzasz się?

— Oczywiście, naturalnie, tylko... nie przedstawił się pan, nie znam więc pańskiego imienia.

— Rikszarz. Nie mam i nie chcę mieć imienia. Ty jesteś lekarzem. A może fryzjerem?

— Lekarzem.

— W jakim szpitalu pracujesz?

— W Smolnym — wyznał Leonid Moisiejewicz.

— Chcesz powiedzieć, że pracujesz dla tej gadziny w kapeluszu?

— Nic podobnego!

Leonid zawsze spodziewał się takiego pytania, toteż uniósł z irytacją podbródek.

— Pracuję dla ludzkiego dobra.

— Nie przeczę — odparł cudak. — Siadaj, po co masz męczyć nogi. Dokąd jedziemy?

— Nad kanał Gribojedowa — oznajmił doktor. — Wie pan, gdzie to jest?

— A konkretnie?

— Konkretnie muszę dojechać na Podiaczewską. Na róg Wielkiej Podiaczewskiej i kanału.

— Jasne — stwierdził rikszarz.

Nacisnął na pedały i po chwili riksza ruszyła dosyć szybko, tak że można by ją było dogonić tylko biegiem. Wiatr owiewał twarz pasażera, on zaś stwierdził, że dawno czegoś takiego nie odczuwał.

— Deszcz padał — zauważył.

— Jeszcze jaki, jak na nasze warunki! — zawołał tamten. — Nie przypominam sobie czegoś podobnego, chociaż mieszkam tutaj czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt lat.

— Ja wcześniej mieszkałem w Moskwie. Tam także deszczu nie bywało.

— Powiedziałbym, że to niebezpieczny sygnał — stwierdził rikszarz. — Bo oznacza, że deszcz, który nie mógł tutaj powstać z braku cyrkulacji powietrza, musiał przebić się do nas z powierzchni. Do tego powiał wiatr. Czuleś to?

— Czulem — przytaknął doktor i nagle się roześmiał.

— Z czego się śmiejesz?

— Proszę zauważyć — odparł z uśmiechem lekarz — że właśnie rozmawiamy o pogodzie. A to znaczy, że pojawiło się coś takiego, jak pogoda.

— Fakt! — zgodził się rikszarz. — To mi nie przyszło do głowy. — I to mnie niepokoi — oznajmił Freud. Trudno mu się rozmawiało z rikszarzem, siedząc przed w fotelu, podczas gdy głowa kolarza znajdowała się tuż za jego potylicą.

— Dosyć już mamy problemów — stwierdził dziwak. — Zdaje się, że mądrzy ludzie powiadają, że pochodzi to od tych, którzy do nas przechodzą. Szczególnie dużo przybyło ich w ostatnich czasach. Dawniej, bywało, jechałem od Dworca Moskiewskiego do Pałacu Zimowego, nie spotkawszy nikogo po drodze. A teraz, starczy spojrzeć! Przyzwyczyli się pan już do tego? Ja jeszcze nie. Nie dziś, to jutro pojawią się nowi rikszarze. Ludzie będą chcieli się przenosić z miejsca na miejsce i potrzebny im będzie transport. Potem uruchomią tramwaj...

— Czym napędzany?

— Będą go ciągnąć cykliści, jak konny tramwaj przed rewolucją.

Minęli się z nadjeżdżającymi z naprzeciwka dwoma młodymi mężczyznami na hulajnogach. Przerwali rozmowę i ukłonili się rikszarzowi.

— Sam widzisz — powiedział dziwak. — Nie mówiłem?

— Kim oni są? — zaciekał się Leonid Moisiejewicz.

— Tajniacy — wyjaśnił tamten. — Znam ich, bo pomagałem przysposobić te „pojazdy”. Ale do służb, jak oni to nazywają, nie poszedłem. Po co mi to? Jestem wolnym ptakiem.

Zaraz za Dworcem Moskiewskim, w pobliżu Prospektu Litiejnego, zobaczyli Cygankę, która stała pośrodku jezdni i krzyczała:

— Komu powróżyć? Cyganka prawdę powie i długie lata przepowie. Chodźcie no tutaj, ptaszki, ustawcie się w kolejce do przeznaczenia!

— To także agentka? — chciał wiedzieć doktor.

— Nie sądzę — odpowiedział poważnie riksarz. — Po co im wrzeszcząca Cyganka? Biegła jakiś czas za umykającą riksą...

* * *

Wyjechali nad kanał Gribojedowa przy placu Siewnym. Nadrzeczny bulwar był wąski, pokryty nierównym, wyboistym asfaltem, przez który tu i ówdzie wyzierały pasma kostki brukowej.

— Wsiadaj — powiedział riksarz.

Zdążył się tymczasem zaznajomić bliżej z doktorem, a nawet wyciągnął z niego, kogo szuka, chociaż lekarz nie chciał powiedzieć, do czego potrzebna mu Czumaziła, jak się okazało, znana cudakowi.

— Wsiadaj, dalej pójdziemy na piechotę, bo inaczej połamię swój wózek na tych kocich łbach. Jest dla mnie ważniejszy od twojej wygody, bo sam rozumiesz, to podstawa mojej egzystencji. Bez niego zdechnę z głodu.

Brzmiało to jak często powtarzany żart.

Leonid ruszył przodem. Chciał się początkowo pozbyć riksarza, ten jednak oświadczył, że skoro obiecał odwiedzić go z powrotem do Smolnego, kiedy tylko doktor odnajdzie swoich znajomych, a czekać nie miał zamiaru, woli dalej dotrzymać mu towarzysztwa. Poszli więc razem. Leonid nie zadawał więcej pytań, więc riksarz sam wyjaśnił:

— Wychowała mnie ulica, dzikie życie na świeżym powietrzu. Jeśli zbyt natarczywie zadajesz pytania, ludzie zaczynają uważać cię za wroga, dlatego że niebezpiecznie u nas opowiadać zbyt wiele o sobie i swoich sprawach. Ten, kto nikomu nie zdradził, gdzie ukryty jest kufer pełen złota, będzie żył bogato. Rozumiesz?

Leonid wolałby, żeby riksarz zostawił go w spokoju, ale z drugiej strony, we dwóch zawsze raźniej. Dawno nie oddalał się od laboratorium i zdawało mu się, że w mrocznych czeluściach pomiędzy domami czają się bandyci, gotowi poderżnąć mu gardło.

— A ja kierowałem instytucją. To właściwe określenie. Codziennie przychodziłem do swego gabinetu: piękne boazerie na ścianach, biurko z trzema telefonami, i myślałem: dlaczego nie zostałem gońcem na rowerze?

Z oddali wynurzył się mostek, tonący dotąd w gęstej mgle. Doktor spojrzał w głąb kanału. Płynęła nim czarna, jakby bezdenna woda, niosąc ślady ludzkiej działalności — stary trzewik, puszka po konserwach, pusta butelka...

— Masz tutaj jakąś kobietę? — zapytał riksarz.

Doktor przyjrzał się tamtemu uważnie. Włosy opadające białymi kosmykami na ramiona i oczy tak przejrzyste i jasne, niczym letnie niebo nad Biegunem Północnym. Straszne jakoś. Nie raczył

odpowiedzieć na jego głupie pytanie.

— Poznasz mnie z nią? — ciągnął tamten. — Dawno nie byłem z żadną babą, aż strach pomyśleć.

— Przecież niczego pan z nią nie zdołał — zauważył lekarz.

— Nie lubię takich żartów! — nastroszył się riksarz. — Możesz przypłacić je życiem, rozumiesz? Chcieli mnie pokazywać w moskiewskim cyrku w celach naukowych jako wzór niespożytej potencji, dasz wiarę?

W tym momencie uśmiechnął się i kontynuował całkiem odmiennym tonem:

— Przestraszyłeś się, doktoru? Lubię straszyć ludzi. Skoro się ciebie nie boją, to nie szanują. A w istocie ludzie powinni być braćmi. Moje wygłupy czasem są nie na miejscu. Wybacz. Otóż i Podiaczewska. Której ulicy szukasz?

— Wielkiej — odparł doktor. — W domu na rogu, z daszkiem nad podjazdem, powinna przebywać moja znajoma.

— W tym?

— Tak mi się zdaje. Zaczeka pan tutaj?

— Nie mam zamiaru puszczać ciebie samego — oznajmił riksarz. — Mogą cię tam zabić. Lepiej, żebym popilnował schodów. Będziecie mogli swobodnie porozmawiać, nie obchodzą mnie wasze sprawy. Lepiej jednak mieć ochronę. Możesz być pewien, że będę czuwał.

— Dobrze — zgodził się doktor. — Proszę poczekać przy wejściu.

Nie musieli jednak wchodzić do środka. Czumaziłła akurat zdążyła ku nim przez mostek od strony Telegrafu. Zdobyła gdzieś szeroki, lecz krótki, niebieski płaszczyk. Kreacji dopełniały żółty berecik i wielkie, męskie buciory.

— Witam! — zawołał Leonid. — Pamięta mnie pani?

— Jakżebym mogła zapomnieć, Leonidzie Moisiejewiczu.

— Mnie także pani zna — zauważył riksarz.

— Kieruje pan rikszą — stwierdziła. — Nasza miejscowa osobliwość. Do tej pory nie miałam śmiałości się nią przejechać...

— Chętnie bym się z panią przejechał — odpowiedział. — Jeszcze nie zapomniałem tej przyjemności.

— Darujmy sobie — odparła. — Nie lubię molestowania seksualnego, nawet w subtelnej formie.

Nie wiadomo, dlaczego nazywano ją Czumaziłłą. Być może z powodu gęstych, czarnych brwi i drobnego meszku nad pełną, górną wargą, aczkolwiek nie miała śniadej cery.

— Odłóżmy romans na później — westchnął riksarz.

— Co pana tutaj sprowadza? — zapytała doktora, ignorując jego towarzysza.

— Muszę porozmawiać z panią poufnie — odpowiedział. — Możemy odejść na stronę?

Czumaziłła okazała zdziwienie.

— Nie chce pan rozmawiać przy riksarzu? Więc dlaczego pan go tutaj przyprowadził?

— No właśnie — podchwycił riksarz — wcześniej błagał, żebym go chronił przed bandytami, a teraz się do mnie nie przyznaje.

— Tak się złożyło — odparł doktor. — Rzeczywiście bardzo mi pomógł, a wkrótce będę musiał wracać do Smolnego.

— Więc chodźmy do mnie.

Doktor podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je i z ukłonem zaprosił kobietę do wejścia.

— A co ze mną? — zawołał za nimi riksarz. Drzwi się zatrzasnęły. Czumaziłła zatrzymała się.

— Teraz może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

— Potrzebny mi adres Ludmiły — wyjaśnił lekarz.

— Po co?

Zacisnęła usta i zmrużyła oczy, sądząc zapewne, że wygląda w ten sposób groźniej.

— Może ją pani osłaniać — oznajmił — lecz obawiam się, że grozi jej wraz z Igorem poważne niebezpieczeństwo. Przysięgam.

— Postaram się panu zaufać — zdecydowała — i zaprowadzę pana do nich.

— Daleko?

— Nie bardzo.

— Lecz jak się pozbyć rikszarza?

— Niech pan mu powie, żeby tutaj zaczekał.

Kiedy znowu wyszli na ulicę, rikszarz stał przed wejściem.

— Sprawy mają się tak — zwrócił się do niego Leonid — zaczeka pan na mnie tutaj. Proszę się stąd nie ruszać.

— To rozkaz?

— Można tak powiedzieć. — Tak jest!

Rikszarz z uśmiechem przysiadł na krawężniku.

Kobieta poprowadziła doktora Wielką Podiaczewską. Do domu z napisem *SALVE!* było tylko sto kroków, ale rikszarz nie mógł ich obserwować, gdyż skręcili za rogiem. Przystanęli przed wejściem.

— Nie mogę zagwarantować — oznajmiła Czumaziła — ze nasi przyjaciele są teraz w domu. Mieliśmy dziś bardzo uciążliwy, ale przyjemny dzień, wypełniony występami i dyskusjami. W drodze do domu jednak miły nastrój całkiem prysł. Pod Giełdą natknęliśmy się na bezgłowe ciała. Ktoś chciał, by jego ofiary umarły naprawdę.

W bramie było ciemno, mlecznej barwy farba obłaziła płatami ze ścian i zdawało się, że pachniała gdzieś skisła zupa, chociaż w Czyścucu nie ma zapachów. Strumień czerwonych mrówek płynął po murze jak stróżka krwi.

— Nie rozpoznaliście ich?

— Kogo?

Najwyraźniej zapomniała, o czym opowiadała minutę temu.

— Mówiła pani o trupach...

Zaczął wchodzić po schodach, ona szła za nim.

— Były bezgłowe. Rozpoznał je dopiero Kliukin. Podejrzewając najgorsze, przyjechał ze swoją ochroną i stwierdził, że to Czajanow i Łarisa Reisner.

Leonid Moisiejewicz stanął jak wryty.

— To niemożliwe! Kto ośmielił się podnieść rękę na Wodza Naczelnego?

— Jest pan pewien, że wybrali go Naczelnym?

— Tak jak siebie samego.

— Niczego nam nie obwieszczają...

— Na którym piętrze mieszkają młodzi?

— Na trzecim. Jeszcze jedna kondygnacja.

— Chyba nie zamierza pani zostawać w tyle?

— Oczywiście, że nie — odparła. — Tylko proszę mi dać odetchnąć.

Chwilę odpoczywali na podeście, potem Czumaziła krzyknęła:

— Igorze, otwieraj, masz gości!

— Igorze! — wtórował jej Leonid, wchodząc na najwyższy stopień.

Drzwi się otwały.

— I to jacy goście! — ucieszył się Igor.

Od czasu, gdy doktor Freud widział go ostatni raz, chłopak mocno wychudł i policzki mu się zapadły. Tutejsze życie nie dodaje urody, pomyślał lekarz, lecz wolał nie mówić tego głośno.

Lusia przywitała ich w przedpokoju, potem przeszli do dużego pokoju z szerokim tapczanem, zasłanym kocami, biurkiem, na którym leżały kartki papieru i kilka ołówków oraz piękną, drewnianą, chyba stuletnią biblioteczką. Książki, które się w niej nie zmieściły, leżały w stosach pod ścianą.

— Przydałoby się i nam takie mieszkanie — stwierdziła Czumaziła ze zrozumiałą zazdrością.

— Siadajcie — zaprosiła Lusia.

Leonid Moisiejewicz przyglądał się jej z lubością, nie tylko dlatego, że dziewczyna nie straciła swej wspaniałej urody, figury baletnicy i pięknego kształtu łydek. Rysy jej twarzy były, można by rzec, nieco pospolite i raczej proste, lecz regularne i harmonijne jak u marmurowej rzeźby. Nie miała już zdrowych, naturalnych rumieńców na policzkach.

Ucieszyła się na widok doktora znacznie bardziej niż Igor. Był dla niej w swoim czasie jedynym przyjacielem spośród mieszkańców martwego świata, kiedy znalazła się tu po raz pierwszy jako mała dziewczynka. To właśnie lekarz dopomógł jej i Igorowi w ucieczce. Pomagał, gdy tylko mógł, gdy było z nią naprawdę źle. Potem stracili się z oczu. Dziewczyna nawet nie podejrzewała, że również znalazł się w Petersburgu.

— Siadajcie — powtórzyła, gdy już obcałowała doktora w nieco wymuszony sposób. — Żałuję, że nie mogę was poczęstować herbatą. Do wielu rzeczy już się tutaj przyzwyczaiłam, ale trudno mi żyć bez herbaty.

— Rozumiem cię — powiedziała Czumaziła.

— Tak jest, siadajcie — wtórował dziewczynie Igor, proponując gościom tapczan. — Tutaj będziecie mieli miękko.

— Czemu nas szukaliście? — zapytała Lusia.

— A właśnie! — Czumaziła dopiero teraz zdała sobie sprawę, że sama powinna była zadać już dawno podobne pytanie.

— Usłyszałem imię Lusi z ust Berii — wyjaśnił Leonid. — Bardzo się przestraszyłem i dlatego zaraz do was przybiegłem.

— Czemu się pan wystraszył? — spytał Igor z wyraźnym niepokojem.

— Nie spodobał mi się kontekst, w jakim padło jej imię.

— To znaczy?

— Beria poszukuje Lusi — wyjaśniał dalej doktor. — Dowiedział się już, że mieszka na Podiaczewskiej, tylko nie wie jeszcze w którym domu. Dlatego czym prędzej tutaj przyjechałem... miałem szczęście, że trafiłem na riksarza.

— Tego, który wozi ludzi po Newskim Prospekcie? — upewniał się Igor. — Też z nim raz jechałem.

— Zaczekaj, Igorku — wtrąciła Lusia.

Chociaż była młodsza od niego o sześć lat, czuła się teraz bardziej dojrzała niż on, ponieważ życie nie oszczędziło jej bolesnych doświadczeń: była bita, poniżana i poznała, czym jest bieda. Zmokła kura, jak ją nazywała własna matka. Wszystko przychodziło jej zdobywać z wielkim trudem.

Igor nie był tak życiowo zahartowany, miał normalną rodzinę, która kochała go i rozpieszczała, miał przyjaciół, a rodzice go nigdy nie bili.

— Zaczekaj, Igorku — powtórzyła. — Niech pan najpierw wyjaśni, dlaczego poszukuje mnie ten oprawca?

— Wiem tylko, że posyłał swoich ludzi, żeby was odnaleźli. Ma wierną agentkę, tak zwaną Kruszyne, takie niby kruche maleństwo...

— Poznałam ją — oświadczyła Lusia.

— Coś takiego! — zawołał Igor.

— Tak przypuszczałam. — W głosie Czumaziłły zadźwięczał ton triumfującej sprawiedliwości. — Od początku przeczuwałam w związku z nią coś złego: jak to możliwe, że spotkała go niby przypadkiem i od razu zdobyła jego zaufanie? Zaduszę tę gadzinę własnymi rękami.

— Więc ta Kruszyna jest agentką Berii? Dlaczego ją do nas posłał?

— Mogę odtworzyć bieg jego myśli — zaczął Igor. — Chcieliśmy podsłuchać, o czym będą mówić senatorzy, kiedy będą wybierać Wodza Naczelnego.

— Po co wam to było? — zapytał doktor.

— Czuję — wtrąciła Lusia — że nadchodzą przemiany. Dzwoni mi w uszach dzwonek alarmowy. Jestem przekonana, że dzieje się coś złego.

— Nie od razu tam poszliśmy — informował dalej Igor. — Najpierw usłyszałem straszne rzeczy, do tego stopnia niepokojące, że powiedziałem o nich generałowi.

— Który teraz wszystko wygada swojej faworycie — stwierdziła Czumaziłła. — Jeśli już tego nie zrobił.

— Beria wysłedził mnie i aresztował — powiedziała Lusia. — Igorek wyciągnął mnie ze Smolnego. Zignorowaliśmy możliwość, że może nas dalej ścigać.

— To skutek życia w tym świecie — dodał Igor ponuro. — Taka głupota powinna być ukarana.

— To moja wina, Igorku — oświadczyła dziewczyna.

Będąc obecnie opanowaną, niemal oschłą osobą, wszystkie czułe uczucia wdzięczności i uwielbienia przelała na swój jedyny skarb, Igora.

— Czego chce od nas Beria? — zapytał chłopak doktora.

— Z tego co zrozumiałem, zależy mu zwłaszcza na Lusi. Nie wie jeszcze, w czym mu zagraża i z kim jest związana. Być może wyolbrzymia niebezpieczeństwo...

Doktor zamilkł na chwilę i przyjrzał się dwojgu młodym, lecz niczego nie zdoławszy wyczytać z ich twarzy, kontynuował:

— Myśli o jakimś wielkim eksperymencie, do którego potrzebuje mnie oraz innych ludzi. Nikomu oczywiście nie ufa, boi się nawet swoich sojuszników, konsulów.

— Zdaje się, że mocno się boi — stwierdziła Czumaziłła. — Jeśli to on zabił Łarisę i Czajanowa, będziemy mieli wojnę na górze. Kliukin nigdy mu tego nie wybaczy.

— Będąc na jego miejscu bardziej obawiałbym się władcy Nikifora — zauważył młodzieniec. — Idąc z Moskwy lasami, zagłądaliśmy do leśnych pustelni. Beria nawet się nie domyśla, co i kto się w nich kryje.

— Nic mi o tym nie mówiliście — rzekła z urazą Czumaziłła.

— Nie pytałaś — odparła Lusia.

— O czym jeszcze wie Beria i co planuje? — indagował Igor doktora.

— Nic więcej o was nie wie. Wysłał ponownie Kruszyne do generała, żeby z niego wydobyła,

kim jesteście i kto za wami stoi. Kiedy to usłyszałem, wyczekałem na odpowiednią chwilę i opuściłem laboratorium.

— Co za laboratorium? — zapytała Lusia.

— Moje. Jakim by durkiem nie był nasz Beria...

— Tylko nie nasz!

— Jakim by durkiem nie był, dał mi możliwość pracy naukowej. Bez niej bym chyba usechł.

— Do diabła z laboratorium — stwierdziła Czumaziła — Musimy uciekać. Jeśli Kruszyna dowiedziała się, gdzie mieszkacie, za parę minut mogą się tu zjawić cykliści.

— Kruszyna nie ma skrzydeł — zauważył doktor. — Nawet jeśli podwieźli ją rowerzyści... sądzę, że mamy jeszcze czas.

— Więc powiedz nam — powiedziała Lusia tonem dawnej dziewczynki, która znalazła się tutaj przypadkiem i doktor był jej jedyną nadzieją — cóż to za laboratorium? Czym się zajmujecie?

— Krwią — wyjaśnił lekarz. — Wiesz przecież, że jestem z wykształcenia hematologiem. Pragnąłem się dowiedzieć, jakie zmiany zachodzą w strukturze krwi mieszkańców świata bez czasu. Chciałem sprawdzić, czy to proces nieodwracalny.

— Dziecinne marzenie — orzekła Czumaziła.

— Zdaję sobie sprawę, jak małe mam tutaj możliwości, lecz jest to ogólny problem. Ktoś musiał zacząć to badać. Nawet jeśli tam, na powierzchni, znają nasze problemy, nie są w stanie uleczyć naszej krwi. A ja to chyba potrafię.

— A co ma do tego Beria? — zapytał Igor.

— Wspomaga mnie, ponieważ także chciałby się tego dowiedzieć.

— Akurat — odparła Czumaziła — chce się z nami rozprawić, a potem wrócić do prawdziwego świata.

— Mylisz się — stwierdził doktor. — Planuje jednak ekspedycję.

— Po co? — szybko zapytał chłopak.

— Nie wiem, tego mi nie powiedział. Jacyś ochotnicy mają się tam przenieść na dzień lub dwa...

— Więc coś pan jednak wynalazł? — spytała Czumaziła.

— Nie wiem. Mam laboratorium, sprzęt i asystentów i wydaje mi się, że trafiłem na właściwy trop...

— Może pan przywrócić żywotność naszej krwi? — dopytywała się kobieta.

— Nie wyraziłbym tego tak zdecydowanie — odparł z wapniem. — Sądzę jednak, że mogę uchronić przed śmiercią człowieka udającego się stąd na powierzchnię. Oczywiście nie na długo.

— Obawiam się — wtrąciła Lusia — że Beria wykorzystuje twoją pracę dla jakichś okropnych celów. To bardzo zły człowiek.

— Lepiej od ciebie wiem, że jest zły. Przecież nie przybiegłem tutaj tylko z tęsknoty za tobą, ale także ze strachu.

— Co ci ludzie mają tam robić? Chyba nie tylko się przespacerować? O coś w tym wszystkim chodzi... — rozważała dziewczyna.

— Też tak uważam — zgodził się z nią doktor — ale póki co nie dowiedziałem się niczego więcej.

— Proszę narysować plan — zaproponował Igor.

— Jaki plan?

— Plan waszego laboratorium i Pałacu Smolnego, taki, żebym w razie potrzeby mógł tam pana

łatwo znaleźć.

— Masz jakiś ołówek?

Doktor zaczął rysować. Igor zaglądał mu przez ramię, starając się zapamiętać od razu jak najwięcej szczegółów. Kobiety podeszły do okna wychodzącego na Wielką Podiaczewską.

— Myślisz, że tamtych zabił Beria? — zapytała Lusia.

— Tak, jestem prawie pewna.

— Widzieliśmy te ciała, ale nawet mi do głowy nie przyszło, że leży tam sam Wódz Naczelny.

— Czego dowiedział się Igor, podsłuchując naradę? — spytała Czumaziła.

— Nie chcę o tym mówić — odparła dziewczyna. — Nie gniewaj się. Dopóki niczego nie wiesz, nie wydobędą z ciebie zeznań. Będiesz miała szansę ocalić życie.

Czumaziła chciała się w pierwszej chwili obrazić, potem jednak zgodziła się z rozmówczynią.

— Masz rację — orzekła. — Po mnie od razu widać, czy coś wiem, czy nie.

— Teraz wszystko jasne? — zapytał Leonid, kończąc rysować schemat budynku.

— Tak, myślę, że trafię bez trudu.

Doktor westchnął i musnął palcami rękaw koszuli młodzieńca.

— Prawdę mówiąc, dawno nie czułem się tak dobrze — stwierdził. — Jakbym znowu zobaczył żywych ludzi.

Czumaziła odpowiedziała na to szybciej od Igora.

— Proszę nas częściej odwiedzać, doktorze. Urządzamy koncerty, a niedawno byliśmy nad morzem i szukaliśmy żywych sosen. Proszę sobie wyobrazić, że znaleźliśmy parę!

— Chętnie — zgodził się doktor. — Z przyjemnością przyjdę na wasz koncert.

— Jakbym znowu zobaczył żywych ludzi... — powtórzyła Lusia.

— Nie smuć się — rzekł do niej z uśmiechem Igor. — Jak to się mawiało na Ziemi, to jeszcze nie koniec.

Lusia nie odpowiedziała, będąc myślami gdzie indziej.

— Doktorze — powiedziała w końcu — a co będzie, jeśli Be — ria przygotowuje coś strasznego i do tego potrzebna mu pańska szczepionka?

— A cóż on może zrobić? Chyba gorzej już być nie może?

— A jeśli chodzi o zagładę? Śmierć tych, którzy zostali na powierzchni.

— Wszystkich naraz? — spytał lekarz z wątpiącym uśmieszkiem.

— Owszem. Pięć miliardów ludzi.

— Nie opowiadaj głupstw, Ludmiło.

— Ależ on tego pragnie.

Doktor wzruszył ramionami. Nie mieściło mu się w głowie, że zamysły Berii i pozostałych szalonych dyktatorów Czyśca mogłyby doprowadzić aż do takiej tragedii.

— A teraz — powiedziała Czumaziła — proszę stąd uciekać.

— Dlaczego? — zdziwił się Igor.

— Bo jeśli Beria jest w to zamieszany, mógł specjalnie podstawić doktorowi rikszarza.

— Żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkamy? — domyśliła się Lusia.

— Właśnie. Jeśli znasz jakieś bezpieczne miejsce, ukryjemy się tam — powiedział Igor.

— Chodźmy — powiedziała kobieta.

Igor chciał zabrać jakieś książki, lecz Lusia kazała mu tylko rac plecak, do którego włożył arkusze czystego papieru.

Szybko zeszedli po schodach. Mrówczany strumyk znikł ze ściany, jakby go wcale nie było. Ulica była pusta, tylko na jej końcu, gdzie Podiaczewska przechodzi w kanał Gribojedowa, stał na moście riksarz, wsparty plecami o balustradę.

— To on? — zapytała Lusja.

— Tak — przytaknął doktor. — Czekaj, żeby odwieźć mnie do Smolnego.

— Niech pan idzie — powiedziała — i pojedzie tam. Jakby co, Igor przyjdzie do pana. Lepiej, by pan nie wiedział, dokąd zaprowadzi nas Czumaziła.

— To już chyba nadmierna ostrożność!

— Nie wiem — odparła — ale lepiej, żeby ten riksarz już odjechał.

— Nigdy dość ostrożności — poparła ją kobieta. Patrzyli za doktorem, który podszedł do riksarza, nie oglądając się za siebie. Widzieli, jak cudak zrobił kilka kroków na spotkanie lekarza i spojrział w ich kierunku. Zapytał o coś, a doktor mu odpowiedział. Później poszli razem w stronę Prospektu Majorowa i znikli im z oczu.

— No to prowadź nas do kryjówki — powiedział Igor.

* * *

Droga powrotna przeszła w milczeniu, chociaż doktor nie chciał podejrzewać riksarza. Pojazd zatrzymał się przed bramą pałacu. Lekarz sugerował, aby nie wjeżdżali na dziedziniec. Obawiał się, że ktoś ze straży, a może nawet sam Beria, zauważy, że lekarz powraca z daleka.

— Chciałbym kiedyś zwiedzić Smolny — oznajmił riksarz — i zobaczyć miejsce, w którym Lenin wykuwał zwycięstwo klasy robotniczej.

— Nie zdołam pana przeprowadzić — odparł doktor. — Strażnicy mają mnie za nic.

Wstał z fotela i rozprostował się z trudem.

— Starość nie radość — powiedział.

Powiódł wzrokiem po oknach drugiego piętra, bojąc się, że dojrzy w którymś z nich kapelusz i binokle Berii. Nie mógł go jednak zauważyć, gdyż minister skrył się za mocno zakurzoną kotarą. Odczekał, aż Leonid Moisiejewicz spiesznym krokiem dotrze do budynku, a wówczas wezwał sierżanta.

— Wyślij kogoś do piwnicy — polecił. — Niech pilnuje, żeby doktor więcej nie wychodził. Drugiego pošlij do tylnego wejścia, żeby przyprowadził do mnie człowieka nazwiskiem Kondratienko. Zrozumiano? Wykonać.

Zaczął przemierzać gabinet drobnymi, lecz stanowczymi krokami. Był zły, że sytuacja wymknęła mu się z rąk i pozwolił, by wrogowie się zjednoczyli. Najprawdopodobniej się porozumieli. Skoro do tego doszło, powinien podjąć kroki i ukarać winnych. To w końcu główne zadanie przywódcy. Rozumiał jednak, że nie jest w stanie na razie nic zrobić.

Przypomniała mu się stara anegdotka.

Skorpion poprosił żabkę:

— Przewieź mnie przez rzekę.

— Nie zrobię tego — odpowiedziała — bo mnie ukąsisz.

— Po co mam ciebie żądlić, skoro chcę dopłynąć na tamten brzeg, a nie potrafię pływać.

Żabka mu zaufała i popłynęła. Pośrodku rzeki skorpion ja użądlił. Zaczęła tonąć w strasznych męczarniach.

— Czemu to zrobiłeś? — krzyczała.

— Taki już ze mnie skurwysyn — oświadczył skorpion.

Cokolwiek w życiu zrobisz, myślał Beria, zawsze znajdziesz się w sytuacji żabki albo skorpiona.

— Wszędzie zdrajcy — mamrotał.

A wszystkiemu winien brak ludzi. W poprzednim życiu, jeśli zdradził cię jakiś, dajmy na to, Iwanow, kazałeś go rozstrzelać i znajdowałeś na jego miejsce dziesięciu nowych, nie gorszych od poprzednika. Tutaj nie masz wyboru, trudno kogoś zastąpić. I co powinien robić w takiej sytuacji szef... powiedzmy po prostu, całego państwa? Powinien nauczyć się czekać. Nawet wtedy, kiedy pięści same się zaciskają a zęby zgrzytają. W końcu nadejdzie czas odwetu, kiedy zdrajca będzie pełzał u twoich stóp, błagając o łaskę.

Sierżant wprowadził rikszarza. Ten pozostał przy drzwiach, skubiąc długie, białe kosmyki włosów. Miał zaczerwieniony nos. Bał się Berii jeszcze od czasów, kiedy obaj byli żywi.

— Czemu nic nie mówisz, Kondratienko? — zapytał Ławrientij Pawłowicz takim tonem, jakby o coś oskarżał rozmówcę.

— Dogoniłem obiekt w okolicy Dworca Moskiewskiego i zaproponowałem, że go podwiozę.

— Szedł szybko, czy powoli?

— Szedł zwykłym krokiem, towarzyszu Beria.

— Jak zareagował na twoją propozycję?

— Jak wszyscy. Najpierw się zdziwił, a potem ucieszył.

— Powiedział, dokąd chce jechać?

— Na Podiaczewską.

Beria splótł palce dłoni na piersi, żeby opanować ich drżenie. Do tej pory mógł się pocieszać, że się pomylił, teraz jednak widział, że nie ma mowy, o żadnej omyłce. Potwierdziła się ta gorsza diagnoza sytuacji.

— Kontynuuj — rozkazał.

Riksarz widział przed sobą tylko rondo kapelusza, dolną część okularów i nos z podbródkiem.

— Podwiozłem go.

— Czego się dowiedziałeś po drodze?

— Chciał odszukać znajomych, mieszkających na Podiaczewskiej.

— Pod którym numerem? — wrzasnął Beria.

Riksarz nie rozumiał, co tak rozgniewało ministra Bezpieki.

— Nie powiedział. Chyba sam nie wiedział.

Pamięć starszków w Czyścju jest kompletnie do niczego. Zadaniem rikszarza było śledzić pracowników Smolnego: dokąd ktoś poszedł, do kogo i w jakim celu? Co się tyczyło doktora, miał specjalne zadanie dogonić go i zawieźć tam, dokąd sobie będzie życzył. Co też uczynił.

— Poszedłem z nim pieszo.

— Dlaczego? — spytał Beria.

— Moja riksza nie nadaje się do jazdy po nadbrzeżu. Zostawiłem ją i poszedłem z doktorem.

— Jak to przyjął?

— Nie wiem. Może się zmartwił, a może ucieszył.

— Idioto! To bardzo ważne!

Słuchając rikszarza, swego niegdysiejszego i obecnego agenta, minister zrozumiał, że jest sam sobie winien. Pozwolił Kruszynie mówić swobodnie w laboratorium. Doktora łączyło coś z przestępcami. Nie należy zdawać się w tym przypadku na los. W końcu niewykluczone, że lekarz przystał do bandy ryjących pod nim wrogów. Trzeba go zlikwidować... tylko co się wtedy stanie z Operacją Żmija?

— No właśnie, żmija! — zawołał, zdumiewając rikszarza.

— Przepraszam, to było do mnie?

— W żadnym wypadku — zaprzeczył Beria, machnąwszy ręką. — Wymyśliłem nazwę dla operacji. Chyba niezłą. Żmija. Jak ci się podoba?

— Bardzo — odparł rikszarz bez przekonania.

— No to mów dalej. Kontynuuj.

— Brzegiem kanału Gribojedowa doszliśmy do Wielkiej Podiaczewskiej.

— Dalej, dalej!

Rikszarz wspominał z trudem.

— Dużo czasu spędzam na ulicy — oznajmił. — Ludziom potrzebne są ćwiczenia fizyczne na świeżym powietrzu.

— Oczywiście — przyznał Beria, starając się opanować. — Doskonale. Doszliście zatem na róg Wielkiej Podiaczewskiej...

— Nie zaszło nic istotnego, lecz wkrótce pojawiła się kobieta. Kochanka doktora.

— On ma kochankę?

— Niesympatyczna, niemodnie ubrana, ordynarna. Ubrana w krótkie, niebieskie palto i żółty beret. Kiedy zarządzałem instytucją, nie dopuszczano do mnie takiej hołoty.

— Mów dalej. — Beria trzymał nerwy na wodzy ostatkiem sił. Miał już szczerze dosyć agentów tępych jak zombie. Na nikim już nie można polegać!

Rikszarz wpatrzył się w niego jasnymi, bezmyślnymi oczami. Szara twarz, obramowana białymi włosami,

— Nie wzięli mnie ze sobą — powiedział. — To przykre, prawda?

— Dokąd ciebie nie wzięli? Nie spiesz się tak, pomyśl. Nie wzięli cię ze sobą. Mówiłeś, że pojawiła się młoda kobieta. Co ci powiedziała?

— Nic, nie chciała ze mną rozmawiać. Czarna wiedźma w niebieskim płaszczyku!

— Dokąd cię nie zabrali?

— Już pamiętam! Weszli razem do środka i zamknęli drzwi. Zostałem na zewnątrz i słuchałem.

— Zuch! Co słyszałeś?

— Ona powiedziała, że go zaprowadzi.

— Co on na to?

— Wcześniej zapytał...

— O co zapytał? O co?!

— Potrzebuję... powiedział, że potrzebuje. Nie, właściwie potrzebny mu był...

— Kto?

— Nie kto, ale co! — oświadczył triumfalnie rikszarz. — Potrzebny był mu adres!

— Czyj?

— Tej... Nie pamiętam! Wie pan, nie mam pamięci do nazwisk. Nieraz dogadywali mi z tego

powodu wasi koledzy, Ławrientiju Pawłowiczu. Pamiętam dobrze tylko pańskie imię Dłatego, że jest ważne.

— Dziękuję — odparł Beria łagodnie i uprzejmie.

Przypominał ukrytą w krzakach panterę, która w jednej chwili może skoczyć i zaatakować.

— To znaczy doktor szukał kobiety albo jakiejś dziewczyny, dobrze zrozumiałem?

— Bardzo słusznie! I przenikliwie.

Rikszarz próbował się bronić pochlebstwami.

— A jak wyglądała ta dziewczyna?

— Ta z podjazdu?

— Ta, której szukał doktor.

— Wysoka — oznajmił rikszarz — chuda, twarz pospolita, ale nie pozbawiona uroku. Okrągła buzia, także z profilu. Czoło szerokie i wysokie. Nie miała nakrycia głowy. Ubrana była w kurtkę, taka samą jak u tamtego...

— U kogo?

Beria wczepił się palcami w jego ramię. Tamten szarpnął głową, pragnąc uwolnić kosmyk białych włosów.

— Sam pan mówił...

— U kogo?

Minister nie wytrzymał i zdzielił rikszarza po szczęce. Nie mocno, lecz ostrzegawczo. Takim słabym uderzeniem można co najwyżej rozorać skórę na policzku. Rikszarz przełknął ślinę i siąknął nosem. Nie śmiał płakać ani krzyknąć.

— Kto był z dziewczyną?

— Młody mężczyzna.

Odpowiadał szybko, bojąc się, że znowu dostanie.

— Jak się nazywa?

— Nie widziałem go z bliska. Nie podchodzili do mnie. Tylko doktor podszedł.

— Coś się nie zgadza — ocenił Beria. — Płaczesz się w zeznaniach. Twierdzisz, że doktor wszedł do domu z tą... w żółtym berecie, a potem wyszedł z inną dziewczyną, a ty nie widziałeś jej z bliska?

Rikszarz zamachał dłońmi.

— Nie! Pogadali cicho i wyszli, potem przeszli Wielką Podiaczewską, zaszli do domu numer dwanaście, spędzili w nim pół godziny, później zaś wyszli we czwórkę.

— Aha! — ucieszył się Beria. — Wszystkich was trzeba bić? Dopiero pod fizycznym przymusem zaczynacie naprawdę się bać.

Mówił surowo, lecz niegroźnie, bardziej ze smutkiem. Ubolewał, że musi pracować z takimi półgłówkami.

— No właśnie — ucieszył się rikszarz, który zrozumiał, że więcej go bić nie będą.

— Numer dwunasty?

— Wielka Podiaczewska, numer dwanaście, nad bramą łaćński napis, jedno słowo: „Salwie”.

— Salwie — powtórzył Beria. — Dokąd poszli potem?

— Trójka poszła dalej ulicą, a doktor podszedł do mnie i pojechaliśmy z powrotem.

— Poznasz w razie czego dziewczynę i chłopaka?

— Na pewno — stwierdził rikszarz.

— Idź odpocząć. Potem masz jeździć po mieście w pobliżu kanału Gribojedowa. Jeśli ich zauważysz, daj znać na posterunek.

Rikszarz skinął głową. Wiedział, że Ławrientij Pawłowicz ustanowił w mieście posterunki mieszczące się co kilometr. Obsadzone były najlepszymi cyklistami i jeśli otrzymywali doniesienie, ich szef dostawał lotem strzały wiadomość, szybciej niż pozostali konsulowie, a nawet sam Wódz Naczelny, którego zresztą nie było już na świecie.

Beria pozwolił sobie na lekki uśmiech. Był to bardzo nieprzyjemny uśmiech: wąskie wargi rozciągnięte w cienką nitkę.

Rikszarz wyszedł, a Beria się zamyślił.

Rozdział dziewiąty

Ławrientij Beria

Beria nie miał wątpliwości, że riksarz widział dokładnie tę dziewczynę, którą należy zatrzymać. A także jej nieodłącznego towarzysza, zdaje się bardziej niebezpiecznego od niej. To przecież właśnie on przyczał się pod sufitem i podsłuchiwał naradę konsulów. I mógł usłyszeć wiele informacji nie przeznaczonych dla postronnych uszu.

Kruszyna, oczywiście, nieprędko zjawi się z kolejnym meldunkiem, musi przecież spotkać się z generałem i rozpracować go. A tymczasem sam los dał im do rąk adres niebezpiecznej dziewczyny. Czas uciekał.

Należało poważnie porozmawiać z doktorem, aby się dowiedzieć, czy przypadkowo wpłatał się w tę historię, czy od dawna jest zdrajcą. Trzeba było także posłać ludzi, żeby zatrzymali dziewczynę i jej chłopaka. Co zrobić najpierw?

Wezwał sierżanta i rozkazał mu pojechać do Klubu Szachowego na Wyspie Jełagina, zabrać stamtąd dwóch ludzi i przywieźć do Smolnego. Niech czeka potem na dalsze rozporządzenia. Sam zszedł do laboratorium.

Gdyby wezwał doktora do gabinetu, tamten zdążyłby się przygotować na przesłuchanie i wymyślić odpowiednie kłamstwa. Trzeba go zaskoczyć. Nie bez przyczyny czekał się nigdy nie popełniali omyłek: trzeba aresztować delikwenta o świcie, wtedy jest nasz,

W laboratorium panowała cisza. Doktor siedział za długim stołem, pochylając długi nos nad mikroskopem. Cóż za zakazana gęba! Pozostali, asystenci i sanitariusze, także się czymś zajmowali.

— Wszyscy precz! — krzyknął Ławrientij. — Precz stąd! Wynosić się!

Białe fartuchy zafurkotały w drodze do drzwi.

Beria przyglądał się Leonidowi Moisiejewiczowi. Ten od razu się przygarbił, skulił, nie był jednak odważnym człowiekiem. Chyba oczekiwał tej wizyty. Nie wiedział jak minister się z nim rozprawi, nie śmiał mieć jednak nadziei, że jego wyjście pozostało niezauważone. Ławrientij zbliżył się do niego powoli, posągowym krokiem Komandora, chociaż nie było komu tego docenić.

— Wiesz już, że nadeszła twoja ostatnia godzina? — zapytał całkiem jak Komandor.

— Ławrientiju Pawłowiczu!

— Milczeć! Na kolana!

— Co pan powiedział?

Rozkaz Berii nie dotarł do ogarniętej lękiem świadomości Leonida Moisiejewicza. Pchnął więc doktora z całej siły, tak jednak, aby padając, nie uszkodził przy tym cennych instrumentów na stole — mogły się jeszcze okazać potrzebne. Lekarz runął na podłogę, usiadł po chwili i próbował od razu powstać.

— Gdzie oni są?! — ryczał Beria.

— Jacy oni?

— Gdzie jest twoja przyjaciółka Lusja i jej amant? Odpowiadaj natychmiast! Jak nie powiesz, zabiję. Znasz mój życiorys, wiesz, że umiem zabijać, a takie pchełki, jak ty, dusiłem setkami!

Były to słowa banalne, jakby pochodziły z kiepskiego filmu, ale w tym świecie nie było filmów, a Leonidowi Moisiejewiczowi, przez całe życie bojącemu się awantur i przemocy fizycznej, nie przyszło nawet do głowy, że posiada immunitet, chroniący go przed zagrożeniem ze strony Berii. Dopóki jako jedyny zna tajemnicę szczepionki, pozwalającej przebywać na świecie z powierzchni chociaż parę dni, tamten nic mu nie robi. Gdzieś jednak przeczytał formułę Sołżenicyna: „Nie wierz, nie bój się, nie błagaj”, bardzo przydatną na przesłuchaniach. Wszyscy przesłuchujący działają przecież tak samo: straszą, okłamują i czekają, kiedy przesłuchiwany zacznie prosić o zmiłowanie. Całkiem dobrze posługiwać się tym systemem w rozmowie z dzielnicowym, ale kiedy grozi ci śmiercią sam główny czekista ZSRR, lepiej niczego nie słyszeć i od razu umrzeć, przewaliwszy się przez marmurowy blat...

Beria chwycił doktora za rękaw fartucha i zaczął go ciągnąć, zmuszając, by ten wstał. Podnieść bezwładnego, zszokowanego fizycznym atakiem doktora, było trudno, tym bardziej, że tamten wcale mu nie pomagał. Zachowywał się, jak kapryśny dzieciak, którego babcia chce posadzić za stołem i nakarmić kaszką manną. Opierał się biernie, ale skutecznie.

Beria puścił go więc i zaczął szperać po stole w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu. Znalazł moździerz kuchenny i zamachnął się nim, żeby rozwalić głowę lekarza. Tamten zasłonił się dłońmi.

W tym momencie wszedł strażnik i oznajmił:

— Ludzie czekają na rozkazy.

— Znasz rikszarza? — spytał Beria, odkładając moździerz na stół i tracąc w jednej chwili postać groźnego oprawcy.

— Tak jest.

— Czekaj przy wyjściu. Pokaże wam jak dojechać na Wielką Podiaczewską. Aresztujecie tam wszystkich podejrzanych. Przede wszystkim zależy mi na młodej dziewczynie, Ludmile Tichonownie. Zapamiętasz, czy mam im to powtórzyć osobiście.

— Obraża mnie pan, Ławrientiju Pawłowiczu — obruszył się strażnik.

— Dzięki Bogu, chociaż jeden przytomny. Razem z tą dziwką powinien być chłopak, na którym zależy mi jeszcze bardziej. Zapamiętałeś?

— Zapamiętałem.

— Przeszukać wszystkie domy. Mogli zmienić mieszkanie. To niebezpieczne ptaszki!

Potem zwrócił się do siedzącego na podłodze doktora:

— Zmienili miejsce pobytu?

Pytanie okazało się na tyle nieoczekiwane, że lekarz rzekł mimo woli:

— Oczywiście, że zmienili!

— Daleko pojechali?

Doktor zamilkł. Nawet kopniaki zadawane czubkiem buta nie mogły niczego więcej zeń wydobyć.

— Więcej mi nie potrzeba — oznajmił Beria. — I tak jesteś już skazany. Wstawaj i bierz się do pracy.

— Nie będę już pracował.

— Mogę odejść? — zapytał strażnik.

— Jeszcze się tu walkonisz? Biegnij, ale już! Lećcie, sokoły!

Znowu się zajął lekarzem.

— Zrozum, Freudzie — powiedział — jesteś mi potrzebny, dopóki jesteś użyteczny. Tylko spróbuj zastrajkować! Mam jeszcze jednego lekarza, ściągnąłem go z Moskwy. Też pracuje nad szczepionką. Może jeszcze nie osiągnął właściwego wyniku, lecz jutro dojdzie do celu. Przede wszystkim trzeba chcieć.

W tym momencie na doktora spłynęło olśnienie: nie ma żadnego innego lekarza i Beria nie może się obejść bez niego. Dlatego jest taki wściekły.

— Twoje życie wisi na włosku — groził. — Żadnych sztuczek i żadnych pomyłek. Twoi asystenci są moimi ludźmi, a nad twoją głową... widzisz dziurkę w suficie?... siedzi obserwator. Wyciągnij z tego wnioski.

Doktor wstawał powoli na nogi, najwolniej jak to tylko możliwe.

— Ciężko mi — odparł z wysiłkiem — pracować, muszę trochę odpocząć, po pańskich ciosach.

— Najpierw wszystko mi powiesz: skąd znasz Ludmiłę Tichonownę, dlaczego do niej poszedłeś, kto za nią stoi... Wyciągnę z ciebie zeznania. Potem odpocznesz, tutaj, w miejscu pracy.

Beria wciąż ufał w swoją moc, nie zauważając, że doktor mniej się go boi, ponieważ zrozumiał, że nie zostanie zabity.

— No! — wrzasnął Beria.

Lekarz spoglądał gdzieś ponad jego ramieniem. Beria się obejrzał i zobaczył jednego z cyklistów, trzymającego kuszę w lewej ręce. Prawy rękaw miał rozdarty i spływała po nim rzadka posoka mieszkańców Czyścica.

— Co jest? — zawył Ławrientij, cofając się. Tracił całą odwagę, widząc krew i broń gotową do strzału.

— Zostaliśmy zaatakowani — oznajmił cyklista.

— Kto się ośmielił?

— Ludzie Kliukina — wyjaśnił. — Są z nimi jacyś mnisi... Nas jest za mało.

— A gdzie są nasi?!

— Posłał pan ich na miasto, szukać przestępców.

— Do diabła!

Beria zrozumiał, że pomylił się, lekceważąc niebezpieczeństwo i chęć zemsty za śmierć Łarisy. Wyszedł na korytarz. Cyklista odsunął się, żeby nie ubrudzić krwią swego szefa. Przede wszystkim, myślał gorączkowo Ławrientij, trzeba jak najszybciej sprowadzić Liadowa i Majoranskiego, żeby nie wpadli w łapy atakujących. Resztę się jakoś załatwi...

W korytarzu stali zbici w ciasną grupkę asystenci i sanitariusze oraz dwaj strażnicy.

— Macie broń? — zapytał głównego asystenta, Goglidzego.

— W szafie są pałasze i dwie kusze — odparł tamten.

— Uzbroidź ludzi, zamknąć drzwi, pilnować, żeby nikt się nie dorwał do doktora i waszego sprzętu. Odpowiadacie za jego życie, rozumiano?

— Będziemy się starać, Ławrientiju Pawłowiczu — rzekł Goglidze, który uważał się za dalekiego krewnego ministra.

Był starannie wykształcony i wcześniej nie służył w Bezpiece, dopiero tutaj wstąpił do służby z konieczności.

— Ty za mną! — polecił Beria rannemu cykliście. Wypytywał go, podczas gdy wchodzili po

schodach:

— Co się stało? Ilu ich jest? Ilu naszych? Jakie mamy straty?

Tamten odpowiadał niezbornie, lecz sensownie. Był w parku na obchodzie, kiedy Smolny zaatakowali zakonnicy. Zdołał raz wystrzelić, chyba kogoś zabił, lecz sam dostał strzałę. Ledwie zdołał przedrzeć się do pałacu.

Cholera, sierżant przyprowadzi szachistów głównym wejściem! Nic nie wie o napadzie.

Nastąpiła akurat przerwa w walkach, podczas której napastnicy szukali nowych sposobów dostania się do środka dawnej bolszewickiej twierdzy, obrońcy natomiast lizali rany i zastanawiali się: uciekać, czy walczyć dalej.

Pojawienie się szefa nieco poprawiło nastrój. Ławrientij nie zamierzał znowu krzyżeć. Podeszedł spokojnie do strażników broniących drzwi wejściowych i okien na parterze.

— Chłopaki — powiedział — oni przyszli tutaj, żeby zabić nas wszystkich. Okrutnie i bezlitośnie. Uciekać nie mamy dokąd. Wyłuskają nas pojedynczo i wystrzelają jak kaczki. Mamy szansę ratunku, jeśli nie wpuścimy ich do środka. Zrozumiano?

— Zrozumiano — odpowiedział sierżant za wszystkich — Ale co mamy robić? Niech pan zobaczy, ilu ich jest.

Beria wyjrzał przez okno. Napastnicy wcale się nie kryli. Po prawej stronie stała gromada czarnych mnichów władyki Nikifora, około trzydziestu ludzi. Z lewej znajdowali się ochotnicy Kliukina, których było mniej, ale dowódca wyposażył ich w kamizelki kuloodporne i wydobyte z muzeum stalowe kolczugi, byli też niezłe uzbrojeni. Na tyłach swoich armii wodzowie: Kliukin z Grackim i Nikifor z Pobiedonoscewem. Pomiędzy nimi a budynkiem leżały na ziemi dwa ciała cyklistów od Berii. Jeżeli po stronie napastników ktoś zginął lub został ranny, został zapewne wyniesiony z placu boju.

Miedzy oddziałami biegła droga wiodąca wprost do pałacu. W każdej chwili mogli się na niej pojawić szachiści i byłoby to prawdziwą katastrofą, zwłaszcza teraz. Kliukin i jego wspólnicy dobrze przecież pamiętają ustalenia dokonane ostatnio. Bardziej niż wycieczka do świata na powierzchni obchodzi ich pragnienie załatwienia Berii. Na pewno z przyczyn taktycznych lepiej było nie zabijać Łarisy i Czajanowa na schodach pod Giełdą, lecz chwila była tak sposobna, że trudno było jej nie wykorzystać. Miał nadzieję, że całą winę zrzucą na szalonego żołnierza. Dlaczego tak nie pomyśleli i uznali, że winnym jest Ławrientij? Uciekł przecież natychmiast z miejsca zbrodni i nikt go nie widział. Jak można próbować negocjacji z wrogami, kompletnie im nie dowierzając i oczywiście, nie oczekując z ich strony zaufania?

— Przynieście armatę — rozkazał.

— O, Boże! — zawołał sierżant. — Ależ z nas kapuściane głąby!

Zaczął krzyżeć na cyklistów i nakazał trzem biec z nim do magazynu. Beria kazał sobie tymczasem przynieść tubę. Zawołał przez nią:

— Kliukin, czego tutaj szukasz?

— Poddaj się, Ławrientiju! — odkrzyknął tamten. — I tak już nie żyjesz. Dlaczego zamordowałeś naszych towarzyszy?

— Jakich towarzyszy?

— Nie kręć. Widzieli cię, jak wrzucałeś głowy do Newy.

— Przysięgam, że nie mam niczego wspólnego z tą sprawą? — Chyba żartujesz, że Łarisa nie żyje...

— Daj mi to!

Kliukin wyrwał kuszę z rąk najbliższego stojącego żołnierza i strzelił do Berii. Strzała nie doleciała nawet do budynku i wbiła się krzywo w ziemię. Po schodkach zbiegł cyklista od Berii i sięgnął po nią.

— Ani się waż! — krzyknęli żołnierze Kliukina.

— Zostaw to! — wtórowali im mnisi.

Niektórzy nawet pobiegli ku niemu, zdążył jednak wrócić do Smolnego, kiedy więc obcy wojak zanadto zbliżył się do budynku, dostał strzałę prosto w pierś — rowerzyści byli bowiem na to gotowi.

— Zuch! — pochwalił swojego człowieka Beria przez tubę.

Był już pewien, że jego wojsko gotowe jest do zażartej walki. To zrozumiałe, w końcu uczył ich walczyć, mieli też nieraz okazję strzelać i zabijać ludzi... Natomiast straż Kliukina była tylko od parady.

Dał się słyszeć łomot w korytarzu. Toczyli urządzenie skonstruowane jeszcze w czasach, kiedy w mieście trwały wojny gangów. Była to katapulta, nazywana tutaj armatą. Jej pojemnik, odciągnięty do tyłu, a potem puszczonego do przodu, miotał na przeciwnika grad metalowych kulek lub gwoździ.

— Wycofaj się, Kliukin! — wołał Beria.

— Poddaj się, morderco! — odparował przeciwnik.

— A wy co tu macie do roboty, braciszkwowie? — zwrócił się Ławrientij do zakonników. — Idźcie się lepiej pomodlić.

— Hej! — komenderował Kliukin. — Żołnierze, broń w pogotowiu! Na przestępcę i mordercę Ławrientija Berię, wyjętego spod prawa w obu światach, do ataku naprzód marsz!

W tej chwili ktoś zabębnił w prawdziwy bęben. Beria nie miał pojęcia, że jego rywal ma u siebie dobosza i bardzo mu się to nie spodobało. Organizują się, świnię!

Oddziały aliantów ruszyły do boju. Beria przykazał swoim, żeby byli gotowi, lecz zachowali spokój.

— Dajcie im podejść bliżej — powiedział, ciskając tubę na podłogę. — Nie strzelać bez rozkazu.

„Armatę” dotoczyli pod drzwi, lecz na razie ich nie otwierali. Rowerzysta, który potrafił ją obsługiwać, nasypał do jej kosza sporo ćwieków i gwoździ. Berii trudno było jednak uwierzyć do końca, że taka zabawka może dokonać prawdziwych szkód. Miał świadomość, że będzie skuteczna tylko raz, kiedy oblegający stłoczą się na schodach przed wejściem. Przeszedł obok katapulty ku drzwiom i stanął za nimi, nie wychylając się. Napastnicy mieli na wyposażeniu łuki i proce, a także wszelkiego rodzaju dzidy i topory. Wyglądali jak wojownicy z epoki kamienia łupanego, uzbrojeni niezwykle prymitywnie. Wojny, jakie się tutaj zdarzały, trudno było nazwać prawdziwymi, były to raczej bandyckie bójki. Nie było tu bowiem prawdziwej broni. Jeśli jakimś cudem znalazł się pistolet, okazywał się niesprawny. Żołnierz pod Giełdą mógł strzelać dopóki miał naboje w magazynku, ale gdy przeładował karabin, niczego więcej nie zdziałał. Automat odmówił posłuszeństwa i można go było użyć najwyżej jako maczugi.

Kilka strzał wpadło do środka. Dotarły do celu dopiero w końcówce lotu, nie poczyniły więc wielkich szkód. Atakujący krzyczeli gromko i złowieszczo. Szczególnie mnisi, śpiewający jakiś hymn albo psalm. Słowa nie dochodziły wyraźnie, wiadomo jednak było, że nie można od nich oczekiwać litości. Szli na podobieństwo legionu rzymskiego, równym krokiem, łokieć przy łokciu. Wyglądali

niemal identycznie, różnili się jedynie długością bród.

Żołnierze Kliukina atakowali z boków, strzelając z łuków, zagrzewając się do walki. Beria dostrzegał już ich gęby, rozwarte krzykiem wargi, oczy zamglone wściekłością...

Wpadli na schody. Beria poganiał ich w myślach. Cały czas obawiał się, że za chwilę u bramy pojawią się dwaj szachiści, jego największy skarb. Ze zdenerwowania tym oczekiwaniem wszyscy poruszali się w jego oczach jakby w zwolnionym tempie. Im bardziej ich przyspieszał myślowo, tym wolniej wdrapywali się po schodkach.

Znaleźli się wreszcie niebezpiecznie blisko drzwi. Jeszcze parę kroków i wedrą się do środka. Wtedy nie dadzą im rady. Nieco zalęknieni cykliści zaczęli się cofać. Drzwi rozwarły się gwałtownie, a Beria krzyknął:

— Ognia!

Wyobraził sobie siebie jako bohaterskiego oficera spod Borodino, unoszącego dłoń w białej rękawiczce. Zaraz ryknie sto armat jego baterii...

— Ognia!!

Cykliści puścili kosz, który ruszył do góry, uderzył z rozmachem w żelazną belkę i plunął metalowym deszczem w tłum atakujących. Beria nie oczekiwał aż takiego efektu. Atakujący jakby natknęli się na niewidzialną ścianę. Pierwsze szeregi padły do tyłu pod gradem pocisków, następne, nie rozumiejąc, co się stało, parły do przodu parę kroków, przepychając do przodu rannych i zabitych towarzyszy.

— Ładować od nowa! — zakrzyczał Beria.

Był w takiej euforii, że aż chciało mu się skakać z radości, gdyby tylko posłuchały go własne nogi. Wśród przeciwników więcej było poszkodowanych niż ocalałych, nie wszyscy jednak zginęli, większość była tylko kontuzjowana.

— No co jest?

Beria wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Trzeba wystrzelić drugi raz, zanim wrogowie zdołają oprzytomnieć.

— Strzelać!

Katapulta nie wystrzeliła. Kanonierzy odciągali powoli kosz do tyłu, z tyłu zaś czekał człowiek przyciskający do piersi mieszki z pociskami...

— Naprzód! — wrzasnął dowódca. — Zuchy! Patrzy na was cała rosyjska historia od murów Moskwy do Smolnego! Wróg nie przejdzie! Niech żyje towarzysz Stalin!

W tym momencie zobaczył w dali, u bramy, trójkę ludzi: szachistów i rowerzystę, którego po nich posłał. Czas czekania się skończył. Ławrientij Pawłowicz uczynił to, czego nie zrobił nigdy w prawdziwym życiu: poprowadził armię do ataku. Zawsze przestrzegał rady wygłoszonej przez bolszewickiego przywódcę w filmie *Czapajew*, komendant powinien znajdować się na tyłach, żeby móc ogarnąć cały plac boju i strzelać, jeśli zajdzie potrzeba, w plecy cofających się żołnierzy. Nigdy jednak nie był, podobnie jak zresztą Czapajew, w tak krytycznej sytuacji.

Widząc szefa zbiegającego po stopniach i przeskakującego ciała powalonych wrogów w rozwianym płaszczu, jak mocno tkwi na jego łysinie nieodłączny kapelus, rowerzyści i strażnicy poczuli nagły przyptyw sił, niczym krasnoarmiejcy, widzący, że wiedzie ich do boju sam Józef Stalin. Pognali za nim, wymachując szablami i strzelając z kusz, tak gwałtownie, że gromada mnichowi niedouczonej szturmowców Kliukina cofnęła się na ulicę. Fala ta zmiotła i porwała wraz z sobą przywódców, senatora i władkę. Widząc tę ludzką lawinę, szachiści całkiem rozsądnie uskoczyli i

ukryli się za uschłym pniem wielkiej lipy.

Beria zatrzymał się jako pierwszy i zawołał do swoich, żeby przestali ścigać uciekających wrogów, zawrócili na schody i zajęli się rannymi oraz poległymi.

Szachiści byli tym wszystkim niebotycznie zdumieni.

— Co się tutaj dzieje, Ławrientiju Pawłowiczu? — zapytał Majoranski.

Prawdziwy wyalienowany naukowiec, co to muchy by nie skrzywdził.

— Rozruchy — wyjaśnił Beria. — Mamy bunt samozwańców.

— Znów nadszedł czas Wielkiej Smuty — stwierdził ze współczuciem szachista.

— Ławrientiju Pawłowiczu — zawołał jeden z cyklistów — niech pan zobaczy, kto tutaj oberwał.

Dowódca natychmiast poszedł ku schodom. Leżał na nich ranny konsul Gracki. Na czole miał ślad draśnięcia, po policzku ściekała krew. Dyszał ciężko.

— Co z nim zrobimy? — zapytał rowerzysta.

Wokół odbywała się prawdziwa jatka, podobna tej, jaką urządzają myśliwi bezbronnym kociętom na Wyspach Komandorskich. Cykliści rozbijali czaszki lub odrąbывali głowy tym, którzy padli na schodach.

— Spokojnie! — osadził szef podwładnego. — Co mam robić? — spytał oprawca.

Beria wydobyl z za paska ostry, ciężki nóż, którym pozbawił już głów dwoje ludzi. Skierował go rękojeścią w stronę podkomendnego.

— Utnij mu głowę — rozkazał szeptem. — Szybko!

Rowerzysta był starym czekistą i rozumiał wszystko wpół słowa. Uklęknął, zakrył sobą ciało i dwoma silnymi cięciami pozbawił je głowy. Gracki tylko podciągnął kolana do brzucha, potem je opuścił, jakby zasypiając. Czekista wstał, wytarł ostrze o płaszcz i oddał szefowi narzędzie.

— Bravo — pochwalił go dowódca.

Zerknął potem na szachistów. Majoranski pilnie przyglądał się rzezi, natomiast Liadow wszedł wyżej i czytał pamiątkową tablicę przy drzwiach.

No cóż, powiedział do siebie Beria, dzień całkiem mu się udał. Rada konsulów jeszcze bardziej uszczupliła swój skład. Nie ma już Naczelnego Czajanowa, nie ma Łarisy Reisner, a teraz dołączył do nich Gracki, pusty, nikomu niepotrzebny osobnik. Niestety, Kliukin i władyka Nikifor zdołali ujść z pola bitwy. Pozostał także Pobiedonoscew. Nie ma żadnego sensu wybierać nowych konsulów, gdyż wtedy będzie miał więcej wrogów. Oni są przekonani, że zabił Czajanowa. Nie wybaczą mu tego, gdyż trzęsą się ze strachu o własne życie. Obejdziemy się bez nich. Trzeba ich będzie likwidować pojedynczo. To wcale nie jest trudne w martwym świecie. Trzeba tylko stale dbać o własne bezpieczeństwo, nie ufając nikomu. Zdrajcy mogą wyjść z każdej dziury i zagnieździć się nawet w samym sercu imperium.

Mojego imperium.

To w zasadzie nieodpowiednie określenie. Stworzymy wielki, ogólnoświatowy Związek Sowiecki, za który wypluł sobie płuca Dzierżyński i umarł Lenin. Jedyne i niepowtarzalny, w prawdziwym świecie zdradzony i rozdrapany przez bandę miernot, która teraz zostanie ukarana.

— Wejdzmy do środka — powiedział do szachistów.

Spojrzał na czekistę, który uniósł brwi i rozłożył ramiona, jakby prosząc o nowy rozkaz.

— Weźmiesz torbę — polecił — i zaniesiesz głowę Grackiego do mego gabinetu.

— Tak jest.

— Postaw przy wejściu kilku ludzi z kuszami, niech obserwują uważnie, żeby znowu nas nie podeszli... a także, jak już usuną trupy, niech pozbierają pociski, żeby znów załadować armatkę. To jeszcze nie koniec.

— Prędko tutaj nie wrócą — stwierdził cyklista.

— Trzymać załadowaną katapultę pod strażą jednego człowieka. Trzeba być zawsze gotowym i trzymać palec na spuście, jak nas uczył Suworow.

— Tak jest, towarzyszu ministrze!

Beria rozejrzał się wokół: okrwawione schody, stosy trupów i hol, w którym trochę jakby nedorzecznie sterczała katapulta. Wszystko było w porządku, dzięki ogarniającemu całość uważnemu spojrzeniu wodza.

Rozdział dziesiąty

Doktor Freud

W piwnicy nic się nie zmieniło. Ponieważ czas biegnie w Czyścicu indywidualnie dla każdego, wszyscy przywykli tutaj do zupełnej bierności i pasywnego oczekiwania na to, co się wydarzy. I chociaż laboratorium doktora Freuda było jednym z nielicznych bardziej ożywionych zakątków tego świata, sanitariusze, asystenci i strażnicy, których Beria postawił u drzwi, zapadli jakby w katatonię, nie śpiąc, lecz czekając na coś, o czym nie mieli pojęcia. Pojawienie się ministra w towarzystwie dwóch nieznajomych przywróciło ich do życia, niczym mieszkańców zaczarowanej jaskini, kiedy książę pocałował Śpiącą Królownę.

— Wszystko w porządku — powiedział Beria. — Pozostańcie na swoich miejscach. Goglidze, melduj, czy nie było jakichś problemów?

— Nie było, Ławrientiju Pawłowiczu — odparł samozwańczy krewniak konsula. — Leonid Moisiejewicz ciągle milczy.

— Całe szczęście — stwierdził szef i otworzył drzwi — Doktor siedział za stołem i coś notował.

— Wstać! — krzyknął Beria.

Lekarz posłusznie wstał, co uspokoiło konsula, który obawiał się buntu wśród załogi.

— Zamknij za sobą drzwi — polecił Liadowowi, który wchodził jako ostatni.

Ten zamknął drzwi ostrożnie, uważając, żeby nimi nie trzasnąć. Beria wyszedł na środek pomieszczenia. Zatrzymał się przy stole laboratoryjnym, w odległości kilku metrów od doktora.

— Poznajcie się — zaproponował. — To jest doktor Freud, nasz medyczny geniusz, Leonid Moisiejewicz. Od dawna ciężko pracuje nad tym, by człowiek stąd, wysłany do świata na powierzchnię, nie szedł tam w ciągu godziny. W tym sensie jest waszym kolegą.

Doktor uklonił się nieznajomym mężczyznom.

— Profesor Majoranski — przedstawił się pierwszy z nich.

— Lew Jakowlewicz — dorzucił Beria.

Doktor zmierzył wzrokiem solidnie wyglądającego, chociaż niewielkiego wzrostem naukowca. Wyglądał jak klasyczny profesor. Szpiczasta bródka, przyprószone siwizną włosy, z lekka opuchnięte policzki. Oczy jasne, lecz trudne do uchwycenia, gdyż wiecznie rozbiegane. Garniturek znoszony, szyty najwyraźniej na kogoś przystojniejszego, nie na niskiego faceta z resztkami brzuszka. Majoranski nie miał wszakże możliwości nabrać więcej ciała w tym świecie.

Drugi osobnik, którego Beria przedstawił jako Liadowa, nie wymieniając imienia, był chudy, niewysoki i podobny trochę do Suworowa w średnim wieku, miał nawet podobny czub nad czołem.

— Właśnie dla tych kolegów — wyjaśnił Beria — zrobi pan szczepionkę, która pozwoli im bez szkody dla życia przebyć tydzień na powierzchni, wypełnić zadanie i wrócić całymi i zdrowymi.

— Tylko nie tydzień! — sprzeciwił się Leonid Moisiejewicz. Gwarantuję trzy dni. Tydzień byłby niebezpieczny.

— Jeśli stanie się im coś złego — uprzedził go Beria — pan za to odpowie, Leonidzie Moisiejewiczu.

— Nam i tak będzie już wszystko jedno — zauważył z uśmiechem Liadow.

Jadowity uśmiezek pasował w sam raz do suworowowskiego czuba. Liadow zdawał sobie chyba sprawę, że zarówno lok, jak i szyderstwo należą do wizerunku.

— Będziecie musieli zrobić wszystko w trzy dni — oświadczył doktor.

— Pięć dni i ani minuty mniej! — zażądał Beria. — Postaraj się, zakuty bandziorku!

— Jak? — zdziwił się Freud. Nikt nigdy go tak nie nazwał, nawet w tym okrutnym świecie. — Dlaczego nazywa mnie pan bandziorem, Ławrientiju Pawłowiczu?

— Dlatego, że nim jesteś: moim ulubionym bandziorem. Proszę podziwiać, oto mój najlepszy przyjaciel.

Beria zaśmiał się nieszczerze.

W drzwiach pojawiła się tłusta, blada gęba cyklisty w przerdzewiałym niemieckim hełmie.

— Znowu nadchodzą, szefie. Pójdzie pan zobaczyć?

— Idź, zaraz tam przyjdę. Nie strzelajcie beze mnie z armaty.

Zwrócił się do szachistów:

— Doktor Freud jest dla was starszym kolegą i towarzyszem. Słuchajcie go, bo nie chce was skrzywdzić.

— A jeśli chce? — zapytał Liadow.

— Po pierwsze, sami się w tym orientujecie — odparł Beria. — Po drugie, nie macie wyboru. Skoro ja mu ufam, wy także powinniście. Należycie do tego samego środowiska.

— Czyżby? — wtrącił się Majoranski.

— Dosyć tej gadki! — wrzasnął Beria, czując, że zaszedł trochę za daleko w swoim liberalizmie.

— Freud, zaczynaj swoje badania. Goglidze! Gdzie on jest?... Pomóż doktorowi i dopilnuj, żeby szachiści mu nie przeszkadzali.

Beria udał się ku wyjściu, aby odeprzeć kolejną próbę odebrania mu władzy.

Majoranski przechadzał się po laboratorium, dotykał instrumentów i oglądał pod światło probówki, wyraźnie zadowolony, że znalazł się w dobrze sobie znanej atmosferze.

— A gdzie jest centryfuga? — zapytał.

— Na co wirówka magom i alchemikom? — odpowiedział Liadow za doktora.

— Nie ma pan racji — poinformował Goglidze. — Centryfuga znajduje się tutaj, tylko uruchamiana jest siłą ludzkich mięśni.

— Coś takiego! — odparł Liadow.

Doktor rozprostował się z westchnieniem. Pora wziąć się do roboty.

— Nie miałem zaszczytu wcześniej poznać panów — oświadczył — mam jednak nadzieję, że możemy uważać się za kolegów.

— Do pewnego stopnia — rzekł Liadow.

— Niezupełnie — wtórował Majoranski. — Wątpię, czy może pan pretendować do tego tytułu. Muszę zakomunikować panu, że w poprzednim życiu zajmowałem wysokie stanowisko jako biolog. Moje laboratorium było o wiele lepiej wyposażone w zagraniczną aparaturę.

Jego służbowy ton niezbyt zgadzał się z profesorską bródką. Na pierwszy rzut oka wydawał się

typowym inteligentem, ale gadał jak przybyły niedawno z prowincji partyjny karierowicz. Liadow nie zwracał na to uwagi, lecz styl ten raził wrażliwe ucho Freuda.

— Najpierw Goglidze pobierze od was krew do badań biochemicznych — zaczął. — Sądzę, że znana jest wam ta procedura.

— W jakim celu?

— Każdy ma inną krew, nawet tutaj. Zdarzyło wam się obserwować, co się z nią dzieje?

— Co? — zapytał Majoranski.

— Widział pan kiedyś krew bez leukocytów? — odpowiedział Karz Pytaniem. — Wie pan, co się dzieje z hemoglobina?

— To ciekawe — powiedział Liadow — ale zacznijmy już lepiej, żeby nie tracić czasu.

— Nie bój się, pociąg nie odjedzie bez ciebie — zwrócił uwagę Majoranski.

— Im szybciej odejdę z tego świata, tym lepiej — odparł tamten.

— Po to, żeby potem wrócić?

— Może chcę tam umrzeć?

— Wystarczy tych rozmówek przy obcych — osadził go profesor. — Mamy ważne zadanie do wykonania. Uważam, że od setki lat los nie dał nikomu tak wspaniałej okazji dokonania czegoś wielkiego.

— Nazywasz to darem losu? Ty ohydny pyszałku!

Doktor pomyślał, że słucha wielokrotnie powielanej kłótni. W świecie bez czasu można było się tak spierać w nieskończoność. A jednak słowa Majoranskiego zaniepokoiły doktora, może dlatego, że spodziewał się usłyszeć jakąś złą wiadomość dla całej ludzkości. Ostatecznie wszystko to było intrygą Berii, od dawna planowaną z myślą o przyszłości. Początkowo lekarz sądził, że konsul pragnie coś wykraść ze świata żywych, jakąś broń albo groźną truciznę, coś niedostępnego tutaj, co mogłoby zwiększyć jego możliwości. Tylko co to takiego? Mniej gadać a więcej słuchać, wtedy na pewno się w końcu wygadają.

Doktor miał rację. Błąd Berii, uważającego, że wszystko przewidział, polegał na tym, że nie uprzedził szachistów, iż lekarz może być niebezpieczny. Brali go za sojusznika ministra, nie uważali zatem na swoje słowa.

— Dużo będziecie musieli się ruszać? — zapytał doktor.

Liadow położył się na kozetce okrytej białym prześcieradłem. Goglidze przyniósł strzykawkę i probówkę na krew. Majoranski obserwował jak asystent pobiera próbkę do badań. Trochę się wzdrygnął, kiedy igła wbiła się w przegub ręki i w miejscu ukłucia ukazała się kropelka rzadkiej posoki.

— Pojedziecie dokądś? — pytał dalej lekarz.

— Oczywiście, że pojedziemy, przecież nie potrzebowalibyśmy pańskiej pomocy, gdyby to była krótka przechadzka — odparł Majoranski.

— Pytam o to — powiedział doktor, spoglądając na asystenta odchodzącego od kozetki — ponieważ powinienem wiedzieć, jaką macie marszrutę. Ile czasu zajmie wam podróż i kiedy możecie powrócić.

Liadow usiadł na kozetce, przycisnął w zagięciu ręki watkę otrzymaną od asystenta, potem wstał i odszedł na bok.

— Pańska kolej, maestro — zwrócił się do kolegi, zapraszając go do zajęcia miejsca.

Tamten posłusznie się położył.

— Pojedziemy pociągiem — wyjaśnił Liadow. — Całe szczęście! Jak pan myśli, jak tam teraz pora roku?

— Jesień — oznajmił doktor — jak donoszą nam tajne służby. Obliczają upływ czasu według przybycia nowych ludzi, czyli kolejnego Nowego Roku.

— Zjawisz się tam odziany w kozuszek i zaraz cię zapytają: a pan się urwał z którego domu wariatów? — stwierdził ze śmiechem Liadow.

— To boli! — krzyknął Majoranski. — Nikt pana nie uczył, że trzeba wbić igłę w żyłę?

— Przepraszam — rzekł Goglidze — ma pan strasznie cienkie żyły.

— Chętnie wybrałbym się z wami — wyznał lekarz. — Chociaż przez chwilę spojrzeć na żywy świat!

— Rozumiem pana — powiedział Majoranski. — To chyba zwiększyłyby nasze szanse na przeżycie. Powinniśmy być pod stałą kontrolą medyczną. Przy tym, już na miejscu, przyda się każda para rąk.

— Niech pan porozmawia o tym z Ławrientijem Pawłowiczem — zasugerował Liadow. — Może się zgodzi?

— Na pewno nie — odparł doktor. — Nigdy się na to nie zgodzi, ponieważ jestem mu tutaj potrzebny.

— Rozumiem — przytaknął Liadow. — Ma nadzieję, że wykuje pan dla niego zwycięstwo pod znakiem Sierpa i Młota!

— Tak, ma nadzieję, że zdołam stworzyć cudowną szczepionkę. Jednak nie zdołam — oświadczył Leonid Moisiejewicz. — A wie pan dlaczego? Nie tylko dlatego, że brakuje tutaj aparatury i preparatów. Nasze badania powinny uwzględnić kod genetyczny danej osoby, a nie mogę się przecież posłużyć mikroskopem elektronicznym.

— To wszystko wydaje się głupie — rzekł Liadow. — Na cholere mamy przeprowadzić dywersję, skoro nie możemy zawojować tamtego świata?

— Po to, żeby rządzić, a nie być tylko jednym z wielu kołchoźników — odparł zagadkowo Lew Jakowlewicz.

Doktor podszedł do stołu. Miał przed sobą dwie próbki z krwią szachistów. Dokąd oni jadą? Na powierzchnię. Co tam będą robić? Coś złego. To zbrodniarze.

— No dobrze — zaczął — spróbujmy teraz wspólnie określić, ile czasu zajmie wam dotarcie na miejsce i jak długo będziecie tam przebywać. Trzeba ustalić wszystko z maksymalną dokładnością.

— Dobrze — zgodził się Liadow. — Proszę nie słuchać Majoranskiego, on tam nigdy nie był. A dla mnie to miejsce jest jak druga ojczyzna.

— Zacznijmy od początku — zaproponował Leonid Moisiejewicz. — Gdzie jest wasz kanał?

— Kanał?

— Dziura w przestrzeni, brama, którą przejdziecie do tamtego świata.

— Diabli wiedzą — syknął Liadow. — Do tej pory nikt nie powiedział.

— I lepiej nie mówić o tym głośno — wtrącił pouczającym tonem Goglidze.

Wciąż pocierał górną wargę, w nadziei, że wreszcie wyrosną nad nią wąsy, ale stracił już prawie nadzieję. Zachowywał się jak mały, pozbawiony sierści szczeniak przy większym psie — patrzcie, jaki jestem ostry i odważny! Bez dużego psa w pobliżu tracił jednak odwagę, chociaż nie zapominał o swoim oddaniu sprawie. W owej chwili nie tyle starał się ochronić tajemnicę, co raczej pokazać, że chce ją chronić.

— Goglidze — sarknął rozdrażniony doktor — zajmij się swoją robotą i pilnuj preparatu. Bo będę zmuszony cię zwolnić!

— Jeszcze nie wiadomo, kto kogo zwolni.

— Goglidze!

Liadow zachichotał. Asystent nadał się i odwrócił tyłem. Majoranski, który był w swoim życiu więziony i bity, dlatego też nie ufał nikomu, zaczął mieć wątpliwości, czy rzeczywiście doktor Freud jest dopuszczony do spraw ściśle tajnych. Lepiej nie rozmawiać z nim nazbyt szczerze, niewykluczona prowokacja.

— No dobrze — stwierdził doktor — uznajmy, że punkt graniczny znajduje się gdzieś w Leningradzie. Tak więc wyjdziecie zapewne na powierzchnię na Dworcu Mikołajewskim.

— Moskiewskim — poprawił lekarza Majoranski.

— Mieszkam tutaj od dawna — wyjaśnił doktor. — Nie nadążam za wszystkimi zmianami.

— Do czego zmierzają te pańskie pytania? — zapytał Majoranski. — To przecież wszystko jedno, dokąd pojedziemy.

— Jest pan, jeśli dobrze zrozumiałem Ławrientija Pawłowicza, biologiem, czyli moim kolegą?

— Eksperymentatorem — przyznał tamten.

— Proszę więc sobie wyobrazić, że mam wprowadzić do waszych ciał szczepionkę, która będzie odpowiednio reagować w różnych warunkach. Jeśli znajdziecie się na Biegunie Północnym powinienem zrobić inne badania, niż gdybyście się wybierali w tropiki.

— A gdzie pan ma u nas tropiki! — zaśmiał się Liadow.

Uśmiech nie pasował do jego twarzy i wyglądał jak krzywy grymas. Lubił śmiać się i żartować, lecz jego oblicze w ogóle tego nie wyrażało. Nie miał o tym pojęcia. Gdyby nie próbował się śmiać, wyglądałby jak przeciętny, miły adept szkoły Suworowa.

— Ryzykuję wyłącznie naukową reputacją — stwierdził Leonid Moisiejewicz. — Wy swoim życiem. Więcej nie będę pytał, tylko przygotuję szczepionkę na typowo rosyjski klimat.

— Więc jednak nie wie pan, jaka jest tam teraz pora roku? — nasrożył się Majoranski.

— Leonid Moisiejewicz zażartował — wtrącił szybko Goglidze. — Jesteśmy stale informowani o pogodzie i kalendarzu przez obserwatorów z tajnych służb.

Wskazał na ścianę. Nad jego głową wisiały nadziane na gwoździe liczne kartki, wyrwane z notesów i zeszytów.

— A jaka dzisiaj data? — zapytał Liadow. — Dobrze byłoby wiedzieć.

— Jest pełnia jesieni. Żółte liście spadają z drzew — odparł doktor.

— U nas, na Wyżynie Wałdajskiej pewnie pełno grzybów — zauważył Liadow.

— A dokładniej? — zapytał doktor.

Miał wciąż nadzieję, że zdoła chytryością lub szantażem wydobyć ze swoich rozmówców prawdę o celu ich podróży. Nie spodziewał się dobrych wieści. Najwyraźniej Beria pragnie rozprzestrzenić swą władzę nad całą Ziemią. Tylko w jaki sposób? Ta wersja miała swoje luki. Po pierwsze, szczepionka będzie działała tylko dwa, trzy dni i niemożliwe wydawało się dalsze powstrzymywanie fizycznego rozkładu. W każdym razie doktor nie potrafił tego osiągnąć. Po drugie, Beria miał zbyt mało sił, żeby opanować całą Ziemię. To znaczy, że to czcza demonstracja? Tym niemniej konsul dołożył wielkich starań, aby wysłać dwóch swoich zauszników do świata żywych, choćby na parę dni. A to oznacza, że mają zrobić na powierzchni coś naprawdę brzydkiego. Dzięki szczepionce Leonida Moisiejewicza...

— Dotrzemy, to się dowiemy — wymijająco rzekł Majoranski.

— Więc pojedziecie tam pociągiem? — indagował doktor.

— Tak wygląda — potwierdził Liadow.

— To może okazać się nie takie łatwe — stwierdził lekarz.

— A dlaczego?

— Macie świadomość, jak długo tutaj jesteście?

— Sześć albo siedem lat — oświadczył Liadow. — Przeniosłem się tutaj, kiedy przestali wypłacać pensję i pracownicy się rozjechali. Było to w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych.

— Pan chyba jeszcze dawniej? — zwrócił się lekarz do starszego szachisty.

— To nie ma znaczenia — stwierdził Majoranski.

— A właśnie, że ma — sprzeciwił się doktor. — Przez tyle czasu wiele się tam zmieniło. Ma pan jakieś dokumenty?

— Ławrientij Pawłowicz mówił, że zrobię je dla nas — odparł Liadow.

— Wierzę, że jakieś dostaniecie, ale nie jestem pewien, czy będą dokładnie takie, jakimi posługują się teraz na powierzchni.

— Niech pan przestanie straszyć — syknął Majoranski. — Mamy ważne zadanie i nasi przełożeni na pewno zadbali o wszystko.

— Lepiej wszystko przewidzieć. Na przykład bilet kolejowy i pieniądze na drobne wydatki.

— Dostaniemy — stwierdził Majoranski bez wahania.

— W każdym razie niebezpiecznie jechać pociągiem, skoro pierwszy z brzegu pasażer może od razu was rozgryźć. Jesteście przecież mastodontami, jak staruszek Hottabycz.

— Kto?! — zdumiał się Majoranski.

— Był taki jeden — powiedział Liadow. — To nieważne.

— Potem musicie dotrzeć do waszego obiektu. Są tam strażnicy?

— Daj pan spokój, znam tam każdą ścieżkę! — zawołał Liadow. — I na pewno nie ma tam żadnych strażników.

— Liadow! — osadził go Majoranski.

— Tak jest, wedle rozkazu. Niepotrzebnie pan się tak trzęsie...

— Chodzi o to, żeby nam się w pełni powiodło i żebyśmy mogli tutaj wrócić po wypełnieniu zadania.

— Diabli wiedzą, czy jeszcze będziemy chcieli... — zawiesił głos Liadow.

— To kompletny idiotyzm, który trzeba wyeliminować z twojego myślenia. Jak długo tam przeżyjesz?

— Tak więc dojedziecie pociągiem do stacji Bołogoje, a potem pójdziecie szosą? — wypytywał doktor, uznając, że jego rozmówcy na pewno tam właśnie się wybierają. — Jak długo potrwa podróż?

— Przesiadziemy się w Bołogoje na komunikację podmiejską — wyjaśnił Liadow. — Dowiezie nas do samego sowchozu.

— Do jakiego sowchozu?

— Zamknij się, Liadow! — ostrzegł kolegę Majoranski.

— Dobra, milczę.

— Więc od tej stacji... — podjął lekarz.

— Skoro pan nie wie — wtrącił się starszy szachista — to oznacza, że nie powinien pan

wiedzieć.

— Słuszne spostrzeżenie — zgodził się lekarz. — Tak więc do tego miejsca jedzie się niecałą dobę.

— Niecałą — przyznał Liadow. — Jechałem kiedyś samochodem mniej więcej pięć godzin. Co prawda ze znakomitym kierowcą. Tylko do Bołogoje jest normalna droga, potem — sami rozumiecie...

— A jak długo będziecie musieli pozostać na miejscu?

— Jak długo będzie trzeba.

Doktor rozłożył ręce.

— W takim razie odmawiam dalszej współpracy. Ciągłe nie rozumiecie, że stan waszego zdrowia, a może nawet i życie zależy od tego, jak dokładnie będę znał plan waszych działań. Skoro boicie się wrogów, jakichś amerykańskich szpiegów, to ośmielę się zauważyć, że takich tutaj nie ma, niczego też nie przekażę trockistom.

— Proszę nie gadać bzdur — zaoponował Majoranski. — Jacy znowu Amerykanie? Kto tu mówi o Amerykanach?

— Więc o co chodzi?

— Tajemnice, wieczne tajemnice — stwierdził ze śmiechem Liadow. — Dobrze, niech pan posłucha. Kiedy przybędziemy na miejsce, mamy się zająć ważną sprawą. Mamy przygotować likwidację trujących odpadów.

— Rozumiem — odpowiedział doktor, który oczywiście w czego nie zrozumiał.

Nie wiedział o spisku konsulów, bo Igor nie zdążył mu o nim powiedzieć.

— Według moich wyliczeń zajmie to nam jeden dzień.

— A jeśli was odkryją?

— Kto ma tam nas odkryć? — pytał, śmiejąc się wciąż, Liadow. — Oprócz mnie nikt tam nie pozostał.

— Nie podobają mi się te wasze rozmówki — oświadczył Majoranski. — Będę musiał poinformować o nich Ławrientija Pawłowicza.

— Proszę bardzo — odciął się Liadow. — Na pewno dostanie pan medal.

— Zostaniecie ukarani — podkreślił z naciskiem Majoranski.

— I nie dopuszczą nas do operacji? — ironizował Liadow.

— Nie ma się z czego śmiać!

Liadow przeszedł się wzdłuż stołu, oglądając przybory laboratoryjne.

— Naturalnie — powiedział — cała masa tutejszych tylko marzy, żeby uciec do Maksimowki. Szerokiej drogi!

— Ławrientij Pawłowicz zajmie się wszystkim — upierał się starszy szachista — i podejmie odpowiednie kroki.

— Odpowiadało mu, że znalazł takiego posłusznego idiotę, jak ja — odparł Liadow — który nawet nie obawia się, że po skończonym zadaniu, załatwi mnie pan, Lwie Jakowlewiczu, jako zbędnego świadka.

— Co za głupstwa pan opowiada! — dał się słyszeć od drzwi głos powracającego Berii. — Kto kogo ma likwidować? Skąd taka myśl mogła załęgnąć się w pańskiej głowie?

— Logika, Ławrientiju Pawłowiczu — odrzekł Liadow. — Elementarna logika. Postanowił pan zniszczyć całą ludzkość, a w każdym razie znaczną jej część. Chwileczkę, niech pan nie przerywa

specjaliście. Jeśli będzie o tym wiedzieć dwóch ludzi, to już o jednego za dużo. Jestem przypadkowym, nikomu nie Potrzebnym człowiekiem, ale niezbędnym, aby dostać się do bazy, zorientować się w sytuacji, a potem wysadzić wszystko cholere. Tak więc stanę się nie tylko zbędny, ale również niebezpieczny. Nie tak wielu jest tutaj ludzi, tak, nawet tutaj, którzy chcieliby zniszczyć ludzkość. Chodzi o to, żeby o tym nie gadali, bo to zagroziłoby naszej żalösnej wegetacji. Tak więc pan, Lwie Jakowlewiczu, dostanie na drogę parasol z ukrytym ostrzem, które w odpowiedniej chwili wrazi mi pan pod łopatkę? Nieprawdaż?

— Co on wygaduje! To brednie! — wołał z oburzeniem Majoranski.

— Kończy mi ten bajzel! — wrzasnął Beria.

Doktor omal nie roześmiał się głośno. To wyrażenie przynieśli tu całkiem niedawno młodzi ludzie i pochodziło z czasów, kiedy prawie nikt już nie pamiętał o Berii.

Szachiści umilkli. Doktor starał się być niewidoczny, jednak minister go zauważył.

— Długo mam jeszcze czekać?

— Około pół godziny.

— Więc weź się do roboty — nakazał Beria. — A my się tymczasem gdzieś przejdziemy.

Wyprowadził szachistów z pomieszczenia. Doktor usłyszał jeszcze, jak tamten pyta srogim tonem:

— Za dużo nie gadaliście?

— A co to znaczy: za dużo? — odpowiedział pytaniem Liadow.

Cały czas podkreślał swą niezależność, chociaż nie wiadomo dlaczego. Widocznie, taki już miał charakter...

Doktorowi nie udało się niczego więcej podsłuchać. Dowiedział się niewiele, ale nawet to niewiele go wystraszyło, ponieważ bał się Ławrientija Pawłowicza i jego mrocznych zamysłów. Majoranski z Liadowem przeniosą się do świata na powierzchni na trzy dni, żeby w okolicy stacji Bołogoje przesiąść się w autobus i dojechać do wsi Maksimowo lub Maksima, której być może nie ma już nawet na mapie. W owej miejscowości znajduje się skład albo baza trujących odpadów. Liadow pracował kiedyś w tym miejscu, Chodzi być może o bakcyle jakiejś zarazy. Doktor wiedział, że są miejsca, w który coś takiego się sztucznie wytwarza.

Wiedza, jaką posiadał, była bezużyteczna tylko dla tego człowieka. Jeśli nie padł ofiarą słownych nieporozumień, to właśnie od niego zależy teraz los całej Ziemi. Trzeba będzie tę sprawę nagłośnić, ale sytuacja zawodowa doktora mogła nie budzić zaufania u innych, zdrowo myślących ludzi. Musi koniecznie spotkać się z Igorem. On będzie wiedział, co robić. Podszedł do niego Goglidze. — Proszę sprawdzić, Leonidzie Moisiejewiczu... Chociaż asystent uważał siebie za krewnego Berii i pozwalał sobie na drobne ataki przeciw doktorowi, rozumiał, że Freud jest człowiekiem genialnym i w dodatku uczciwym, który nie zatracił w Czyścęcu owych cech charakteru. Żeby tu przeżyć, dobrze było przyznawać się do pokrewieństwa z konsulem, gdyby jednak dano mu wybór, wolałby być przyjacielem doktora.

Przed doktorem leżały indywidualne wyniki badań krwi albo raczej rzadkiej plazmy, płynącej w żyłach szachistów. Jej skład pozwalał wstrzyknąć odpowiednią substancję ochronną.

Przez całe trzy dni, jakie spędzą w prawdziwym świecie, nie będą odczuwać głodu ani potrzeby snu, chociaż jeśli się zmęczą, a będą męczyć się szybko, mogą się trochę zdrzemnąć. Potrzebują wody, ale nie pożywienia. Jelita, znajdujące się w zaniku, nie zdołają pracować. Woda jest jednak konieczna do prawidłowego parowania skóry.

Doktor i Goglidze zaczęli przygotowywać specyfik, który jednak nie był zbawczym panaceum.

Trzeba było porzucić nadzieję całkowitego powrotu do prawdziwego świata, jeśli ktoś jeszcze ją żywił.

Najlepiej byłoby, rozmyślał Leonid, gdybym udał się tropem szachistów. Przy okazji popatrzylibym chociaż przez chwilę na dawno utracony świat. Jak jednak ich śledzić, skoro znają moją twarz i szybciej się poruszają. Przy tym Beria go podejrzewa i na pewno nie dopuści do jego ucieczki.

— Daj mi wszystkie wyliczenia — zwrócił się do asystenta. — Nie chcę ryzykować.

Goglidze wzruszył ramionami. Bez względu na ryzyko, raczej mała jest szansa, że szachiści wrócą żywi. Nawet on to pojmował. Doktor usiłuje zmienić prawa natury. Co prawda, nie wiadomo, co za natura stworzyła takie prawa, jaka jest jej istota i jakie miała wobec nich zamiary.

Asystent, jako odważny mężczyzna, namówił jakiś czas temu doktora Freuda na próbną wycieczkę przez portal znajdujący się w tej części Czyścica. Pobyli chwilę na podmiejskim osiedlu. Pamiętał jak oszołomiły go zapomniane i niewiary — godnie kuszące dźwięki i zapachy. Doktor musiał go przytaszczyć z powrotem na plecach. W przejściu czekali już na nich czekięści z towarzyszem Berią na czele.

Wypuścili następnie dwie dogorywające już prawie, sklerotyczne staruszki. Beria chciał trzymać je na długiej smyczy. Kobiety początkowo szalały z radości, biegały, skakały i tarzały się w trawie. Wreszcie zmęczyły się i legły do snu. Drugiego dnia wciąż były żywe. Następnej nocy jakimś sposobem urwały się ze smyczy i po prostu znikły. Należało przeprowadzić więcej prób, nie starczyło jednak czasu i materiału ludzkiego.

Doktor zaczął przeglądać wyniki. Oczywiście, można się było obejść bez tego, lecz specjalnie wszystko przeciągał. Miał nadzieję, że w końcu Igor przedostanie się do Smolnego. W wyobraźni skradał się wraz z chłopakiem pod ścianą pałacu, chowając się, gdy pojawiał się cyklista z ochrony sztabu Rewolucji.

Wtedy powrócił Beria z szachistami.

— Rozpocznij procedurę — polecił.

Jak każdy dobry organizator, bezustannie czuwał nad realizacją projektów. Tak było z bombą atomową i tak samo z wynalazkiem Leonida. Ważność danego przedsięwzięcia nie zależy przecież od liczby ludzi zatrudnionych przy jego realizacji, czy też wydanych na to miliardów rubli. Najważniejszy jest rezultat. A takiego rezultatu nie spodziewał się Beria nawet po bombie atomowej. Jeśli się wszystko powiedzie, stanie się absolutnym władcą Wszechświata. Trzeba będzie jeszcze, co prawda, usunąć pozostałych konsulów. W życiu jednak nigdy nic nie jest proste. Takie jest życie. Doktor okazał się zdrajcą. Należało się tego spodziewać. To już cecha tej nacji, niewielkiej, lecz bardzo niebezpiecznej. Iluż ich było w szeregach naszej partii! Ławrientij w pełni podzielał punkt widzenia Władcy: Rosja powinna należeć do tych, którzy żyją na jej ziemi od wieków. Do Rosjan, Gruzinów, Mordwinów, Białorusinów.

Całe szczęście, że często zaglądał do piwnicy, obserwując kolejne etapy eksperymentu. Poganiał doktora i żądał informacji. Sam oczywiście nie był biologiem z wykształcenia. Nie chodziło mu jednak o szczegóły... Wystarczyło mu kontrolowanie prac sprzedawczyka w ogólnym zarysie.

Szachiści zdawali się wystraszeni. Było to niemal zabawne, widząc lęk Majoranskiego, który zabił zastrzykami tyłu ludzi powolną i bolesną śmiercią w swoim laboratorium.

Goglidze podciągnął Majoranskiemu rękaw powyżej łokcia.

— Proszę zacisnąć dłoń — zażądał.

— Po co?

— Jest pan przecież wykształconym człowiekiem! — rozzłościł się asystent. — Nie rozumie pan, że mogę nie trafić w żyłę?

Majorański zacisnął palce w pięść.

„Jak stąd uciec? — zastanawiał się dalej doktor. — Jak ich wykiwać?”

Na razie niczego nie wymyślił poza przedłużaniem sprawy.

Goglidze wstrzyknął dwa centymetry sześciennie próbki w żyłę Majorańskiego, a doktor uczynił to samo z Liadowem.

— Boli — oświadczył ten ostatni — trzeba się było lepiej uczyć.

— Nie jestem pielęgniarzką — sparował doktor. — Ma bardzo rozrzedzoną krew.

— Jak długo trzeba czekać? — zapytał Beria.

— No, wie pan — odpowiedział lekarz — jakieś dwie godziny. Ma pan przecież klepsydrę...

— Dałem ją panu.

— Mnie?

— Jest tutaj — potwierdził Goglidze, przynosząc zegar piaskowy i wręczając go Berii.

— Chodźmy — powiedział do szachistów. — Odpoczniecie w moim gabinecie. Pan, doktorze, nie jest nam tam potrzebny, w razie czego pana wezwę.

Wyprowadził ponownie szachistów. Doktorowi spadł kamień z serca. Niewiele działał, ale zyskał trochę na czasie. Dwie godziny. Specjalnie przedłużył czas działania szczepionki we krwi. Każda zyskana minuta dawała mu większą szansę. Igor może zdąży nadejść...

— Możecie pójść na spacer — oznajmił swoim współpracownikom. — Tylko daleko nie odchodźcie. Była tam bitwa...

— Zostanę tutaj — oświadczył Goglidze.

— Nie chce pan popatrzeć na pobojowisko? — zdziwił się doktor.

— Co w tym ciekawego — odparł asystent. — To nie żadna bitwa, tylko zwykła bandycka rozróża. Ławrientij Pawłowicz musi się bronić.

— Zwycięży?

— Oczywiście, że tak. Inaczej nasza praca straciłaby wszelki sens — stwierdził filozoficznie Goglidze.

— Zazdrościsz im?

— Nie, Leonidzie Moisiejewiczu. Nie chciałbym znaleźć się na ich miejscu. Trzydniowa przepustka. Trzy dni na pierwszej linii. Rozumie mnie pan?

Goglidze przybył tutaj z Afganistanu. Tuż przed Nowym Rokiem ich oddział został okrążony w jakiejś wiosce. Mieli do wyboru: albo do świtu wybiją ich z moździerzy, albo następnego dnia zbombardują swoi. Taka jest wojna. Pozostał przy życiu jako jedyny z oddziału, gdyż najbardziej bał się śmierci.

— Rozumiem — powiedział doktor. — Złudzenie wolności.

Do laboratorium wszedł w tej chwili wysoki cyklista w hełmie nasuniętym na oczy i długim płaszczu przeciwdeszczowym. Dzierżył w dłoni obnażoną szablę.

— Doktora Freuda wzywają natychmiast do Ławrientija Pawłowicza — zachrypiał.

— Ależ tak, oczywiście — odrzekł z zakłopotaniem wezwany. — Dokąd mam iść?

— Doktor nie powinien wychodzić. Zaraz wrócę tutaj jego podopieczni — wtrącił Goglidze. — Jest bardzo zajęty.

— Ławrientij Pawłowicz wie najlepiej, kto jest zajęty, a kto nie.

— Już biegnę — oświadczył lekarz.

Goglidze trochę się zdziwił, ponieważ nigdy nie widział biegającego doktora. Rowerzystą przepuścił w drzwiach naukowca i poszedł za nim. Asystent patrzył na nich i zastanawiał się: co tu jest nie tak?

Kiedy rowerzysta i doktor znikli za drzwiami, nagle zrozumiał: funkcjonariusz nieprawidłowo nazwał ich szefa. Ławrientijem Pawłowiczem mieli prawo nazywać go wyłącznie bliscy współpracownicy. Dla strażnikowi rowerzystów był towarzyszem Berią lub towarzyszem ministrem. Zauważywszy nieprawidłowość, asystent nie wyciągnął z niej jednak żadnych wniosków, tak więc przebrany za cyklistę Igor mógł bez przeszkód wyprowadzić doktora na korytarz.

— Dokąd teraz? — zapytał. — Pan lepiej zna budynek.

— Do dawnego magazynu.

Lekarz wskazał znajdujące się w odległości dwudziestu metrów żelazne drzwi, do których się udali. Nie były zamknięte na klucz. Doktor pociągnął za szeroką sztabę, wrota poddały się temu z niechętnym skrzypieniem, przesuwając się po kamiennej podłodze. Chłopak pomógł starszemu panu. Kiedy pojawiła się szeroka szczelina wsunęli się kolejno do środka, w całkowitą ciemność.

— Dalej nie idź — ostrzegł doktor. — Są tam skrzynie i kupa złomu. Można nogi połamać. Ochroniarze wrzucają tutaj niepotrzebny sprzęt. Miałem nadzieję, że cię jeszcze zobaczę. Jak się tu dostałeś? Zabiłeś kogoś?

— Nie — odparł Igor. — Nie potrafię zabijać.

— Wszyscy to potrafią — zaoponował lekarz. — Nie trzeba się tego specjalnie uczyć, wszystko zależy od okoliczności. Nie traćmy jednak czasu, bo muszę ci przede wszystkim powiedzieć, że Beria posyła dwóch ludzi na powierzchnię do prawdziwego świata, Liadowa i Majoranskiego. Mówią ci coś te nazwiska?

— Przybyłem tutaj za młodu — przypomniał chłopak, zdejmując za duży hełm.

— Swoją drogą, jak zdobyłeś przebranie?

— Miałem szczęście, za rogiem leży martwy rowerzysta. Była tu jakaś walka?

— Owszem, ale jej nie widziałem. Beria trzyma mnie stale w piwnicy.

— Pewnie padł w boju i koledzy nie mogą się go doliczyć. Akurat skradałem się w pobliżu pałacu, nie mając pojęcia, jak się dostać do środka. Nagle patrzę: leży trup! Zdarzają się takie szczęśliwe przypadki. Niech pan mówi dalej, Leonidzie Moisiejewiczu. Mamy mało czasu.

— Obawiam się, że nawet mniej niż myślisz — stwierdził doktor. — Obaj wysłannicy Berii są biologami, a Majoranski od dawna był jego agentem, również w poprzednim życiu. Liadow jest młodszy i zjawił się tu stosunkowo niedawno, co widać, chociażby po jego cerze. Zna jakieś miejsce, skład albo bazę, z czymś bardzo niebezpiecznym. Trzeba dojechać pociągiem do stacji Bołogoje, a potem autobusem do pustej wioski Maksimowka.

— Więc to się zgadza!

— Co takiego?

— Maksimowka! Słyszałem tę nazwę, kiedy podsłuchiwałem naradę.

— Jaką naradę?

— To już nieważne. Najważniejsze, że wszystko się zgadza. Ciekawe, czy nasi znaleźli już tę Maksimówkę?

Doktor pokręcił głową, nie rozumiejąc tych słów, lecz Igor nie mógł tego zobaczyć w całkowitej

ciemności.

— W tej Maksimowce znajduje się coś... — zaczął chłopak — coś strasznie groźnego dla całego świata.

— Tak też zrozumiałem — przytaknął lekarz. — Trucizna albo inna zaraza.

Ktoś nadchodził korytarzem, idąc po kilka kroków potem się zatrzymując, jakby nasłuchiwał. Kroki zatrzymały się u przymkniętych drzwi i ktoś przesłonił szczelinę.

— Hej — zapytał cicho, z obawą — jest tam kto?

Odpowiedział potem sam sobie, jakby pokonując strach:

— Nie ma nikogo. Co by robili w ciemności?

Kiedy kroki zadudniły znowu, doktor zaszeptał:

— Może już nas wykryli.

— Więc niech pan szybko mówi, czego się jeszcze dowiedział.

— Wstrzyknąłem im moją szczepionkę — powiedział doktor. — Mówiłem o niej? No dobrze, powtórzę. Stworzyliśmy preparat, który może jest ważnym krokiem w przyszłość. Z dużym stopniem prawdopodobieństwa mogę zagwarantować, że można przebywać na powierzchni do trzech dni bez uszczerbku na zdrowiu.

— Niemożliwe!

— Nic więcej jednak nie mogę zrobić. Zbyt mało mam wiedzy, ludzi i sprzętu. Czuję intuicyjnie, jakim tropem podążać, ale nic ponadto.

— Będą tam trzy dni? — wypytywał Igor.

— Twierdzą, że tyle wystarczy.

— Wystarczy na co?

— Żeby zniszczyć wszelkie życie na Ziemi.

— Czy pan jako uczonego może potwierdzić, że jest to możliwe?

— Wszystko jest możliwe, skoro mamy do czynienia z bronią biologiczną. Bakterie dżumy lub jakiejś innej zakaźnej choćby mogą rozprzestrzenić się po całym świecie i nie sposób tego powstrzymać.

— Trzeba więc powstrzymać agentów.

— Mówiłeś jednak, że kogoś tam ostrzegłeś?

— Skąd mogę wiedzieć, czy rzeczywiście dostali mój list i właściwie go zrozumieli, a potem odszukali właśnie tę Maksimowkę? Skąd mogę to wiedzieć?

— Więc co robić?

— A bo ja wiem? — odparł Igor. — Może Beria tylko żartował?

W tym pytaniu zadźwięczała odrobina nadziei: a może to tylko pokazowy element walki o władzę... lecz chłopak nie mógł do końca uwierzyć w tak optymistyczną wersję.

— Beria nigdy nie żartuje — zauważył ze smutkiem doktor.

Zamilkli na chwilę. Potem w ciszy rozległ się głos Igora. Doktor spodziewał się, że chłopak to właśnie powie.

— Będę musiał... Może pan zrobić dla mnie szczepionkę?

— Nie wiesz nawet, jakie to niebezpieczne!

— Bzdura — odparł młodzieniec. — Wszystko tutaj jest niebezpieczne. W ostateczności dobrze wiem, czym ryzykuję. Nie mam alternatywy.

— Cóż to za głupie słowo: alternatywa — gderał doktor. — Zawsze jest jakiś wybór.

— Jaki?

— Ja pójdę — zaoferował lekarz.

— Ile razy mamy to powtarzać! — rzekł z gniewem Igor. — Pana nigdy stąd nie wypuszczą.

— Każda normalna rozmowa składa się z wielu powtórzeń

— odparł z urazą naukowiec. — Zwłaszcza, kiedy ludzie próbują znaleźć kompromis.

— Dawno już nie spotkałem takich ludzi — stwierdził Igor.

— Ile jeszcze zostało nam czasu?

— Obawiam się, że już wcale go nie mamy.

— Co się z panem dzieje, Leonidzie Moisiejewiczu?

— Boję się o ciebie. Nie tylko z powodu szczepionki, lecz również dlatego, że wylądujesz tam razem z bardzo niebezpiecznymi ludźmi. A tymczasem ja i Lusja będziemy się tutaj martwić, co się z tobą dzieje.

— Nieładnie. To cios poniżej pasa! Może pan przygotować dla mnie szczepionkę?

— Wszystko zależy od tego, co robi Goglidze i czy agenci nie wrócili do laboratorium.

— Proszę pomyśleć, doktorze. Co innego możemy zrobić?

Lekarz wyszedł na korytarz jako pierwszy. Był całkiem pusty, poszli więc do laboratorium. Strażnik przy wejściu nie zwrócił na nich uwagi. Wewnątrz był tylko Goglidze, który siedział za stołem z wyciągniętymi nogami i przymkniętymi oczami. Wcale jednak nie drzemał.

— Mamy ochotnika — oznajmił dziarsko naukowiec. — Proszę przygotować przybory i pobrać krew.

— Pójdzie z tamtymi? — zdziwił się asystent.

— Ławrientij Pawłowicz nie powiedział — odparł doktor.

— Zrobię, co mi każą — potwierdził jego słowa cyklista.

— W takim razie zdejmij płaszcz i podciągnij rękaw koszuli.

Doktor rzucił się do stołu i zaczął przygotowywać szczepionkę. Liczył w myślach do stu, potem zaczynał od nowa. Zaraz rozewrą się drzwi i wpadnie nimi rozwścieczony Bena, a wtedy wszyscy źle skończą.

Igor zdjął płaszcz i rzucił go na stół, hełm jednak pozostał na głowie i szabla u pasa. Goglidze pobrał krew i przetarł przegub ręki jakąś ostro pachnącą substancją.

— Nadal nie rozumiem — powtarzał bez przerwy.

Goglidze lubił jasne sytuacje. W owej chwili całe jego jestestwo burzyło się wobec tak dziwnego obrotu sprawy, nie śmiał jednak się wprost sprzeciwić, chociaż pamiętał, że dziwny cyklista nieprawidłowo nazwał ich szefa. W odróżnieniu od tego ostatniego nie był jednak czekistą, a zatem nie wyssał podejrzliwości z mlekiem matki. Beria dawno by już kazał rozstrzelać lekarza i jego pacjenta, tymczasem asystent miotał się między podejrzeniem a ślepą wiarą w geniusz doktora Freuda.

Igor usiadł na krześle.

— Proszę poczekać — polecił doktor, podczas gdy Goglidze zajmował się przejrzystą krwią młodzieńca.

Bezwiednie Igor także zaczął liczyć w duchu sekundy, obawiając się niespodziewanego powrotu Berii.

— Może się pan przejść — oznajmił lekarz z wyraźną ulgą. — Przygotowanie szczepionki zajmie trochę czasu.

— Znajdzie mnie pan tam, gdzie się spotkaliśmy — odpowiedział rowerzysta, czym ostatecznie zmałcił umysł Goglidzego. Albo to nie jest zwyczajny cyklista, albo wcale nim nie jest.

Kiedy młodzieniec wyszedł, asystent zwrócił się do doktora:

— Kim on jest? I dlaczego... Lekarz uniósł palec do ust.

— Mój Horacy, są rzeczy na niebie i ziemi, o których zwykłym ludziom lepiej nie wiedzieć.

— Dlaczego Horacy? — nie zrozumiał asystent. — Jestem Georgij!

— Zgadza się, Georgiju — odparł doktor. — Niech pan czyta wskaźniki. Mam na ten temat pewną teorię, musi jednak pan przysiąc na wszystkie świętości, że mnie pan nie wyda.

— Przysięgam na moją matkę! — zapewnił.

— Dobra przysięga — pochwalił doktor. — Jak już pan wie, Ławrientij Pawłowicz wysyła na powierzchnię swoich agentów. Wyobraża pan sobie, w jakich się znajdują warunkach?

— W jakich?

— Będą wokół siebie mieli samych wrogów i podejrzliwych ludzi, toteż ich zadanie może być w każdej chwili przerwane. Czy Ławrientij Pawłowicz może polegać do końca na osobnikach, których tutaj znalazł i przygotował? Co się z nimi stanie, kiedy wyjdą na plac przed Dworcem Moskiewskim, gdzie dzwonią tramwaje i trąbią autobusy?

— Więc myśli pan...

Goglidze nie dokończył zdania, nie wiedząc dokładnie, o co szanowany przezeń naukowiec podejrzewa szachistów, jak nazywał swoich agentów Beria.

— Co by pan zrobił, będąc na miejscu Ławrientija Pawłowicza?

— Ja? Posłałbym ludzi absolutnie pewnych.

— Dużo ich tutaj?

— Właściwie wcale — przyznał asystent.

Rozłożył bezradnie ręce. Przeżył w Czyścucu ponad dwadzieścia lat, nie przestając narzekać, jak wszystko jest tutaj urządzone. Miał już tylko jedno marzenie, nieosiągalne, chociaż piękne: przedostać się do Tbilisi, gdzie zachowało się prawdziwe życie, gdzie wieczorami mili ludzie przechadzają się po Prospekcie Rustawelego, gdzie pachnie szaszłykami i drogimi perfumami, a po ulicach jeżdżą jeepy i mercedesy. Za każdym autem można powiedzieć: „Patrz, przejechał Gogi albo... Giwi”, z szacunkiem lub pogardą. Wiedział jednak, że gdyby podzielił się z kimkolwiek tą mrzonką w przeklętym podziemiu, naraziłby się tylko na śmieszność. Nie mógł o niej powiedzieć Ławrientijowi Pawłowiczowi ani nawet Leonidowi Moisiejewiczowi. Wolał milczeć.

Doktor zniżył głos do szeptu.

— Ławrientij Pawłowicz doszedł do wniosku — zauważył — że wysyłać pracowników bez nadzoru i ewentualnego wsparcia byłoby ryzykownie. Dlatego wysyła za nimi nieoficjalnie... — zawiesił znacząco głos.

Goglidze zrozumiał sugestię i pokiwał czarną głową.

— Ten współpracownik — wyjaśniał dalej doktor, wskazując na zamknięte drzwi — otrzyma również odpowiednią dawkę szczepionki. Nie widział go pan jednak ani ja go nie widziałem, ani nawet sam Ławrientij Pawłowicz. Rozumie pan?

— Oczywiście, jakże mógłbym nie zrozumieć! — odparł teatralnym szeptem asystent, podniesiony na duchu przemyślnością ich szefa.

— Dostałem polecenie — kończył monolog Freud — żeby wszystko wykonać pod specjalnym nadzorem. Nikt w naszym świecie, oprócz pana, nie widział tego rowerzysty. Swoją drogą, nie jest to

zwykły cyklista, ale krewny jednego z członków Biura Politycznego.

— Ho, ho — mruknął Goglidze.

Był tak przepełniony emocjami, że zdawało się, iż zaraz buchnie od nadmiaru miotających nim uczuć.

W tym momencie wszedł Beria wraz z agentami. Asystent przełknął głośno ślinę i spojrzał wiernopoddańczo na głównodowodzącego.

— Spocznij — rzekł Beria, nie przywiązując znaczenia do intensywności tego spojrzenia. — Proszę jak najszybciej przygotować naszych towarzyszy.

Szczepionka, zawierająca pewną dozę krwi pobranej pacjentom, była już gotowa. Dojrzała, jak mawiano w laboratorium. Doktor osobiście wprowadził ją do organizmów szachistów. Spoglądali na niego z obawą, ale poddawali się wszystkiemu bez słowa sprzeciwu.

Beria stał w pobliżu, nie spuszczać wzroku z dłoni doktora, uważając, czy nie aplikuje jego podwładnym jakiejś trucizny. W zasadzie nie byłby w stanie tego zauważyć, wiedział jednak, że jego spojrzenie działa na wszystkich jak hipnotyzujące oczy kobry na królika.

— Teraz odpoczniecie — powiedział zamiast doktora.

— Słusznie — zgodził się lekarz. — Z tym, że właściwie nie chodzi o zwykły odpoczynek, lecz o możliwość rozprowadzenia szczepionki po całym organizmie. Proszę, byście nie odchodzili zbyt daleko, dlatego, że tylko ja mogę ustalić moment, w którym powinniście przenieść się na powierzchnię. Tylko ja.

— Pamiętaj o mnie — bezsilnie pogroził mu Beria.

— Pamiętam — odparł doktor jakby żartobliwie, co wielce się ministrowi nie spodobało.

Poszli do lazaretu.

Stały tam szpitalne łóżka. Majoranski i Liadow milczeli, jak mogą tylko milczeć ludzie dowiadujący się o nieznannej chorobie krążącej w ich krwiobiegu. Wiedzą, że zostali otruci, nie wiedzą jednak jeszcze, jakie będą tego objawy.

— Idź — powiedział Beria do doktora. — Ja tutaj posiedzę.

— Pozostało niewiele czasu — stwierdził Freud.

— Niech się pan nie denerwuje, Leonidzie Moisiejewiczu — odpowiedział szybko Beria, źle sobie tłumacząc niepokój doktora.

— Postaram się — odpowiedział tenże.

Cały czas zastanawiał się, jak niepostrzeżenie zaaplikować szczepionkę Igorowi. Byłby szczęśliwy, gdyby młodzieniec zrezygnował z podróży, a zarazem zropaczony, gdyby się tamten wystraszył. Przede wszystkim jednak przerażał go złowrogi geniusz Berii.

— W takim razie zostawię was na parę minut? — zapytał niewinnie.

— Tak, idź — powtórzył Beria. — Mamy jeszcze to i owo do omówienia.

Doktor szybko wrócił do laboratorium.

— Szczepionka gotowa? — spytał.

— Tak. A jak się czują tamci?

— Zdaje się, że wszystko w porządku, ale Ławrientij Pawłowicz nie życzy sobie — lekarz znowu zaczął szeptać — żeby któryś z nich zobaczył przypadkiem cyklistę. Podaj mi strzykawkę. Wstrzyknę mu preparat na zewnątrz. Szybko! Zaraz Ławrientij Pawłowicz mnie zawoła i będzie się złościć.

Goglidze nie protestował, kiedy lekarz sam chwycił strzykawkę i pobiegł na zewnątrz. W samych

drzwiach odwrócił się na chwilę i powiedział:

— Gdyby Ławrientij Pawłowicz zapytał, gdzie jestem, powiedz, że mam bóle brzucha. Zaraz wracam.

— Bóle brzucha?!

Ten wykręt wydał się asystentowi niesamowicie śmieszny, więc zachichotał.

Lekarz skinął po drodze strażnikowi przy drzwiach, który skłonił głowę w odpowiedzi. Poszedł do magazynu i zatrzymał się przed półotwartymi drzwiami.

— Jesteś tutaj? — zapytał cicho.

— Proszę wejść.

— Podwiń rękaw — polecił doktor.

Igor rzucił prędko:

— Niech pan zawiadomi o wszystkim Lusię i generała. Dom przy tej samej ulicy, numer 45...

Rozdział jedenasty

Igor Czechonin

Na szczęście dla Igora, Beria nie pomyślał wcześniej o tym, jak odstawić swoich agentów do punktu przejścia. Nie miał zamiaru rozstawać się ze swoim packardem, dlatego młodszemu agentowi, Liadowowi wydali stareńką „damkę”, którą jechał powoli, z trudem kręcąc pedałami. Majoranski wsiadł w riksę, kładąc pewnie podeszwy butów na podnóżku, całkiem jakby całe życie poruszał się w taki sposób. Tak podążali za pojazdem pierwszego konsula.

Igor szedł prędko za nimi w bezpiecznej odległości, chwilami biegnąc, nikomu jednak, nawet Berii, nie przyszło do głowy się obejrzeć. Młodzieniec bardzo się zmęczył po drodze, gdyż półgodzinny bieg nie jest najlepszym zajęciem dla mieszkańca Czyścica.

Przejście znajdowało się w zapuszczonych, ceglanych ruinach starej fabryki. Kawalkada pojazdów znikła za murami, a wówczas Igor zbliżył się do rozbitego okna i usłyszał głosy rozchodzące się głuchym echem po obszernym pomieszczeniu.

— Feniczka! — krzyknął Beria. — Gdzie jesteście?

Posypały się cegły i wydobyła się zza nich przerażająco tłusta, pokryta sierścią albo kłębkami waty figura. Łysa głowa spoczywała na owej masie jak żółta kula bilardowa. Postać wyglądała trochę jak nieopierzony, nowo narodzony ptaszek. Zapewne tak mogło wyglądać pisklą baśniowego ptaka Roka.

— No nareszcie — zahuczał. — Prawie już się rozmyśliłem. Na co, pomyślałem, mam dłużej czekać, a nuż nikt nie przyjdzie, wszyscy jesteście strasznie zajęci ważnymi sprawami. Myślicie, że niczego nie rozumiem, ale ja wszystko rozumiem...

— Co z przejściem? — przerwał mu konsul.

— Jarzy się, powstaje, rozwiera — odpowiedział tamten. — Wystarczy policzyć do stu i można przełazić. Głową do przodu najlepiej, zresztą wszystko jedno i tak nie wróćcie.

Grubas zaniósł się niepowstrzymanym śmiechem, błyszcząca łysina trzęsła się, a uczezione do niej puchate ciało drgało spazmatycznie, jakby się miało oderwać od głowy. Wszyscy czekali pokornie aż się do woli wyśmieje. Potem tłuszcioch ruszył, stąpając po potłuczonych ceglach i mamrocząc:

— Cholerny kamuflaż, kiedyś połamię na nim obie nogi i zostanę kaleką. Co wtedy beze mnie zrobicie?

Zatrzymał się przed zawieszoną na drucie zasłoną, przy czym kółka były także zrobione z drutu. Odsunął na bok kotarę, zajrzał w ziejącą za nią ciemność i oznajmił:

— Rozlokujcie się i nie zapomnijcie o kanapkach, gdyż zaczyna się oczekiwana chwila.

Nikt nie ruszył się z miejsca.

— Jak sobie chcecie, ale muszę wam wyjawić, że ostatnio przeniknęły stamtąd dwa szczury.

Całkiem bez sensu. Obadam się, że będą się tutaj płodzić, wypasione na ludzkim mięsie.

— Mylisz się — zaoponował Liadow. — Tutaj zanika ich metabolizm. Miałem okazję łowić te żalosne stworzenia.

— Żalosne, nie żalosne, ale do nich należy przyszłość — odparł Feniczka. — Miałem wizję na ten temat. Wybijecie się wszyscy nawzajem, a wtedy nadejdą szczury ze swoim carem, którego widziałem, tak jak was teraz widzę, i przechwycą ten świat w swoje pazurki.

Znowu się zaśmiał na całe gardło.

Igor miał nadzieję, że Feniczka nie ma nadmiernie rozwiniętego zmysłu węchu, zdolności wyczuwania obcych. W Czyścucu spotykało się rozmaitych odludków, będących takimi z przyczyn religijnych lub własnych skłonności. Czasami byli to zwykli dziwacy, częściej groźni maniacy i szczególnie wśród nich zdarzali się osobnicy o nadzwyczajnych zdolnościach. Mogli wyczuć twój nastrój albo zamiary, inni wyczuwali czyjaś obecność na wiele metrów, skoro musieli bez przerwy być czujni. Na szczęście ten nie wyczuwał obecności młodzieńca.

— Niczego tam nie postawili? — zapytał Ławrientij Pawłowicz.

— A mnie co do tego? Najwyżej łby rozwalicie!

— Najpierw ciebie rozwalimy — zagroził Beria.

— Też prawda — przytaknął grubas. — Jest pan bezlitosnym człowiekiem. Według mojego mniemania nic się tam nie zmieniło. Wszystko tak samo zapuszczone jak u nas.

— Nikt nie próbował przejść, oprócz szczurów?

— Z tego, co wiem, to przejście rezerwowe, o którym mało kto wie.

— Inne przejścia zostaną zlikwidowane — oznajmił Beria. Najwyraźniej znał od dawna grubasa, gdyż po pierwszych przekomarzeniach zaczęli rozmawiać całkiem spokojnie, nieomal poufale.

— Nie da rady — sprzeciwił się tamten. — Nie zdoła ich pan zlikwidować, Ławrientiju Pawłowiczu. Zasłony rwą się na naszych oczach, tamy pękają. Jestem tym coraz bardziej przerażony, przysięgam, że nawet mnie to wystraszyło. Nadciąga stamtąd zagłada. A to trujący wietrzyk zaleci, to znów bije gorąco, a ostatnio zaczęły przenikać różne zapachy.

— Wytrzymaj — rzekł konsul. — Wkrótce to naprawimy.

— Słyszałem, co nawyrabiałeś.

— Ja?

— Zabiłeś Łarisę i Czajanowa, a potem była wojna, podczas której padł następny konsul. Marzysz o władzy absolutnej?

— Bez niej nie ma prawdziwego porządku — twardo odrzekł Beria. — Jeśli nie weźmiesz władzy, która leży na ulicy, motłoch cię zdepta. Nie da się tego uniknąć.

— Pięknie przemawiasz. Wkrótce stanie się jasność.

— Jaka obecnie występuje częstotliwość? — chciał wiedzieć konsul.

— Co pół godziny — odparł grubas — ale niedokładnie.

— Więc uważaj, żeby nie przegapić właściwej chwili.

— Wyczuwam ją — oświadczył. — Dlatego podchodzę do tej sprawy poważnie.

Zamilkli i czekali. Beria zapytał w końcu:

— Często tędy przeskakujesz?

— Ależ skąd, mam tylko jedno zdrowie — odparł tłuszcioch — a chciałbym jeszcze doczekać.

— Czego?

— Zagłady domu Usherów.

Beria wyczuł podstęp, gdyż grubas zrobił aluzję do czegoś mu nieznanego, wołał jednak nie wypytywać dalej. W zaistniałej znowu ciszy rozległ się gromko głos Liadowa:

— Kim pan był w poprzednim życiu?

— Nigdy by pan nie odgadł — odparł Feniczka.

— Był pan we władzach? — domyślił się Majoranski.

— Nie będę was męczył zagadkami — oświadczył grubas, tocząc wokół błyszczącym, przenikliwym spojrzeniem. — Byłem sekretarzem komitetu rejonowego.

— Nie — sprzeciwił się Liadow — takich nie brali na sekretarzy. Potrzebny był odpowiedni wygląd.

— I słusznie! — poparł go Beria. — Przywódca powinien mieć dobry wygląd.

— Byłem docentem katedry marksizmu — leninizmu — przyznał tłuścioch z krzywym uśmiechem, jak się okazało, całkiem do niego pasującym.

W tym momencie padł zza zasłony słaby poblask wprost na łysinę grubasa, błysnęła iskierką i po chwili cała fabryczna hala rozjarzyła się rubinowym światłem ogni piekielnych.

— Hura! — wrzasnął Feniczka. — Powóz zajechał, proszę zajmować miejsca, panowie. Nie mam do was żalu, że nie rozpoznaliście we mnie swego ulubionego bohatera z czytanek dla dzieci. Idźcie za kotarę i skaczcie śmiało. Macie dwie minuty. Do widzenia, towarzysze — zakończył tonem triumfu i usunął się na bok, uchylając zasłony.

Migoczące światło boleśnie raziło oczy. Agenci stali w miejscu, nie mając odwagi zrobić kroku.

— No, jazda! — krzyknął Beria, jak na konie.

Komenda podziałała na szachistów, więc jak malcy w żłobku skoczyli zgodną parą w jasność, która natychmiast ich pochłonęła. Feniczka opuścił zasłonę. Światło chwilę jeszcze przez nią przezierało, potem znikło.

— Dobra robota — orzekł grubas. — Jakie są plany na przyszłość?

— Powinni powrócić za trzy dni — oznajmił Beria — jeśli Operacja Żmija zakończy się sukcesem.

— To znaczy, że jeśli wrócą, będzie dobrze, ale jeśli nie wrócą, tym lepiej?

— Nie — odparł konsul z namysłem. — Nie mam zamiaru ich likwidować. Jeśli wykonają zadanie, będą mogli żyć dalej. A gdyby postanowili tam pozostać, umrą po trzech dniach. Byłby to dla mnie prawdziwy cios.

— Tak mówił lekarz?

Feniczka był, jak widać, wtajemniczony w różne sprawki ministra, który przyjmował to jako rzecz naturalną.

— Tak mówił. To on spreparował szczepionkę.

— Taki doktor to cenny nabytek.

— Nie podoba mi się, lecz póki co nie mogę sobie pozwolić...

— Zlikwidować go — dokończył za niego grubas. — Ponieważ jest jedynym, który może zrobić szczepionkę. Tylko mój szanowny rozmówca nie bierze pod uwagę, iż szczepionka może się przydać także i doktorowi.

— Jeśli powiedzie się ekspedycja szachistów i szczepionka zadziała odpowiednio...

— No dobrze, dosyć mam już waszych mętnych spraw. Wracajcie do Smolnego, towarzyszu przywódcu, planować swe wielkie czyny. Ilu jeszcze zostało konsulów?

— Nie gadaj głupot.

— Niczego innego nie potrafię.

Igor uskoczył za filar, kiedy Beria w towarzystwie dwóch ochroniarzy ruszył do wyjścia.

Zapadła kompletna cisza, potem dał się znowu słyszeć głos grubasa:

— Wyłażcie, kociaki, wyjdźcie, kochane, ucieszcie serce staruszka.

W odpowiedzi rozległ się dziecięcy śmiech. Młodzieniec wyjrzał zza filara. Feniczka stał na odkrytej przestrzeni. Ręce i nogi rozstawił w taki sposób, że upodabniało go to do pingwina. U jego nóg skakały i śpiewały dwie małe dziewczynki w koronkowych sukienkach. Wydawało się to niewiarygodne, ponieważ dzieci w Czyścucu nie było. Grubas kołysał się, jak rozbawiony pingwin i też tańczył, śmiesznie i niezgrabnie.

— W sadzie się sroczka rodziła — śpiewały dziewczynki.

— W sadzie wyrastała — wtórował im tłścioch.

Na podłodze coś zaszeleściło. Igor zauważył z pewnym niepokojem, że kilka szcurów także tańczy z dziewczynkami, przebiegając między ich nóżkami i stając na tylnych łapkach. Był to całkiem wesoły, chociaż zarazem okropny widok. Chłopak zrobił bezwiednie krok do przodu i niechcący wyszedł z cienia. Feniczka zauważył go i zawołał:

— Młody człowieku, przyłącz się do nas! Wyglądasz na setnego tancerza!

Dziewczynki podbiegły do Igora i zaciągnęły go na miejsce tańców, wczepiając się paluszkami w nogawki jego spodni. W tym momencie chłopak skonstatował, że nie są to naprawdę dziewczynki tylko karliczki.

— Raz do koła, dwa do koła, gdy kompania jest wesoła! — podśpiewywał tłścioch.

Chcąc, nie chcąc, młodzieniec był zmuszony do wzięcia udziału w zabawie, choć wcale nie miał ochoty. Wolał jednak nie tracić nawiązanego właśnie kontaktu z grubasem. Przytupywali, stojąc naprzeciwko, a wokół nich kręciły się dwie liliputki, chwytając ich za spodnie i palce dłoni.

— Czego tutaj szukasz? — zapytał w końcu Feniczka.

— Muszę tam przejść.

— Z rozkazu Ławrientija Pawłowicza? Operacja Żmija?

Na to pytanie należało odpowiedzieć właściwie. Drobną pomyłką mogła pogrzebać sprawę. Jeśli nie wiesz, co powiedzieć, mów najlepiej prawdę, powiedział kiedyś wujek Misza. A może to była prześliczna Tamara? Zdarzało jej się nieoczekiwanie wygłaszać złote myśli wśród całej masy głupstw.

— Nie — odparł Igor. — To sprawa osobista. Pierwszy raz słyszę o takiej operacji.

— Śmiałek z ciebie! — zadziwił się grubas, kiwając żółtą głową jak chińska figurka i błyskając czarnymi oczkami. — Zaraz wydam cię w ręce władz!

— Nie, tатku, nie rób tego! — zakrzyczały karliczki. — To dobry chłopiec!

— Umrzesz tam — ostrzegał Feniczka.

— Ojej, on tam umrze! — zawodziły liliputki.

— Przedstawiam ci — rzekł grubas — Andżelę i Desdemonę, zasłużone artystki. Przyklęknij na kolano.

Kiedy młodzieniec przyklęknął, urocze, lecz już niemłode liliputki wykonały wdzięczny dyg i podały mu malutkie dłonie. Pachniały cukierkami, chociaż w tym świecie nie było żadnych zapachów.

— Nie umrę — zaprzeczył, wstając. — Zostałem zaszczepiony.

— Teraz rozumiem, dlaczego Ławrientij Pawłowicz nazwał doktora zdrajcą!

— Doktor nie ma tutaj nic do rzeczy. Muszę się tam szybko przenieść.

— Powiedz, dlaczego. Tak szczerze, na ile to możliwe — powiedział ze śmiechem tłuścioch.

— Chcę ich powstrzymać.

— To już wykroczenie — ocenił grubas.

— To bohater! — darły się karliczki. — Należy mu się laurowy wieniec!

— Komu służysz?

— Ludziom.

— Tu nie ma prawdziwych ludzi.

— Na szczęście są — odparł Igor, wskazując na liliputki. — Nie tylko są prawdziwe, ale jeszcze do tego tańczą.

— No właśnie! — zawołała cieniutkim głosem jedna z nich. — A wielu nas nie docenia i jeszcze przedrzeźnia!

— Powiedz mi, jakie zadanie mają tamci dwaj?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Nie denerwuj byłego pracownika instytucji „Wiedza”.

— Nie wszystko jeszcze wiem — przyznał chłopak. — Najprawdopodobniej będą próbować zabić wszystkich ludzi na powierzchni.

— A to po co? — zdziwił się grubas.

W zdenerwowaniu zaczął gładzić swoje potężne brzuszko.

— Wydaje mi się — odparł Igor — że Beria i jego kompani obawiają się, iż granice między światami zanikną, a wówczas świat żywych pochłonie nasz.

— To by się zgadzało — zgodził się tamten. — Zacząłem się ostatnio obawiać, że otruje nas ich powietrze.

— Czy to jest jednak wystarczający powód, żeby wszystkich zabić? Całe rodziny i nawet małe dzieci...

— Ach, nie mów tak! — zakrzyczyły karliczki. — My dzieci lubimy, tak za nimi tęsknimy...

— To normalne dla każdego marksisty pragnienie być najważniejszym w całej wsi. W mieście się to już nie sprawdzało.

— Paradoks — ocenił Igor. — Wystarczy wspomnieć, ile lat rządili naszym krajem.

— I wciąż byli najważniejszymi ludźmi we wsi. Reszta ludzi nie miała innego wyjścia, jak poddać się temu, cały zaś kraj stał się jedną wielką wioską. Teraz wszystko rozumiem, młody człowieku. Ławrientij Pawłowicz, który do tej pory umiejętnie mną manipulował, lęka się utracić iluzję władzy. Całe życie o nią walczył, a kiedy wylądował tutaj, zaczął robić to samo, gdyż tak jest zaprogramowany. Skoro jest wiocha, trzeba być w niej pierwszym!

— Mogę tędy przejść? — spytał młodzieniec, wskazując na kotarę.

— Dziewczynki, co odpowiemy temu młodzieńcowi?

— Niech idzie, tylko niechaj wróci.

— Jeśli nie wróci, my...

Karliczka nie mogła znaleźć odpowiednich słów, ale druga przyszła jej z pomocą:

— Skoro nie wróci, przestanę pić kompot!

— Ja też! — zawtórowała jej koleżanka.

— Wrócę. Nie powinienem tam długo być.

— W takim razie napiszemy list — oświadczyła liliputka — i zanieśiesz go do naszego cyrku.

Za zasłoną zaczęła rozpalać się łuna.

— Dajcie chłopakowi spokój. Jak się nazywasz?

— Igor.

— Zostawcie w spokoju Igora, musi już iść — dokończył Feniczka.

— Tylko wracaj prędko! — wołały karliczki.

Grubas uchylił zasłonę i niepewne, migotliwe światło zalało opustoszałą halę.

— Idź — powiedział — i powiedz im, że kryptonim operacji jest strasznie banalny.

— Dziękuję — odpowiedział młodzieniec. — Wrócę za trzy dni.

I skoczył w światło, które ogarnęło go swoim ciepłem.

Rozdział dwunasty

Doktor Freud

Doktor Freud powiedział Goglidzemu, że jest zmęczony i musi wyjść odetchnąć świeżym powietrzem. Był to dziwny pomysł, skoro powietrze wszędzie było takie samo, ale Leonid chyba najlepiej wie, czy potrzebny mu spacer. To samo powiedział strażnikowi u drzwi.

Kiedy tylko doktor znikł za zakrętem schodów, wartownik pociągnął za jedwabny sznur, który połączony był z komendanturą na górze. Siedział tam sierżant i oglądał książkę z obrazkami. Napisał ją pisarz z dawnych czasów, Tołstoj, a opowiadała o drewnianym pajacyku Buratino. Obrazki były bardzo ciekawe. Usłyszawszy podwójny dzwonek sierżant odłożył książkę i poszedł do gabinetu towarzysza Berii.

Minister zasiadał za wielkim biurkiem i zapisywał coś czerwonym ołówkiem na kartce papieru.

— Poszedł? — zapytał, nie podnosząc głowy.

— Dopiero co, jeszcze nie opuścił budynku.

— Śledzić go dyskretnie. Sygnalista na dach!

Sierżant pobiegł piętro wyżej. Siedział tam wielce znudzony sygnalista nad rozłożonym do połowy pasjansem.

— Znowu mi nie wyszedł — poskarżył się sierżantowi.

— Idź na dach — rozkazał oficer — i daj sygnał rikszarzowi.

— A gdzie jest teraz?

— Na placu.

Sygnalista popatrzył na karty.

— Chwileczkę — stwierdził — może jednak coś z tego wyjdzie.

— Tysiąc razy jeszcze ci wyjdzie! — rozłościł się oficer i roztrącił nogą karty, kończąc tym samym pasjans.

— No co ty! — obraził się sygnalista. — Prawie kończyłem!

— Idziesz, czy nie?! — wrzasnął oficer.

— Nigdzie nie pójdę — odparł tamten zbierając karty. — Sam idź i machaj durnymi chorągiewkami.

Ludzie w Czyścucu są w zasadzie trochę bardziej powolni i obojętni od swych pobratymców ze świata na powierzchni, lecz kompensują to sobie co pewien czas wybuchami wściekłości. Tak właśnie stało się z sierżantem. Rzucił się w szalonym gniewie na sygnalistę, tamten zaś, porzuciwszy karty, zaczął cofać się pod ścianę, opędzając się od przełożonego jak od natrętnej osy. Sierżant starał się dosięgnąć długimi palcami oczu opornego podwładnego, który się naprawdę przestraszył, co zwiększyło tylko jego determinację. Zamiast przyjąć swój los z pokorą, rzucił się na oficera i uderzył go. Nieoczekiwany kontratak zatrzymał sierżanta.

— No coś ty... — zamamrotał — jak śmiesz...

Powiedział to jednak z satysfakcją, ponieważ miał teraz powód, żeby zabić sygnalistę. Przekonany, jak większość czeki — stów, o swojej przewadze nad podwładnymi niższego szczebla i o własnej nietykalności, nie dostrzegał tego, że żołnierz jest od niego młodszy i silniejszy. Przypominał dzika próbującego powalić niedźwiedzia.

Nawet otrzymawszy kilka ciosów w pierś i na wysokość pasa, wciąż nie pojmował, że najlepiej byłoby dla niego we zwać odsiecz lub pobiec po jakąś broń. Wciąż atakował sygnalistę, uchylając się przed jego uderzeniami. Żołnierz zrozumiał już, że ma przewagę nad oficerem i przelał na niego cały swój gniew. Nie pamiętał, że ma przed sobą przełożonego, zapomniał o wszechwładzy Ławrientija Pawłowicza, pamiętał tylko o tym, że go urażono, uderzono i przerwano układanie pasjansa.

Przechodząc do ataku, zagnał sierżanta do kąta, gdzie ten nie był w stanie się bronić, nie mógł się jednak poddać, myśląc gorączkowo: zaraz wszystko się zmieni... jeszcze ci pokażę! W tym momencie silne uderzenie zważyło go z nóg. A ponieważ w tej walce nie było żadnych reguł, sygnalista zaczął kopać leżącego.

— Co robisz... — jęknął bity zupełnie innym tonem.

Dotarło do niego wreszcie, że sygnalista zamierza go zabić i należy go przed tym powstrzymać. Nie myślał już jednak zbyt trzeźwo, gdyż każde kolejne uderzenie wywoływało coraz większy zamęt w osłabionym mózgu.

— Wystarczy — poprosił — wystarczy...

— Jak starczy, to starczy — niespodziewanie zgodził się żołnierz. — Więc idź na dach i sygnalizuj. Tam masz chorągiewki.

Wskazał na drugi kąt, zostawił sierżanta w spokoju i wrócił na swoje miejsce, żeby znowu rozłożyć karty. Oficer z trudem dźwignął się na nogi. Odczuwał ból w całym ciele, tym większy, że nikt go jeszcze dotąd nie pobił. W pierwszej chwili rzeczywiście nieomal spełnił polecenie sygnalisty, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że nie da rady wejść piętro wyżej. Machnął ręką i poszedł na dół, trzymając się ściany i krzywiąc z bólu. Z każdym krokiem w dół narastała w nim chęć zemsty. Oczywiście powinien był pójść do komendantury, zabrać stamtąd broń i wezwać kogoś na pomoc, w oszołomieniu jednak skierował swoje kroki do gabinetu Berii. Wartownik spojrzał ze zdumieniem na okrwawionego oficera, który wdarł się do pokoju bez pukania.

Konsul stał przy oknie i obserwował, jak doktor Freud kroczy dziarsko między uschłymi drzewkami, pewny, że nikt go nie widzi. Wyobrażał sobie, jak na dany z dachu sygnał wyjeżdża doktorowi riksza na spotkanie, jak ruszają za nim cykliści... I nagle zobaczył potłuczonego kretyna.

— Sygnalista... — zamamrotał, z trudem poruszając napuchłymi, zsiniałymi wargami — sygnalista mnie... pobił.

— Co?!

Beria zaraz spał się cały, co mu się zdarzało w najbardziej niebezpiecznych momentach, jak u wilka, słyszającego odgłosy nagonki.

— Ten bydlak, sygnalista...

— Daliście sygnał?

— Powiedział, że nie chce.

— Czemu?

— Powiedziałem mu, żeby się ruszył, a on, że tego nie robi i zaczął mnie bić.

Westchnął żałośnie i zaczął rozmazywać na szczęce krew ciekącą z nosa. Beria w pierwszej chwili pomyślał, że sierżant kłamie. Nie mógł sobie wyobrazić flegmatycznego sygnalisty, rzucającego się na przełożonego. To zresztą nie miało teraz znaczenia. Odepchnął sierżanta i wybiegł na korytarz.

— Za mną! — krzyknął.

Wartownik ruszył za nim. Wpadli do pomieszczenia piętro wyżej, lecz sygnalisty już tam nie było. Żołnierz obawiał się, że pobity oficer przyprowadzi za chwilę mścicieli, schował się więc na strychu.

Widząc leżące w kącie chorągiewki, Beria podniósł je i pobiegł na górę do okna strychu wychodzącego na prawą stronę budynku. Za pniami martwych drzew dostrzegł niewyraźną sylwetkę rikszarza. Zaczął dawać znaki.

Od dawna nie był tak rozwścieczony. Miał ochotę tarzać się po ziemi i wyc bezsilnie, jak wariat w izolatce. Czy po to wyrwał się w swoim czasie z dalekiej prowincji i walczył bezwzględnie władzę, żeby teraz przewodzić bandzie tępaków i niedołęgów, którym nie można zaufać w najprostszej sprawie? Nie ma też żadnej gwarancji, że wysłani na powierzchnię agenci zdołają wypełnić zadanie ani pewności, czy zdoła odeprzeć kolejny szturm konsulów.

Riksarz patrzył wszędzie, tylko nie na dach Smolnego — z którego powinien był spodziewać się sygnału. Beria nie wytrzymał i zakrzyknął przenikliwym, kobiecym niemal głosem, który według jego mniemania powinien roznieść się od góry Elbrus aż do Tbilisi. Nic dziwnego, że posłyszawszy go w całkowitej ciszy, riksarz odwrócił się i ujrzał postać człowieka machającego chorągiewką. Pomachał ręką w odpowiedzi, uruchomił pojazd i podjechał do bramy Smolnego. Spóźnił się jednak. Doktor tymczasem wyszedł dziurą w płocie i pospieszył przez plac w stronę Prospektu Newskiego. Riksarz zatrzymał się przed bramą i nie widząc nikogo, doszedł do wniosku, że jego ofiarność poszła na marne. Zeskoczył więc z siodełka i zaczął krążyć wokół kolaski jak stroskany woźnica.

Beria widział tę idiotyczną sytuację i pomyślał, że sygnalizacja nic już nie pomoże. Zbiegł na dół do wyjścia, gdzie czekali na rozkaz cykliści. Na szczęście trwali w pełnej gotowości.

— Obiekt — poinformował po raz kolejny Beria — przemieszcza się pieszo lub rikszą w stronę Placu Siennego i kanału Gribojedowa. Obserwujcie go z bezpiecznej odległości, nie zwracając na siebie uwagi. Kiedy zdołacie ustalić dom, do którego obiekt zamierza wejść, by się tam spotkać z wrogim dywersantem, wkroczcie do akcji. Zatrzymajcie doktora razem ze współnikiem i przywieźcie tutaj. Wszystko jasne?

— Tak jest, towarzyszu Beria — odpowiedzieli nieskładnym chórem rowerzyści i ruszyli do wyjścia, prowadząc ze sobą rowery.

Ich hełmy połyskiwały matowo, a długie płaszcze mieniły się srebrnymi refleksami. Dobre chłopaki, pomyślał konsul i zrobiło mu się lżej na sercu. Jeszcze nie wszystko stracone, leszcze będzie... W tym momencie zadźwięczała mu w uszach dawno zapomniana aria: „I będziesz władczynią świa-a-ata, moja ty gołąbeczko!”

— Właśnie tak — stwierdził na głos i poszedł do swego gabinetu.

Pozostawało mu już tylko zadbać o obronę Smolnego czekać na dalszy rozwój wypadków: kiedy złapią tę przekłętą dziewczuchę i będzie mógł wydobyć całą prawdę z doktora, kiedy nadejdą wieści ze świata na powierzchni, który za trzy dni powinien przestać istnieć. Koniec z wami: towarzysze Moskalkenka, Żuków, Chruszczow, a nawet dwa stare sprzedawczyki, Kaganowicz i Mołotow. Znajdziecie się na śmietniku historii, jeśli już się nie znaleźliście, jak donosili nowi ludzie, którzy

przybyli tutaj niedawno. No nic, nowi wodzowie, ich naśladowcy także dostaną za swoje.

Usiadł za wielkim biurkiem, które nazywał przed pospólstwem leninowskim. Sam wymyślił związaną z nim legendę. Wszyscy w nią uwierzyli. Zresztą dlaczego nie mieli uwierzyć, skoro było im wszystko jedno. Naśladując Wodza, wziął do ręki dobrze zaostrzony czerwony ołówek, zastygł z nim nad czystą kartką papieru i czekał.

* * *

Doktor szedł jakimś zaułkiem, kierując się z grubsza w odpowiednią stronę. Podchodząc do Dworca Moskiewskiego, usłyszał z oddali znajome skrzywienie kół. Czyżby riksza? W pierwszej chwili się ucieszył, chciał zaczekać i wsiąść w pojazd, lecz tego nie uczynił. Chociaż nie był człowiekiem podejrzliwym, wystraszył się jednak. Już raz ten osobnik go dogonił i woził nad kanał Gribojedowa. Czumaziła nie ufała rikszarzowi, bo rzeczywiście, jak to możliwe, że bez przerwy natykają się na jedyne w tak wielkim mieście rikszarza? Dziwny zbieg okoliczności. Beria podejrzewa doktora i chętnie by go zabił, ale nie może tego uczynić, dopóki ten posiada potrzebną mu wiedzę. To oczywiste, że rikszarz tylko czekał na moment, aż lekarz opuści pałac, a teraz jedzie za nim. Jeśli posłał go Beria, oznacza to, że wie o wszystkim. Najrozsądniej byłoby w tej sytuacji wrócić do Smolnego i przyczaić się na jakiś czas. Nie może jednak tak postąpić. Lusia nie wie o niczym i na pewno bardzo przeżyje zniknięcie chłopaka. Jeśli jej nie uprzedzi, ma spore szanse wpaść w łapy Berii.

Doktor ukrył się w ciemnej bramie i zaczął się zastanawiać. Rikszarz wie bez wątpienia, że dziewczyna ukrywa się gdzieś w okolicy kanału Gribojedowa. Dowiedział się o tym podczas przejażdżki z doktorem. Nie wie tylko jeszcze, w którym domu należy jej szukać...

Rikszarz pojawił się u wylotu ulicy. Spieszył się, wyraźnie zafrasowany, lekko uniósł się nad siodełkiem i pochylił, naciskając z całej mocy pedały.

Doktor opuścił kryjówkę i zaczął machać rękami, całkiem jak harcerz, który pragnie zatrzymać pociąg, odkrył bowiem dywersję na torach. Rikszarza ucieszył ten widok. Dziarsko zrównał się z lekarzem i zagadał:

— A już się bałem, że pana nie znajdę.

— A dlaczego mnie pan szukał? — Doktor nie mógł sobie odmówić przyjemności, żeby nie wprawić rikszarza w zakłopotanie.

— No bo... bo widziałem cię z daleka, jak wychodziłeś ze Smolnego. I pomyślałem: pewnie doktorowi trzeba znowu nad kanał Gribojedowa. Trzeba mu pomóc. Człowiek już niemłody, łatwo się męczy i jeszcze sam wlezie pod nóż jakiegoś bandziora. Dobrze myślę?

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny! — zawołał lekarz najbardziej naiwnym tonem, na jaki było go stać. — Obawiałem się, czy starczy mi sił, aby tam dotrzeć. Teraz jestem zupełnie spokojny.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, na ile pozwalało oparcie. Czuł na potylicy ciężki oddech rikszarza, którego umęczyła pogoń za pasażerem.

— Jest pan sam? — spytał doktor.

— W jakim sensie?

— Nie wezwał pan przypadkiem swoich towarzyszy, żeby nie było nam nudno w drodze?

— Co też pan — odparł kolarz. — Na co mi towarzysze? Moim zajęciem jest codzienny transport ludności.

Lekarz nie wierzył mu, lecz uważał, że postąpił słusznie. Lepiej, żeby tamten niczego nie podejrzewał. Jazda riksą pozwoli mu zaoszczędzić siły. — Chciał pan coś jeszcze powiedzieć? — zapytał rikszarz.

— Tak, chętnie z panem porozmawiam — potwierdził doktor.

— Rozmowa jest naszą główną przyjemnością — stwierdził kolarz z zadowoleniem.

Doktor był także rad, że oszukał sługusa Berii. Niech go zawiezie nad kanał Gribojedowa. Na miejscu postara się jakoś mu wymknąć.

Był chyba rzeczywiście zmęczony, ponieważ po drodze się zdrzemnął. Słyszał przez sen głos rikszarza, zadającego mu niekończące się pytania, na które nie otrzymywał odpowiedzi. Przestał więc w końcu wypytywać.

Sen jest w Czyścucu pojęciem względnym, ponieważ mózg go tutaj nie potrzebuje. Tak więc w okolicach targowiska Gostynij Dwor, kiedy riksha podskoczyła na szynach tramwajowych, całkiem się rozbudził. I zobaczył to, czego nie powinien był ujrzeć. Rikszarz, próbując zachować równowagę jazdy, obrócił lekko pojazd, a wtedy lekarz dostrzegł na Placu Siennym po tej samej stronie Prospektu Newskiego, akurat pod krzywym szyldem restauracji „Baku”, pięciu albo sześciu cyklistów bojowych w hełmach i srebrzystych płaszczach. Jechali chodnikiem, pod ścianami domów, utrzymując stałą odległość od rikszy.

Leonid był już absolutnie pewien, że śledzą go wytrwali myśliwi, a raczej nie jego samego, ponieważ wciąż był pod obserwacją, lecz tropią tych, z którymi ma się spotkać, Lusię i generała. Trudniej będzie się im wymknąć niż jednemu rikszarzowi.

Wszystko to wyglądało, jak sytuacja w jakiejś klinice. Pacjent spogląda z nadzieją na lekarza, wydającego diagnozę po analizie wyników badań i pyta nieśmiało: „I co ze mną. A doktor odpowiada: „Kiepsko. Ma pan raka”.

Freud zastygł w osłupieniu, rikszarz tymczasem gadał sam do siebie:

— Jednostka sama niczego nie zdołała, nie bez powodu pisało o tym tylu mądrych ludzi. Co pan sądzi o działaniu w organizacji? Słusznie, ja także się powstrzymuję, gdyż bezpośrednio uczestnictwo w grupie jest udziałem słabych, chociaż z drugiej strony nikomu nie życzę być wilkiem samotnikiem... Pan zresztą wie to i beze mnie, przecież jedzie teraz do swego szefa. Mam rację?

Trzeba było zwać temu facetowi. Tylko jak tego dokonać? W dodatku ciągle słuchając jego nieprzerwanych treli nad uchem...

Wyjechali na bulwar. Riksha zaczęła się trząść, ponieważ tutejsza jezdnia pozostawiała wiele do życzenia. Gdzieś w tym miejscu rikszarz poprzednim razem zatrzymał pojazd. Zapewne zrobi teraz tak samo. Doktor dobrze wyczuł ten moment.

— Zaraz połamię resory — stwierdził rikszarz.

I zaczął hamować pojazd. Doktor rozejrzał się na boki. Po prawej stronie balustrada, a poniżej wody kanału. Po lewej stare, dwupiętrowe budynki, przy czym w jednym z nich mieścił się kiedyś sklep. Być może jest tam przechodnie podwórko. Nie ma się co nad tym zastanawiać, gdyż musi działać szybko i z zaskoczenia.

Leonid chyba nigdy w życiu jeszcze tak szybko nie biegał. Pędził jak tchórzliwy żołnierz pod ostrzałem. Za sobą usłyszał głośny krzyk rikszarza, który najwyraźniej nie wiedział jeszcze, co robić.

Doktor przebiegł długie, wąskie podwórko i dopadł do bramy, wiodącej do następnego. Wyczuł, że riksza podąża za nim. Następne podwórko okazało się ślepyim zaułkiem i nie było wyjścia na Plac Sienny. Zobaczył z prawej strony rozwalone, wiszące na jednym zawiasie drzwi z zardzewiałą wywieszką: „Zegarmistrz”. Wpadł do pogrążonego w półmroku pomieszczenia i ujrzał siedzącego za stolikiem człowieka w białym fartuchu, który naprawiał zegarek.

— Przepraszam — powiedział doktor — jest tutaj tylne wyjście?

Niezręcznie potrącił nogę stoliczka, a wówczas siedzący za nim człowiek upadł twarzą na blat, wypuszczając z ręki pincetę, natomiast zegarek potoczył się i spadł z brzękiem na betonową podłogę. Zegarmistrz od dawna był trupem.

Widząc drzwi za jego plecami, doktor rzucił się ku nim, Powracając po drodze krzesło. Przebiegł ciemnym korytarzem i znalazł się w niewielkim pokoju z jednym oknem. Na parapecie stały doniczki z papierowymi kwiatami. Na kanapie, okrywając nogi narzutą z obrazkiem skaczącego tygrysa, pólleżała ruda kobieta o bladej, piegowatej twarzy.

— Witam pana — przywitała doktora.

Zamierzał się tutaj ukryć, lecz owa kobieta mogła go przecież wydać. Słyszał rikszarza, wbiegającego właśnie do pracowni zegarmistrzowskiej. W oknie nie było szyb. Lekarz przeskoczył parapet, powodując, że sztuczne kwiaty poleciały wraz z nim. Znalazł się na Siennej. Pozornie sensownie wydawało się przebiec ulicę i szukać ocalenia w kusząco otwartych wrotach sklepu wydawnictwa „Sudostrojenie”. Doktor postanowił jednak nie dać się sprowokować i pobiegł przed siebie ulicą: pierwsze, drugie, trzecie okno... Brama. Wszedł głębiej w ciemność, zauważając kątem oka zachowane w całości szklane szybki w żelaznej oprawie. Stanął pod ścianą w taki sposób, żeby móc obserwować ulicę. Miał nadzieję, że jest całkiem niewidoczny. Ujrzał biegnącego rikszarza, który prawie bez wahania wpadł do otwartej księgarni. Teraz zapewne będzie szukał doktora między regałami albo w składziku. Doktor podreptał z powrotem ku oknu, pod którym walały się jaskrawe atrapy kwiatów i wszedł z powrotem do środka.

— Ach, to znowu pan? — zdziwiła się kobieta na kanapie. — Nie widział pan czasem Arkadiusza?

— Siedzi tam — powiedział doktor.

— Niech pan mu powie, że zepsuł się telewizor — poprosiła.

Przechodząc obok martwego zegarmistrza, lekarz przekazał mu tę informację, lecz naturalnie nie doczekał się odpowiedzi.

Riksza czekała na bulwarze. Doktor początkowo zamarzał nią pojechać, stwierdził jednak, że będzie to dla niego zbyt trudne. A może by tak zepchnąć pojazd do wody? Nie, tego nie uczyni. W końcu riksza zastępowała kolarzowi żonę, kochankę i tylko ona nadawała sens jego życiu, bez względu na to, jakim by nie był człowiekiem. Poszedł szybko brzegiem, lecz zatrzymał się, kiedy do Wielkiej Podiaczewskiej pozostało zaledwie parę kroków. W pobliżu mostu nad kanałem stali cykliści. Być może stracili go z oczu, lecz czekali na niego i wiedzieli, gdzie zrobić zasadzkę.

Doktor przyłgął plecami do ściany najbliższego domu. Nie widzieli teraz siebie wzajemnie, obawiał się jednak, że za chwilę z tyłu nadjedzie riksza. Skoro zwierzyzna widzi myśliwego, zyskuje tym samym przewagę. Może zaatakować pierwsza albo skryć się w zaroślach. Lekarz wybrał drugie wyjście.

Poszedł na Podiaczewską okrężną drogą przez ulicę Rymskiego–Korsakowa. Jakiś czas zajęło mu wyszukiwanie kolejnych przechodnich podwórek. Na prostej i przestronnej Podiaczewskiej była

doskonała widoczność i ustawieni u wylotu cykliści mogli go łatwo zobaczyć. Miał jednak znowu szczęście. Ciąg przechodnich podwórek umożliwił mu dotarcie do odpowiedniej kamienicy. Wszedł po ciemnych schodach i odnalazł właściwe mieszkanie. Czarne drzwi były na szczęście otwarte, nie trzeba było pukać. Właściwie nie było w tym niczego dobrego, skoro uprzedzali wszystkich, żeby dobrze zamykali drzwi.

Lekarz dyszał ciężko i lekko dygotał. Była to nerwowa reakcja na niedawną ucieczkę przed pościgiem. Ostrożnie uchylił drzwi i znalazł się we wspólnej kuchni, dosyć przestronnej, z czterema kuchenkami i czterema stołami. Od razu się domyślił, który stół wybrała Lusia, widząc leżące na nim umyte naczynia. Co za czyścioszka, pomyślał z uznaniem, chciało jej się zejść do kanału, zaczerpnąć świeżej wody. Ruszył korytarzem w głąb mieszkania. — Lusiu! — zawołał głośno.

Nikt nie odpowiedział. Lekarz odniósł wrażenie, że mieszkanie jest puste. Freud upewnił się, zaglądając kolejno do sześciu pokojów. Trzeci był zamieszkały przez Igora i Lusię. Na biurku leżały papiery, czasopisma, nawet stare gazety, na taplanie natomiast wałała się gruba, otwarta książka. Doktor Podszedł do półotwartych drzwi. Lusiu gdzieś wyszła. Może znowu po wodę, a może do generała albo sprzykrzyło się jej siedzieć samej i odwiedziła Czumaziłkę.

Freud doszedł do wniosku, że trzeba zostawić wiadomość. Usiadł przy biurku, wziął czystą kartkę i zatemperowany ołówek. Jak wszystko napisać, żeby tylko dziewczyna zrozumiała treść? Zdążył jednak tylko zacząć: „Droga Lusiu!”, kiedy usłyszał głosy z dołu. Skoczył do okna. Zobaczył z okna trzeciego piętra zmieszana Lusię, która zatrzymała się parędziesiąt metrów od domu na środku jezdni. Od strony kanału biegli ku niej rowerzyści.

— Stój! — wołali jeden przez drugiego.

Dziewczyna rzuciła się w drugą stronę, prosto na nadjeżdżającą riksę. Doktor pożałował w tym momencie, że nie zepchnął pojazdu do rzeki.

— Do bramy, Lusiu, do bramy! — zawołał.

Lusia uniosła głowę i zobaczyła Leonida.

— Co? — krzyknęła. — Co pan mówi?

W tej chwili chwycił ją jeden z cyklistów. Dziewczyna zaczęła się wyrywać, dając tym samym powód, by ją brutalnie uderzył.

— Zostawcie ją! — wołał doktor. — Jak możecie!

— A, tutaj jesteście! — ucieszył się rikszarz i skoczył do bramy.

Doktor nie miał zamiaru na niego czekać, lecz zbiegł na dół po schodach. Na drugim piętrze spotkał rikszarza, który chwycił go silnie za ramiona.

— Przecież nie uciekam! — krzyczał doktor.

Rikszarz wykręcił mu ręce do tyłu i wyprowadził na ulicę.

— I po co pan to zrobił? — szepnęła Lusiu, kiedy ich prowadzili w stronę kanału.

— Co takiego? — nie rozumiał doktor.

— Po co pan krzyczał. Nie zauważyliby pana. Później uwolnilibyście mnie razem z Igorem.

Cykliści, rozradowani i chichoczący, jak chłopcy, którzy właśnie wygrali zawody z bandą z sąsiedniego podwórka, związali im obojgu ręce i zaczęli ciągnąć więźniów bulwarem. Związane ręce bolały, sznury naprężyły się, a węzły wbijały się w przeguby dłoni.

Doktor cicho wytłumaczył dziewczynie, że Igor przeniósł się do prawdziwego świata. Strasznie ją tą wieścią wystraszył. Nie chciała dopuścić do siebie myśli o zagrożeniu dla Ziemi ze strony chemicznych odpadów, ważniejsze było dla niej, że jej jedyny skarb, dla którego warto żyć, jej

ukochany Igorek odszedł i zostawił ją. Żałowała go i bała się o niego, a zarazem gotowa była go obwiniać i przeklinać, ponieważ myślał tylko o sobie: jak mógł ją porzucić w tym piekle? Ona poszłaby za nim, dokądkolwiek by zechciał, choćby i na kraj świata. Potem przyszła jej do głowy nowa myśl.

— Zostało jeszcze trochę tej szczepionki, Leonidzie Moisiejewiczu?

— Nawet, gdyby trochę zostało...

— Musi mi ją pan także wstrzyknąć.

— Po co? Nie lepiej poczekać na jego powrót?

— A kto się nim będzie opiekował? On już wszystko zapomniał o życiu na powierzchni, byle bandyta może go tam załatwić. Za słaby jest...

— A ty?

— Jestem jak wykuta z żelaza.

— No dobrze — zgodził się doktor, żeby pocieszyć dziewczynę. — Wstrzyknę ci szczepionkę.

— Czemu się pan zgodził? — spytała podejrzliwie. — Nie oszuka mnie pan?

— Aleś ty głupiutka. Kto nas teraz dopuści do szczepionki? Myślisz może, że prowadzą nas na wykwintny obiad albo na zabawę?

— Niech pan przestanie żartować! — odpowiedziała poważnie. — Uciekniemy i odnajdziemy Igora.

— Dobrze — przytaknął lekarz. — Zrobimy, co tylko zechcesz.

Zmęczył go już bieg za rowerami i gotów był błagać o zmiłowanie. Na szczęście cyklistów także zmęczyło pedałowanie. Pojechali teraz wolniej, tak więc jeńcy już się tak nie męczyli, pomijając fakt, że sznury tak mocno zacisnęły się na dłoniach, że zdrętwiały im ręce. Lekarz znał Bierię wystarczająco dobrze, żeby z łatwością przewidzieć, że oboje zostaną zamknięci w kazamatach i osobiście przezeń przesłuchiwani.

— Trzymaj się, Lusi — szepnął dziewczynie na pożegnanie, kiedy ich podprowadzili na podjazd Smolnego.

Rikszarz pozostał przy bramie i czekał na dalsze rozkazy.

Rozdział trzynasty

Igor Czechonin

Igor niezbyt dobrze znał współczesny Petersburg.

Był w nim raz z ojcem podczas wakacji, kiedy zdał do dziewiątej klasy. Ojciec uważał się za znakomitego przewodnika i każdego ranka wyciągał notatnik, w którym miał zanotowane adresy wszystkich muzeów i galerii, a także najważniejsze zabytki architektoniczne. Chłopak miał dosyć po tygodniu i niewiele z tego zapamiętał.

Uważał, że ma przewagę nad agentami Berii, chociaż przenieśli się znacznie wcześniej od niego. Może myślał tak dlatego, że Majoranski przypominał filmowego mienszewika, Liadow zaś Suworowa i obaj byli ubrani staromodnie. Zazwyczaj ludzie w Czystańcu nosili takie ubrania, do jakich przywykli w poprzednim życiu. Takie myśli snuły mu się po głowie, zanim przemieścił się do starego świata. Samo przejście trwało krótko, w jednej chwili znalazł się w prawdziwym świecie.

Nie spodziewał się jeszcze w nim znaleźć. Wszystko rozegrało się tak szybko, że nie zdążył nawet pomyśleć o Lusi. Kaedy ocknął się na betonowej posadzce pustej, pokrytej kurzem hali, zrozumiał, że źle postąpił. Nie powinien był jednak wracać do domu bez dziewczyny. To był rodzaj zdrady. Dopóki owe niejasne myśli krążyły w jego świadomości, rozglądał się wokół.

Wszystko wyglądało inaczej. Przede wszystkim było tu świeże powietrze, wypełnione dźwiękami i zapachami. Oczywiście, jeśli stale się żyje w normalnym świecie, na co dzień się tego nie odczuwa. To było jednak najważniejsze wrażenie, jaki ma człowiek przybyły „stamtąd”.

Patrzył wokół uważnie. Hala była niemal całkowicie pusta, oprócz stosów skrzynek, stojących w jej oddalonym końcu. Może było późno i wszyscy już wyszli, a może fabryka została zamknięta. Wszędzie pełno kurzu i miliony drobinek tańczyły w promieniach słońca, wpadających przez wysoko umieszczone okienko. Mój Boże, tutaj jest słońce! Co za radość!

Igor zrobił kilka kroków w stronę słonecznej plamy na podłodze, lecz nagle się zatrzymał, dostrzegając w pyle ślady butów. Zapewne zostawili je agenci, którzy wiedzieli, dokąd mają iść. Poszli jednak nie na wprost ku ścianie szczytowej hali, jak zamierzał chłopak, lecz w prawo ku małym drzwiczkom. Ruszył szybko po śladach, lecz u samych drzwi był zmuszony stanąć, dostał bowiem zadyszki. Powietrze było bardzo gęste, jego płuca z trudem je przyjmowały. Musi pamiętać o tym, że jest umarlakiem, wypuszczonym do świata żywych tylko na trzy dni.

Wyszedł przez półotwarte drzwi na dziedziniec fabryczny. Zmierzchało, lecz nie było jeszcze bardzo późno. Raczej ciepło niż chłodno, lecz ulatujący niespiesznie wietrzyk dawał uczucie przyjemnego chłodu. Nagle otoczyło go mnóstwo dźwięków. Dzwonek przejeżdżającego za wysokim płotem tramwaju, krakanie wron, szczenie psów, odgłosy wydobywające się z telewizora, w którym nadawano właśnie transmisję sportową, wreszcie odległy uliczny gwar.

Znalazł się przed portiernią. Rozejrzył się znowu. Za nim znajdowała się odrapana fasada

fabryki, lecz po prawej i lewej stronie widział lepiej utrzymane budynki. Widocznie były duże zakłady. Wszedł do stróżówki. Siedząca przy obrotowej bramce babunia ogarnęła go orlim wzrokiem zza grubych szkieł okularów i zapytała:

— Niczego nie wynosisz?

— Jakżebym mógł? — odparł Igor ze szczerym oburzeniem, które musiało przekonać strażniczkę. Już za bramką zatrzymał się, jakby dopiero teraz przypomniał sobie jakąś drobnostkę.

— Przepraszam, było tu wcześniej dwóch naszych — powiedział. — Jeden chudy, drugi z leninowską bródką. Dawno temu przechodzili?

— Aaa, tamci? Dziesięć minut temu. Ale o tobie nic nie mówili.

— I nie musieli — stwierdził. — Dokąd poszli?

— A skąd mam wiedzieć? Pewnie na tramwaj. Bo dokąd stąd można iść? Tylko nasz właściciel jeździ jeepem.

Wszedł na placyk przed portiernią. W obie strony ciągnął się wysoki, odpychający, betonowy mur. Chłopak zobaczył linię tramwajową. Poszedł do niej i zobaczył tabliczkę wiszącą na przewodach, oznaczającą przystanek. Stała tam jakaś kobieta. Igor postanowił nie tracić czasu.

— W którą stronę na Dworzec Moskiewski? — zapytał.

— W tamtą — odpowiedziała, wskazując ręką. Przeszedł przez ulicę i stanął w pobliżu. Spojrzała na niego bystro i przenikliwie.

— Szukasz roboty? — spytała.

— Nie — zaprzeczył.

Nie chciał zaczynać rozmowy, bojąc się z czymś wygadać i zdemaskować, że jest tu obcy. Na szczęście zawsze nosił przy sobie dowód z moskiewskim zameldowaniem.

— Kiepsko wyglądasz — stwierdziła.

Teraz on przyjrzał się jej uważnie. Ubrana była wcale nie lepiej od niego. W ręce trzymała torbę z pustymi butelkami, twarz miała młodą, lecz czerwoną, jak od mrozu. Cuchnęła przepoconym ubraniem i alkoholem.

— Daleko na dworzec? — spytał.

— Daj dychę, to ci powiem.

— Nie mam forsy.

— Tak myślałam. Do pytania każdy pierwszy, ale pomoc człowiekowi nie ma kto. Masz może coś na sprzedaż?

Nadjechał tramwaj, napełniony do połowy. Kobieta wsiadła przed Igorem i stanęła w pobliżu. Miał zamiar spytać, którego dzisiaj, lecz powstrzymał się. I bez tego wydawała się ciekawska i gadatliwa. Zamiast tego zapytał:

— Długo trzeba jechać?

— Zaraz będziemy. Może sprzedasz zegarek?

Dopiero teraz chłopak uświadomił sobie w całej pełni, że znalazł się tutaj kompletnie bez pieniędzy! Zwykle, kiedy uświadamiasz sobie coś takiego, zaczynają się prawdziwe kłopoty. Tramwaj stanął na rogu sporej ulicy. Wsiadli dwaj młodzi faceci, przy czym jeden z nich miał blaszkę w klapie.

— Proszę bilety do kontroli — powiedział.

Drugi prędko przeszedł na drugi koniec wagonu, żeby uniemożliwić ucieczkę jadącym na gapę.

— No to mamy pecha — stwierdziła niewiasta. — Trzymaj się mnie, a nie zginiesz.

— Bilet proszę — powtarzał przybliżający się kontroler. Drugi podszedł od razu do nich.

— Wasze bilety — zażądał, nawet na nich nie patrząc.

— Może lepiej kupicie ode mnie butelki? — zaproponowała kobieta. — Dobre butelki, krajowe.

Daleko mam do skupu.

— Daj spokój, Wierka — odparł kontroler.

— Chłopak jest ze mną — oznajmiła. — To mój ukochany.

— A gdzie się podział Emilian?

— Poszedł w odstawkę — wyjaśniła, głośno się śmiejąc.

— Zaraził się tryprem? — zasugerował tamten, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Kontrolerzy wysiedli na następnym przystanku.

— Dobre chłopaki — stwierdziła pijaczka — tyle że chamy — Nie wierz w tego trypra. Emila koleście pokaleczyli. I to za głupotę: jeden kubeł pomyj za dużo. Rozumiesz?

Igor stwierdził, że jego rozmówczyni jest jeszcze całkiem młoda. Skóra na twarzy wciąż była gładka, ząbki całe, usta wydatne, białka oczu nie były jeszcze przekrwione i zerknęły całkiem normalnie błękitnymi tęczęwkami. Jeszcze nie stała się ludzkim wrakiem.

— Co się tak wgapiasz? — zapytała i znów się zaśmiała. — Widzisz, nawet nie myślałam, że się poznamy, więc nie pytałam o twoje dane biograficzne. Jak się nazywasz i gdzie biedujesz?

— Igor.

— Co za imię! A dalej?

— Igor Czechonin.

— Masz dowód? — Mam.

— Gdzie będziesz nocować?

— Muszę pojechać pociągiem do Bołogoje.

— I co tam będziesz robił, naiwniaku? Mało jeszcze dostałeś od życia po głowie? Zostań w Pitrze. Zamieszkamy razem, będzie lżej. Na całej Narwskiej mnie znają. Jestem Wierka Snajper. Zdrowa jestem, normalna baba, nie myśl sobie.

— Mam tam do załatwienia ważną sprawę — odparł.

— Złożyłam ci propozycję, a tyś mnie odtrącił — stwierdziła głośniejszym głosem niżby należało, jakby przemawiała przed publicznością.

Parę głów odwróciło się w ich stronę.

— Gardzisz mną?

— Nie — zaprzeczył. — Słowo daję, nawet mi to nie przyszło do głowy. Naprawdę mam do załatwienia tam ważną rzecz, jak Boga kocham. Zależy od tego życie wielu ludzi.

— Istny Cyceeron! — zawołała. — I ja mam takiemu wierzyć!

— Jak chcesz — odparł.

Powietrze za oknami zrobiło się niebieskoszare, żółte światła, których dawno nie widział, zapłonęły w oknach domów, zapaliły się latarnie. Ludzie jawili się jako czarne cienie w świetle jasnych witryn, odzyskiwali zaś właściwe rozmiary i wygląd na tle zwyczajnej ściany. Błyski światła odbijały się na dachach autobusów. Igorowi wydało się, że miasto bawi się, jak podczas karnawału w Rio de Janeiro. Z przodu ukazał się spory, okrągły plac z wysokim obeliskiem. Po prawej stronie widać już było stację Dworca Moskiewskiego.

— Dziękuję — powiedział do kobiety — tutaj wysiadam.

— Ja także — oznajmiła.

Wysiedli z tramwaju i udali się do wejścia na metro.

— Przepraszam, Wiero — zaczął Igor, zwracając się do swej jedynej znajomej w Petersburgu — nie masz przypadkiem karty telefonicznej?

— Mamy problem — odparła wesoło pijaczka. — Moim ulubionym zajęciem jest spędzić wieczór w budce telefonicznej, rozmawiając z Mary, przyjaciółką z Los Angeles!

— Przepraszam — rzekł Igor.

— Nie masz ani grosza?

— Śpieszyłem się i nie wziąłem.

— A miałeś co wziąć, złociutki?

— Mogłem wziąć, ile chciałem. Oni wzięli.

— Jacy oni? Masz jakichś wrogów?

— Tak jak wszyscy. — Tak jak i ja?

— Owszem.

— To znaczy, że chodzi o demokratów i prezydenta Clintona.

Znowu zaśmiała się tym swoim głośnym, wyzywającym rechotem.

— Więc potrzebujesz kartę?

— Muszę zadzwonić do Moskwy.

— Tylko nie wymawiaj przy mnie słów „organy porządkowe”. Wolę organy płciowe, ale jeśli masz coś wspólnego z tamtymi, możesz zginąć.

— Nie jestem z milicji — zaprzeczył.

— Myślisz, że oczu nie mam? Jasne, że nie jesteś z milicji, jesteś ofiarą porwania.

— Jak to?

— Porwali cię, żeby wyłudzić okup od twego papcia deputowanego. A twój ojczulek na to: a bierzcie sobie mego syna, bijcie go, nawet zabijcie, a kasy ode mnie nie dostaniecie. Więc jakiś czas trzymali cię w piwnicy, męczyli i straszili śmiercią, potem plunęli na to i puścili dokąd oczy poniosą.

— Bardzo ciekawe — orzekł chłopak i pomyślał, że przy całym nieprawdopodobieństwie owej historyjki, nie była wcale aż tak bardzo odległa od rzeczywistości.

— Muszę porozmawiać przez dwie minuty...

W tej chwili zamilkł. Zrozumiał, że nie potrzebuje karty telefonicznej. Jego mózg skojarzył nagle odpowiednio fakty: nie ma przecież numeru domowego telefonu Garika, a do Instytutu Ekspertyz będzie mógł zatelefonować dopiero jutro. Jutro zaś może znajdować się daleko od Petersburga i telefonu...

— Do diabła...

— Znowu coś nie tak? — spytała ze współczuciem.

— Potrzebuję bilet do Bołogoje.

— Przenocuj u mnie, a jutro dostaniesz bilet.

— A gdzie jest wejście na dworzec?

— Jest dużo wejść.

— A hala kasowa?

— Po tej stronie... ale po co ja w ogóle z tobą gadam! Idź się zająć swoimi sprawami, a mnie zostaw w spokoju.

Nie odeszła jednak.

— Chciałaś kupić mój zegarek — przypomniał chłopak. — To dobry zegarek, firmy Seiko.

— Na chodzie?

— Tam gdzie byłem, zegarki nie chodzą — przyznał Igor.

— Wszędzie chodzą zegarki — zaproponowała. — Może bateryjka wysiadła? Pokaż.

Zdjął zegarek. Nie wyrzucił go w tamtym świecie, ponieważ był to prezent od ojca za dobre świadectwo. Wierka obejrzała uważnie towar, głośno przeczytała: „Seiko”, pokręciła śrubką i ustawiła wskazówki.

— W porządku — oświadczyła. — Chodzi. — Coś takiego!

— Najpierw się przyjrzyj, zanim coś przekreślisz.

O Boże, myślał Igor, jak się jej pozbyć? Mam na głowie światową katastrofę... Dostał zegarek z powrotem. Sekundnik pracował małymi zrywami. Zegarek powrócił do normalnego świata, zaczął więc normalnie pracować. Tylko Igor nie zaczął wraz z nim normalnie funkcjonować. Nie mógł już tutaj żyć. Wierka go zdecydowanie przecenia. Nawet gdyby zdecydował się zapłacić jej za bilet i kartę telefoniczną nocą miłości, piękna pijaczka niewielki by miała pożytek ze swego dżygita.

— No i co? — zapytała. — Postanowiłeś oddać zegarek?

— Bierz go.

— Za ile? Tylko mów uczciwie, bo będę musiała wtrynić to jakiemuś klientowi. A zegarek nie nowy, chociaż jeszcze działa.

— Jak dla ciebie wystarczy — odparł z uśmiechem.

— Więc za ile?

— Bilet do Bołogoje i karta telefoniczna. I jeszcze może się przyda na autobus.

— Nie rób z gęby cholewy.

— Obiecuję zwrócić ci wszystko i oddać pieniądze. A zegarek zatrzymaj w prezencie. Pomyśl, Wierka, może tak będzie lepiej?

— Mam ci zaufać?

— A komu, jak nie mnie?

— Słusznie — powiedziała i przeczesła włosy ostrymi, długimi paznokciami.

Wokół całkiem się ściemniło. Jasno oświetlony placyk przed wejściem na dworzec wydawał się teraz rozjarzoną sceną. Widownia za nią tonęła w ciemnościach.

— Jaki chcesz wagon?

— Wszystko mi jedno. Lepszy byłby na pewno sypialny, ale to bez znaczenia.

— Może być zwykły?

— Może być.

— Jeszcze kartę i bilet autobusowy? A ile kosztuje autobus?

— Powiedzmy dziesięć dolarów za wszystko — powiedział.

— Zabieraj swój zegarek i spadaj — odpowiedziała twardo.

— No dobrze już, dobrze, wezmę, ile dasz — łagodził.

Wierka schowała zegarek do kieszeni płaszcza, potem sięgnęła za pazuchę i wydobyła plik dziesiątek. Odliczyła parę banknotów i wręczyła młodzieńcowi.

— Wystarczy ci w obie strony. Będę na ciebie czekać, rozumiesz?

— Dziękuję, Wiero.

— Weź moją wizytówkę.

Rzeczywiście wręczyła mu wizytówkę. Uznał, że niegrzecznie ją teraz czytać, więc zaraz schował

do kieszeni kurtki. Potem zapytał:

— Jest na niej adres?

— Ale pieprzysz! — odpowiedziała. — Myślisz, że daję wizytówki komu popadnie? Wszystko na niej jest: adres i numer telefonu.

— Obiecuję ci, że wrócę za dwa dni, jeżeli jeszcze będę żyć.

— Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Nieomal poprosił, żeby zatelefonowała do Garika, coś jednak go powstrzymało. Jakby przecucie, że Wiera nie jest naprawdę tą osobą, za jaką się podaje. Uczucie było podobne temu, jakie miał Leonid Moisiejewicz, widząc riksę na Newskim Prospekie. Wszystko zbyt dobrze się układało.

— To idę — oświadczył.

— Idź już — zgodziła się Wierka.

Poprawiła wojskową pilotkę z czasów wojny i schowała za plecami torbę z butelkami. Chłopak ruszył w stronę kas. Po kilku krokach obejrzał się. Kobieta stała nieruchomo i parzyła za nim. Kiedy się zorientowała, że Igor to widzi, pomachała mu dłonią.

Poszedł do kas. Wiele zależało od tego, czy będzie miał szczęście. W dużej, jasno oświetlonej sali było wielu ludzi. Kasjerki siedziały za szklaną ścianą jak w terrarium. Chłopak podszedł do tablicy z rozkładem jazdy. Wieczornych i nocnych pociągów do Moskwy było sporo i wszystkie zatrzymywały się w Bołogoję. Ciekawe, czy dotarli tu już agenci?

Sprawdził też cennik biletów, a potem przeliczył pieniądze. Ledwie mu wystarczy na peronówkę, ale jeśli wykupi wszystko to zostanie mu jeszcze parę rubli na autobus. Dziewczyna mogła być bardziej hojna. Właściwie czego się jej czepia? Przecież żyje ze sprzedaży pustych butelek, a to nielekki chleb.

Agenci mogli go jednak wyprzedzić. Trzeba się będzie przejść po peronach. Z rozkładu wynika, że najbliższy pociąg odjeżdża za godzinę. Może postanowili nim jechać?

Skierował się w stronę wyjścia i w tym momencie natknął się na agentów. Właśnie wchodzili na dworzec. W życiu nigdy się nie układa tak, jakby człowiek sobie życzył. Gotów był odnaleźć ich na peronie, wsiadających do pociągu, a nie zderzać się z nimi w drzwiach.

Wiedziony siłą inercji, wyszedł na ulicę i zatrzymał się. Nie spiesz się, mówił w duchu do siebie, idź spokojnie, nie rzucaj się do kas, bo zwrócisz na siebie uwagę.

Policzył w myślach do dwudziestu i wszedł do sali. Szachiści, podobnie jak on, byli ubrani co najmniej dziwnie dla uważnego obserwatora, mieli na sobie przypadkowy zestaw ciuchów. Widać było po nich, że często leżeli w nich na ziemi lub deskach podłogi, nie zwracali też uwagi, czy mają dopięte wszystkie guziki, nigdy nie czyścili obuwia ani nie prasowali spodni. Zazwyczaj tacy ludzie nie zwracają na siebie uwagi na rosyjskich dworcach, lecz jeśli pragniesz wysledzić przybyszy z Czyścęca, bez trudu wyłuskasz ich z tłumu. Tym bardziej, że nie chodziło tylko o ubrania. Mieli trupioblade twarze, tłuste, nieuczesane włosy, dłonie pozbawione opalenizny, sinawe o zetknięcia ze świeżym powietrzem.

Szachiści podeszli do kasy. Igor za nimi, zatrzymał się między ich kasą a następną, wyciągnął portfel i zaczął w nim grzebać. Słyszał każde słowo przez nich wypowiedane.

— Dwa bilety do Bołogoję. Im szybciej, tym lepiej. Wagon sypialny.

Kasjerka coś powiedziała.

— Jaki dowód? — zapytał Majoranski, ten starszy, ze spiczastą bródką. — Do czego jest

potrzebny?

Wysłuchawszy odpowiedzi, zripostował, nieudolnie próbując się uśmiechnąć:

— Czyżbyśmy wyglądali na terrorystów?

— Proszę zrozumieć — wmieszał się Liadow — że jedziemy na jednodniową delegację i od razu wracamy. Nawet nam nie przyszło do głowy...

— Nie — oświadczył Majoranski. — Nie możemy teraz jechać do domu. Nie mamy na to czasu.

— Co więc możemy zrobić? Wezwiemy naczelnika stacji? Po co go trudzić?

Majoranski zasłonił kolegę, który wydobył z kieszeni kopertę, odliczył parę banknotów i pokazał je kasjerce ze słowami:

— Tak więc dwa bilety pierwszej klasy.

— Międzynarodowej — poprawił go Majoranski i poszedł czytać rozkład jazdy.

Kasjerka przestała w końcu marudzić i odwróciła się do komputera, a po chwili wręczyła dwa bilety Liadowowi, który jej podał pieniądze. Następnie podszedł do kolegi i razem studiowali rozkład.

— Na szóstym peronie — powiedział.

— Na szóstym — przytaknął Majoranski.

Stojący za ich plecami chłopak odczytał, że z peronu szóstego odchodzi pociąg osobowy do Moskwy o godzinie 22.40. Do Bołogoje dojedzie o 5.40 rano.

W jaki sposób przekonali kasjerkę? Czyżby ją przekupili? Z pewnością Beria dał im sporo pieniędzy na drogę. Zapewne spodziewał się podobnych sytuacji, chociaż mógł nie wiedzieć, że bilety sprzedaje się jedynie za okazaniem dowodu osobistego.

Podszedł do tej samej kasy. Kasjerka podniosła ku niemu mocno umalowane, czarne oczy i obdarzyła go tęsknym spojeniem rozleniwionej krowy.

— Przed chwilą dwaj obywatele kupili bilety na 65 bis do Bologoje.

— Nie znam ich — odparła, trzepocząc rzęsami.

— Więcej nie pytam — powiedział Igor. — Proszę o bilet w tym samym wagonie, którym tamci będą jechali. Zrozumiano?

— Już mówiłam...

— I nikomu ani słowa. Jasne?

Kasjerka nie ośmieliła się zażądać dowodu. Uznała za oczywiste, że młody człowiek ma prawo śledzić tajemniczych pasażerów, a przy tym dotarło do niej, że nikt jej nie będzie rozliczał z powodu łapówki. Pieniądzy na szczęście wystarczyło. Ze spóźnionym żalem zorientował się, że gdyby dał mniej, urzędniczka nie ośmieliłaby się nawet poprosić o resztę. Wpadł jednak na to za późno.

Dostał bilet do wagonu czwartego. Oczywiście, mógłby też pojechać innym wagonem, ale dzięki temu będzie mieć pewność, że tamci nie wysiądą gdzieś wcześniej. Przecież pociąg osobowy staje na wielu stacjach...

Miał jeszcze dużo czasu do odjazdu pociągu. Uznał, że trzeba go spędzić sensownie. Może starczy mu pieniędzy, żeby wysłać do Moskwy telegram? Poszedł do urzędu pocztowego na dworcu. Dziwne, lecz kiedy do mego wkroczył, poczuł zapomniane dawno uczucie w jamie ustnej i żołądka. Był głodny! A to przecież niemożliwe. Należałoby o tym opowiedzieć Leonidowi Moisiejewiczowi. Może tak mu się tylko zdaje? Warto spróbować coś zjeść? Telegram jednak ważniejszy.

W oddziale pocztowym nie było nikogo. Igor zmarnował trzy blankiety, zanim skomponował odpowiednio krotki tekst:

Senna urzędniczka długo liczyła drobniaki, których starczyło na styk. Nie starczyło już na kopertę. Przydałaby się raz znowu Wierka Snajper, może by zasponsorowała.

Pozostała do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Nie żywił wielkich nadziei, ale nie zaszkodzi spróbować. Udał się na poszukiwanie posterunku milicji. Było tam głośno i tłoczno. Akurat przed samym nosem Igora dwaj milicjanci wtaszczyli do środka pijanego obywatela, który wrzeszczał, że go okradli. Dwie panienki, najwyraźniej lekkiego prowadzenia, płakały, siedząc na ławeczce naprzeciwko biurka oficera dyżurnego, ktoś domagał się adwokata. Nie był to dla nich udany wieczór.

Chłopak spokojnie czekał. Oficer coś notował, rozmawiając z oburzonym obywatelem i sierżantem, który mu przyniósł herbatę i klął na dziewczynki. Igor nadal czekał. Nic się nie zmieniało, włącznie z duchotą. Po chwili na miejscu dziewczynek pojawiła się krzykliwa Cyganka z małym pieskiem czepiającym się spódnicy i wrzeszczącym bachorem, umieszczonym w żółtym plecaku. Pijany gość znikł, lecz przyprowadzili dwóch wyznawców Kriszny, którzy nie mieli dokumentów. Młodzieniec ruszył w głąb korytarza. Pierwszych dwoje drzwi było zamknięte. W ostatnim pokoju siedziała za biurkiem pani porucznik, bardzo ładna blondynka. Coś pisała.

— Kogo pan szuka? — zapytała.

— Pani — odpowiedział.

— Więc proszę podpowiedzieć mi rym do słowa „błyszczą”.

— Piszczą — zaproponował.

— Jakie „piszczą”! — sprzeciwiła się. — To ma być na poważnie.

— „Piszczą” się rymuje.

— Och nie, nie! Potrzebuję jakiegoś wzniosłego rymu. Chodzi o to, że jak oczy błyszczą...

— To faktycznie nie piszcza.

— Coś innego!

— Niszczą.

— Aha. Nad tym można się zastanowić.

— Mam także prośbę do pani. Chciałbym zostawić tutaj liścik.

— Też jesteś zakochany? — zapytała.

— Nie, śledzę niebezpiecznych przestępców — wyjaśnił. — Muszę przekazać raport do Instytutu

Ekspertyz.

Pani porucznik odsunęła kartkę z wierszem.

— Do Instytutu Ekspertyz Sądowych?

— Tylko Ekspertyz.

— Nie ma takiego — oświadczyła milicjantka.

— Muszę tylko napisać list. Niech mi pani uwierzy, śledząc ich, wydałem ostatnią kopiejkę.

— To kolejne kłamstwo?

Miała cieniutkie, wyskubane brwi i niebieskie cienie pod oczami. Usta mocno pomalowane ciemnym karminem.

— Podsunąłem pani rym — przypomniał. — Może jeszcze jakiś wymyślę.

— Mówisz poważnie? A rozmawiałeś z naczelnikiem?

— Nie zastałem go.

— No cóż, zaryzykujemy, jedna sprawa więcej niczego nie zmieni. Mam kopertę, ale bez

znaczką.

— Musi być znaczek.

— Dobrze, jutro znajdę. Spodobałeś mi się. Siadaj przy wolnym biurku i pisz. A mnie dawaj rymy. Piszę znakomite wiersze, zapraszają mnie na wszystkie imprezy, ale mam problem z rymowaniem. Teraz znajdź coś do słowa „genialny”.

— Realny.

— Może coś lepszego... No dobrze, masz tutaj kartkę.

W tej chwili wszedł starszy sierżant z okrągłą, czerwoną twarzą o żółtawych brwiach i rzęsach.

— Och — powiedziała dziewczyna niskim głosem, w mgnieniu oka jedną ręką otworzyła szufladę biurka, drugą zaś zmiotła do niej swoje poetyckie próby.

— A to co za ptaszek? — zapytał oficer.

— Pomylił pokoje — oświadczyła. — Idźcie już, obywatelu, gdzie trzeba.

— Będę mógł potem zajrzeć?

— Wygoń go, Kola — rzekła dziewczyna obojętnym tonem.

W tej chwili zrozumiał, że to sierżant jest obiektem jej westchnień i nie ma z nim żadnych szans. Wszedł na korytarz. Przed obliczem oficera dyżurnego ciągle kłębili się świadkowie i aresztanci. Lump w podartej marynarskiej kurcie i czapce bez daszka próbował tańczyć i śpiewać *Jabłuszko*. Młodzieniec postanowił znaleźć drugi posterunek w pobliżu dworca. Przed wejściem do poczekalni czekała na niego Wierka Snajper.

— Nie udało ci się? — zapytała.

— Nie udało.

— Poszedłeś kapować?

— Nie, chciałem zostawić list.

— Dałam ci przecież kasę.

— Kupiłem bilet.

— A dokąd?

Najlepiej byłoby pozbyć się jej teraz, lecz chłopak czuł, że lepiej tego nie robić. Od tej dziwnej dziewczyny zależy, być może, los całej Ziemi. Trzeba zaryzykować.

— Dokąd trzeba.

— Do Bołogoję? — Tak.

— Więc w czym problem?

— Muszę wysłać list do Moskwy.

— Znowu chcesz forsy? A co ja będę z tego miała?

— Za dwie godziny wyjeżdżam.

— Kiedy wrócisz?

— Będę się spieszyć z powrotem.

— Nie zatrzymasz się u mnie?

— Nie sądzę.

— Och, nie lubię takich szczerých chłopaków, jak ty. Walnięty Pawka Korczagin z ciebie. Nie masz czasu, żeby zlitować się nad kobietą i dać jej chwilę relaksu. Wiesz, jak ciężko być Kobieta w tym dzikim kraju? Nawet sobie nie wyobrażasz.

— Możesz przesłać list?

— Czytałeś bajkę o Wasylu Pięknym?

— Zapomniałem. Wyślesz list, czy nie?

— Ona była żabką... — oznajmiła Wierka. — Chodźmy na pocztę, nie noszę kopert ze sobą.

Na szczęście była jeszcze otwarta. Po drodze Igor doszedł do wniosku, że nie ma sensu wysyłać listu pocztą. Zanim dotrze do adresata, wszystko się może już skończyć i nie będzie komu odebrać ostrzeżenia. Pomysł z listem mógł się zrodzić tylko w mózgu kogoś istotnie nie całkiem normalnego. Jak jednak szybko przekazać wieści do Moskwy?

— To się nie uda — stwierdził głośno. — Będiesz musiała jutro zatelefonować do Moskwy.

— Tego jeszcze brakowało!

— Musisz, Wiero — rzekł z przekonaniem.

— I dokąd mam dzwonić?

— Napiszę wszystko na poczcie, a potem porozmawiamy.

Podszedł do stolika na którym leżały blankiety telegramów. Odwrócił kartkę czystą stroną i zaczął pisać:

Instytut Ekspertyz, Moskwa. Telefon: 095–876–2365. Do Gagarina lub, jeśli jest nieobecny, do Kalerii Pietrowny. Ostatecznie może być Katrin.

Wiera stała w pobliżu. Nie cuchnęła już tak śmietnikiem. Gdzieś podziąła torbę z butelkami i miała teraz na ramieniu podartą torebkę. Udawała, że wcale nie podgląda i nie interesuje jej treść listu.

W okolicy Bołogoje znajduje się niebezpieczny obiekt, który nazywa się Maksimowo bądź Maksimowka. Zostali wysłani tam dwaj agenci, Liadow i Majoranski. Doktor Freud stworzył szczepionkę, która działa trzy dni i można dzięki niej przeżyć w prawdziwym świecie. Ja także zostałem zaszczepiony. Cel jak poprzednio: otrzymali rozkaz, aby zniszczyć życie na Ziemi i uchronić w ten sposób dalszą egzystencję Czyśćca. Mogę ich śledzić, bo nie znaj? mnie z wyglądu. Nie mam pieniędzy. Jadę do Bołogoje pociągiem 65 bis. Będę tam o 5.40 rano. Dalej trzeba pojechać autobusem. To wszystko, co na razie wiem. Czekam na pomoc. Igor Czechonin.

Wiera wzięła od niego kartkę i przeczytała, poruszając ustami. Zapewne nie była w szkole prymusem. Potem zapytała: — I wszystko to mam przekazać telefonicznie?

— Tak. Tylko uważaj, żeby cię nikt nie podsłuchał.

— A może ty jesteś psychiczny?

— Nie jestem.

— Wsadzą mnie za to — oświadczyła. — A tymczasem będziesz gdzieś fruwał...

— Zadzwonisz z automatu. Nikt cię nie wsadzi. Zwrócą ci pieniądze.

— A gdzie u nas zwracają kasę? — zdziwiła się. — Złapią cię i jeszcze ograbią do końca.

— No dobrze. Wracam za trzy dni. Gdzie mam ciebie szukać?

— Wiesz co — odparła — zabieraj ten swój gryps. Może jesteś zachodnim szpiegiem?

— Proszę cię, Wiero. Jesteś tutaj moją jedyną znajomą. Przysięgam, że nie jestem żadnym obcym szpiegiem! To nasze, wewnętrzne sprawy!

— Przysięgnij!

To było całkiem nieoczekiwane, jak z książki Gajdara albo Anatola Rybakowa.

— Jak Boga kocham!

Równie nieoczekiwanie palnęła go piąstką w ramię.

— Przyklepane — stwierdziła. — Prawdziwy z ciebie dzielny wojak.

Śmiała się figlarnie i chytrze. Potem zapytała:

— Dawno nie jadłeś?

— Kilka miesięcy — odpowiedział szczerze. Uznała te słowa za żart.

— Chodźmy do bufetu — zaproponowała. — Widziałeś przecież, że miałam butelki.

W bufecie dworcowym było prawie pusto. Dziewczyna wypła dwie szklanki herbaty i bułki z parówką. Chłopakowi chciało się jeść, ale kiedy próbował odgryźć kawałek, okazało się, że oduczył się gryźć i przełykać jedzenie.

— Jesteś chory? — spytała.

— Właściwie tak — przyznał.

— Ale nie zakaźnie?

— Żeby się tym zarazić, trzeba wylądować u nas — oświadczył.

— U was, czyli gdzie?

— W piekielnej otchłani — wyjaśnił.

— Patrzę na ciebie i myślę: jesteś wariatem albo tylko udajesz. Może dojem twoją parówkę?

— Proszę.

Przeszli potem na peron. Sporo ludzi za nimi się oglądało, przez co Igor czuł się niezręcznie.

— Specjalnie się tak wystroiłaś? — zapytał.

— Nie specjalnie — odparła. — Jeśli uważasz, że cię kompromituję, to zaraz zniknę.

Zatrzymała się i ściskając mu dłoń, powiedziała:

— Żegnaj. Jutro zadzwonię.

Rozdział czternasty

Garik Gagarin

Mieszkam w jednopokojowym mieszkaniu spółdzielczym, w zwyczajnym bloku. Starcza w nim miejsca na biblioteczkę, komputer, przyrząd do ćwiczeń i kuchenkę z minimalnym zestawem naczyń. Jeśli stłukę kubek, zaraz kupuję nowy albo częściej dostaję go od znajomych dziewcząt. Mają zwyczaj obdarowywania mnie kubkami, żebym mógł spokojnie je tłuc, nie przejmując się następstwami. Gorzej, że te naczynia zwykle zawierają coś ciekłego i gorącego. Wczoraj stłukłem angielski kubek, bardzo fajny i poręczny, a przede wszystkim duży, z napisem „*I love coffee*”, przy czym zamiast słowa „kocham” było czerwone serduszko. Nie zdarzyło się nic więcej.

Wybieraliśmy się z Katrin do teatru, ale w końcu nie poszliśmy, jednak nie z mojego powodu: miała katar. Tak więc przyczyną złego nastroju był wyłącznie rozbity kubek. Położyłem się wcześniej, żeby uśmierzyć złe samopoczucie i w miarę szybko zacząłem usypiać. W półśnie myślałem jednak o tym, że moje życie jest nieszczęśliwe, że jestem pokraką i dziewczęta nie chcą chodzić ze mną do teatru, a w dodatku potłukłem ulubione naczynie...

Nie chciałem otwierać oczu, żeby się przypadkiem nie rozbudzić. W końcu jednak otwarłem i spojrzałem na zegarek. Było dopiero wpół do pierwszej, spałem tylko godzinę.

Za oknem płynęły szybko obłoki, oświetlone przez uliczne latarnie. Sprawiało to nieco teatralne wrażenie. Wiatr miotał brunatnymi i żółtymi liśćmi, co również kojarzyło się z kiepskim teatrem. Właściwie, dlaczego kiepskim?

Było mi tak ciężko na duszy, jakbym zgubił wypłatę dla młodszego pracownika, w przeliczeniu na obcą walutę jakieś dwadzieścia pięć dolców.

Fundacja Sorosa nie wie o naszym istnieniu. I bardzo dobrze, bo jeszcze by nas jacyś szpiedzy porwali do USA i wydobyli wszystkie tajemnice państwowe.

Co jednak naprawdę mnie zaniepokoiło? Zacząłem przeglądać w pamięci cały dzień.

Sania Dobriak zajmuje się konstrukcją bomb i umiejętnie wywiódł ostatnio Kalerię na to pole minowe. To mnie jednak nie dotyczyło.

Katrin, jak już wspomniałem, ma katar i nos jej od tego poczerwieniał. Nie kocha mnie, ponieważ nie zasługuję na jej miłość. A ja bardzo potrzebuję miłości. Jeśli chodzi o Katrin, to oboje przegapiliśmy i zmarnowaliśmy owo uczucie. Może kojarzycie nowelę Jacka Londona *Gdy się śmieję bogowie*? Opowiada o parze zakochanych. Kochali się tak mocno, tak chronili swą wyjątkową miłość, że nawet po ślubie dotykali się jedynie koniuszkami palców. Męczyli się z tym, ale jakoś wytrzymywali. Sądziło się, że taka miłość będzie wieczna. Bogowie zadrwili z nich. Pewnego razu zakochani usnęli i okazało się, że już więcej nie zapragną intymnej bliskości... Opowiedzieć o tym Katrin, czy dać spokój?

Co jeszcze się wydarzyło? Aha, wujka Misze, czyli generała, przenieśli na inne stanowisko.

Powiedział o tym Kalerii, ta zaś mnie. Jeśli teraz coś się wydarzy w świecie bez czasu, m ma pewności, czy ktoś nam uwierzy.

Co jeszcze?

No tak, Tamara. Nasze rozumne zwierzątko o przyjemnym wyglądzie.

— Dostojewszczyzna — stwierdziła, gdy dowiedziała się o wujku Miszy. — Spotkał go taki los, jak braci Karamazow. Blisko, ale to jeszcze nie to...

Znowu przymknąłem oczy i pomyślałem o Igorze. Czy powinienem mu współczuć? Postąpił bardzo szlachetnie, decydując się pozostać w Czyścću, żeby nie zostawiać Lusi Tichonowny. To była zeszłoroczna historia, ciągle bez zakończenia, jeśli nie brać pod uwagę listu, który niedawno otrzymaliśmy. Pisał o niebezpieczeństwie ukrytym we wsi Maksimowka. Wujek Misza, który traktował poważnie wieści z tamtego świata, wybrał się wraz ze mną do najbardziej podejrzanej Maksimowki. Bez rezultatu. Pozostało więc tylko czekać na nową wiadomość od Igora. Jeśli w ogóle będzie. Ciekawe, jak im się tam żyje? Byli dla mnie prawie jak rodzina, chociaż właściwie nie poznaliśmy się blisko i nigdy szczerze nie rozmawialiśmy.

Nie przeżyłem łagru ani zesłania, za późno się urodziłem. Jakie to musiały być straszne czasy, kiedy połowa narodu czekała na wieści od swoich bliskich z łagru albo z niewoli. Potworne, nieszczęsne państwo!

Przecież rodzice nadal czekają na Igora. Lusią rodzina się nie interesowała. Jego ojciec jednak przyszedł kiedyś do naszego instytutu, bo dowiedział się skądś, że chłopak odwiedził nas przed zniknięciem. Zrobili mu wodę z mózgu i wyjaśnili, że nie wiemy, niestety, niczego na temat jego syna. Być może nadal żyje, ale nie jest także wykluczone, że zginął.

Nie było mi trudno wyobrazić sobie tamten świat, ponieważ bywałem tam w odróżnieniu od milionów rodaków. Pamiętałem szare, nieprzeniknione niebo i chłodne, zatechłe, jakby piwniczne powietrze, pozbawione jednak zapachów. I ciszę, w której nie ma śpiewu ptaków ani warkotu samochodów. Ludzi jest tak mało, że ich głos słychać na kilometr.

Igor... Dlaczego tak prześladuje mnie jego twarz? Dlaczego muszę o nim myśleć? Czułem się przy tym, jakby ktoś wbił mi w serce żelazny pręt. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwałem również takiego lęku.

Właściwie to przesadziłem. Przypomniałem sobie Wasilczykowa, który spadł w przepaść. Właściwie nie do przepaści, tylko w szczelinę lodowca. Julia Mitiajewa klęczała nad nią, nie zważając na lodowaty wicher, jakby uważała, że jej przeznaczeniem jest chronić kolegę przed śmiercią. Kiedy trochę się przespałem, podciągnąłem wszystkich i poszliśmy znowu w górę lodowca. Cały czas słyszałem myśli ich obojga, chwilami nie wiedząc, które od kogo pochodzą. Prowadziłem ich cały dzień po lodzie i nie usłyszałem słowa sprzeciwu. To znaczy, że mi ufali. Następnego dnia zdobywali już Adajchoch. Nie byli nowicjuszami...

Co się z tobą stało, Igorze? Wiem przecież dobrze, że między naszymi światami nie ma żadnych emocjonalnych więzi. Kiedy znaleźli się tam oboje z Lusią, zostali dosłownie odcięci.

Nagle zrozumiałem różnicę. Igor jest tutaj. W naszym świecie.

Szuka ze mną kontaktu. I cóż może zrobić? Nie zna przecież nawet numeru mojego telefonu. Do instytutu może się dodzwonić dopiero jutro.

Oczywiście, że jest gdzieś tutaj. A to oznacza, że wydarzyło się coś złego. Zapewne w związku z Bериą i Maksimowką.

Skoro przeniósł się do nas, czeka go prędka śmierć. Muszę spotkać się z nim jak najszybciej,

inaczej mogę już nigdy go nie zobaczyć. Tylko gdzie go szukać? Nawet nie wiem, gdzie znajduje się dziura, przez którą przeszedł. Prawdopodobnie w Petersburgu, ale i to nie jest pewne.

Wyskoczyłem z łóżka, wziąłem prysznic i ubrałem się. Warto zauważyć, że umysł miałem jasny i spokojny. Co innego z uczuciami.

Zastanawiałem się, co bym zrobił na jego miejscu, gdybym znalazł się daleko od Instytutu Ekspertyz, a chciałbym się z nim skontaktować. Wysłałbym telegram, licząc na to, że jutro rano odbierze go Kaleria albo Gagarin.

Dawno nie posługiwałem się lewitacją. Nie wypadało, będąc człowiekiem i pracownikiem naukowym, nie zaś przybyszem znikąd. Musiałem jednak natychmiast znaleźć się w instytucie, żeby odebrać telegram. Wezwać taksówkę, czy pofrunąć? A jeśli ktoś zauważy? Mamy jednak jesienną noc. Kto mnie zobaczy po ciemku? Jesień zaczęła się wcześniej w tym roku... Radiotaxi sporo kosztuje. Nie mam też czasu biegać po mieście i łapać okazji. Kiedy dostanę za coś Nagrodę Nobla, kupię sobie „Okę”. Teraz będę musiał przelecieć się do instytutu i z powrotem, chociaż o tej porze pewnie nadaremnie.

Wyszedłem na balkon. Dął zimny i porywisty wiatr, całkiem jakby olbrzym nabierał pełne płuca powietrza, a potem je wypuszczał ze świstem. Zrywał liście z drzew, chociaż był dopiero wrzesień i jeszcze nie zaczęły się uporczywe deszcze. Musiałem założyć sweter, dzinsy i adidas. Tak przygotowany byłem gotów do lotu.

Dawno tego nie próbowałem, więc kiedy przeskoczyłem przez balustradę balkonu i odepchnąłem się od ściany domu, w pierwszej chwili straciłem równowagę i niczym helikopter, który traci moc zacząłem spadać ku ziemi. Nad samym klombem pod oknami zdołałem jednak wyrównać lot i znowu nabrałem wysokości. Zdążyłem jeszcze zauważyć gówniarzy, wyskakujących w różne strony z krzaków. Zapewne palili tam papierosy, nie mając ochoty wracać do domu i normalnego życia.

Starłem się nie wznosić zbyt wysoko, żeby nie zamarznąć. Leciałem tuż nad liniami wysokiego napięcia, uważając, by nie zawadzić o nie. Latający nad Moskwą muszą ciągle uważać. Mistrz i Małgorzata mieli o wiele łatwiej, nie było jeszcze wtedy w powietrzu tylu tramwajowych i innych przewodów.

Odetchnąłem z ulgą, gdy znalazłem się nad rzeką. Mogłem frunąć nad samą wodą i przelatywać pod mostami. Od brzegu usłyszałem gwizdek milicjanta. Rozumiałem go: nie jest przyjemnie zobaczyć o drugiej w nocy niezidentyfikowany obiekt latający. Zwłaszcza, jeśli ma się skłonności mistyczne...

Obniżyłem lot w pobliżu pokracznego pomnika cara Piotra z wielkim masztem i mijając kasyno „Udarnik”, skierowałem się na Poliankę. Do samego instytutu przemieszczałem się nad podwórkami, nie wychylając się na ulicę. Woląłem nie być postrzelony przez jakiegoś wystraszonego ochroniarza. Wylądowałem w końcu na dziedzińcu instytutu.

Willa była ciemna, z wyjątkiem mętnego światła w oknie na parterze. W holu powinien siedzieć nocny stróż. Nie zdarzało mi się tutaj pojawiać w środku nocy. Mogłem tu przepracować całe życie i nigdy nie zobaczyć budynku w świetle księżycy. Z tym, że akurat księżyc był za chmurami. Zapowiadało się na deszcz. Podeszedłem do drzwi wejściowych i nacisnąłem dzwonek.

Nie powinno się dobijać o drugiej w nocy do miejsca pracy, ale też strażnik chyba nie powinien spać? Nasz dozorca chyba się tego nie spodziewał. Wyobraziłem sobie, jak zasłania ucho poduszką, żeby nie słyszeć natrętnego dzwonka, lecz dyskomfort staruszka uzbrojonego w śrutówkę niezbyt mnie poruszał. Ostatecznie przeleciałem pół miasta, by się z nim spotkać.

Minęło co najmniej dziesięć minut, nim się dziadyga objawił. W drzwiach pojawiła się czarna figura, podświetlona od tyłu słabym światłem i zapytała ochryple:

— Czego tam?

— Proszę otworzyć — poprosiłem ugodowym tonem.

— Zaraz wezwę milicję — zagroził dziadunio.

— Chciałem tylko zapytać...

— Spadaj stąd!

W tej chwili zrozumiałem: sam sobie jestem winny. Błagalna intonacja działa na nocnych portierów prowokująco. Mają poczucie władzy nad proszącym. Jeszcze tylko krok do agresywnego chamstwa: spieprzaj, bo będę strzelał! Nie chciałem doprowadzać do tego dziadygi, zmieniłem więc ton na bardziej groźny.

— Otwierać natychmiast! — ryknąłem. — Kontrola obiektu.

Tembr mego głosu powinien był przypomnieć stróżowi o istnieniu zwierzchników.

— O co znowu chodzi...

Drzwi się otwały. „Dziadunio” miał na oko lat dwadzieścia pięć: szeroki w ramionach, niskie czoło, gruby kark, wały nad oczodołami godne neandertalczyka, przy pasku pałka milicyjna, z boku kabura. Niczego sobie staruszek! Najwidoczniej dyrekcja wystarczająco ceniła nasze komputery, żeby wynająć nowoczesną firmę ochroniarską.

Młodzieniec zauważył moje zaskoczenie.

— Wyjdź do światła! — zażądał.

Cóż robić, trzeba chyba będzie uciekać z niedozwoloną prędkością. Bez żartów jednak, muszę zachowywać się odpowiedzialnie. Mój miły, przekazałem mu w myślach, wyobraź sobie, że stoi przed tobą twój ulubiony lub zniechęcony szef, który po to wstał z łóżka, żeby zobaczyć, jak w pokorze znosisz swą nocną Gólgotę i czy ci czego nie trzeba?

— Jak tam służba? — spytałem.

Ochroniarz, kawał chłopca, zobaczył we mnie swego groźnego zwierzchnika.

— Iwanie Sergiejewiczu — powiedział — wziąłem pana w ciemnościach za kogoś innego.

— To nieładnie — zażartowałem. — Jeszcze za to wylecisz.

— Jak pan może? Wyczuwam pana przez skórę.

— Skoro wyczuwasz, to powiedz, czy przynieśli telegram?

— Tak jest — potwierdził skwapliwie. — Całkiem niedawno. Ledwie przysiadłem na chwilę, naprawdę tylko na chwilę, zaraz usłyszałem dzwonek. Nie mogli zaczekać do rana? Już ja im nagadałem...

— Niepotrzebnie. Ty masz swoje obowiązki, oni swoje. Od tego jak szybko odebrałeś telegram zależy życie wielu ludzi, rozumiesz?

— Rozumiem! — odkrzyknął służbiście i wydobył z górnej Peszeni kurtki zmięty blankiet.

Co za szczęście, że są jeszcze w naszym kraju ludzie, którzy zarwą noc, żeby dostarczyć telegram jak najszybciej. Nie zesłałem ochroniarza, może jeszcze być przydatny. Przeczytałem telegram — dziwny, lecz potwierdzający wszystkie moje obawy:

MOSKWA INSTYTUT EKSPERTYZ GAGARIN POCZTA BOŁOGOJE IGOR

Po pierwsze ma mało pieniędzy. Gdyby było inaczej, napisałby tekst dłuższy i bardziej zrozumiały. Po drugie, sam nie wie, dokąd jedzie. Sprawdziłem, skąd został wysłany telegram: z Petersburga o godzinie 20.40. Zapewne z dworca. Igor pojechał więc pociągiem do Bołogoje.

Zwróciłem się do ochroniarza:

— Wracaj na stanowisko. Podwoić czujność. Można uznać, że instytut jest pod specjalnym nadzorem.

— Tak jest — odpowiedział.

Odszedł wyprostowany i nie wydawał się już groźnym buhajem bandyckiego chowu. Wziąłem z tablicy klucz do laboratorium. Prędko tam poszedłem, licząc na odrobinę swobody. Trzeba było coś zrobić. Przede wszystkim zatelefonowałem do Kalerii.

— Przepraszam, że panią zbudziłem — zacząłem.

— Jeszcze się nie położyłam — odparła szefowa.

— Kamień spadł mi z serca.

— Mów, co się stało — zachęciła.

— Igor Czechonin się skontaktował.

— Niemożliwe! Gdzie i jak? Źle z nim?

— Pamięta pani historię z Maksimowką?

— Dlaczego mam nie pamiętać?

— Z tego, co zrozumiałem, Igor jest teraz w Pitrze. Przysłał stamtąd telegram.

— Przeczytaj. Spełniłem polecenie.

— Nie ma pieniędzy — powiedziała domyślnie. — To inteligentny chłopak, a tak mało przekazał informacji.

— Co więcej? — spytałem.

Miałem nadzieję, że Kaleria potwierdzi albo rozwieje moje obawy.

— Nie zna ostatecznego celu. Inaczej zaznaczyłby go choć jednym słowem.

— Mamy poczekać?

— Będę w instytucie za dwadzieścia minut — oznajmiła. — Zadzwoń tymczasem do domu Miszy i na dworzec. Dowiedz się w informacji, kiedy odszedł najbliższy czasowo telegramowi pociąg do Moskwy z przystankiem w Bołogoje i o której tam będzie.

Zrobiło mi się lżej na duszy, kiedy moja szefowa wzięła wszystko w swoje ręce. Nigdy nie marudzi w takich sytuacjach. Gdyby sprawa nie miała znaczenia, kazałaby mi wracać do domu, a sama położyłaby się spać.

Chciałem wysłać moje myśli do Igora, żeby się nie czuł samotny. Będzie w Bołogoje o 5.40 rano, pod warunkiem, że istotnie kupił bilet na najbliższy pociąg. Tak więc do przyjazdu na miejsce pozostały trzy godziny. Kawał czasu!

Zatelefonowałem do wujka Miszy. Koniecznie musi się o wszystkim dowiedzieć. Najpierw nikt nie odbierał, później włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszałem komunikat, że Michała Iwanowicza można znaleźć rano pod takim to a takim numerem, po godzinie dziewiątej. Może wyjechał na delegację i właśnie ściska na przywitanie naszego Czechonina albo nie znosi być budzonym w środku nocy. W tej sytuacji zadzwoniłem na lotnisko Wnukowo dowiedzieć się o najbliższy lot do Bołogoje, lecz okazało się, że nie ma takiego. Zajęło mi to około kwadransa.

Usłyszałem szybkie kroki na korytarzu. W drzwiach pojawiła się Kaleria Pietrowna: odświeżona, uśmiechnięta, całkowicie przytomna, a nawet lekko umalowana. Za jej plecami stał ochroniarz, który nie zamierzał spuścić z niej oka.

— Właśnie przyszła — poinformował mnie.

— Wszystko w porządku — odparłem, z trudem przywołując obraz jego srogiego szefa. —

Wpuść tu kobietę i wracaj na posterunek.

Był naprawdę szczęśliwy, że słyszy jasne rozkazy. Zgrabnie zawrócił i zniknął w ciemnym korytarzu.

— Gariku — mruknęła Kaleria — znowu zaczynasz?

— To był jedyny sposób, żeby go przekonać, by mnie wpuścił — wyjaśniłem. — Nie czas na delikatność.

— Nie zgadzam się — zaprzeczyła. — Nigdy nie zaszkodzi być możliwie delikatnym — zacytowała znanego poetę.

Podeszła do mego stołu i przyjrzała się kartkom papieru, na których zapisywałem informacje i kreśliłem zawijasy, czekając na odpowiedź.

— Zgadza się — stwierdziła. — Pozostały trzy godziny. Możemy tam nie zdążyć, nie mam zamiaru jednak angażować na tym etapie innych ludzi, nawet mądrych i odpowiedzialnych.

— Słusznie.

— Nie wiedząc, co się naprawdę dzieje i w jakiej sytuacji jest teraz Igor, moglibyśmy tylko zaszkodzić.

Z tym się także zgadzałem.

— A co z Miszą?

Powiedziałem o automatycznej sekretarce.

— Spróbuję zadzwonić na inny numer — oświadczyła.

Siadła i wystukała cyferki. Zrobiła to jednak w taki sposób, żebym nie mógł ich zobaczyć. Nie miałem jej za złe. Jak powiedział Maksym Gorki, zresztą z innej przyczyny, lepiej nie wiedzieć o pewnych rzeczach, skoro ta wiedza niczego nam nie da.

— Halinko — powiedziała szefowa — przepraszam, że cię zbudziłam, ale mam ważną sprawę. Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć Miszę?

Nastąpiła krótka odpowiedź.

— Wybacz, Misza, mam nadzieję, że jeszcze nie spałeś? — spytała po chwili Kaleria.

Po długiej chwili, podczas której moja szefowa wysłuchiwała reprimendy od generała, powiedziała w końcu:

— Garik Gagarin chce z tobą porozmawiać. Ma dla ciebie nowinę.

Przekazała mi słuchawkę, lecz wujek Misza nie chciał ze mną gadać.

— To nie jest rozmowa na telefon — stwierdził. — Będę u was za piętnaście minut.

I odłożył słuchawkę.

— Cudowni z nas ludzie — orzekłem — skoro w środku nocy zrywamy się, wypełnić nasze obowiązki służbowe. Prawie jak Lenin...

— Lenin był twórcą reżimu — odpowiedziała poważnie, pewnie wiedziała, jak to było z Leninem w Suszenskoje.

— Gdzie go pani znalazła? — zapytałem.

— Musisz wiedzieć?

— Nie.

Kaleria postanowiła wydobyć atlas z zamkniętej o tej porze biblioteki i udało się to nam dopiero dzięki bezinteresownej pomocy ochroniarza Fiodora, który słuchał mnie jak rodzzonego ojca.

— Nie interesuje nas samo Bołogoje — stwierdziła szefowa — lecz miejsce, do którego stamtąd pojedzie.

Czworo oczu przeglądało okolicę od Moskwy do Tweru, ale nie udało się nam znaleźć żadnej Maksimowki ani Maksimowa.

W tej chwili przybył wujek Misza.

Ochroniarz, wobec przybycia takiej osoby, poczuł się niesłychanie dumny, że uczestniczy w ważnym wydarzeniu. Do tego stopnia, że zaoferował się pobiec do znajdującej się na sąsiedniej ulicy całodobowej kawiarni „Hałas Zamiast Muzyki” i przynieść nam sandwicze oraz napoje. Nie skorzystaliśmy z propozycji. Zamknęliśmy drzwi i usiedliśmy, aby się zastanowić. Przynajmniej Fiodor miał myśleć, że się zastanawiamy. W rzeczywistości nie było to takie proste.

— Więc się odezwał? — zapytał wujek Misza.

Pokazałem mu telegram.

— Nie daliśmy mu innych adresów — stwierdził z dezaprobatą generał.

— Nie miał innego.

— Zrobimy tak — stwierdził. — Przede wszystkim w Bołogoje powinien czekać na pociąg nasz człowiek. Przekáže Igorowi kopertę z pieniędzmi i numerami telefonów.

— Jak go rozpozna?

— A od czego jest faks? Mamy sporo odbitek z jego obliczem.

— I co dalej? — chciała wiedzieć Kaleria.

— Garik poleci helikopterem do Bołogoje.

Wszystko zaczęło się układać i rozwiązywały się wszystkie problemy. Ziemia mogła być uratowana, ale...

— Jest tylko jedna drobna przeszkoda — stwierdził generał.

Wydobył z kieszeni grzebyk i starannie rozczesał włosy na obie strony.

— Nie lubię takich „ale” — powiedziała Kaleria, wyrażając także swój punkt widzenia.

— Problem polega na tym, że niedawno dostałem kopa do góry — wyjaśnił wujek Misza.

— Ciekawe, komu podpadłeś? — spytała ze zrozumieniem Kaleria.

— Miałem obowiązek informować o swoich... odkryciach. Moja „firma” podlegała nieoficjalnie administracji prezydenckiej i liczni szefowie nie chcieli nawet słuchać o moich nedorzecznych przygodach. Mieli ważniejsze sprawy na głowie.

— Wygodnie się urządziłeś! — pochwaliła go moja szefowa. Nie zwrócił uwagi na komplement, przeżywając własne problemy.

— W wywiadzie doszli do wniosku, że nie dam sobie rady z podziemnym światem, chociaż nawet sobie nie wyobrażali, czym jest w istocie. Prosiłem, żeby zostawili mnie na stanowisku konsultanta. Nie należałem jednak do ich grupy, a oni naiwnie uznali, że mogą się obejść beze mnie i bez was, prawdziwych specjalistów.

— I dokąd ciebie przenieśli?

— Jestem pierwszym zastępcą głównego radcy z prawem darmowych przejazdów służbowych.

— A kim cię zastąpili? — spytała trzeźwo Kaleria.

— Dobrymi ludźmi, oddanymi sprawie. Zanim się jednak zorientują, że trzymają w dłoniach rozpaloną cegłę, nie będą już mieli palców.

— I co teraz robisz?

— Piszę memoriały do prezydenta i bliskich mu osób.

— A oni nie odpowiadają.

— Nie odpowiadają, gdyż na razie zajęci są reorganizacją.

— Więc jak możesz nam pomóc?

— Starymi znajomościami — odpowiedział i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Po sześciu sygnałach ktoś odebrał.

— Mogę prosić Iwana Sergiejewicza? — zapytał generał. — A kiedy będzie? Kto go zastępuje?

Nie denerwuj się, to ja, znasz przecież mój głos. No dobrze już, dobrze, zadzwonię rano.

Odłożył słuchawkę i powiedział do nas:

— Tylko nie upadajcie na duchu.

Jakby oprócz niego ktoś tutaj upadał na duchu. Zatelefonował w jeszcze jedno miejsce, gdzie nikt nie odbierał.

— No dobrze — stwierdził, ukrywając gorycz porażki — rano lepszy od nocy. Rano się tym zajmujemy.

Kaleria nie miała zamiaru się z nim sprzeczać, nie chciała mu sprawiać przykrości. Zamiast tego spytała:

— Znasz ludzi, którzy teraz zajmują się naszymi problemami?

— Głównym szefem jest Spartak Achmiedow. Młody, ambitny, nie wierzy w cuda i nie czytuje fantastyki.

— Masakra — wyrwało mi się. Wujek Misza zwrócił się do mnie:

— A tym bardziej nie dopuszcza istnienia przybyszów z innych planet.

— Co za wstyd — stwierdziłem.

Generał pogroził mi palcem.

— A czy rzeczywiście jesteście przybyszem z kosmosu, Gariku, będą jeszcze musiały sprawdzić odpowiednie służby.

— Więc jest młody?

— Jeden z najmłodszych pułkowników wywiadu — potwierdził. — Prymus w akademii i mądrała w dopuszczalnych granicach. Jego ojciec właśnie przeszedł na emeryturę w randze generała służb specjalnych, tyle że w jednej z republik...

— Której? — zainteresowała się Kaleria.

— Nieważne.

— Masz rację. Więc to jemu przekazałeś wszystkie sprawy?

— Na tyle, na ile to było możliwe między niezbyt się lubiącymi organizacjami.

— Dużo wie?

— Zna wszystkie podstawowe fakty, chociaż chyba uważa, że nie wszystkie mają znaczenie.

— Ma jakiś plan działania?

— Nie decyduje o wszystkim.

— No dobrze, nie czepiaj się drobiazgów. Mają plan działania?

— Obawiam się, że z każdym dniem coraz bardziej zbliża się jego realizacja.

Milczeliśmy. Kaleria i ja woleliśmy sobie nawet nie wyobrażać, jakie wspaniałe pomysły wylęgły się w mózgach młodszych kolegów wujka Miszy. Ten popatrzył na nas, zastanowił się chwilę, potem wyjaśnił:

— Ziemia jest okrągła. Pojawił się wspaniały pomysł, by wykorzystać podziemny świat do celów geologicznych.

— Wszystko jasne — nie wytrzymałem. — Chcą się dokopać do Ameryki.

— Zdawałoby się, że to bzdura, ale taka właśnie idea pojawiła się w głowach moich kolegów.

— Wtedy można dalej rozkręcić zabawę — zauważyła Kaleria. — Na przykład ukryć tam tajne fabryki broni.

— Zastanów się — zaproponował wujek Misza — kto miałby w owych fabrykach pracować, zważywszy na kompletną nieprzydatność tamtejszych mieszkańców i niemożność współpracy z normalnymi ludźmi.

— Trzeba więc będzie wykorzystać całą wiedzę biologiczną, żeby zlikwidować różnice między dwoma światami.

— Do tego będą potrzebne stałe bazy i ciągły kontakt — razie jeszcze ich nie ma.

Znowu nastąpiła chwila ciszy. Jeśli nie zrozumieliście dlaczego, chętnie wam wyjaśnię:

Dostaliśmy telegram od Igora. To znaczy, że jest tutaj, a także, iż postanowił poświęcić swoje życie, skoro może szczeznąć w ciągu doby albo nawet szybciej. Wie o tym, chociaż mimo tego trudno nazwać go samobójcą. Nawet nie wiemy, czy zjawił się tu w pojedynkę, czy też ktoś mu towarzyszy. Wróg, czy przyjaciel?

Gdybyśmy teraz, jak przystało na prawdziwych patriotów, zameldowali na Łubiance o Igorze, ściągnęlibyśmy na niego, delikatnie mówiąc, grupę towarzyszy, którzy dowiedziawszy się, gdzie znajduje się przejście do Czyścica i jak można się nim posługiwać, zaraz zapragnęliby tam umieścić kilka baz wojskowych. W trakcie podobnej operacji, przeprowadzonej przez ludzi niekompetentnych, aczkolwiek głęboko przekonanych, że Opatrzność dała im prawo decydowania o losach świata, mógłby zginąć nie tylko nasz przyjaciel, ale także wielu niewinnych ludzi.

Wujek Misza ma najgorzej, skoro przypisany jest machinie państwowej. Władza kieruje się swoim interesem i trudno z jej wyżyn dostrzec problemy pojedynczego człowieka.

Przypomniałem sobie w tej chwili widziany w telewizji wywiad z wysokim rangą dowódcą wojskowym. Dziennikarz zapytał: „Dawniej istniały schrony atomowe, w których władze kraju i generalicja mogły skryć się bezpiecznie na wypadek wojny. Jak to wygląda obecnie?” Na to oficer odpowiedział poważnie, bez cienia wstydu czy też autoironii: „Proszę się nie obawiać. Te schrony nadal istnieją. Władze i komendantura wojskowa będą w razie wybuchu wojny całkowicie bezpieczne”

Właśnie tacy ludzie, odpowiedzialni za bezpieczeństwo państwa, a zwłaszcza jego przywódców, będą decydować o przyszłości Czyścica i jego nieszczęsnych mieszkańców.

— Uznaj, że cię tutaj nie było — powiedziała Kaleria do generała. — Spróbujemy sami coś wykombinować.

— Lero — sprzeciwił się wujek Misza — i co wy możecie wykombinować? Nie macie dość sił ani możliwości. Sami nie zdołacie przechwycić Igora w Bołogoje...

— A ty możesz?

— Zadzwońię do jeszcze jednego znajomego — oznajmił. — Kiedyś razem wędkowaliśmy.

— To prawdziwe osiągnięcie — orzekła Kaleria, gdy tymczasem generał wykrecił kolejny numer i czekał, wiedząc od początku, że nikt nie odbierze telefonu.

— Tak więc — podjęła, kiedy generał zakończył kolejną próbę nawiązania kontaktu — chociaż podpowiedz nam, co mamy robić. Jest takie zadanie: koza, kapusta i wilk...

— Jest zadanie — potwierdził. — Znany nam człowiek wysiądzie na stacji Bołogoje o godzinie 5.40. Nie mamy śmigłowca, żeby przerzucić tam Garika i mnie.

— Ciebie też?

— To nie jest robota dla kobiet — odparł z niewesołym uśmiechem. — Mam prawo legalnego

używania broni, więc na pewno przydam się Garikowi w charakterze asystenta. W dodatku mamy już za sobą wspólne doświadczenia.

— Dziękuję — powiedziała szefowa.

Także się ucieszyłem, że chce ze mną jechać. Był człowiekiem sprawdzonym i godnym zaufania.

— Trzeba działać — stwierdził wujek Misza. — Mam jeszcze jeden pomysł rezerwowy. Może zadziała.

— Podzielisz się nim z nami?

— To żadna tajemnica. Znam prawie wszystkich pracowników Dworca Leningradzkiego. Jeśli będziemy mieli szczęście i któryś z nich będzie miał dyżur, postaram się połączyć z Bołogoję specjalną linią straży ochrony kolei.

— I co dalej?

— No cóż, dowiedzą się, że w Bołogoję wysiądzie nasz człowiek, Igor Arturowicz Czechonin. Przekazą mu wiadomość, że jego przyjaciel Gagarin i jeszcze ktoś, przybędą tam trochę później. Na wypadek, gdyby Igor wiedział, dokąd ma jechać dalej, zostawi naczelnikowi tamtejszego posterunku milicji wiadomość ustną lub w formie notatki, dokąd się wybiera, gdzie dopadnie tych, których ściga, plus wszelkie inne istotne informacje. Jeśli to konieczne, niech dadzą mu trochę pieniędzy na drobne wydatki, gwarantuję ich zwrot. Może być?

— Więc idźcie z Bogiem — powiedziała Kaleria. — Nie ma co tracić czasu.

— A ty? — spytał Misza.

— Oczywiście zostanę w instytucie.

— W środku nocy! Twój domownicy będą odchodzić od zmysłów!

— Nie będą — sprzeciwiła się. — Są do tego przyzwyczajeni.

— Ale po co masz tutaj zostawać? — chciał wiedzieć generał.

— Z prostego powodu. Może się zdarzyć i tak, że Igor tutaj zatelefonuje. Nie zna przecież innego numeru. Wam także przyda się taki nieoficjalny kontakt.

— Działamy na granicy prawa — zauważył wujek Misza.

— Wręcz przeciwnie, to szlachetny postępek dla dobra ludzkości.

— Wspaniale — zgodził się generał.

Zostawiliśmy Kalerię w laboratorium, wiedząc, że znajduje się tam również skórzana kanapa, na której można się zdrzemnąć w razie konieczności.

Rozdział piętnasty

Igor Czechonin

Wagon nie był przepelniony. Igor szedł za agentami w bezpiecznej odległości. Zajęli pusty przedział, on zaś tuż obok, za cienką ścianą. Usiadł w pobliżu wyjścia na korytarz. Dopóki pociąg stał na stacji, mógł słyszeć, o czym rozmawiają. Nie mówili jednak o niczym ważnym. Liadow stwierdził, że to znakomicie, że półka sypialna jest wolna, można się bowiem na niej wygodnie ułożyć i przespać.

— Chce się panu spać? — zdziwił się Majoranski.

— To wpływ świeżego powietrza — odparł tamten.

— Muszę panu powiedzieć, że zawsze jeździłem pierwszą klasą. Jest znacznie wygodniejsza i roznoszą herbatę.

— Każdemu, co mu się należy, jak mawiali Rzymianie — rzekł Liadow. — Mnie wystarczy półka.

Zupełnie jak w filmie szpiegowskim, pomyślał Igor. Podśłuchuję niemieckich agentów, którzy chcą zdobyć plany sowieckiej fabryki. Świadomość pragnie wszystko uporządkować według znanych sobie kategorii. W tym systemie szpieg jest bardziej naturalnym zjawiskiem niż jakiś tam świat bez czasu.

Pojawia się kobieta wieku nieokreślonego z dwójką milczących dzieci, które wyglądały przez okno na peron pogrążony w ciemności.

— Ciekawe co z moimi? — zastanawiał się głośno Liadow.

— Kogo ma pan na myśli? — spytał drugi.

— Miałem żonę i córkę. W końcu wywiozła nasze dziecko i uciekła ode mnie. Nie chciała żyć w wiosce z numerem. Było to cztery lata i trzy miesiące temu.

— Skąd pan wie tak dokładnie?

— Kupiłem w Leningradzie na dworcu gazetę, więc wiem, którego mamy dzisiaj — wyjaśnił.

Po długiej chwili milczenia, podczas której słyhać było szelest gazety, Majoranski zauważył:

— Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą szachów. Zagrałibyśmy sobie teraz.

— Boli mnie brzuch — oznajmił Liadow. — Pana nie?

— Nie... na razie nie.

— Diabli wiedzą tego żydka. Podejrzewam, że cała ta szczepionka to zupełna lipa, żeby tylko nas uspokoić. Nie wrócimy już żywi.

— Przestań jęczeć i panikować — przerwał mu Majoranski. — Wypełnimy zadanie powierzone nam przez dowództwo, które lepiej wie od nas, że nasze dobre zdrowie i samopoczucie mają nam w tym pomóc.

— Nie podejrzewam dowództwa — odparł Liadow — tylko doktora. Chce pan poczytać gazetę?

— Nie — odmówił Majoranski. — Po co? Zupełnie jakbym czytał prasę marsjańską. Ani jednego znajomego nazwiska, sprawy lub miejsca. Nawet Leningrad przemianowali. Co za cynizm!

— Zrobimy z tym porządek...

— Ciszej! Chce pan, żeby usłyszał nas każdy milicjant?

— A dlaczego ktoś miałby nas słuchać?

— Zawsze znajdzie się jakiś czujny towarzysz — sprzeciwił się Majoranski. — Tak na Rusi było, jest i będzie. Lepiej niech Pan pomyśli, czy jest absolutnie pewien, że znajdzie to, czego szukamy?

— Dlaczego nie? Muszę iść do toalety — oznajmił po chwili Liadow.

Majoranski zachichotał. Wydało mu się to bardzo zabawne.

„Mnie także wydało się to zabawne — zauważył w myślach Igor. — Chętnie bym teraz coś przekąsił, tylko że nie mam forsy. Może by tak podejść teraz do tamtych i powiedzieć: pożyczcie sto rubli, oddam w Smolnym u Berii. Ach, zawołają, skąd pan się tu wziął? A ja na to: Ławrientij Pawłowicz wysłał mnie, żebym was śledził, intelektualści”.

Liadow udał się do toalety i prędko wrócił, Igor zdążył jednak zajrzeć ukradkiem do sąsiedniego przedziału, by zobaczyć, że Majoranski jednak przegląda gazetę.

— Zamknięte — oświadczył Liadow. — Całkiem zapomniałem, że na postojach nie wolno korzystać z toalety.

— Wkrótce ruszamy — zapewnił kolega. — Przejrzałem gazetę i stwierdziłem, że wszystkie tak zwane procesy demokratyzacji są całkowicie odwracalne. Nie bez powodu pozostawili obwód leningradzki. W razie czego bezboleśnie powrócą do dawnych wartości.

Pociąg drgnął lekko i zaczął ruszać. Mali chłopcy zaczęli szeptać, pokazując sobie coś dziwnego za oknem. Kobieta rozwinęła spory pakunek z pieczonym kurczakiem, pomidorami i bochenkiem chleba. Wszystko według najlepszych podróźniczych tradycji. Druga godzina w nocy, ale ona musi zjeść kolację i nakarmić dzieciaki. Zapach jedzenia był naprawdę kuszący. Chłopcy odkleili się wreszcie od okna, zasiedli przy stoliku i zamarli, patrząc jak matka kroci kurczaka i pomidory.

Pociąg był osobowy, więc zanosilo się na to, że będzie się zatrzymywał na wszystkich stacjach.

Igor zdrzemnął się niezauważalnie dla siebie, co zdarzyło mu się po raz pierwszy od kilku miesięcy. Ocknął się, kiedy pociąg znów się zatrzymał. Zdaje się, że niedaleko ujechali. Dały się słyszeć różne hałasy, gdyż w wagonie nie wszystkim chciało się spać. Jego sąsiedzi zdążyli wszystko zjeść — na papierze leżały kurze kostki, niejadalne części o ido rów i resztki chleba. Pośrodku stolika stała pusta butelka po lemoniadzie. Chłopcy spali na górnej półce, na dolnej kanapie kobieta. Nie wzięli pościeli, zresztą mało kto uczynił to w tym pociągu, gdyż większość pasażerów jechała nie do samej Moskwy, lecz do różnych miejscowości między Pitrem a Twerem, a przy tym mało kogo było na to stać.

Za ścianką rozległ się głos Majoranskiego:

— Co się dzieje z organizmem, kiedy ulega skażeniu?

Liadow nie odpowiedział wprost, lecz stwierdził:

— Dziwne, tyle razem przeszliśmy tam, w podziemiu, graliśmy tysiące razy w szachy, a nigdy mi nie przyszło do głowy, że nas stowarzyszą.

— Taki zawód — odparł Majoranski.

— Nie o tym mówię. Myślę, że świat żywych działa na nas w szczególny sposób. Stajemy się znowu ludźmi, a cechą charakterystyczną człowieka jest ciekawość.

— Nie odpowiedział mi pan na pytanie, jakie zmiany zachodzą w organizmie.

— Mogę o tym powiedzieć tylko w dużym przybliżeniu.

— Jestem bardziej doświadczony od pana.

— Ale dzieli nas jedno pokolenie i nie da się tego przeskoczyć.

— Nie pan mówi.

— Oto palec — zaczął Liadow — a oto mózg...

Pojazd szarpnął znacznie mocniej niż w Petersburgu i pojechał dalej. Zastukały koła. Liadow trochę podniósł głos, Igor zaś przesunął się tak, by jego głowa dotykała przegródki, dzięki czemu mógł podsłuchiwać.

— Jeśli chcesz poruszyć palcem — mówił Liadow — mózg Wysyła nerwowy impuls, a przy tym wydziela się enzym.

— Nie tłumacz mi jak dziecku — obruszył się Majoranski.

— Zapytał pan, więc odpowiadam. Cały sens naszego odbycia polega na tym, że trująca substancja zmienia ten enzym i poraża główny system nerwowy. Ciało przestaje słuchać mózgu.

— Mniej więcej sobie to wyobrażam. Prace nad tym toczyły się tylko u nas?

— Eee, wszyscy to wiedzą, tylko się nie mówi o tym głośno. W Stanach też nad tym pracowali.

— Z jakim efektem?

— Jak by to powiedzieć? Kiedyś w laboratorium byłem tak pochłonięty rozmową, że dotknąłem niechcący gumową rękawiczką do nieosłoniętego miejsca na drugiej ręce. Tutaj, przy nadgarstku... Zaraz zaczęła się panika! Natychmiast wstrzyknęli mi antidotum...

— Zabawne — orzekł Majoranski — ale to nic specjalnie nowego.

— Powiem tak — zaproponował Liadow — mamy gigantyczne możliwości, lecz mało pieniędzy. Mógłbym na przykład spreparować z wódki taką truciznę, że nikt by się nie połapał od czego umarł. Powiedzmy, że zaplanuję czas zatrucia na jeden rok. Końcowy efekt nastąpi po czwartej dawce. Jeśli w ciągu roku przyjmiesz cztery razy po sto gramów, już po tobie. Wypiję z tobą pierwszą kolejkę i nie spotkam się z tobą więcej do czasu aż nie nastąpi kumulacja efektu. Pozostanie ci do śmierci jeszcze trzysta gram. Z dowolnej butelki, rozumiesz?

— Za moich czasów też były niezłe trucizny — rzekł Majoranski. — Pewnie pan o tym nie słyszał, bo to były tajne działania, że likwidowaliśmy w ten sposób niektórych niebezpiecznych wrogów ojczyzny.

— Wiem — oświadczył tamten. — Banderę i jego pomocnika, Trockiego... nie, jego zarabaliście siekierą. Papieża...

— Nie wiesz, to nie gadaj — odparł z niezadowoleniem Majoranski.

Zły był z powodu, że jego współpracownik wie zbyt dużo albo przeciwnie, że jest niedostatecznie poinformowany.

— Wiem: luizyt, iperyt, fosgen... — Liadow nie ukrywał swojej przewagi. — To wszystko pieśń przeszłości. Czytał pan może o pewnej japońskiej sekcji...

— Nie czytuję o japońskich sekcjach.

— No i dobrze...

Liadow miał ochotę się obrazić, nie zważając na fakt, że w ten sposób straciłby partnera do rozmowy.

— Proszę mówić dalej, panie kolego — starał się go udobruchać Majoranski.

— W lipcu lub sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego słynne było w Moskwie

zabójstwo bogatego bankiera i polityka Iwana Kivelidi. Poczul się źle w pracy, przyjechała karetka. Początkowo zdiagnozowali kolkę nerkową, a w nocy zmarł na obrzęk mózgu.

— Pięknie — ocenił Majoranski.

— Nikt nie mógł dojść przyczyny śmierci. Jedyнным punktem zaczepienia był fakt, że dzień po nim w tym samym gabinecie zmarła jego sekretarka. Sekcje zwłok niczego nie dały...

— Takie postawiłem sobie zadanie: trucizna powinna opuścić organizm po kilku minutach — wtrącił Majoranski.

— Tylko że to nie był ten rodzaj trucizny. Chociaż w organizmie nie stwierdzono śladów otrucia, zaczęli przeszukiwać gabinet i zobaczyli brązową plamkę na słuchawce telefonicznej. Na szczęście dla śledczych, przez dwie doby substancja straciła swą moc, lecz pomimo tego udało się dojść, że był to, cytuję z pamięci: „odpowiednik wojskowej fosforowej, organicznej substancji, paralizującej system nerwowy”. Receptura nieznaną. Rozumie pan?

— Rozumiem — odrzekł Majoranski. — Zrobiła to konkurencja? Sądzę, że nie dzieliliście się z kolegami informacjami, a im także nie przyszloby chyba do głowy...

— Zrobiliśmy dziesiątki tysięcy prób!

— Wszystko to już przeszłość — stwierdził starszy szachista. — Zupełnie jak u mnie.

Pociąg ruszył szybciej i stukot kół zagłuszał rozmowę.

Niestety, potwierdziły się najgorsze obawy Igora. Tamci jechali, aby wypuścić, choć na razie nie wiadomo gdzie, jak w jakiej dawce, trującą substancję nowego typu. Liadow pracował w owej tajemniczej Maksimowce. Majoranski natomiast to stary wyga, który działał jeszcze za czasów Berii, skoro brał udział w zamordowaniu Bandery. Rozmawiali spokojnie, najwyraźniej wcale nie przejmując się straszną rzeczą, jaką przyjdzie im zrobić.

Ciekawe, czy do Moskwy dotarły wieści? Czy Wierka spełniła prośbę Igora?

Jeśli w Bołogoje nie otrzyma żadnego sygnału na ten temat, będzie musiał działać sam. Musi powstrzymać agentów Berii, zanim dobrać się do składów trucizny.

Pociąg nieco zwolnił.

— Ciekawe, czy zabójca biznesmena wiedział, z czym ma do czynienia? — zastanawiał się Majoranski.

— Najprawdopodobniej sprowadził śmierć i na siebie.

— Być może nie zdawał sobie sprawy. Jeśli aktywacja działania trwała ileś tam minut albo nawet godzin, mógł spokojnie opuścić gabinet i umrzeć na ulicy.

Pociąg zaczął się zatrzymywać.

Kobieta otworzyła oczy i wlepiła wzrok w latarnię za oknem. Chłopcy spali.

— Przepraszam, która godzina? — spytał Igor.

— W twoim wieku pora sobie kupić zegarek — odrzekła tamta opryskliwie, potem jednak spojrzała na własny. — Za dwadzieścia czwarta.

Wkrótce będą więc w Bołogoje. Igor wciąż oczekiwał, że tamci zaczną rozważać, jak jechać dalej. Jak dotąd nie było o tym ani słowa. Zamiast tego dwaj fachowcy wciąż się spierali. Majoranski usiłował dowieść, że trucizny z czasów jego młodości były wcale nie gorsze od tych, jakie produkowała firma Liadowa. Gdyby młodzieniec wsłuchiwał się uważnie i wszystko zapamiętywał, dowiedziałby się szczegółów na temat skali temperatur, w jakiej preparuje się współczesne trucizny, o sposobach ich zastosowania w wodzie, powietrzu, a nawet w próżni i o letalnym stężeniu, przy którym zabija wszystkie żywe istoty, znajdujące się w polu rażenia. Usłyszał także o tym, że V-X,

być może właśnie tajemniczy zabójca, posiada stężenie letalne 0,015 miligrama na jeden kilogram. Nie wszystko z tej rozmowy jednak rozumiał gdyż agenci pomijali sprawy dla nich oczywiste.

Chłopak nie przestawał przysłuchiwać się rozmowie, lecz jednocześnie zaczął gubić się we własnych myślach. Agenci zresztą w końcu zamilkli. Być może poczuli zmęczenie, a może strach przed zbliżającym się zadaniem. Skoro ktoś pracuje dla Berii, nie może być przecież pewien dnia ani godziny.

* * *

— Bołogoje, Bołogoje! — powtarzał w głos konduktor, przechodząc korytarzem wagonu. — Nie śpimy, wstajemy, pamiętamy o bagażach.

Igor zbudził się. Pociąg znowu zwalniał. Za oknami błysnęły światła.

Młodzieniec był bez bagażu. Nie wpuszczą go do porządnego hotelu. Z ubrania miał tylko kurtkę, dżinsy, a pod spodem podkoszulek gimnastyczny i bokserki. Odzież w trakcie życia w Czyścću podlegała nieuchronnemu uproszczeniu. Po co ona komukolwiek? Tylko resztki zasad moralnych i starych przyzwyczajzeń kazały tam nosić ubranie. Było jednak też sporo naturystów, więcej niż w normalnym świecie. Prawie zawsze można było znaleźć golasów na brzegu Newy w pobliżu Twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie urządzili sobie plażę. Inni znowu chodzili bez przydzwiewku z przyczyn ideowych.

Świt jeszcze nie nastał, w końcu był to początek jesieni. Ręka jednego z malców zwieszała się bezwładnie z półki. Obok przedziału Igora szybko przemknęli agenci. Młodzieniec wstał i ruszył do wyjścia. Oprócz nich wagon wypuł jeszcze grupkę tych, którzy jechali do pracy gdzieś w okolicach Bołogoje, tak więc na peronie trzecim, w jaskrawym świetle latarń znalazło się trochę ludzi. Prawie nikt nie rozmawiał, wszyscy szli do wyjścia jak w kondukcje pogrzebowym. Panował ponury i senny nastrój.

Igor bez trudu wyłuskał z tłumu tych, których śledził. Drżeli na całym ciele, odczuwając, podobnie jak on, chłód poranka. Nie było bardzo zimno, według Igora co najmniej dziesięć stopni, lecz wszyscy trzej odwykli przecież od chłodu. Na dodatek powiał wiatr. Szczyty drzew zaszumiały, budząc trzepoczące skrzydłami wrony.

Tłum zaczął się rozchodzić w różne strony: w stronę budynku dworca lub na inne perony. Agenci Berii udali się na stację. Igor szedł dziesięć kroków za nimi i zastanawiał się, co ma zrobić człowiek, który nie ma ani kopiejki. Kierowca autobusu na pewno go nie wpuści.

No cóż, w najgorszym razie zapamięta numer autobusu i zaczeka do świtu. Jakoś dodzwoni się do instytutu, nawet jeśli będzie zmuszony żebrać.

Dźwięczny kobiecy głos komenderował parowozami manewrowymi, które przewoziły wagony z peronu na peron, formowały składy pociągów lub zajmowały się innymi, równie pożytecznymi sprawami. Igor, dopiero gdy stanął u wejścia na dworzec, zorientował się, że komunikat z głośnika odnosi się także do niego. Nikt zresztą nie zwrócił na te słowa uwagi, gdyż ludzie przechodzili, rozmawiając między sobą, zajęci własnymi sprawami.

— Igor Czechonin proszony jest o zgłoszenie się na posterunek dworcowy milicji do porucznika

Swieczkina...

Kiedy się w końcu połapał, że mowa o nim, w pierwszej chwili zastygł od nieoczekiwanej radości. Ogarniała go już rozpacz z powodu własnego osamotnienia i niemożności, że nic tylko sięgnąć i płakać... aż tu nagle odezwał się zbawczy głos z nieba! Budzący zaufanie kobiecy głos nakazuje ci odnaleźć przyjaciela...

Rzucił się w pierwszej chwili w stronę posterunku, ale nagle zrozumiał, że nie powinien tego robić. Milicja i porucznik Swieczkin nie uciekną, a najważniejsze to zorientować się, dokąd poszli agenci. Wyszukał w tłumie czub włosów Liadowa. Postarał się także ku nim przybliżyć, gdyż chyba nie podejrzewali, że są śledzeni, a warto było posłuchać, o czym rozmawiają.

Powietrze jednak było znacznie gęstsze niż w Czyścucu i wypełnione odgłosem licznych kroków, oddechów, stłumionych głosów, szurania podeszew butów i szumu wiatru. Musiał podejść całkiem blisko, przy czym potracił kogoś. Tamten go obrugał, na co się Liadow obejrzał. Spotkali się wzrokiem z Igorem. Na razie go nie poznawał, ale na pewno zauważy następnym razem. Póki co nie ma strachu. Szli przed nim w odległości trzech kroków. Dopiero w tym momencie młodzieniec zorientował się, że Majoranski zaczesywał łysinę w taki sposób, żeby z przodu nie było jej widać. A Liadow był wąski w ramionach.

— Pamięta pan, jak mamy jechać? — zapytał Majoranski.

— Prędzej zapomnę imię własnej matki — zaśmiał się tamten. — Tysiące razy jeździłem tam autobusem. Miałem laskę w Pitrze.

— Laskę?

— Panienkę po waszemu. Z Petersburga. Jeździłem do niej raz w tygodniu, a żonie mówiłem, że jadę na konsultacje do technikum chemicznego.

Na placu stało kilka autobusów z zapalonymi światłami. Czarne sylwetki pasażerów rozmieszczały się po ich wnętrzach. Liadow podszedł do prawie pustego autobusu nr 72. Igor zapamiętał numer i pobiegł z powrotem na stację. Przy wejściu natknął się na funkcjonariusza.

— Gdzie znajdę porucznika Swieczkina?

— A na co ci on? — zapytał milicjant, wypluwając łupinę i biorąc do ust kolejną pestkę dyni.

— Wzywali mnie do niego przez głośnik. Mam iść natychmiast.

— Nie słyszałem.

— Nie ma czasu! Oni uciekną...

— Kto ucieknie?

Milicjant był w złym nastroju i nie chciało mu się ruszać z miejsca, więc przeciągał rozmowę. Igor, prawie go odpychając, wbiegł do hali dworcowej. Wtedy funkcjonariusz powoli odwrócił się za nim i zawołał:

— A ty dokąd?

Niczego lepszego nie potrafił wymyślić.

— Gdzie jest milicja? — spytał Igor mężczyznę w skórzanej kurtce.

— O tam — odparł facet, pokazując drugi koniec sali.

Z tyłu rozległ się tupot nóg milicjanta.

— Zaczekaj — powiedział — nie spiesz się...

— Odczep się pan — odparł Igor.

Ujrzał w świetle młode, gładkie i różowe oblicze z groźnie ściągniętymi, jasnymi brwiami. Igor rzucił się w stronę posterunku, milicjant za nim. Młodzieniec wyczuł przez skórę niebezpieczeństwo.

Funkcjonariusz zaczął wyciągać pistolet z kabury.

Byle tylko zdążyć dobiec na posterunek. Chyba nie da rady...

Drzwi z napisem „Milicja” rozwarły się gwałtownie i wytoczył się przez nie pijany włóczęga, wrzeszcząc:

— Ja wam jeszcze pokażę!

Ledwie się trzymał na nogach. Wypychający go z posterunku niewysoki, chudziutki, podobny do makaka o niskim czole, porucznik nie usłyszał okrzyku:

— Padnij!

Rozległ się ogłuszający wystrzał. Ktoś krzyknął przeraźliwie. Igor, zamiast paść na ziemię, wpadł prosto w otwarte drzwi, w ramiona porucznika, zwalając go całkiem z nóg. Gruchnęli o podłogę, podczas gdy milicjant z różową buźką ryczał dalej na zewnątrz:

— Stój, bo będę strzelał!

Młodzieniec nie spieszył się ze wstawaniem, doszedł bowiem do wniosku, że bliski kontakt z porucznikiem może go uratować.

— Wstawaj, bo strzele! — krzyczał już nad jego głową milicjant i słychać było, że ma wielką ochotę zastrzelić chłopaka.

— Co ty wyprawiasz?

Porucznik szybko doszedł do siebie, lecz także nie zamierzał ryzykować i wstawać szybko na nogi.

— Aresztuję go za próbę zamachu na pana — odparł funkcjonariusz.

— Pan jest porucznikiem Swieczkinem? — zapytał młodzieniec.

Wciąż leżąc, porucznik odpowiedział pytaniem:

— Igor Czechonin? Mam dla pana przesyłkę.

Wyciągnął z kieszeni zwyczajną kopertę.

— Są w niej dwie setki — wyjaśnił — z polecenia Moskwy... Zabieraj te swoją pukawkę! — zaczął krzyczeć na podwładnego. — Czuj się zwolniony!

— Jeszcze się do niego dobiore — upierał się milicjant.

— Ja ci się dobiore! Oddawaj broń!

Z głębi pomieszczenia wyszli jeszcze dwaj milicjanci. Jeden pomógł wstać porucznikowi. Igor wstał także.

— Mogę już iść? — spytał.

— A idź wykonać swoje zadanie! — wydał rozkaz porucznik.

— Pan go wypuszcza? — zdziwił się ten z różową gębą.

— A ty, ośle, odpowiesz za napaść na przełożonego.

— No co pan?

— Dokładnie tak!

Igor szybko opuścił posterunek, słysząc za plecami podniesione głosy funkcjonariuszy.

Znowu omal nie zginąłem, pomyślał Igor. Chyba mam pecha.

Na placu było trochę mniej autobusów. Numer 72 akurat ruszał z miejsca. Igor rzucił się za nim, ale na próżno, nałykał się tylko spalin. Może należałoby wrócić na komisariat i tam dowiedzieć się, dokąd odjechał ten autokar. Nie miał jednak ochoty tam wracać. Może znowu ktoś zacznie strzelać. W tej chwili zresztą zauważył odjeżdżający spod dworca milicyjny gazik, w którym za kierownicą siedział „różowy”, z tyłu zaś porucznik Swieczkin. Tak urwała się krucha więź z miejscowymi

organami porządku. Nawet nie zdążył zapytać, skąd przyszły pieniądze. Najpewniej od Garika, ciekawe tylko, jakim cudem udało mu się tak błyskawicznie je przekazać. Gdyby nie głupi incydent, porozmawiałby z porucznikiem i może by mu pomogli...

Wszedł do sali dworcowej. Była pusta, jeśli nie liczyć wypędzonego z komisariatu bezdomnego, który drzemał na ławce. Drzwi posterunku były zamknięte. W informacji zastał kartkę „Zaraz wracam”. Na placu pozostał już tylko jeden autobus. Igor podszedł i zapytał kierowcy:

— Przepraszam, numer siedemdziesiąty drugi jedzie do Maksimowki?

— Nie wiem — odparł kierowca. — Pracuję tu od niedawna.

Młodzieniec usłyszał w tej chwili krótki klakson za plecami, jakby ktoś go wzywał. Odwrócił się. W odległości dwudziestu kroków stał moskwicz. Ktoś otworzył tylne drzwiczki. Igor podszedł do samochodu z nadzieją, że skrywa w swym wnętrzu Garika lub wujka Misze.

— Wsiadaj, wsiadaj — usłyszał kobiecy głos.

Głos jakby znajomy. Wnętrze auta było trochę ciemne, lecz światło dworcowych latarni wydobywało jasne plamy. W środku siedziała Wierka Snajper z Dworca Moskiewskiego. Igor wsiadł w milczeniu. Nie dlatego, że go zamurowało, tylko nie wiedział, kto siedzi za kierownicą. Szofer ubrany był w watowaną kurtkę i kapelusz, spoczywający na odstających uszach. Nie odwracając głowy, spytał ochryple:

— Dokąd jedziemy?

— Wiesz przecież — odparła dziewczyna. — Do sowchozu.

— Prawda, do sowchozu.

Samochód ruszył prędko po szosie, jadąc w ślad za autobusem nr 72. Igor spoglądał na profil Wiery. Dziewczyna patrzyła przed siebie. Jej profil był wyraźny i regularny. W jednej chwili zrozumiał, że nie jest osobą, za jaką się podawała.

— Czemu mi się tak przyglądasz, mój sokole? — zapytała z uśmiechem.

Zniknął gdzieś głos pijaczki...

— Jak mnie znalazłaś?

— Weź z powrotem zegarek — powiedziała. — Przyda ci się.

— Mam już forszę i zwrócę ci dług.

— Innym razem.

— Jak mnie znalazłaś?

— Wsiadłam do pociągu i dojechałam — wyjaśniła. — Najzwyczajniej w świecie.

— Ale dlaczego?

— Żeby ci oddać zegarek. Pomyślałam, że ci się przyda.

— Czekalaś na mnie na placu?

— Usłyszałam jak cię wzywają przez głośnik. Tak więc jesteś w organach.

— Słowo honoru, że nie. Wiesz, że nie kłamię.

— Może i wiem.

Pochyliła się w stronę kierowcy i zapytała:

— Daleko jeszcze?

— Jakies piętnaście kilometrów. Droga pusta, więc szybko dojedziemy.

— Ale dlaczego pojechałaś?

— Wytrzymaj jeszcze trochę, przecież słyszałaś: tylko piętnaście kilometrów pustą drogą.

Igor zamilkł. Przyglądając się dziewczynie uważniej, stwierdził brak przykrego zapachu,

budionnowskiego kasku i obszarpanego szynela. Kiedy zdążyła się przebrać?

— Miałam wszystko przy sobie — odpowiedziała na jego nieme pytanie — w dworcowej przechowalni bagażu.

— Jesteś z Moskwy?

— Tak.

— Także ich śledziłaś?

— Jeśli powiesz mi o kogo chodzi, może odpowiem.

— Jesteś od wujka Miszy? — zapytał chłopak.

— Od kogo?

Jej zdziwienie było tak oczywiste, że Igor uwierzył od razu. Głowa w kapeluszu na przedzie kiwała się miarowo, wyraźnie nadstawiając uszu. Prawie wyprzedzili autobus. Nieoczekiwanie szofer powiedział:

— To właśnie nr 72. Czy ten ścigamy?

— Prawdopodobnie — odpowiedziała Wierka.

— Jak chcecie, zatrzymam się za nim na przystanku i przesiądziecie się?

— Nie chcemy — odparła.

— Wasza sprawa.

Samochód wyprzedzał autobus. Wewnątrz pojazdu paliło się światło. Widać było przyciśnięty do szyby nos Liadowa, w tle majaczyła bródka Majoranskiego. Dobrze jedziemy, pomyślał Igor.

— Są tam? — zapytała dziewczyna.

Młodzieniec skinął głową. Wierka wyraźnie nie chciała rozmawiać przy kierowcy, zwyczajnym człowieku, który na co dzień dyżurował przed stacją, aby rozwozić miejscowych po okolicznych wioskach.

Skoro nie jest tą osobą, za jaką się podawała, jej pojawienie się na przystanku tramwajowym przed fabryką, w której znajduje się przejście, mogło być spowodowane setką przyczyn. Najlepiej, gdy sama przedstawi swoją wersję wydarzeń. Miejmy nadzieję, że to uczyni. Starał się jej zaufać. Skoro po domu zaczął hulać diabeł, lepiej wejść w sojusz z miejscowymi wiedźmami, niż przeganiać go w pojedynkę. Tym bardziej, że dziewczyna się umyła i stała się bardziej podobna do człowieka.

— Zimno ci? — zapytała.

— Da się wytrzymać. Jak się naprawdę nazywasz?

— Możesz dalej nazywać mnie Wierą. W ogóle, im mniej kłamiesz, tym trudniej łapać cię za słówka.

— Gdzie się chcecie zatrzymać? — spytał kierowca.

— Na przystanku autobusowym — poleciła Wiera. Szybciej, niż Igor zdążył sobie wyobrazić.

— Ja zapłacę — oświadczyła jeszcze — tak się umawiamy.

— Mam pieniądze.

— Zatrzymaj je dla siebie.

Zapłaciła kierowcy. Samochód zatrzymał się pod latarnią. W pobliżu była wiata i słup z rozkładem jazdy. Na ławeczce pod wiatą siedziały dwie starszuszki z bidonami i torbami na zakupy. Zapewne wybierały się na targ w Bołogoje. Samochód odjechał z piskiem opon, nie zabierając starsuszek.

Wiał ostry wiatr i młodzieńcowi zrobiło się zimno. Na dodatek poczuł skurcz żołądka i musiał przeprosić dziewczynę. Skrył się w krzakach za przystankiem, czerniejących na tle sinego, coraz

bardziej jaśniejszego nieba. Wiera podeszła do niego. Igor miał silne mdłości.

— Źle się czujesz? — spytała.

— Nie wiem — odparł. — Może będzie jeszcze gorzej.

Nadjechał jaskrawo, niemal świątecznie rozświetlony autobus. Majoranski i Liadow wysiedli, a dwie babiny zaczęły wciskać do środka swój dobytek. Nikt więcej tutaj nie wysiadał.

— Można tu zamarznąć — stwierdził Majoranski. — I po co się na to zgodziłem!

— A miałeś wybór? — zapytał kolega.

— Nie pańska sprawa!

— Domyślam się, że Ławrientij Pawłowicz miał pana na widelcu.

— W którą stronę idziemy? — chciał wiedzieć Majoranski.

— Zaraz — oznajmił młodszy z szachistów. — W zasadzie nic się nie powinno zmienić, ale dawno już tutaj nie byłem.

— Chodźmy, bo zamarznę. Mogli to przewidzieć i wydać nam lepszą odzież.

— Rozgrzejemy się szybko idąc — oznajmił Liadow. W tej samej chwili zakaszłał.

— Co za miła niespodzianka — stwierdził. — Od lat nie kaszlałem.

— Głupiec! — krzyknął starszy z agentów. — Teraz byle jaka bakteria może okazać się dla nas zabójcza.

Wiera chwyciła Igora za łokieć, chciała chyba zapytać go o coś ważnego, ale wystraszyła się, że zostanie usłyszana przez tamtych.

— Idziemy — rzekł Liadow.

— A daleko?

— Niech się pan nie boi, nie zamarzniemy. Słońce wschodzi, zaraz nam ptaszki zaśpiewają... A brzuch pana nie boli?

— Cholerny doktor — warknął Majoranski. — Szkoda, że nie wpadł w moje ręce, kiedy kierowałem laboratorium.

Poszli szosą do oddalonej około sto metrów latarni. Igor odczekał, aż się oddalą.

— Wiesz, dokąd oni idą? — spytała Wiera.

— Do Maksimowa — rzekł z przekonaniem Igor.

— Nie zgadłeś! Tam jest sowchoz imienia Maksyma Gorkiego.

— Cholera! — syknął przez zęby. — A ja im napisałem: Mak — simowka! Na pewno niczego nie znaleźli!

— A co jest w tej waszej Maksimowce? — zapytała dziewczyna.

Robiło się coraz jaśniej i młodzieniec mógł ocenić, że Wiera ma całkiem zgrabną figurę, czego nie można było stwierdzić, gdy chodziła w szynelu.

— Myślę, że wojskowe zakłady — oświadczył. — Ich celem jest wypuścić jakimś sposobem biologiczną truciznę albo paraliżujący gaz, żeby zabić jak najwięcej, a najlepiej wszystkich ludzi na Ziemi.

— To okropne! Skąd ta pewność?

— Ponieważ przybyłem do was razem z nimi.

— Jak to: do was?

— Wyjaśnię ci, chociaż trudno to zrozumieć. Na pewno pomyślisz, że jestem stuknięty albo ty zwariowałaś, a przede wszystkim mi nie uwierzysz.

— Więc powiem ci — zaszepiała — że jestem reporterką „Moskiewskiego Komsomolca”. Znasz

taką gazetę?

— Brukowiec.

— Dla kogoś może brukowiec, a dla kogoś normalna gazeta. W każdym razie nikogo się nie boimy. Mieliśmy pewne sygnały i udało nam się dotrzeć do niektórych dokumentów...

— Jakich dokumentów?

— Istnieje świat równoległy... Tylko się teraz nie śmieję!

— Mów dalej.

— Istnieje świat alternatywny. Nasza Służba Bezpieczeństwa wie o tym i nie uważa wcale tej informacji za idiotyczną. Zdołali wyjaśnić w ten sposób zniknięcie niektórych ludzi. Czemu nic nie mówisz?

— Rozglądam się po okolicy — odpowiedział. Próbował zapamiętać drogę, jak Tomcio Paluch ukryty w kieszeni olbrzyma. Po bokach drogi znajdowały się wiejskie chaty, które potem się skończyły, zastąpione przez piętrowe baraki. Okna w nich były ciemne, jak to wczesnym rankiem. Gdzieś zaszczekał niegłośno pies, jakby rozumiał, że nie należy budzić ludzi o tej porze. Biała tabliczka, przybita do drewnianego płotu, wydawała się niebieskawa w porannej mgle. Napisane było na niej: „ul. Sowiecka 2”. Ulica była skąpo oświetlona, latarnie stały co sto metrów, a między nimi panował półmrok. Dwie postaci idące z przodu zniknęły, skręcając w prawo.

— Uważajmy, żebyśmy ich nie zgubili — powiedział Igor.

— Jestem profesjonalną dziennikarką — oznajmiła dziewczyna. — Dlatego, podczas gdy ty biegalesz za nimi, a potem odwiedziłeś posterunek, dowiedziałam się od ludzi, że autobus nr 72 jedzie do sowchozu imienia Maksyma Gorkiego. To jednak nic nie znaczy, ponieważ sowchoz jest w rzeczywistości przykrywką dla szpiegów. Droga wiedzie dalej do Zichan 1. Są tam ukryte zakłady chemiczne.

— Rozumiem — przytaknął.

— Niczego nie rozumiesz — odparła. — Ponieważ droga się tam nie kończy, lecz prowadzi dalej w las do PITOS.

— Co to takiego?

— Państwowy Instytut Technologii Organicznej Syntezy albo Zichany 2. Wcześniej była to filia instytutu naukowo-badawczego chemii organicznej i technologii, a jeszcze dawniej filia nr 14 przy urzędzie pocztowym 47. Tam jest centrum życia i śmierci.

— Rozumiem — powtórzył.

— Najważniejsze jednak znajduje się dalej: jeszcze siedem kilometrów przez las.

— Co tam jest?

— Zichany 4, baza wojskowa Ministerstwa Obrony, poligon na dwudziestu hektarach i wojskowy instytut, brygada szybkiego reagowania nr 534697 i miasto z czterema tysiącami mieszkańców.

— Pominęłaś Zichany 3?

— Może wcale ich nie było.

— Jak się tego wszystkiego dowiedziałaś? Od tutejszego szofera?

— Nie. Zajmowałam się tematem składowania odpadów broni chemicznej. Zbyt wiele się nie dowiedziałam, ale bywałam tu i ówdzie, a także widziałam różne dokumenty. Problem obecnie polega na tym, że brakuje środków, żeby to wszystko utrzymać, a zarazem brakuje też pieniędzy na likwidację dziesiątków tysięcy ton trujących substancji. Wystarczy tego cholerstwa, żeby zniszczyć wszelkie życie na Ziemi.

— Amerykanie też mają coś takiego? — zaniepokoił się Igor, unosząc się niespodziewanie patriotyzmem.

— Brawo — pochwaliła go Wiera — śmiało, towarzysze, do dzieła. Niestety, mówimy o bazie, która została zakonserwowana: nie przeprowadza się tam już doświadczeń, składy zaś są niedostępne dla złoczyńców.

— Mówisz o wojskowych Zichanach?

— Nie, gdyż tam są ludzie, brygada składająca się z dwóch kompanii i cywilni mieszkańcy. Wojskowi nie są zresztą pewni, czy na zawsze zakazano posługiwania się bronią chemiczną i biologiczną. Może znowu trzeba będzie szturmować pałac Idiego Amina? Słyszałeś o Aminie?

— Skąd, przecież jestem kosmitą — mruknął Igor.

— Nie kpij. Masz wypisane na czole, że jesteś z tamtego świata. Węszę tutaj nie pierwszy tydzień. Ścigani przez ciebie też są stamtąd. Miałam fart do ciebie, będziesz szczeblem w mojej karierze.

— Wiera, daj spokój — odparł. — Tamci znowu gdzieś skręcili.

— Chcą ominąć teren poligonu — wyjaśniła. — Moje serce czuje, że skierowali się do zamkniętego obiektu Zichany 2.

Nad polem snuły się poszarpane warstwy mgły, przypominające japońskie grzyby, które dawniej trzymano w domach. Rosły na parapecie, wydzielając sok do wody, która nabierała specyficznego, kwaśnego smaku. Piły tę wodę całe rodziny, włączając w to niewinne dzieci. Ktoś potem ogłosił, że grzyby są rakotwórcze i znikły z domów. Igor nigdy nie dowiedział się, czy naprawdę pochodziły z Japonii. We mgle brodziły po pas odległe postacie chemików Berii.

— Nie spiesz się tak — zwróciła mu uwagę. — Jeśli wyjdziemy na odkryty teren, mogą nas zauważyć. Lepiej chwilę zaczekajmy. Ta droga prowadzi tylko do Zichan 2.

— Może usiądę? — spytał młodzieniec.

Nogi bolały go tak, jakby miały za chwilę odpaść, przy czym nadal miał mdłości.

— Źle na ciebie działa nasze powietrze? — spytała.

— To także moje powietrze — odrzekł z lekka urażony.

— No dobrze, więc wyjaśnij mi to. Możesz mi wierzyć, mam całkiem racjonalny umysł, ale jestem też w stanie przełknąć najbardziej niewiarygodną informację. Jestem na to gotowa. Musisz wiedzieć, że byłam dwa miesiące w niewoli u Czeczenów, bez światła i ze słuchawkami na uszach, tłumiącymi wszystkie dźwięki.

Igor stwierdził, że postaci śledzonych znowu znikły im z oczu.

— Zobacz...

— Myślę, że skoro ty jesteś zmęczony, tamci tym bardziej — uspokoiła go. — Jesteś młody, a oni znacznie starsi. Na pewno także usiedli.

Miała rację. Kiedy mgła nieco opadła, zza krzaka na brzegu pola, za którym ukryli się Igor i Wiera, można było dostrzec, iż jeden z agentów siedzi, drugi zaś położył się na ziemi. Trawy i liście wydawały różnorodne zapachy, od których młodzieniec dawno odwykł, miał więc coraz silniejsze mdłości.

— Jeśli czujesz się wystarczająco na siłach — zaczęła dziewczyna — opowiedz mi teraz wszystko, co się da, bo może później nie będzie na to czasu.

— Więc słuchaj — zaczął młodzieniec, postanawiając wreszcie być szczerym.

Nie przysięgał nikomu dochować tajemnicy, czuł natomiast, że im więcej dziewczyna się dowie,

tym bardziej będzie jej można zaufać. Mógł się jej wreszcie przyjrzeć w świetle poranka. Miała wystające kości policzkowe, ciężkie powieki, niskie, szerokie czoło... Twarz jak ze starej ikony. Oczy zielonkawe. Szerokie ramiona i niezbyt wydatny biust. Jego oczy wychwytywały detale jej postury i twarzy, lecz całość na razie wymykała się percepcji.

Spoglądając co pewien czas na pole, czy szachiści przypadkiem się nie ruszają, Igor opowiedział Wierze pokrótce o podziemnym świecie i o tym, w jaki sposób trafiają do niego ludzie, zdołał także w ciągu dziesięciu minut poinformować o Berii i konsulach, walkach między nimi, a także, jak postanowili zniszczyć świat na powierzchni, zanim on zniszczy ich.

— Ależ to... nieludzkie! — krzyknęła. Po chwili zreflektowała się i dodała:

— Nie chciałam cię obrazić.

— Nie jestem sam — oznajmił. — Znalazłem się tam z dziewczyną.

— Jakie to romantyczne — stwierdziła. — Jest coś między wami? Kochacie się?

— Niestety, można się tam kochać wyłącznie platonisch — nie. Skład krwi ludzkiej zmienia się i stajemy się zimnokrwisci jak gady.

— Kiedy musisz wrócić?

— Jeszcze nie wiem. Pewien doktor pracuje nad szczepionką. Na razie twierdzi, że możemy przeżyć tutaj trzy dni, jeśli nie mniej.

— A potem?

— Potem umrzemy...

Poczuł straszny skurcz, rwanie w żołądku. Podjął z trudem:

— Być może szczepionka działa krócej. Przecież nie wypróbowali jej na myszach...

— Wstają — zauważyła.

Jak mógł ją wziąć za pijaczkę? Trudno znaleźć bardziej przytomną, trzeźwo myślącą i energiczną osobę.

— Idziemy — rzekł, nie podnosząc się.

— Może jeszcze trochę poleżysz? Pójdę dalej sama.

Igor podniósł się chwiejnie, trzymając pnia brzozy.

Rozdział szesnasty

Igor Czechonin

Szachiści szli w stronę lasu, nad którym niebo już różowiało przed wschodem słońca. Nawet z daleka było widać, że czują się fatalnie: szli chwiejnie, nierówno, co chwila przystawali. W końcu znikli wśród drzew.

— Daleko do Zichan? — zapytał Igor Wiery, jakby ta musiała wiedzieć wszystko.

— Myślę, że w lesie skrywa się całkiem niewinnie wyglądająca osada.

Przeszli pole z nadzieją, że ich przeciwnicy nie przyczaili się na skraju lasu, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Droga asfaltowa rozszerzyła się w pewnej chwili i rzeczywiście pojawiły się po jej obu stronach podniszczone i nikomu już niepotrzebne tak zwane fińskie domki. Wszystkie były opuszczone, lecz nie zdemolowane, zapewne dlatego, że znajdowały się daleko od popularnych tras, a w pobliżu znajdował się wojskowy poligon. Także i dobytek, jaki pozostał po pracownikach instytutu nie był szczególnie cenny. Może zresztą ta osada miała złą reputację. Ludzie z okolicy na pewno dobrze wiedzieli, czym zajmowali się tutejsi chemicy.

Wiera szła przodem, lżej się jej było poruszać. Las zrobił się trochę rzadszy, a fińskie domki ustąpiły miejsca równie pustym piętrowym domom. Dla Igora był to zwyczajny widok, żył przecież w pustym świecie, ale dziewczyna była poruszona tym do głębi.

Po prawej zobaczyli ceglany budynek, trochę większy od innych. Na fasadzie widniał napis: KINO OZON. Skrzypnęły drzwi wejściowe.

— Tam są! — szepnęła, zatrzymując się, Wiera.

— Tylko żeby się nie obejrzel.

Zobaczyli wchodzących do kina agentów.

— Dziwne miejsce wybrali — stwierdził młodzieniec.

— Całkiem odpowiednie — odparła.

— Wiesz coś?

— Przypuszczam.

Schody były szerokie na całą fasadę budynku i prowadziły do przeszklonej ściany, w której znajdowało się wejście. Drzwi były również szklane, częściowo potłuczone i uzupełnione kawałkami plastiku.

Wspięli się po schodach z boku, w nadziei, że nie są widoczni od środka. Przyciskając twarz do szyby Igor zobaczył hol kinowy. Pośrodku stało trzech ludzi: dwaj przybysze z Czyścca i masywny, siwy mężczyzna w niebieskim wojskowym mundurze z naszywkami na rękawach i kaszkiecie z dobrze widocznym godłem. Nad nimi zwieszał się z sufitu kryształowy żyrandol, który, jak przysłowiowa strzelba na ścianie, powinien kiedyś wystrzelić i rozlecieć się na milion szczątków na zakurzonej betonowej podłodze. Poprzez stłuczoną szybę dało się słyszeć każde słowo, rozchodzące

się echem w holu.

— A co słyhać u Mosina? — dopytywał się Liadow. — Giena Mosin? Co z nim?

Człowiek oklejony naszywkami odpowiadał układnie basowym głosem. Widać było, że zna rozmówcę i ufa mu.

— Nikt mnie nie informował — odpowiedział. — Bo i kto miał mnie informować? W większości mnie nie zauważali — Co to dla nich zastępca? Tylko kiedy zajrzałem do laboratorium albo wzywali mnie do siebie za jakieś przewinienie, dopiero wtedy spostrzegali, że istnieję.

— Nie przesadzaj, Nikołaicz — sprzeciwił się Liadow. — Przypomnij sobie, ile razem wódki wypiliśmy?

— Coś marnie wyglądasz — stwierdził tamten. — Chorujesz? A może to następstwa pracy tutaj? Wielu ma różne objawy, tylko mnie nic nie rusza.

— Ucieszyłem się, że cię spotkałem — oznajmił Liadow. — Kiedy postanowiłem przywieźć mojego przyjaciela, żeby pooddychał tutejszym świeżym powietrzem, nie sądziłem, że ujrzę kogoś ze starych znajomych.

— Zapadłeś się wtedy pod ziemię? Zniknąłeś jak dezerterski odcinek.

— Musiałem pilnie wyjechać. Słyszałeś przecież o moich sprawach rodzinnych.

— Wielu się dziwiło...

— Przysięgam, miałem wiele poważnych przyczyn.

— No i widzisz, do czego nas doprowadziła ta cała *pieriestrojka* — oświadczył Nikołaicz. — Żebym ja, główny zastępca, prawie generał — major, pracował jako strażnik!

— Na pewno nie jako zwykły strażnik, tylko dowódca warty.

— Szkoda tylko, że zostało dwóch wartowników. Śpią teraz po nocnej zmianie. Nocą zjawiają się tu niebezpieczni złodzieje, którzy szabrują po domach deski i okna. Reszta moich uciekła.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nam nie płacą. Więc ludzie się nie garną.

— Wojsko nie pomaga?

— Mają własne problemy.

— No dobrze — stwierdził Liadow — chodźmy do ciebie, posiedzimy, pogwarzymy i doradzisz nam, gdzie najlepiej Wędkować.

— Macie samochód?

— Nie wzięliśmy. Zostawiliśmy wszystko w pokoju hotelowym, a tu przyjechaliśmy autobusem.

— No to chodźmy — powiedział generał Nikołaicz.

Obrócił się i poniósł swój pulchny brzusek w stronę półotwartych drzwi w dalszym końcu westybulu. Po kolei znikali za drzwiami, najpierw Nikołaicz, za nim lekkim, suworowskim krokiem Liadow, wreszcie najstarszy z nich, ledwie powłóczący nogami Majoranski. Nie patrząc za nimi, Igor stwierdził, że sam czuje się już beznadziejnie stary, skoro ponad siły wydaje mu się zrobienie kolejnego kroku. Co innego Wiera: ciekawe, ile skacze wżyz? A może uprawia bieg z przeszkodami? Nie zdążył o to zapytać, bo dziewczyna stwierdziła:

— Chodźmy. Nie ma tu więcej strażników.

— Dokąd idziemy?

— Nie wolno ich stracić z oczu. Nie wiemy, dokąd idą. Dosłownie przemknęła przez hol. Igor włókł się za nią, zerkając na żyrandol — na pewno zaraz spadnie. Z zewnątrz wlało się światło słoneczne i zaczęło igrać na kryształkach kandelabru. Na podłodze walało się mnóstwo niedopałków.

Wiera znalazła się w blasku światła i otoczona złotym nimbem wydała się młodzieńcowi antyczną boginią lub jedną z tych słynnych biegaczek, które mogły się ścigać z jeleniem. Dziewczyna zbliżyła się do drzwi z niewielką tabliczką „Komendantura”. Stała przy futrynie. Igor wystraszył się, że drzwi się zaraz otworzą i ktoś przez nie wyjdzie. Zebrał wszystkie siły i dogonił dziewczynę. Stała wsparta plecami o framugę, z głową pochyloną przy szparze w niedokładnie zamkniętych drzwiach. Być może coś słyszała, lecz do młodzieńca docierał tylko niewyraźny szmer rozmów. Chciał poprosić dziewczynę, żeby się cofnęła, gdy nagle z wnętrza dobiegło krótkie i wyteżone stęknienie, jakby ktoś podniósł coś zbyt ciężkiego i się przedźwiagał. Potem nastąpiła cisza.

— Tak, tak, niech pan poszuka w kieszeni — powiedział głośno Liadow. — Szybciej.

Wiera odskoczyła od ściany, chwyciła Igora z ręką i pociągnęła go na bok, ku schodom wiodącym do góry na widownię. Młodzieniec, jak w sennym *dájr vu*, zdał sobie sprawę, że już się krył pod schodami, tyle że były to schody w restauracji „Nadmorska”, gdzie odbywało się zebranie konsulów. Poczul przygnębienie, kiedy dziewczyna silnie ciągnęła go za rękę. W tym momencie zjawił się Liadow i zaczął rozglądać się wokół. Dziewczyna zamarła, a potem zasłoniła towarzysza własnym ciałem, jakby uważała, że na kobietę nie zwrócą uwagi. Uratował ich fakt, że wpadające przez szyby słoneczne smugi oślepiły Liadowa, natomiast schody tonęły wciąż w mroku.

— Możesz wyjść — rzekł Liadow. — Wszystko w porządku.

— Muszę posiedzieć — odparł Majoranski. — Źle się poczułem.

— Posiedzimy, jak skończymy robotę — oznajmił młodszy agent.

Majoranski zaczął ostro kłać, ale czynił to niezbyt głośno, monotonicznie i obojętnie, więc jego przekleństwa nie wydawały się specjalnie ordynarne. Przywierając do ściany, podniósł się i usiadł, wsparty o mur.

— Pięć minut — zaproponował.

— No to pójdę sam — zagroził Liadow. — A pan tu będzie zdychał.

— Wspaniała przyjacielska rozmowa — ocenił Majoranski. — Spostrzegam także oznaki prawdziwego humanizmu.

— Nie panu prawić o humanizmie, Lwie Nikołajewiczu...

— A co pan tam wie?

— Wszystkie wróble w klubie ćwierkały!

— Wymyślił pan to, żeby mnie obrazić? — Majoranski był wyraźnie wystraszony.

— Dlaczego? Wiem od samego Berii, że kiedy otruci przez pana więźniowie błagali, żeby ich dobić, śmiał się pan im prosto w twarz.

— Kłamstwo! Ohydne kłamstwo!

Wciąż siedząc, uniósł do góry cienki palec, całkiem jak siedząca w saniach bojarynia Morozowa na słynnym obrazie Surikowa.

— Trzeba wstać — nie ustępował Liadow.

— Nie, chwileczkę! Rzucił mi pan w oczy oskarżenie i uważam za swój obowiązek je obalić.

— Daję panu minutę — oświadczył Liadow. — Potem pójdę.

— Po pierwsze — zaczął Majoranski, wymachując palcem — siedziałem na podstawie sfabrykowanych oskarżeń o współpracę z Berią i Sudopłatowem. Nie można mnie za to obwiniać.

— A kto pana obwinia?

— Proszę mi nie przerywać! Jestem doktorem nauk i profesorem! Gdyby nie ci... ci wolontariusze, wciąż byłbym w Akademii! Miałem plan likwidacji imperializmu amerykańskiego.

— Mamy ze sobą wiele wspólnego — stwierdził Liadow.

— Tylko imperializm można olać.

— Olać! Obmyć we krwi! — rzekł groźnie starszy agent.

— Zgodziłem się wziąć udział w tej akcji, ponieważ jej cel był bliski tematowi mojej pracy naukowej.

— Jaki był jej temat?

— Służba ojczyźnie! — zakończył spór Majoranski.

Podźwignął się powoli, bez pomocy Liadowa, który od razu ruszył w stronę wyjścia. Majoranski człapał w ślad za nim, ciągle wspierając się dłonią o ścianę. Może istotnie czuł się słabo, a może demonstracyjnie udawał.

— Zostań tutaj — szepnęła Wiera. — Nie wychodź, bo wszystko popsujesz.

Była bardzo młoda, młodsza od Igora i sukcesywnie wprowadzała w życie swoje moralne przewodnictwo nad słabszymi istotami. Nie zamierzała troszczyć się o młodzieńca, lecz zaczęła nim komenderować, jakby rzeczywiście było jej przeznaczone uratować Ziemię od zagłady.

Ześlizgnęła się na dół, podczołgała do drzwi i zajrzała do pokoju komendanta. Coś tam robiła pięć minut, a może tak się Igorowi zdawało, w końcu odwykł od upływającego czasu. Kiedy wróciła do niego, zauważył, że chowa do kieszeni kurtki niewielki aparat fotograficzny.

— Co z nim zrobili? — zapytał.

— Zabili go. Szukałam pistoletu lub jakiegokolwiek innej broni, ale nie znalazłam. Może nie było niczego takiego.

— Albo Liadow zabrał to ze sobą.

— Możliwe... Chodźmy, na pewno są już w środku.

— W środku czego?

— Gdyby Liadow chciał tylko odwiedzić znajome kąty, nie napadałby na Nikołaicza, prawda?

— Na pewno zabrał mu klucze.

— On zna wszystkie wejścia i wyjścia, tym bardziej, że jeśli dobrze cię zrozumiałam, opuścił ten świat całkiem niedawno.

Podeszli do szklanej ściany i zobaczyli, że chemicy skręcają za rogiem budynku. Wiera z Igorem poszli za nimi i ostrożnie wyjrzeli zza węgła. Chłopak zobaczył po raz pierwszy swoich wrogów w jaskrawym świetle słonecznym. Przestraszył go nie ryle sam widok, lecz świadomość, że należą do tego samego gatunku. Można ich było nazwać sinymi ludźmi albo raczej szarymi...

— Wyglądamy jak truposze — stwierdził.

— Jak to mówią, ładniejszych kładą do grobu — odparła. Była podniecona jak gończy pies, który wyczuł trop. Znalazła się na tropie swej dziennikarskiej sławy.

Nie ścisiali głosu, ponieważ poranek był tutaj pełen rozmaitych hałasów: poszumu wiatru, skrzypienia starych domów, serii wystrzałów na strzelnicy, odległego warkotu silników czołgów i stukotu przejeżdżającego pociągu, a także krakania wron, zamieszkujących wymarłe miasto.

Chemicy zatrzymali się przy tylnych drzwiach budynku. Liadow dopasowywał klucze, a Majoranski, zamiast obserwować otoczenie, przysiadł znowu pod ścianą i wystawił zmarszczoną twarz ku słońcu, sprawiając wrażenie, jakby zaraz miał umrzeć.

Drzwi w końcu zaskrzypiały i otwarły się.

— Idziemy? — zapytał Liadow.

— A jeśli nie pójde? — odpowiedział tamten pytaniem.

— Wtedy pana zastrzełę — oświadczył młodszy agent. Wydobył z kieszeni pistolet, bez wątpienia zabraný komendantowi.

— Niech mnie pan nie próbuje straszyć, Liadow — rzekł Majoranski. — Gdyby tylko pan wiedział, ileż to razy celowali do mnie z pistoletów i rewolwerów. I nadal żyję...

— To się może wkrótce zakończyć.

— Im szybciej wykonamy swoje zadanie — stwierdził starszy z agentów — tym większa szansa, że wrócimy żywi.

— Jest pan pewien, że ja tego chcę?

— W przeciwnym wypadku umrze pan w ciągu dwóch dni.

— Nie od razu — uściślił Liadow — lecz w męczarniach, jak pańscy pacjenci.

— Jeśli chodzi o zgodność z historycznymi faktami — odparł Majoranski — moi pacjenci czasem błagali o szybką śmierć. Nie mogłem spełnić ich próśby, ponieważ musiałem doprowadzić doświadczenie do końca.

— Jest pan gorszym zbrodniarzem niż faszystowski doktor Mengele.

— Niech pan nie próbuje mnie obrażać. Nic z tego nie wyjdzie. Przynosiłem ludziom cierpienie, lecz proszę zauważyć, że nie byli to zwykli ludzie, lecz wrogowie narodu, trockistowscy zdrajcy, szpiedzy i dywersanci, którzy chcieli zniszczyć naszą Ojczyznę. Pan jest gorszy ode mnie, bo wszystko mu jedno, kogo zabija. To amoralność wyższego rodzaju.

— Nie ma czegoś takiego, jak amoralność wyższego rodzaju — sprzeciwił się Liadow — tak jak nie ma ryby drugiej świeżości. Nigdy nikogo nie zabiłem. Wiedziałem, że bojowe substancje trujące, nad którymi pracowaliśmy, mają służyć temu, by nasi wrogowie nie odważyli się rozpętać wojny biologicznej lub chemicznej, gdyż będziemy mieli czym się zrewanżować. Moje trucie zabijały jedynie szczury i świnki morskie. Nigdy ludzi.

— A gdyby tak wasze substancje zostały użyte w jakiejś wojnie... Powiedzmy, w Afganistanie. Sporo mi opowiadano o toczonych tam walkach. Gdyby więc je rozpylali nad kiszlakami Afganów...

— Prędko pan zapomniał o ideologii — zaśmiał się Liadow. — Ja ją natomiast pamiętam. Jeśli mój V-X spadnie na bazę basmaczy, ich śmierć uratuje życie naszych żołnierzy.

— A jeśli na wioskę z cywilami?

— Nic takiego się nie zdarzyło!

— Więc niech pan otworzy drzwi — powiedział Majoranski, ustępując w tym sporze. — I proszę iść, dogonię pana.

— To dość daleko.

— Dogonię pana...

Liadow zniknął za drzwiami, a jego starszy kolega podążył za nim dopiero po minucie. Po chwili dał się słyszeć jego głos:

— Ciemno tu jak cholera! Sam czort mógłby nogi połamać!

Potem nastąpiła cisza. Wiera podbiegła do wejścia.

— Dziwne — stwierdził Igor — czego szukają pod kinem?

— Podejrzewam — odparła — że mamy do czynienia z całkowicie tajnym instytutem. Niewykluczone, że któryś z obiektów znajduje się właśnie pod tym budynkiem.

— Aha — przytaknął Igor — amerykańscy szpiedzy nigdy na to nie wpadną.

Weszli do podziemnego korytarza. Rzeczywiście było tam ciemno, lecz nie aż tak, jak twierdził Majoranski. W pewnej odległości przed nimi paliła się mętnie jakaś lampka. Widocznie strażnicy

zapomnieli o tym korytarzu.

Wiera omal nie wpadła na wlokącego się powoli Majoranskiego. Ten usłyszał odgłos jej kroków.

— Kto tam? — zawołał. — Kto idzie?

— Czemu pan krzyczy? — rozległ się z przodu głos Liadowa. — Boi się pan?

— Ktoś za nami idzie.

— Więc niech pan będzie cicho. Stańmy i posłuchajmy. Wszyscy zamarli i starali się nie oddychać. Najtrudniej było Majoranskiemu, który dyszał gromko i ochryple.

— Odsuń się pod ścianę! — rozkazał Liadow.

Teraz on uważał się za dowódcę. Rozległ się huk, a niemal równocześnie Igor usłyszał świst kuli. Pamiętał skądś twierdzenie, że skoro usłyszał kulę, to na pewno go nie trafiła. Poczł oburzenie: ten Liadow jest całkowicie bezwzględny i gotów zabijać.

— Jeśli tam ktoś jest — powiedział Liadow — to niech szybko się zwija, bo mam jeszcze pełny magazynek!

— A może mi się tylko zdawało? — zastanawiał się Majo — ranski.

— Ciekawy pretekst, żeby znowu się zatrzymać — warknął Liadow.

Znów zaszurały kroki i Liadow oznajmił:

— Teraz na prawo. Zaraz włączę światło.

Po prawej ukazał się jasny, prostokątny otwór. Głosy agentów nieco przycichły.

— Rozumiem Majoranskiego — stwierdziła Wiera poważnie. — To jeden z psów Berii. Ale Liadow jest dla mnie zagadką.

— On jest także tworem szczególnego rodzaju — odparł Igor. — We wszystkich krajach, u nas i w Ameryce, są uczeni, których nic a nic nie obchodzą rezultaty ich zbrodniczych eksperymentów. Otrzymują zapłatę, mieszkają w strzeżonych osiedlach, zażywają świeżego powietrza, łowią ryby, hodują kwiaty, zbierają grzyby i popijają w rytm ulubionych pieśni Wysockiego. Wspaniali ludzie. Wszystko im jedno, czy wy — najdą penicylinę, czy adamsyt. Mogą dożyć do emerytury, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo są niebezpieczni dla ludzkości. Władza myśli za nich.

— A najbardziej są niebezpieczni — dokończyła jego myśl Wiera — kiedy sami podejmują działania. Nie mają żadnych hamulców. Majoranski kierował się przynajmniej poczuciem obowiązku wobec rozkazów Ojczyzny, natomiast Liadow nie ma niczego. To następne pokolenie, które nawet trudno nazwać cynicznym.

Ostrożnie ruszyli dalej. Niewykluczone, że Liadow urządził zasadzkę i czeka w ciemności z pistoletem w dłoni. Na wszelki wypadek odczekali pięć minut. Kiedy zajrzeli do oświetlonego pomieszczenia, Igor z trudem powstrzymał zdumiony okrzyk.

Znajdowała się tam niezbyt wysoka, lecz przestronna sala z długimi laboratoryjnymi stołami, rzędami półek z różnymi przyborami i instrumentami, okrytymi foliowymi pokrowcami. Szczególnie rzucił mu się w oczy stół w kącie, na którym znajdował się stary czajnik elektryczny, stos filiżanek, cukiernica i pudełko z herbatą. Zastawa jak z *Marii Celeste*, porzucona w chwili, gdy ktoś postawił czajnik na płycie. Widocznie, kiedy pracownicy stąd uciekali, myśleli o wszystkim, tylko nie o czajniku.

— Gdzie oni się podzieli? — szepnęła Wiera, wchodząc do pokoju i natychmiast odskakując od drzwi, z plecami przy ścianie.

— Poszli dalej — stwierdził chłopak.

— Bądź teraz ostrożny — przykazała mu, jakby co najmniej zamierzał krzyknąć.

Zauważył drzwi do następnej sali albo na korytarz. Stał przy nich Liadow i na pewno zauważyłby Igora, gdyby się tylko obejrzał. Nie uczynił jednak tego, zbyt zajęty otwieraniem drzwi. Majoranski jak zwykle siedział na boku.

— Długo jeszcze? — spytał kapryśnie Lew Jakowlewicz.

— Minutkę — dziarsko odparł Liadow. Zamek głośno szczęknął.

— Wchodzimy — powiedział młodszy agent, zapalając światło w następnym pomieszczeniu. — Dotarliśmy do celu.

Igor zauważył, że drzwi prowadzą do bunkra, przypominającego komorę łodzi podwodnej. Pośrodku znajdowały się kolejne stalowe drzwi z rodzajem koła sterowego.

— Sprawdźmy, czy mam dobrą pamięć — oznajmił Liadow.

Ustawił na zamku cyferki, potem zaczął kręcić kołem.

— Czy to niebezpieczne? — spytał natychmiast Majoranski.

— A jak pan sądzi?

— Potrzebna jest nam odzież ochronna — stwierdził starszy szachista.

— Zapomniałem panu ją wydać — oświadczył młodszy. — Obiecuję, że nie będzie pan tam długo przebywał. W końcu mamy wspólny cel: wrócić żywi do domu. Prawda?

Pchnął drzwi, które otwierały się niespiesznie, jak na zwolnionym filmie.

— Leżą tu, moje skarby — stwierdził biolog.

Jego głos odbił się metalicznym echem, jakby dochodził ze stalowej beczki.

— Ostrożnie — ostrzegął stojący w wejściu Majoranski. — Koniecznie musimy tu wchodzić?

— Mój drogi kolego — odparł triumfalnie Liadow — przeżyłem wiele lat z tymi krokodylami. Poznałem ich zwyczajnie lepiej, niż pan u swoich królików doświadczalnych. Czasem ryczą i rozdziwiają paszcze, znam jednak ich słabe punkty i zawsze mogę dotknąć gdzie trzeba elektroda albo zwykłą pałką. Rozumie mnie pan?

— Pociesza mnie już tylko świadomość, że także chce pan wrócić.

— Chcę wrócić, dlatego będziemy musieli trochę razem popracować.

— W jakim sensie?

— Pomoże mi pan przenieść jeden z baniaków w inne miejsce.

— Ile to waży?

— Sama zawartość dziesięć litrów, ale naczynie prawie drugie tyle.

— Upuścimy go!

— Nic się złego nie stanie. Możesz go zrzucić z piątego piętra albo przejechać czołgiem...

Porządna, krajowa robota.

— Nie, nie dam rady...

— Lwie Jakowlewiczu, jest pan wolny. Proszę zabrać swoje rzeczy i wracać do domu.

— Gdzie?

— Do waszego starego domu, aby tam umrzeć.

— Wrócę do towarzysza Berii i opowiem mu o pańskim bezczelnym zachowaniu. Pan praktycznie uniemożliwia wykonanie zadania! — zakrzyczał Majoranski.

— Nareszcie słyszę nie dziecko, lecz dorosłego świra — zaśmiał się Liadow. — Szkoda tracić czasu. Mam także mdłości i kręci mi się w głowie od tutejszego powietrza. Potrzebny jest nam ten czerwony baniak.

— Niech chociaż mi pan powie, dokąd mamy go taszczyć? — poprosił Majoranski.

— Nie — odparł tamten.

— Drogo pan za to zapłaci — złościł się doktor nauk. — Wszystko powiem Ławrientijowi Pawłowiczowi.

— Niech pan mu powie, jeśli zdoła tam wrócić żywy.

— Postaram się — odparł starszy z biologów jadowitym tonem kogoś, kto uważa się za bardzo ważnego i rozumnego. — Cieszę się pełnym zaufaniem towarzysza Berii, a pan powinien mi się podporządkować bez słowa sprzeciwu...

— Albo?

— Co: albo?

— Albo mnie rozstrzelacie? Otrujecie? Ukłujecie mnie w bok zatrutym parasolem lub wystrzelicie w twarz serię z automatu? Jaki masz plan likwidacji swego najbliższego przyjaciela?

W tej chwili Majoranski się wystraszył, co sprawiło, że się przy tym wygadał.

— Jak pan może tak myśleć! Dlaczego miałbym pana zabijać? Jesteśmy przecież współnikami!

— Sam zdecyduję, co z panem zrobić, Panikarski.

— Majoranski — poprawił go Lew Jakowlewicz.

— Panikarski! Proszę się nie sprzeciwiać i chwycić za tamten koniec.

Przez chwilę słychać było z magazynu tylko głębokie stękania i ciężkie kroki, wreszcie rozległ się huk ciężkiego uderzenia o ziemię.

— Upuścili — stwierdziła Wiera. — Można się było tego spodziewać.

— Żeby tylko nie rozłupali bańki — zaniepokoił się Igor.

Wewnątrz magazynu szachiści wyzywali się wzajemnie. Majoranski miał bardziej płaczliwy głos i zadał w końcu pytanie, na które Igor także chętnie usłyszałby odpowiedź.

— Czy to szybko działa?

— Nie — odpowiedział krótko Liadow. — Za to skutecznie. Chwyć pan bliżej środka. Raz, dwa!

Tym razem udało im się zrobić kilka kroków, zanim znowu upuścili metalowy cylinder. Majoranski głośno dyszał, wreszcie wykszusił pytanie:

— Jaką to ma moc?

— Ukończyliśmy nad tym prace tuż przed zamknięciem instytutu — oznajmił Liadow. — Pewne próby były przeprowadzone, ale chętnie bym jeszcze nad tym popracował. W każdym razie, akademik Kudriawcew zgadzał się ze mną, że nasz tygrysek ma LD 90. Wie pan, co to znaczy?

— Za moich czasów nie używano takiego symbolu.

— LD oznacza letalną koncentrację, a liczba oznacza dawkę, przy użyciu której ginie dziewięćdziesiąt procent wszelkich żywych istot, mających kontakt z preparatem. Tak więc u naszego tygrysa V-X LD równa się pięć tysięcy miligramów na kilogram.

— Bardzo przekonujące — stwierdził Majoranski.

Igor nie był pewien, czy stary chemik rzeczywiście zrozumiał o co chodzi. Wiera gwizdnęła cicho, widocznie umiała to przeliczyć.

— Musimy ich powstrzymać — stwierdził Igor.

— Jak zwykle masz rację — odparła. — Więc idź i powstrzymaj.

— Jak długo to działa? — dopytywał się Majoranski.

— Cztery godziny. Paraliż mózgu i koniec z człowieczeństwem!

— Mówił pan, że ile jest w tej bani?

— Dziesięć litrów. Niech pan to przemnoży...

— Ależ to miliony ludzi!

— Czego należało dowieść. Przy czym należy zauważyć, że jeśli V–X dostanie się do wody, zachowuje wirulencję i całkiem możliwe, że staje się bardziej jadowity nawet w minimalnych dawkach. Będzie pan dźwigać?

Tym razem udało im się wynieść bańkę na zewnątrz i postawić ją dziesięć metrów od ukrywających się za szafą Wiery i Igora.

— Dokąd to niesiemy? — zapytał Majoranski, wspierając się o ścianę.

— Niedaleko. Wszystko przemyślałem.

— No, niech pan wreszcie powie!

Liadow pogładził powierzchnię cylindra, jakby chciał się przekonać, czy się nie nagrzała.

— Musimy wprowadzić substancję do wody — wyjaśnił.

— Obyśmy tylko przeżyli.

— Chciałoby się — zgodził się Liadow. — Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

— Proszę przestać żartować!

— Jestem pamiętliwy.

Igor widział, że Liadow uśmiechnął się krzywo, niczym negatywny bohater z komiksu.

— Nie będziemy się teraz rozliczać. Lepiej niech mi pan przedstawi swój plan. Przecież przydzielono mnie do pana nie w charakterze strażnika, lecz jako bardziej doświadczonego w boju kolegę — stwierdził Majoranski.

— Zaniesiemy to więc, starszy kolego, do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie znajduje się zlew laboratoryjny. Prowadzi jednak nie do sieci wodociągowej, która, jak zapewne się pan domyśla, od dawna nie działa, lecz bezpośrednio do rzeki. A dalej...

Igor ścisnął palce dziewczyny, oczekując wsparcia. Wyswobodziła dłoń.

— Może go potoczymy? — zaproponował Majoranski.

— Całkiem niegłupi pomysł — zgodził się Liadow.

Potoczyli we dwóch baniak, przypominający wielki, zaokrąglony na końcach serdelek. Zapewne dlatego znowu wyslizgnął się im z rąk i wtoczył pod stół. Pchali go dalej tuż obok Igora, lecz byli tym tak zajęci i zdyszani, że niczego wokół nie widzieli ani nie słyszeli. Zatrzymali się przed niewielkimi drzwiczkami, nie zauważonymi wcześniej przez młodzieńca. Liadow zaczął dobierać odpowiedni klucz, a Majoranski odważył się przysiąść na bańce. Drzwi otwierały się ciężko, miały jednak dobrze naoliwione zawiasy. Liadow zajrzał do środka, potem zwrócił się do kolegi:

— Chodźmy, żołnierzu, czekają na nas.

— Daj pan spokój z tymi żartami! — syknął Majoranski. — Mam ich dosyć!

— Rozumiem pana — rzekł zgodnie tamten. — Proszę nie tracić czasu, gdyż w każdej chwili może pana chwycić skurcz. Zawsze się bałem żydowskich lekarzy.

— Do mnie pan pije?

— A co pan ma wspólnego z medycyną? Myślałem, że jest pan biologicznym oprawcą. To całkiem odmienny gatunek.

Pochylili się razem i wepchnęli bańkę do drugiego pomieszczenia. Widocznie były tam jakieś schodki, gdyż zadudniła na nich, a Majoranski zawołał:

— Mogłem stracić nogę!

— Grunt, że nie twarz — odpalił Liadow. — Twarz najważniejsza!

Także się bał, ale ponieważ miał słabszego i bardziej tchórzliwego kolegę, mógł przed nim odgrywać śmiałka.

— Proszę tu poczekać i przygotować narzędzia — polecił. — Zaraz wracam.

— A pan dokąd? — spytał Majoranski.

— Nie chcę ryzykować — odparł młodszy.

— Zostawi mnie pan samego?

— Głupiec — rozżościł się Liadow. — Jak pan wypełni beze mnie zadanie?

Wrócił do laboratorium. Nie przyszło mu do głowy, że są podsłuchiwani i obserwowani, toteż nie rozglądał się zbyt ani nie zajrzał do magazynu.

— Trzeba go...

Igor pokazał na migi, co trzeba zrobić z agentem.

— Trzeba — zgodziła się Wiera.

Igor usłyszał bicie swego serca, jakby dopiero teraz zaczęło pracować po wielu miesiącach martwoty.

— Nie wtrącaj się — szepnęła dziewczyna. — Muszę go rozbroić.

— Jesteś kobietą...

— A ty masz zakuty łeb — odpowiedziała ostro. — Obawiam się, że jestem z was wszystkich najsilniejsza. Weź na siebie Majoranskiego. To odpowiedni dla ciebie przeciwnik. Idź — syknęła.

Igor wszedł w półotwarte drzwi. Starał się kroczyć pewnie, jakby był tutaj gospodarzem, lecz nie był pewien, czy tak samo wygląda ro z drugiej strony. Pomieszczenie było mniejsze od magazynu z baniakami. Betonowa podłoga biegła lekkim skosem w dół i w drugim końcu kończyła się metalowym sitkiem. W ścianie było kilka kranów i zlewozmywaków. Pokój służył widocznie za zmywalnię. Ciekawe, czy naprawdę był odłączony od sieci kanalizacyjnej? Owa całkiem niestosowna myśl została przerwana zapytaniem Majoranskiego:

— Kim pan jest i co pan tu robi?!

Igor postanowił odegrać rolę tutejszego dowódcy.

— Ciekawe, jak weszliście do tajnego obiektu, towarzyszu? A może mam do was mówić: *mister?*

Tamten prędko stanął na równe nogi, nie mógł jednak opanować drżenia rąk.

— Nie jestem szpiegiem — zapewnił — nic podobnego. Jestem obywatelem sowieckim...

Bez wątpienia pełną strachu reakcją na pojawienie się Igora jeszcze bardziej pogłębiało fatalne samopoczucie agenta, który już ledwie zapał. W każdej chwili obawiał się pojawienia się kogoś ze strażników, milicji albo nawet czujnego komsomolca. Według oceny Igora gotów był się poddać, tym bardziej, że ręce mu się trzęsły i odmawiały mu posłuszeństwa.

Majoranskiemu zrobiło się wszystko jedno, czy zadanie zostanie wykonane i czy towarzysz Beria będzie zadowolony, czy wróci na plac szachowy i będzie grał towarzysko z Liadowem, oczekując na ostateczną rozgrywkę.

Zachwiał się, powoli skurczył w sobie i opadł miękko do nóg Igora, który w pierwszym odruchu chciał podtrzymać staruszka, lecz zaniechał tego, podejrzewając, iż agent tylko udaje słabość, żeby zbliżyć się do młodzieńca i w stosownym momencie rzucić się na niego. Cofnął się krok do tyłu i polecił:

— Wstawajcie, wszystko rozumiem.

Tamten go nie słyszał. Leżał jak uspione dziecko, z zaciśniętymi dłońmi na piersi i

podciągniętymi kolanami. Wydawał się bezradny, prawie nieżywy, lecz Igor mu nie ufał.

Z drugiego pomieszczenia usłyszał głos Wiery:

— Stój! Ani kroku dalej!

Po krótkiej chwili rozległ się głos Liadowa:

— A cóż to za cudowne zjawisko?

— Rzuć broń! — krzyknęła dziewczyna.

Przemawiała na tyle głośno, żeby Igor ją słyszał i w razie czego jej pomógł. Ruszył więc ku drzwiom magazynu, zapominając, jak kiepsko się czuje. Przede wszystkim chciał pomóc przyjaciółce. Spóźnił się jednak. Kiedy dotarł do drzwi, zobaczył, że Liadow jakimś sposobem wykiwał dziennikarkę. W pierwszej chwili nie był pewien, czy to w ogóle ten sam osobnik, ponieważ zdążył założyć kombinezon i obuwie ochronne, a na głowie miał hełm z podniesioną przyłbicą. Wykręcił jej rękę za plecy, zmuszając tym samym do pochylenia się w przód. Jego pistolet leżał na podłodze przy jego stopach. Wyglądało to jak scena z filmu przygodowego, która nie mogła się zdarzyć w życiu.

— Co pan wyrabia! — wrzasnął na niego Igor.

— No proszę — rzekł tamten, uśmiechnięty, jakby się ucieszył z przyjścia młodzieńca — jeszcze jedna wraza morda do kompletu!

Wiera próbowała podnieść głowę, co nie jest takie proste, kiedy ktoś ma wykręconą rękę.

— Igorku...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż Liadow pchnął ją mocno do przodu. Dziewczyna, chcąc utrzymać się na nogach, szybko przebierała nogami i wpadła prosto na Igora. Razem stoczyli się po schodkach do umywalni, przy czym upadli tak nieszczęśliwie, że młodzieniec mocno uderzył się w łokieć. Zawył z bólu i zwinął się obok nieruchomego Majoranskiego. Wiera leżała na plecach i z trudem oddychała.

Liadow był najwidoczniej szczęśliwy, że może decydować o życiu lub śmierci swych jeńców. Być może zawsze marzył o czymś takim, tylko los nie dał mu do tej pory podobnej okazji.

— Leżeć! — krzyknął do obojga. — Nie ruszać się, mówię! Trącił potem czubkiem buta leżącego kolegę.

— A pan czemu leży? Jeszcze się pan przeziębisz, doktorze! Majoranski szybko usiadł, jakby tylko czekał na taki rozwój wypadków.

— Niech pan wstanie — polecił Liadow.

Głos zabrzmiał głucho zza opuszczonej osłony.

— Poco?

— Proszę zerwać plombę z baniaka.

— Panu to łatwiej pójdzie.

— Może i łatwiej, ale teraz muszę pilnować te urocze dzieci, które przypadkiem się na nas natknęły. Prawda, że przypadkiem?

— Prawda — potwierdził Igor. Mówienie sprawiało mu także ból.

— Nie wierzę wam ani trochę! — zaśmiał się Liadow. Śmiał się wesoło, był uroczo radosny. Można było pójść za nim szturmować Oczaków albo nawet na Diabelski Most.

— No!

Majoranski niemal znowu padł od niespodziewanego kopniaka, lecz zamiast tego pobiegł na miękkich nogach w stronę bańki.

Wiera usiłowała wstać.

— Najpierw połamię ci ręce — zagroził Liadow, znacząco machając krótkim łomem. — W szkole byłem niezłym zapaśnikiem.

— No, szybciej! — krzyczał Liadow do starszego kolegi. — Nic ci nie grozi. Musisz tylko wykręcić gwint. Zaczynaj!

Majoranski poruszał się jak posłuszny automat. Sennym ruchem odszukał rzeczony gwint i począł go odkręcać.

— Zaczekaj! Wycieczę za szybko! — zawołał znowu biolog. — Zaraz ci pomogę.

Trzema susami pokonał odległość, dopadł bańki i zawołał:

— Pchamy!

Pchnęli ja obaj silnie, aż potoczyła się do sita w podłodze. Igor ujrzał jak tłusta, gęsta, podobna do oliwy ciecz zaczęła wlewać się do otworu odpływowego. Wiera natomiast wykorzystała moment, kiedy uwaga Liadowa była zajęta czymś innym. Prędko zerwała się na nogi i rzuciła ku drzwiom.

— Dokąd! — ryknął Liadow. — Zabiję cię, dziwko!

Wyskoczywszy na zewnątrz, dziewczyna napała całym ciałem na drzwi, które zaczęły się stosunkowo szybko zamykać. Liadow rzucił w nią łomem, który nie trafił, odbijając się od ściany.

Drzwi ze szczękiem się zatrzasnęły.

Rozdział siedemnasty

Garik Gagarin

Wujek Misza znalazł na mapie Zichany i stwierdził, że w jednym z nich, najprawdopodobniej w Instytucie Naukowo — Badawczym, zamkniętym trzy lata temu z powodu braku finansów, mogą znajdować się nasi znajomi. Potem puknął się w głowę.

— Ależ ze mnie stary dureń. Dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej?

Wskazał na mapę.

— Zobacz — powiedział do mnie — wszystko obejrzelśmy, zastanawialiśmy się i niemal wyłaziliśmy przy tym ze skóry, a nie widzieliśmy tego, co trzeba.

Palec wskazujący z równo przyciętym paznokciem zatrzymał się na maleńkiej nazwie: „Sowchoz im. Maksyma Gorkiego”.

— To nasza Maksimowka?

— Dokładnie.

Poleciliśmy śmigłowcem bez oznakowań, choć myślałem, że może ich nie zauważyłem w ciemności. Kiedy jednak wylądowaliśmy w Bołogoje możliwie najbliższej stacji było na tyle widno, iż mogłem stwierdzić z całą pewnością brak jakichkolwiek oznaczeń, nawet jednej czerwonej gwiazdki na kadłubie.

Znaleźliśmy porucznika Swieczkina w ciągu dosłownie trzech minut. Milicjant przyznał się, że choć przekazał kopertę z pieniędzmi, to jednak nie śledził dalej przybysza, był bowiem niezmiernie zajęty. Wujek Misza zwrócił mu dług. Po chytrej minie oficera można się było zorientować, że trochę powiększył sumę przekazaną Igorowi. Nie dowiedziawszy się zbyt wiele od porucznika, wybiegliśmy na plac przed dworcem.

Tam lepiej nam się powiodło. W pobliżu stało parę samochodów. Pierwszy z brzegu kierowca przyznał się nam, że dopiero co, całkiem niedawno, odwoził klientów do Zichanów 1. Nie wiedział, dokąd poszli dalej. Wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy trasą wyznaczoną przez Igora i jego nieznaną towarzyszkę, która wynajęła samochód. Cóż to była za dziewczyna? Zapewne Lusja... Zaraz jednak wyczułem, że to nie ona.

Czasami trudno wyjaśnić, w jaki sposób pracuje moja intuicja, lecz uruchamia się ona mimo woli, co bardzo denerwuje profesora Mirskiego, który bada mnie w każdą środę rano. Wolałby, abym działał jak maszyna.

— Tutaj ich wysadziłem — oznajmił kierowca. — Dalej poszli pieszo.

Na pożegnanie odważyłem się jeszcze zapytać:

— Był tutaj ktoś jeszcze?

— Było takich dwóch — przyznał szofer. — Przyjechali autobusem nr 72. Jednego znałem z widzenia, był tu jakieś pięć lat temu. Nazwisko miał proste, takie typowo rosyjskie, coś jak

Suworow albo Kutuzow.

Wyczytałem w jego pamięci głęboko ukryte miano, którego sam nie był w stanie wyszperać.

— Liadow? — spytałem.

— No, właśnie mówię. Podobny do Suworowa, rozumiesz?

Wychylił się z samochodu i pomachał za nami.

— Przekażcie mu pozdrowienia od Benia Smurnego. Zapamiętasz?

— Jasne.

Wokół nas rozciągało się odpychające bezludzie. Nie takie, jak się zdarza na wsi w ciągu dnia, gdy ludzie pracują w polu albo na fermie, lecz całkiem martwe, z którego ludzie dawno uciekli. Wujek Misza prowadził mnie pewnym krokiem do miasta Zichany.

— Nie ma sensu póki co iść do wojskowych. Wziąłem namiary z dowództwa na wypadek, gdyby zdarzyło się coś złego. Ich praca polega na dezaktywacji. Lepiej nie wprowadzać ich w tę sprawę zbyt szczegółowo. Zdążyłem przejrzeć dokumenty i zdzwonić się z paroma ludźmi. Według wszystkich danych na terytorium instytutu i miasteczka nie ma żadnych ukrytych składów broni. Pewien mądry człowiek powiedział mi jednak, że mogą się tam znajdować próbne pojemniki, służące nie do użytku wojennego, lecz do dalszych obserwacji naukowych. Tylko że nie w próbkach, a w baniach.

— Po co ich tyle?

— Teraz nikt nam już tego nie powie. Ukrytego skarbcza strzeże się i czeka na zmiłowanie boże, aż rozwiąże problem jakaś wyższa siła. Dobrze idziemy?

— Dobrze — odparłem bez zastanowienia. Wujek Misza zaśmiał się z satysfakcją.

— Wiem, jak cię uruchomić, przybyszu — stwierdził. — Nie gniewaj się. Wszyscy jesteśmy przybyszami. Mogę być obcym przybyszem dla jakichś wieśniaków i nigdy nie wiadomo, między kim a kim istnieje większa przepaść. Niewykluczone, że my dwaj jesteśmy sobie bardziej bliscy niż ja z japońskim samurajem.

— Nie ma co mnie pocieszać — odparłem. — Na pewno dobrze idziemy?

— Na pewno, Gariku — potwierdził generał. — Trzeba się pospieszyć. Niepotrzebnie odesłaliśmy samochód.

Słońce zaczęło się wznosić i coraz bardziej przypiekać, ale nie tak silnie jak latem, lecz takim październikowym ciepłem, które nie jest już w stanie przeniknąć do głębokiego cienia.

Przeszliśmy przez wielkie pole. Chociaż rosa już prawie wyparowała, dół nogawek zaciemnił się od wilgoci.

Ptaki nie śpiewały, ponieważ jesienią nie mają się czym radować: pisklęta poszły do szkoły, a słowik dawno już zwabił ukochaną.

Kiedy dotarliśmy do kina, zrobiło się bardzo ciepło i pożałowałem, że wziąłem grubą kurtkę.

— To właśnie tutaj — oznajmił wujek Misza — powinna się skrywać nadludzka potęga. Zajrzyjmy do komendantury i zapytajmy, czy nie przechodzili tędy niedawno faszystowscy dywersanci.

Generał wyczuwał coś złego, podobnie jak ja. Obaj mieliśmy swoistą intuicję. Weszliśmy do budynku.

— To prawdziwe kino, czy tylko przykrywka dla amerykańskich satelitów? — spytałem.

— Jedno i drugie. Z przodu kino, z tyłu podziemia, a w nich tajne oddziały instytutu. Więcej nie wiem, nie dostałem bowiem oficjalnego dostępu do informacji.

Podszedł do drzwi komendantury. Zanim je otworzył, wyczułem ciężki, duszny, dosłownie odpychający odór śmierci.

— Tam jest... — zacząłem.

— No tak — przerwał mi wujek Misza, wchodząc do środka — już zdążyli nabroić.

Odsunął się, żeby mnie przepuścić. Nie musiałem jednak wchodzić, żeby zobaczyć tego, siwowego człowieka w mundurze, siedzącego przy stole z głową spoczywającą na blacie. Na rękawie miał naszywkę z emblematem: kolba laboratoryjna w dębowym wieńcu.

— Powinni być tu jeszcze jacyś inni ludzie — powiedział generał. — Niemożliwe, żeby został tylko on.

— Wszystko jest możliwe — odparłem. — Nie czuję tutaj zbyt wiele rosyjskiego ducha.

— Ty wiesz lepiej — mruknął. — Zostali tylko straceńcy.

— Skoro wszystko to oficjalnie nie istnieje...

— Dokładnie tak.

— Nie ma więc czego chronić.

— Komendant musiał ich znać, bo inaczej by ich tutaj nie wpuścił. Tym bardziej, że był uzbrojony.

Wujek Misza wskazał otwartą kaburę przy pasie nieboszczyka.

— Miał także klucze.

Zwrócił uwagę na tablicę, gdzie wisiały klucze w przegródkach. Szybka ochronna została rozbita. Niektórych kluczy brakowało.

Wybiegliśmy z budynku. Słońce przygrzewało przyjemnie, rozświetlając mleczne październikowe niebo. Ulicą szła sympatyczna dziewczyna w dżinsach i kurtce, z torbą na ramieniu. Zobaczywszy nas, pomachała nam ręką.

— Panowie do kogo? — zapytała.

— Czekamy na komisję — odpowiedział prędko wujek Misza. Dziewczyna miała szeroką twarz o wysoko sklepionych policzkach i proste ciemnoblonde włosy. Twarz bardzo zajmującą. Zgrabna i pewna siebie — w takiej dziewczynie można się zakochać beznadziejnie i bez wzajemności.

— To czekajcie, życzę sukcesu — powiedziała i poszła dalej ulicą w stronę pola.

— Zaczekaj — rzekł do mnie szeptem generał — i daj jej odejść. Nie chcę, żeby miejscowi wiedzieli, dokąd poszliśmy.

Kiedy dziewczyna znikła między drzewami, obeszlśmy budynek, żeby dotrzeć do tylnego wejścia. Drzwi były półotwarte. Zeszliśmy schodkami w dół do piwnicy. Przeszliśmy przez typowe pomieszczenia służbowe, nie świadczące w żaden sposób o specyfice tego miejsca i w końcu dotarliśmy do zapuszczonego laboratorium. Zobaczyliśmy wiszące w szafie kombinezony ochronne. Poczułem rosnący strach.

— Coś tutaj śmierdzi — stwierdziłem.

— Musimy się szybko przebrać — oświadczył generał. Zdjął z wieszaka największy kombinezon i założył na siebie. Poszedłem za jego przykładem. Nie spuściłem jednak osłony na twarz.

— Założyć buty ochronne? — spytałem.

— Koniecznie.

Straciliśmy jeszcze minutę. Trwoga narastała we mnie, aż ścisnęło w dołku.

— Szybciej — poprosiłem wujka Misze.

— Zaoszczędzisz minutkę, stracisz życie — odpowiedział półżartem.

Poszliśmy dalej. Na szczęście wszystkie drzwi zastaliśmy po drodze otwarte. Nawet drzwi do tajnego magazynu. W stosunkowo niewielkim pomieszczeniu na masywnych stelażach spoczywały różnych rozmiarów bańki. Największe, podobne do metrowej długości serdelków, leżały na najniższej półce. W jednym miejscu było pusto. Być może nigdy tu nic nie leżało, a może właśnie stąd terroryści zabrali baniak. Następne drzwi były znowu otwarte, lecz kolejne już nie. Wujek Misza próbował je bezskutecznie otworzyć. Zastukał zatem. Kiedy już miał oznajmić, że szkoda czasu, usłyszeliśmy pukanie w odpowiedzi. Generał nadstawił ucha, jakby chciał odczytać z tego stukania sygnały Morse'a. Niczego z nich nie wyczytał, więc zwrócił się do mnie:

— Ta dziewczyna... Myślisz, że poszła na stację?

— Na pewno na przystanek autobusowy.

— Niczego nie wyczułeś?

— Nic a nic, oprócz ogólnego podniecenia...

— Głupki z nas — stwierdził generał. — Trzeba ją było zatrzymać.

Ze środka dalej dochodził łomot. Na drzwiach znajdowało się koło, niczym w łodzi podwodnej. Próbowałem je ruszyć i zaczęło się kręcić ze zgrzytem.

— Zaczekaj chwilę — polecił wujek Misza. Szybko zawrócił i zamknął drzwi do laboratorium.

— Lepiej nie ryzykować — stwierdził. — Czemu nie założyłeś rękawic? Są w górnej kieszeni kombinezonu. I opuść osłonę na twarz.

Podczas gdy ja zakładałem rękawice, parę razy zakręcił kołem. Drzwi otworzyły się niespodzianie. Wpadł przez nie starszy człowiek ze spiczastą bródką, podobny do Kalinina. Usiłował zwalić nas z nóg i uciec.

— Chwileczkę — powiedział mu generał. — Zdaży pan.

Ogarnąłem wzrokiem stosunkowo niewielką piwniczkę, której podłoga biegła skosem w stronę sporej kratki odpływowej, mierzącej metr na metr. Leżał na niej czerwony baniak, z którego wylewała się na metalową siatkę tłusta, brunatna ciecz, przypominająca oliwę kiepskiej jakości. Obok stał, nie zwracając na nas uwagi, człowiek w kombinezonie podobnym do naszych, założywszy dłoń na piersi, jak Napoleon obserwujący bitwę pod Waterloo.

Był jeszcze trzeci osobnik, którym okazał się Igor. Stał wsparty plecami o ścianę. Wyglądał na mocno wystraszonego, lecz usiłował tego po sobie nie okazywać, jak pacjent, co usłyszał właśnie fatalną diagnozę, lecz nadrabia miną przed ładną pielęgniarką.

Po podłodze walał się gwintowany korek, zapewne od baniaka. Wujek Misza po pierwsze go podniósł i zakręcił otwór, przerywając upływ cieczy.

— Za późno — oznajmił człowiek w kombinezonie. — Już się dokonało.

— Co się dokonało? — zapytał generał.

— Zagłada całej Ziemi.

— Wątpię — odparł generał. — Pańskie oświadczenie będzie wymagało potwierdzenia.

Po czym zwrócił się do Igora:

— A ty co tak stoisz, studencie?

— A bo co?

Czułem przez skórę, że Igor ma ochotę mnie uściskać, rozumiał jednak, że sytuacja jest na tyle poważna, iż lepiej nie ruszać się z miejsca.

— Natychmiast idź do laboratorium.

— Do laboratorium?

— Do następnego pomieszczenia. Igor wyszedł posłusznie z umywalni.

— Kim pan jest? — zapytał generał faceta w kombinezonie.

— A pan?

— Nazywa się Liadow — odpowiedział Igor z laboratorium. — Kiedyś tutaj pracował. To on zabił komendanta.

— Bzdura — zaprzeczył Liadow. — Jestem upiorem w martwym świecie. Już nie istnieję. Wy także, obawiam się.

— To wasze świętowanie ulatnia się? — domyślił się wujek Misza.

— Mój tygrysek słabo się ulatnia, ale jego koncentracja w pomieszczeniu jest tak silna, że wszyscy znaleźliśmy się w śmiertelnym oparzeniu.

— Nie kłamie — potwierdziłem. — Rzeczywiście coś tu paruje.

— Więc dlaczego wszyscy są jeszcze żywi? — zdziwił się generał.

— Dlatego, że umrą w ciągu sześciu godzin. Włączając w to tamtą sukę.

— Kogo?

— Zbrodniarkę, którą przyciągnął ze sobą ten chłopak — rzekł Liadow. — Waszą agentkę.

— No tak, oczywiście — potwierdził wujek Misza ku memu wielkiemu zdumieniu.

— Jak ją dorwę — podjął tamten — to dopiero zobaczy.

— Dokąd prowadzi ten odpływ? — zapytał wujek Misza.

— Prosto do rzeki — oznajmił Liadow.

Zachowywał się jak terrorysta, który wypełnił obowiązek, zabijając premiera.

— Nie kłamie — oceniłem. Liadowa aż poderwało:

— Niech pan powie swemu wykrywaczowi kłamstw na krzywych nóżkach, że ja nigdy nie kłamię!

Nie wiem dlaczego uznał, że mam krzywe nogi — nikt jeszcze mi tego nie zarzucał.

— A teraz — rozkazał wujek Misza — wszyscy opuszczają to pomieszczenie. Powtarzam: wszyscy!

Spełniłem polecenie z ochotą. Chwyciłem Liadowa za rękaw i pociągnąłem do wyjścia. Próbował się opierać, więc oberwał ode mnie po karku. Nie było to może tak skuteczne, skoro miał na głowie plastikowy hełm, ale zawsze przykre. Wujek Misza zamknął drzwi i zakręcił kołem. Jego spokój nieco mnie przerażał. Zachowywał się tak, jakby Ziemia wcale nie była u progu zagłady.

Gdzieś tam już tyka zegar. Na ekranie pojawiają się czerwone cyferki: do eksplozji pozostało sześć minut, jeszcze pięć minut, jeszcze czterdzieści sekund...

— A ten nazywa się Majoranski — oświadczył Igor, oczekujący nas w laboratorium. — Zbrodniarz, gorszy niż doktor Mengele i Hitler razem wzięci. Wypróbowywał trucizny na żywych ludziach.

— Spełniałem swój obowiązek, walcząc ze światowym imperializmem...

— Aha — stwierdził wujek Misza — tacy są najgorsi.

— A gdzie tamta małpa? — zapytał Liadow.

— Złapiemy ją — oświadczył spokojnie generał.

— Niczego nie rozumiem — powiedział Igor. — To przecież Wierka Snajper.

— Kto?

— Takie przezwisko... A naprawdę to Wiera, dziennikarka. Bardzo mi pomogła.

— Skąd się tu wzięła? — chciał wiedzieć wujek Misza. — Przyszła z waszego świata?

— Nie. Poznałem ją tutaj w okolicach przejścia, na przystanku tramwajowym w Pitrze.

— Dziennikarkę, czy Wierkę Snajper? — dopytywał generał.

— Początkowo udawała pijaczkę, obserwując przejście między światami. Zwąchała coś niedobrego i rozpoczęła dziennikarskie śledztwo.

— Ach, jakie to wzruszające! — rzekł generał z ironią.

— Coś się panu nie podoba? — zapytał Igor.

Zupełnie jakby wszyscy zapomnieli o truciznie. Z trudem się powstrzymywałem, żeby nie przerwać brutalnie owej pogawędki. Wujek Misza, jak gdyby wyczuwając mój nastrój, położył mi dłoń na ramieniu i lekko uściśnął. Chciał mnie uspokoić, lecz ja nie mogłem w żaden sposób dojść do siebie.

Znajdowałem się w podziemiu pośród ludzi, których myśli i uczucia znajdowały się w totalnym rozbiciu. Byłem wobec tego bezsilny i nie mogłem posłużyć się swoimi wyjątkowymi umiejętnościami.

— I co teraz robić? — zapytał w tym momencie Majoranski. — Umrę?

— To są dwa różne pytania, dotyczące dwóch różnych problemów — odparł Liadow. — „Co robić?” odwieczne pytanie rosyjskich inteligentów. Nigdy bym nie pomyślał, że pan do nich przynależy.

— Do kogo przynależę? — spytał Majoranski, wystawiając do przodu szpiczastą bródkę.

— Do morderców, *sir*, do morderców.

— A pan to co? — krzyknął Majoranski.

— Także do zabójców, ale nie samobójców. Umrze pan tak samo, jak ten głupi młody człowiek, który dał się zmanipulować nieodpowiednim osobom. Bo drugie pańskie pytanie brzmiało, czy pan umrze? Mam na to odpowiedź. Umrze pan za sześć godzin i ani minuty dłużej!

— Gariku! — zwrócił się do mnie Igor błagalnym i wystraszonego tonem.

— Coś wymyślimy — oznajmił wujek Misza. — Wyjdźmy na zewnątrz, bo tutaj nie mogę nawiązać łączności.

Majoranski ruszył przodem, tak bardzo chciał się ratować.

— Dlaczego jest pan taki spokojny? — spytał Liadow generała. — Powinien pan odchodzić od zmysłów ze strachu.

— Co też czynię — odparł.

Spojrzał na mnie, lecz nie mogłem mu pomóc. Ciągle niczego nie czułem.

Wyszliśmy na słońce. Przy drzwiach czekało na nas dwóch poruczników w czarnych mundurach.

— Nie wchodziliśmy, jak rozkazano — oświadczył jeden z nich.

— Towarzyszu generale — zwrócił się drugi do Majoranskiego, lecz ten tylko machnął ręką i usiadł na trawie.

Zza rogu budynku wyszło dwudziestu żołnierzy w mundurach maskujących. Z nadjeżdżającego jeepa wyskoczył pułkownik.

— Tutaj, towarzyszu generale — zawołał.

— Gdzie jest karetka? — zapytał generał.

— Kto wymaga pomocy? — odpowiedział pytaniem pułkownik.

— Mamy paru poszkodowanych.

— Z jakiej przyczyny?

— Trzeba ich odwieźć do waszego szpitala na dezaktywację.

— Jak pan powiedział? — zdziwił się oficer, uśmiechając smutno pod długim, obwisłym wąsem.

— No, jak to się u was nazywa?

— Dezynfekcja. Myślę, że generał miał to na myśli — odpowiedział czarny porucznik.

Majorańskiego zanieśli na noszach. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że nie musi się ruszać o własnych siłach.

— Jakiego rodzaju porażenie? — dopytywał pułkownik. — Nie mieliśmy ze sobą łączności.

— V–X bis — oznajmił Liadow. — Mój tygrysek.

— Niech to diabli!

Pułkownik był wyraźnie wstrząśnięty.

— W ostatnim pomieszczeniu — wyjaśnił generał — leży baniak. Był otwarty, ale go ponownie zakręciłem.

— Pierwsza grupa — zakomenderował niezbyt głośno pułkownik — do piwnicy! Słyszycie, poruczniku?

Tym razem słowa odnosiły się jednak nie do podwładnego w czarnym mundurze, lecz do innego człowieka, który nagle wyrósł obok nas, jakby wyskoczył spod ziemi. Miał na sobie kombinezon ochronny, lecz w odróżnieniu od naszych bardziej przypominał strój pletwonurka.

Odsunęli nas na bok, pomimo naszych kombinezonów. Sanitariusze, którzy przyszli po Igora także mieli na sobie odzież ochronną.

— Muszę już wracać — oświadczył chłopak. — Nie wiecie...

— Będę u ciebie za pół godziny — poinformował go wujek Misza. — Możesz trochę poczekać?

— Poczekaam — zgodził się Igor. — Tylko lepiej żeby mnie nie badali, bo jeszcze zemdleją.

— Zgadza się — poparł go Liadow. — Tak czy inaczej, powinniśmy obmyć się jak należy.

Kiedy zabrali już wszystkich gości z podziemnego świata, wujek Misza powiedział do stojącego obok pułkownika:

— Zadbajcie o nich jak trzeba.

— Wie pan, że komendant instytutu zabity? — spytał oficer.

— Wiem — odparł generał. — Znaleźliście dziewczynę?

— Szukamy — oświadczył pułkownik.

— Znajdzie się jakieś dyskretne pomieszczenie?

— W naszej bazie?

— Lepiej gdzieś tutaj.

— To przecież nasz teren.

— Musimy postanowić, co dalej robić.

— Jedyne... — pułkownik zająknął się na chwilę. — A może by tak w komendanturze? Ciało już wyniesione. Chyba to wam nie przeszkadza?

— Nie przeszkadza. Utrzymujcie łączność. Proszę też, żeby nasi goście zostali zdezynfekowani w ciągu najbliższych piętnastu minut.

— Nie da rady w tak krótkim czasie — odparł pułkownik. — Musimy ich zbadać. Przecież to nie był jakiś tam fosgen, ale V–X. Tym bardziej partia próbna.

Wujek Misza skierował się do głównego kinowego wejścia, lecz pułkownik szybko go zatrzymał.

— Towarzyszu generale, źle mnie pan zrozumiał — powiedział. — Nie powinniście jeszcze tam iść. Najpierw trzeba z was zdjąć kombinezon i także oczyścić.

— A po co? Uniknąłem niebezpieczeństwa.

— Niestety, nikt nie jest bezpieczny. Ci zaś, którzy przebywali tam bez kombinezonu są skazani na śmierć.

— Dwaj — uściślił generał. — Igor i ten... Majoranski. Znajome nazwisko.

— Laboratorium trucizn Sudopłatowa — podsunąłem.

— No właśnie — przytaknął wujek Misza.

Udaliśmy się do furgonu sanitarnego. Zanim weszliśmy do środka, generał zadał pułkownikowi pytanie, które chyba chował na ostatek:

— A co z trucizną?

— Nigdzie się nie przedostała — oznajmił oficer. — Nie ma kanalizacyjnego połączenia z rzeką.

Wszystko spłynęło do podziemnego rezerwuaru.

— Czy to bezpieczne?

— Niebezpieczne i to jeszcze jak! Ale to wasze zadanie: wywołać w Moskwie panikę.

— Są powody do paniki? — zapytał generał.

— Zawsze znajdzie się powód w naszej pracy. Substancja spłynęła do zbiornika, lecz rezerwuar jest stary, może w betonie są pęknięcia i część może wsiąknąć w ziemię, a wówczas... do cholery, nie chcę nawet o tym myśleć. Przecież nie jesteśmy w stanie przekopać całego rejonu!

Czterdzieści minut później odwiedziliśmy izolatkę, w której umieszczono Igora.

Dziewczyny wciąż jeszcze nie znaleziono.

— Muszę cię zmartwić — powiedział wujek Misza. — Na skórze pozostały mikroskopijne ślady substancji. Wystarczająca dawka, żeby wyprawić człowieka na tamten świat.

— Mówi pan o mnie? — spytał chłopak w roztargnieniu.

— O tobie, profesorze Majoranskim i tej dziewczynie, której ciągle szukają.

— Szkoda — powiedział po chwili milczenia. — Ile mi zostało...

— Jak twierdzi Liadow, około pięciu, sześciu godzin.

— To znaczy, że już tylko trzy — stwierdził Igor. — Przekażcie ode mnie pozdrowienie dla Lusi.

Znajomy pułkownik uchylił drzwi i rzekł, zaglądając do środka:

— Towarzyszu generale, musi pan iść natychmiast.

— Co tam?

— Przyleciał z Moskwy drugi generał. Bardzo się ciska.

— Psiakrew, tego jeszcze brakowało.

Wujek Misza, zdenerwowany, wyszedł z pokoju. Spojrzałem uważnie na Igora: bardzo się zmienił w ciągu minionych miesięcy. Twarz miał prawie siną, włosy się przerzedziły i strasznie wychudł.

— Co z trucizną? — zapytał.

— Znalazła się w bezpiecznym miejscu. Okazało się, że Liadow się pomylił i nie ma tam żadnego odpływu do rzeki. Jest natomiast podziemny zbiornik.

— Betonowy?

— Oczywiście.

Wyraźnie się uspokoił. Leżał na łóżku w podkoszulku i spodenkach. Były na niego za duże, widocznie wydali mu takie z magazynu wojskowego.

Wyobrażałem sobie tymczasem, jak trująca substancja przesącza się przez szczeliny w betonie...

— Jakie to dziwne — powiedział Igor. — Otrzymali drugie życie, lecz nie powstrzymało ich to, aby zabić was... za to, że jesteście żywi.

— I stworzyć całkiem martwy świat — dodałem.

Czas uciekał. Czekaliśmy w niewielkiej izolatce, a generał nie wracał.

— Wiem, co trzeba zrobić — oznajmiłem.

— Co? — spytał Igor z nadzieją.

— Myślę, że najlepiej będzie wrócić do was.

— Dlaczego?

— Dlatego, że... Pamiętasz, był taki śpiewak? Wienia Małkin? Pamiętasz go?

— Tak, żył u nas.

— A z jakiego powodu?

— Żeby nie umrzeć tutaj na AIDS.

Igor zamyślił się.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł nieznamy nam gruby generał, o prymitywnym obliczu godnym neandertalczyka, w białym fartuchu, narzuconym na mundur.

— Witajcie, orły — rzekł. — Jak samopoczucie?

— Świetnie — odparłem. Igor nie odpowiedział.

— Leżcie, odpoczywajcie, będziecie pod stałą obserwacją. Jakby co, zwracajcie się wprost do mnie.

Nie raczył się przedstawić.

— A generał... a Michał Iwanowicz? — zapytałem.

— Niestety, został odsunięty od sprawy. Podlegacie teraz mnie.

— Dziękuję — powiedział Igor.

Nie chciał być arogancki, lecz nie wiedział jeszcze, czy to dobrze, czy źle.

— Kończyć te pogawędki — podjął generał. — Przyślę podwładnego, żeby z wami pogadał. Za czterdzieści minut macie być w pełnej gotowości. Co się mówi?

— Nie pamiętam — odparł mój przyjaciel.

W tej chwili on także rozumiał, że pojawienie się nowego generała nie wróży nam niczego dobrego. Wojskowy skrzywił się, nie zdążył jednak okazać swego niezadowolenia z powodu niesubordynacji cywili podejrzanego autoramentu, ponieważ przerwałem bieg jego myśli.

— Muszę porozmawiać z Michałem Iwanowiczem — oświadczyłem. — Gdzie go mogę znaleźć?

— Wszystko zdążymy omówić, młody człowieku. Ty także jesteś z nieznanego terytorium?

„Aha — pomyślałem — macie już na to własną terminologię”.

— Z całkiem znanego — odparłem.

— Więc nie masz tu nic więcej do roboty — warknął. Odwrócił się w stronę korytarza i krzyknął:

— Poruczniku, natychmiast tutaj! Do kogo mówię!

Musiałem coś z tym zrobić. Zrozumiałem, że inaczej nie wyjdziemy stąd żywi. Kiedy generał znów spojrzał na nas, zobaczył zamiast mnie byłego ministra obrony Jazowa, który rzekł doń ojcowiskim tonem:

— Nie martw się, już ja ich wypytam. Zайдę potem do was. Może być za piętnaście minut?

— Naturalnie, towarzyszu ministrze.

— To idź już, gołąbeczku.

Generał wyszedł z miną kadeta, zachwyconego, że został dopuszczony przed oblicze tak ważnej osoby.

— Kogo zobaczył? — zaciekawiał się Igor, który nie dostrzegł zrzhiany.

— Spróbowałem odtworzyć w jego świadomości postać prawdziwie autorytarnego, konserwatywnego radykała.

— Udało się?

— Kojarzysz generała Jazowa?

— Coś tam o nim czytałem — odparł z roztargnieniem. — Co teraz zrobimy? Trzeba odnaleźć Misze!

— Nasz sojusznik jest doświadczonym człowiekiem — stwierdziłem. — Sam nas odszuka, jeśli tylko znajdzie sposobność.

— Boję się — wyznał.

— Posłuchaj, nie przyszedłem tutaj tylko po to, żeby cię zobaczyć. Mam plan, który już ci zasygnalizowałem.

— Nie zauważyłem.

— Trzeba jak najszybciej uciec do was, dopóki jeszcze działa szczepionka i zanim trucizna jeszcze nie zaczęła.

— To ma związek?

— Obawiam się, że tak. Wspomniałem ci o Małkinie. Uciekł do świata bez czasu, ponieważ chciał przeczekać u was, powstrzymując rozwój choroby.

— Więc jeśli tam wrócimy...

— Wszystko się zatrzyma i będziemy mieli czas zorientować się w sytuacji.

— Tak samo będzie z Majoranskim?

— A także z Liadowem.

— Ale to przecież mordercy! Tylko przez przypadek nie zniszczyli życia na Ziemi.

— Plan towarzysza Berii był niezmiernie naiwny — oceniłem. — Trująca substancja, nawet o tak silnej koncentracji, ukryta w wojskowych magazynach, działałaby tylko lokalnie. Oczywiście, mogły zginąć tysiące ludzi, ale nie zmieniłoby to losów świata, a Beria nie zostałby dzięki temu wszechświatowym władcą. Mur między naszymi światami pęka, ponieważ nasila się presja biologiczna i technologiczna. Jeszcze dwadzieścia lat temu mieszkańców Ziemi było dwa razy mniej, a postęp techniczny także był słabszy...

Starłem się mówić przekonująco, ale wciąż nie mogłem przegnać z mego umysłu tej wizji: podziemny zbiornik wypełniony trującą substancją, który teoretycznie powinien być szczelny, lecz na jego ścianach już pojawiły się cienkie i długie pęknięcia...

Wujek Misza wie o tym, ale nawet on nie jest wszechwładny.

Wiedziałem, że mogę wyprowadzić ze szpitala tylko Igora. Majoranskiego z Liadowem trzeba będzie zostawić. Niech tutaj zdychają. Sami mordowali, więc zasłużyli na śmierć.

— Wstawaj — powiedziałem. — Idziemy.

— Zatrzymają nas.

— Wszyscy postronni zobaczą, że jesteś w towarzystwie oficera, który prowadzi cię, gdzie trzeba. Chodź i nie dziw się niczemu.

— Ciągłe mnie zadziwiasz.

— Nie podlizuj mi się — mruknąłem.

— Jakie to dziwne — powtórzył i poszedł pierwszy do drzwi. — Czasami wydaje mi się, że mieszkamy po prostu w dwóch różnych miastach. Wystarczy wsiąść do pociągu i pojechać z wizytą.

— W zasadzie tak właśnie jest.

Wyszliśmy na pusty korytarz. Ściany były pomalowane do wysokości przeciętnego człowieka niebieską farbą olejną.

— Mam wielką nadzieję, że Leonidowi Moisiejewiczowi uda się stworzyć lepszą szczepionkę — powiedział mój kolega.

— Kiedy stąd wyjdziemy, wszystko mi dokładnie opowiesz.

— Zaczę już teraz. Może później nie będzie na to czasu — stwierdził z powagą. — Kim wydajesz się teraz wszystkim żołnierzom?

— Pułkownikiem. Pamiętasz tego, który nas powitał przy wyjściu z podziemi?

— Dlaczego wybrałeś właśnie jego?

— Na pewno go tutaj wszyscy znają, jest przecież zastępcą głównego komendanta.

W recepcji siedziała pielęgniarka, jak w zwyczajnej przychodni. Była młodzieńka, lecz fryzurę miała niedzisiejszą: grube warkocze oplecione wokół głowy. Na mój widok uśmiechnęła się radośnie.

— Jak się pan czuje, Aleksandrze Tichonowiczu? — zapytała. — Wrzód już nie dokucza?

— Dzięki twoim modlitwom — odrzekłem. — Tylko dzięki nim.

Siostrzyczka zakołysała złotą główką i zaśmiała się perliście.

Przekonawszy się o moich zdolnościach, Igor zaczął mi opowiadać, jak się tu dostał. Doszliśmy właśnie do narady konsulów w restauracji nad brzegiem morza, kiedy w holu natrafiliśmy na prawdziwą barierę i wojskowy posterunek. Miałem nadzieję, że w brygadzie panuje duch patriarchalny. Inaczej nas nie wypuszczą. Patriarchalizm jednak zwyciężył. Kiedy wychodziliśmy, sierżant pochylił się ku mnie i zaszeptał:

— Przyjechał tu jakiś nie nasz generał i strasznie się rządzi.

— Wiem — odpowiedziałem cicho. — Traktuj go na równi z towarzyszem ministrem.

— Rozumiem, towarzyszu pułkowniku!

I nagle wszystko przepadło. Z góry doszedł nas głos:

— Chwileczkę, co wy tam wyprawiacie?

Prawdziwy pułkownik Aleksander Tichonowicz szybko zbiegał ze schodów.

Zdążyłem tymczasem zauważyć, że na zewnątrz stoi kochany wujek Misza, wygrzewając się w jesiennym słońcu i nie podejrzewając chyba, w jaką nas wplątał kabałę. Obok niego stali Majoranski i Liadow pod strażą żołnierzy. W tym samym momencie wszyscy odeszli i znikli z pola mego widzenia. Zostałem zdany na własne siły. Nigdy jeszcze nie musiałem się zmierzyć z tak trudnym zadaniem. Musiałem się rozdzielić. Dla sierżanta pozostałem pułkownikiem, a dla prawdziwego pułkownika owym niemiłym generałem z Moskwy, który przejął tu władzę. Pchnąłem Igora do wyjścia.

Pułkownik zmieszał się i zatrzymał. Nie można przecież krzyczeć na generała, bez względu na to, co się o nim sądzi. Najpierw należy zastanowić się na tym, jak bardzo droga jest komuś kariera i co dla niego ważniejsze: kariera czy sprawiedliwość? Podczas gdy takie myśli wywoływały marsa na czole pułkownika, wyciągnąłem Igora na ulicę.

Na wielkim trawniku okolonym świerkami stał nasz śmigłowiec. Powiew od obracającego się śmigła przyginał trawę do ziemi. Po trapie wchodził wujek Misza, przepuściwszy wcześniej biologów od Berii. Nagle generał odwrócił się ku nam i zapytał groźnie:

— Macie zamiar tu nocować?

Zupełnie, jakbyśmy się wcześniej umówili, że zejdziemy się wszyscy o tej samej porze na tym trawniku i skorzystamy z generalskiego śmigłowca, zanim przechwyci go nasz przeciwnik.

— Szybciej — zawołał, jednocześnie obserwując kątem oka jak biolodzy rozlokowują się w kabinie.

W tym momencie ze szpitala wybiegł pułkownik. Wujek Misza powstrzymał go ruchem ręki.

— Nie ma problemu! — zawołał. — Wszystko pod kontrolą!

Siadając obok mnie w ciasnej kabinie, oznajmił:

— Nie podejmie żadnych działań bez rozkazu. A nowy dowódca z FSB póki co wypija swoje wojskowe sto gram. Wspaniałe chłopaki. Sam widzisz, do czego nas doprowadzili!

Miałem ochotę trochę się pospierać z generałem. To typowe u nas, że za rozpad państwa i upadek gospodarki obwinia się rozmaitych nieprzyjaciół. Dla jednych wszystkiemu winni są komuniści, dla innych demokraci, a dla wujka Miszy konkurenci z Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Śmigłowiec ruszył pionowo do góry.

— Wszyscy na pokładzie? — spytał generał.

— Brakuje Wiery — zauważył Igor. — Przecież także została zatruta, tylko jeszcze o tym nie wie.

— Na nic innego nie zasłużyła — rzekł mściwie Liadow.

Najwyraźniej wcale nie czuł się winny. Był bardzo ożywiony. Jak się domyślałem, generał poinformował agentów, że plan zniszczenia Ziemi nie wypalił, mają jednak szansę wrócić żywi do Czyścica. Agenci Berii musieli uznać, że umknęli spod miecza przeznaczenia.

— Gariku — poprosił generał — mógłbyś uruchomić swój radar?

Wszyscy spojrzeli na mnie, jakby w oczekiwaniu, że zaraz wyciągnę królika z cylindra.

— Ma pan na myśli dziewczynę?

— Owszem — potwierdził generał. — Przecież nie będziemy jej skazywać na okrutną śmierć.

Śmigłowiec pochylił się, pofrunął jak najdalej od wojskowych domków i baraków w stronę przystanku autobusowego.

— Myślę — powiedziałem — że powinna być w pobliżu. Możemy jeszcze stracić trzy minuty?

— Byle nie dłużej — burknął wujek Misza. Katastrofalnie brakuje mu poczucia humoru, a w stresowych sytuacjach zanika ono całkowicie.

Podszedłem do drzwiczek śmigłowca i otworzyłem je. Do środka wdarł się ciepły podmuch. Pilot odwrócił się w moją stronę i coś krzyknął.

Rozdział osiemnasty

Garik Gagarin

Generał pomachał mi ręką. Znał niektóre moje możliwości. Byłem chyba jedynym znanym mu przybyszem z innej planety. Chociaż, któż to może wiedzieć? W tajnych organizacjach Federacji Rosyjskiej można pewnie znaleźć nawet gadającego krokodyla.

Wyskoczyłem na zewnątrz, słysząc za plecami zbiorowe „Ach!” Uznali, że popełniam samobójstwo.

Pofrunąłem tuż nad czubkami drzew, ponad wiejską drogą w stronę pustego przystanku. Wyczuwałem strach Wiery. Szła wolno ścieżką, a do celu pozostało jej jakieś sto metrów. Doszła do wniosku, że lepiej nie wychodzić na odkrytą przestrzeń i podbiec do autobusu, kiedy ten nadjedzie. Wylądowałem przed nią w odległości dziesięciu metrów. Zrobiłem to jednak w taki sposób, żeby nie było widać, że spadłem z nieba, lecz jakbym wyskoczył zza krzaka.

— Wiero — powiedziałem do niej — nie denerwuj się i nie strzelaj, tylko najpierw mnie wysłuchaj.

Istotnie wydobyła zdobyczny pistolet. Zobaczyłem przed nosem okrągły otwór, w głębi którego skrywał się pocisk. Nie wykonywałem żadnych gwałtownych ruchów, jak doświadczony treser w pobliżu nowego tygrysa w cyrkowej trupie.

— Czego? — spytała ordynarnie.

Pomimo tego całkiem mi się podobała. Oczywiście mógłbym jej się objawić jako ktoś dla niej przyjemny, lub wręcz przeciwnie, przerażający, ale nie miałem ochoty.

— Kiedy przebywała pani w podziemiu — oznajmiłem słodkim, spokojnym głosem lekarza psychiatry — została pani zatruta śmiertelną dawką trucizny.

— Bzdura — odparła. — Nie zbliżałam się do niej. Tam byli tylko Liadow w kombinezonie, Majoranski i jeszcze ten sympatyczny chłopak, Igor. Wszyscy umarli?

— Jeszcze żyją. Czas aktywacji jadu wynosi ponad cztery godziny. Zostały już tylko trzy.

— Nie kłamie pan?

— Nie — zapewniłem. — Nie mamy czasu.

— Co pan proponuje? Jest jakieś antidotum?

— Na razie nie — zaprzeczyłem. — Jest jedno wyjście. Dlatego trzeba jak najprędzej wrócić do Petersburga.

— Ale jak?

Wiera była inteligentną osobą i nie zamierzała tracić czasu na wątpliwości.

— Mamy śmigłowiec.

— Gdzie?

— Za minutę wyląduje w pobliżu przystanku.

— Dlaczego chce mi pan pomóc?

Ruszyłem w stronę przystanku, a tymczasem Wiera opuściła dłoń z pistoletem.

— Żal mi pani — oświadczyłem.

— A co zrobimy w Pitrze?

Kiedy stanęliśmy na przystanku, śmigłowiec opuścił się na szosę.

— Proszę mi oddać pistolet — poleciłem.

— Nie mam zamiaru.

— Więc umrze pani za trzy godziny. Słowo daję. Sprawdziłem, to nie żarty.

— Myślałam, że nic mi nie grozi — wyznała.

Oddała mi broń. W pierwszej chwili chciałem wyrzucić pistolet w krzaki, po chwili zastanowienia schowałem jednak do kieszeni.

Pobiegliśmy do śmigłowca. Podmuch śmigieł niemal zwałił z nóg. Generał wyciągnął dłoń, pomagając wsiąść dziewczynie. Wskoczyłem za nią. Warto zauważyć, że niektórych z naszych współtowarzyszy bardziej zdziwił mój powrót niż pojawienie się Wiery. Wydali zdumione westchnienia, podobne tym, jakie słychać było, kiedy wykonałem skok śmierci. Kiedy jednak oderwaliśmy się od ziemi, zdumienie zamieniło się we wrogą reakcję wobec dziewczyny.

— To ona! — wrzeszczał Majoranski. — Dopuściła do wycieku trującej substancji w zamieszkanym terenie.

— No właśnie! — Liadow wyraźnie zaraził się stylem wypowiedzi od starszego towarzysza. — Wydała nas na pewną śmierć. Niech pan to potwierdzi!

Żądał, aby Igor potwierdził ich oskarżenia. Uważał, że chłopak ma jakieś tajemne związki z obecną władzą, dlatego warto się pod niego podczepić.

— Hm — stwierdził generał — w tej chwili najważniejsze jest, jak szybko dolecimy na miejsce. Pod warunkiem, że nas nie zestrzelą przed lądowaniem.

— Dlaczego? — zapytał Liadow.

— Dlatego. To ja tutaj zadaję pytania. Teraz daję każdemu dziesięć minut, żeby opowiedział, w jaki sposób doszło do obecnej sytuacji. Chciałbym mieć ogólny obraz tej sprawy. Nie zamierzam nikogo sądzić, skoro prawie wszystkich chroni eksterytorialny immunitet, a także jesteście skazani na szybką i bolesną śmierć. Kto zaczyna?

Śmigła przyjemnie szumiały, było nam ciepło.

— Ja zacznę — powiedział Igor. — Mieszkam w podziemnym świecie. Różnie się go nazywa. Mieszkam tam od niedawna i bardzo chciałbym wrócić. Kiedy zacząłem podejrzewać, że dzieje się coś złego, a potem dowiedziałem się, że konsulowie, a przede wszystkim Beria, postanowili zlikwidować świat na powierzchni, żeby zachować władzę nad Czyścćem, postanowiłem zawiadomić o tym moich przyjaciół. Nie byłem jednak pewien, czy dostali mój list, a przede wszystkim, czy uznali, że sprawa jest poważna. Dowiedziałem się od doktora Freuda o szczepionce i o tym, że Beria chce posłać do świata żywych dwóch chemików, którzy mają zatruć całą Ziemię.

Starął się mówić szybko, wyraźnie, krótkimi zdaniami. Chwilami przerywali mu dwaj ludzie Berii. Chcieli przedstawić siebie jako naiwnych uczonych nie z tego świata, którzy ulegli demonicznej sile perswazji byłego ministra. Odżegnawali się od zabójstwa komendanta, twierdząc, że pistolet znaleźli przypadkowo.

Wiera milczała. Igor opowiedział o tym, jak spotkał ją na przystanku tramwajowym, a potem na dworcu w Bołogoję. Zakończył opowieść sceną, kiedy dziewczyna zamknęła ich wszystkich w

piwnicy.

— Wiedziała o wszystkim! — wrzasnął Liadow. Wzruszyła ramionami.

— Przestraszyłam się — wyznała. — Bałam się, że ci szubrawcy otrują mnie i Igora.

I znowu zamilkła.

Teraz wystąpił Majoranski, wypowiadając wiele pustych słów. Tak, pracował niegdyś w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, lecz tylko jako teoretyk. A udał się na ową wyprawę tylko ze strachu. Bał się śmiertelnie zarówno Berii, jak i Liadowa.

Ten ostatni powtórzył niemal dosłownie monolog przedmówcy, z tą różnicą, że oprócz Berii bał się również Majoranskiego. Zaliczał siebie do gatunku niewinnych jagniąt i urodzonych filantropów.

— Wszystko jasne — przerwał mu wujek Misza. — Niczego nowego już chyba od was nie usłyszymy. Pozostał jeszcze jeden drobiazg: dowiedzmy się od ślicznej panienki, w jaki sposób wplątała się w tę historię. Proszę mówić prawdę.

— Chciałam służyć ludziom! — oświadczyła niespodziewanie.

Operacja Żmija — 395

— Coś podobnego! — zaproponował Liadow. — Trudno w to uwierzyć.

— Profesjonalnie dołączyłam do Igora — starała się ich przekonać.

— A zatem dołączyłaś — wtrącił wujek Misza dobrodusznie. — Martwiłaś się o niego?

— Tak, w pewnym sensie. Odrzuciła z czoła kosmyk włosów.

— I dlatego zamknęłaś go w piwnicy?

— Proszę mnie zrozumieć — odparła — i spróbować postawić się w moim położeniu.

Wiedziała już, że ci mordercy gotowi są popełnić straszliwą zbrodnię. Zginą wszyscy na Ziemi, w tym także ja i moja rodzina. Wszystko, co dla mnie było święte i drogie...

Jej głos zadrżał ledwie zauważalnie.

— I dlatego zamknęłaś go w piwnicy?

— Widziałam, jak Liadow wywrócił baniak, z którego zaczęła wyciekać trucizna. Jestem tylko słabą kobietą. Nie mogłam zrobić niczego dla Igora, ale mogłam uratować naszą planetę... Dlatego zamknęłam drzwi. Gdybym tego nie zrobiła, mordercy byłiby na wolności, a wraz z nimi wydobyłby się trujący opar.

— Kłamie — stwierdził Liadow.

— Też tak myślę — poparł go wujek Misza.

Ja także wyczuwałem wszystkimi fibrami duszy, że dziewczyna nie mówi prawdy. Kłamstwo płynęło z jej ust z każdym kolejnym słowem.

— Dlaczego mi nie wierzycie?!

— Dlatego, droga Wiero — wyjaśnił generał — że normalny człowiek, a tym bardziej dziennikarz, dowiedziawszy się o takiej sprawie i niemal biorąc w niej udział, nie pobiegłby do lasu, żeby się tam ukryć ani nie poszedłby na przystanek, aby uciec z miejsca zdarzenia, lecz zaraz podniósłby alarm w wojskowej części obiektu.

— Wtedy z pewnością uznaliby mnie za wariatkę i zamknęli w areszcie. Tymczasem spokojnie umarłabym od trucizny.

— Może jednak nie zaszkodziłoby spróbować?

— Ach, jak dobrze być generałem! — krzyknęła Wiera. — Takich jak wy nie można wsadzić do aresztu ani przegonić przez szereg różeg.

— Co ty wygadujesz, dziewczyno! — wtrącił Majoranski, który najwyraźniej postanowił

przyłączyć się do zwycięzców. — Towarzysz generał wie, co robi.

— Towarzysz generał wie, kogo ugryźć — powiedziała uszczypliwie.

Generał nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ w tej właśnie chwili pilot dał mu znak ręką, żeby do niego podszedł. Wujek Misza poszedł do niego, kręcąc siwą głową. Działo się coś złego. Nie było go pięć minut. Spojrzałem na zegarek. Lecieliśmy już około dwóch godzin. Czas płynął szybko podczas improwizowanego talk show. Byliśmy już nad przedmieściami Petersburga.

Wiera spoglądała w iluminator, otoczona śnieżnobiałym nimbem niewinności. Nie ufałem jej.

Zbrodniarze kłócili się po cichu, oskarżając się o coś nawzajem. Igor spytał mnie:

— Jak tam Kaleria Pietrowna?

— Dziękuję, w porządku — odpowiedziałem.

— Ciągłe prace? A Katrin?

— Katrin, Tamara, Sasza Dobriak... wszyscy na stanowiskach. Tęsknisz do nich?

— Strasznie. Tak wierzyłem w szczepionkę Leonida Moisiejewicza... Zaraz przestanie działać i umrę.

— Nie zdążysz umrzeć. Jesteśmy prawie na miejscu.

Powrócił wujek Misza.

— Każą nam zawracać — poinformował mnie po cichu.

— A pan?

— Rozkazałem pilotom lecieć niżej. Nie będą nas przecież chcieli zestrzelić nad kolebką rewolucji październikowej.

— Jest pan ryzykantem, generale... wujku Miszo — szepnąłem.

— Ścisłe mówiąc, od dzisiaj: były generale.

— Byleby Ojczyzna ocalała — odparłem cytatem niewiadomego pochodzenia.

— Brawo... Igorze — zwrócił się do chłopaka — dobry jesteś w topografii?

— Słabo znam Petersburg.

— Masz tutaj mapę i patrz w iluminator.

— Towarzyszu generale — wtrąciła Wiera — proszę zostawić to mnie. Przejdę do pilotów i pokieruję nimi.

— Jest pani pewna, że zrobi to prawidłowo?

— Absolutnie pewna. Sama znalazłam tę fabrykę i spędziłam w niej najciekawsze chwile mego życia.

— A jeśli źle wylądujemy?

— Przekonamy się na miejscu. Była zaskakująco pewna siebie!

— Niech pani idzie.

Wstała i przeszła do kabiny pilotów.

— To jest niedaleko Dworca Moskiewskiego — powiedział Igor. — Można tam dojechać tramwajem.

— Nie mam w planach tramwaju. Jak wygląda przejście z drugiej strony? Ktoś go pilnuje?

— Siedzi tam ptak Feniczka.

— Proszę cię, Igorze — jęknął generał. — Jaki znowu ptak?

— Wielki, kosmaty, niechlujny osobnik z żółtą łysiną jak bilardowa kula dla olbrzymów. Są z nim dwie karliczki.

— To współpracownik Berii? — chciał wiedzieć generał.

— Nie, pracuje dla siebie.

— Skąd wiesz?

— Tak się zachowuje. Puścił mnie, ponieważ uwierzył, że chcę powstrzymać tych... chemików.

— Więc śledziłeś nas od początku? — zawołał Liadow.

— Dopiero teraz pan na to wpadł? — zaśmiał się Majoranski. — Jest pan naiwnym człowiekiem.

Ta pańska lekkomyślność zepsuła całą operację.

— Patrz — powiedział do mnie generał.

Nad nami leciały dwa wojskowe śmigłowce, jakby nas eskortując.

— Dowództwo się wścieka — stwierdził wujek Misza. Nasz śmigłowiec zaczął powoli, prawie niezauważalnie się obniżać. Widocznie Wiera chciała wypatrzeć znajome punkty orientacyjne.

— Musimy porozmawiać, Gariku — oświadczył generał. — Może później nie będzie czasu. Wiesz w końcu, jak źle postąpiłem, łamiąc prawo i lekceważąc rozporządzenia wyższej władzy.

— Trudno będzie wyjaśnić — zgodziłem się z nim — że można nie tylko wypuścić z rąk morderców, ale wysłać ich także poza zasięg naszego prawa.

Siedzieliśmy ramię przy ramieniu i rozmawialiśmy bardzo cicho, żeby nas nikt nie usłyszał.

— Nie mogę skazywać ludzi na śmierć, nawet takich podłych złoczyńców. Pewnie dlatego nie zostanę marszałkiem.

Nie odpowiedziałem. Wszystko i tak było jasne: wujek Misza dożywał ostatnich minut w randze generała. Towarzyszące nam śmigłowce nie zestrzeliły nas tylko dlatego, że odłamki mogły spaść na słynne miasto Piotra Wielkiego i Lenina. Uważali widocznie, że dopadną nas, kiedy tylko wylądujemy.

Najciekawsze było, że ta chwiejna równowaga, stworzona przez naturę i pozwalająca z nieznanych przyczyn egzystować owemu bezsensownemu systemowi, uruchomiła się jednocześnie po obu stronach. Konsulowie postanowili nas zniszczyć, żeby zachować swoją władzę, a nasi generałowie posłali śmigłowce, żeby kontrolować świat podziemny. Być może jeszcze nie zdawali sobie sprawy, jakiego Żar Ptaka schwyтали gołymi rękami bez azbestowych rękawic, lecz na pewno nie przestaną działać.

— Nie wiem, jak będzie przebiegała rozprawa — podjął wujek Misza — ale powinni żywi doczekać sądu.

— Wszystko rozumiem — zapewniłem. — Mam jednak inny pomysł.

— Nie mogę cię narażać. Wiesz dobrze, jakie to ryzykowne.

— Jest tylko jeden problem — stwierdziłem — zdążyć do przejścia przed naszymi prześladowcami. Nie chciałbym, żeby wykryli, gdzie się ono znajduje.

— Jest cel! — zawołał pilot.

Wujek Misza uniósł się z lekka i dosłownie przylgnął do ścianki kabiny, żeby zobaczyć, gdzie będziemy lądować. Patrzyłem w dół jego oczami. Rozciągał się pod nami fabryczny teren z pustymi budynkami. Domyślałem się, który będzie dla nas odpowiedni i Wiera go akurat wskazała. Można było wylądować na sporym pomoście u szczytu jednego z budynków.

— Jeśli wylądujemy z boku — krzyknąłem — znajdziemy się przy drzwiach. A podwórko jest tak małe, że nie ma miejsca dla drugiego śmigłowca.

Maszyna poleciała w dół.

— Gdyby stało się ze mną coś złego — zwrócił się do mnie generał — wszystkie moje obowiązki przejmie Kaleria. Ma odpowiednie kontakty, więc niczego się nie bój.

Generał starał się mówić przekonująco, ale chyba sam nie wierzył w swoje słowa.

— Niech się pan nie martwi — powiedziałem. — Ktoś taki, jak pan, przejdzie suchą stopą przez najgłębszą wodę.

— Nie tym razem.

— Myślę — stwierdziłem — że tamci sami jeszcze nie wiedzą, co zrobić z tym wszystkim.

— Ja zaś mam nadzieję, że nie wszystkie meldunki składane były na piśmie — dodał generał z uśmiechem.

Śmigłowiec zadrżał, dotykając ziemi.

— Szybko! — rozkazał dowódca. — Każdy, kto chce przeżyć, niech biegnie jak najprędzej do środka w stronę przejścia. Ten zaś, kto pragnie zostać i mieć przyjemność z naszymi prześladowcami, może tak uczynić. Macie jeszcze pół godziny życia.

Nikt się nie kłócił ani nie sprzeciwiał, płakał czy siał zamieszanie. Pierwsza wyskoczyła Wiera i pobiegła do hali fabrycznej. Po tym, jak to zrobiła, poznałem, że nie był to jej pierwszy raz. Za nią wyskoczył Liadow. Igor pomógł wysiąść Majoranskiemu. Nieszczęsny zbrodniarz nie nadawał się do tej przygody. Ja z generałem zamykaliśmy pochód.

Mieliśmy piętnaście metrów do otwartych bocznych drzwi. Usłyszałem jak z drugiej strony budynku lądują na wielkim dziedzińcu bojowe śmigłowce. Szybko zrozumieli, że nie mogą inaczej. Mieliśmy jakieś dwie, trzy minuty. Kiedy wpadłem do hali, zamrugałem, żeby przyzwyczaić oczy do półmroku. Wiera podbiegła już do brudnej zasłony, zakrywającej czarną przestrzeń między obrabiarkami.

— Szybko! — polecił wujek Misza. — Pierwszy pójdzie Igor.

— Dlaczego? — sprzeciwił się Majoranski. — Ja jestem starszy.

— Zobaczmy się jeszcze? — spytał Igor, spoglądając na mnie.

— No jasne — zapewniłem.

Wiera zapytała:

— Na pewno umrę?

— Za trzy godziny.

Skoczyła w otchłań, a za nią chemicy. Za każdym rozjaśniała się za kotarą świetlista luna i zaraz gasła.

Generał objął mnie niezręcznie. Mój nos utknął w jego policzku. Sporo razem przeżyliśmy. Szkoda, że to koniec jego kariery.

— Idź — powiedział. — Muszę zatrzymać czekistów, żeby odwrócić ich uwagę od tego miejsca.

Odsunąłem zasłonę i znalazłem się w ciepłej, suchej przestrzeni. Przedemną świetlista pustka. Wskoczyłem w nią. I znalazłem się w siedzibie niezmiernie poruszonego obfitością gości Feniczki.

— Jeśli to możliwe, proszę wyłączyć przejście — powiedziałem.

— Dziury nie da się wyłączyć — oświadczył grubas. — Dziury nie da się wyłączyć — powtórzył. — Strasznie śmieszne.

— Strasznie śmieszne — zawołały czarujące liliputki, wyglądając spod stołu.

— Zdążyliśmy — stwierdziłem.

— Gariku! — zawołał Igor. — Chyba zwariowałeś. Co tutaj robisz?

— Mam sprawę do załatwienia — oświadczyłem. — Nie bój się o mnie. Jak wiesz, mogę tu przebywać dzień albo nawet dwa. Oprócz mnie, niestety, nie było kogo wysłać.

— Ale po co?

Wciąż nie mógł zrozumieć, co robię w tym świecie. Spojrzałem na grupę uciekinierów. Jednak zdążyliśmy. Wszyscy dostali odroczenie wyroku śmierci. Wyglądali jak sprinterzy po skończonym biegu. Zwycięzca pobiegł z flagą, otoczony fotografami. Pozostali wciąż stoją, przestępując z nogi na nogę i zastanawiając się, dlaczego źle wystartowali i jak teraz spojrzą w oczy trenerowi.

Najbardziej interesowała mnie Wiera. Może teraz poznam nareszcie prawdę o niej. Zrobiłem krok w jej stronę. Przyglądała mi się ze spokojem.

— Jest pani tutaj pierwszy raz? — spytałem.

— Naturalnie — odpowiedziała. — Nie miałam pojęcia, że mieszkają tu jacyś ludzie.

Mówiła nieprawdę. Zwróciłem się do Feniczki. Poczuliśmy do siebie wzajemną sympatię. Być może dlatego, że obaj jesteśmy poczwarami. Grubas wzruszył ramionami.

— Nie miałem szczęścia znać wcześniej tej damy.

— My jej także nie znamy — zawołała karliczka — ale to zła kobieta.

— Bardzo zła! — zawtórowała jej druga.

— Jestem dziennikarką — oświadczyła z dumą Wiera.

— To zbrodniarka! — wtrącił Liadow, który najwyraźniej zaczął się już uważać za ofiarę złowieszczy spisku.

— Ratowałam ludzi — powtarzała z uporem.

Trudno było ją zbić z tropu. Wszystko to potwierdzało moje podejrzenia. Byłem już prawie pewien, że jest agentką Berii. Ostatecznie to żaden problem kupić dziennikarkę, skoro masz w swoich rękach kilka nierozkradzionych sklepów jubilerskich. Problem polegał tylko na tym, żeby wyskoczyć na powierzchnię i nawiązać kontakt.

Tak więc wszystko układało się w logiczną całość: dyżurowała po tamtej stronie, żeby ubezpieczać Operację Żmija. Przecież Beria nigdy nikomu nie ufał. Skoro wysłał zamachowców, to bez wątplenia posłał kogoś za nimi. Kogoś, kto mógłby ich sprzątnąć, kiedy już nie będą potrzebni. Wiera świetnie do tego wszystkiego pasowała. Zarówno jej tajemnicze zjawienie się, jak i zachowanie.

Feniczka najwidoczniej myślał o tym samym.

— To przecież nie jest jedyne przejście do świata na powierzchni — stwierdził. — Ławrientij Pawłowicz na pewno miał rezerwowe.

Obaj spojrzeliśmy na dziewczynę. Nie byliśmy w stanie przeniknąć jej emocji, jakby powstrzymywała nas siłą woli.

— Nie możemy się tu zatrzymywać — oznajmiłem, przypominając sobie, że mamy ważniejsze sprawy. — Musimy pójść do doktora Freuda.

— A ja bym chciał wrócić do Klubu Szachowego — stwierdził Liadow.

Chyba rzeczywiście poczuł się bezpiecznie albo tylko blefował.

— Panu także przydałaby się wizyta u lekarza — zauważyłem.

— Głupstwo — sprzeciwił się. — Nie pomoże mi żaden doktor. A skoro mi tutaj nic już nie grozi, zdążę rozegrać sporo pięknych szachowych partii.

Majoranski przestępował z nogi na nogę.

— Rzeczywiście zatrzymują się tu wszystkie procesy chemiczne i życiowe? — zapytał, nie zwracając się specjalnie do nikogo.

Widocznie nie ufał do końca koledze.

— Co pani postanowiła? — spytałem tymczasem Wierę.

— Jest pan pewien, że powrót do domu byłby dla mnie niebezpieczny?

— Śmiertelnie niebezpieczny.

— No to wpadłam! — wyrwało się jej.

Dodała kilka bardzo nieprzyzwoitych słów, dźwięczących w jej ustach całkiem naturalnie.

— Najpierw muszę się spotkać z Ławrientijem Pawłowiczem — oznajmił Majoranski. —

Powiniennem napisać raport.

Cholera! Całkiem zapomniałem o dyktatorze i mogło się to dla nas źle skończyć.

— Nie ma już Ławrientija Pawłowicza! — zawołała liliput — ka pod stołem.

Odwróciłem się do Feniczki.

— Zrobili zasadzkę — wyjaśnił grubas. — Było to całkiem niedawno. Wpadł w pułapkę, wracając do Smolnego.

— Kto go napadł?

— Myślę, że zakonnicy władzyki Nikifora. Być może stał za tym Kliukin, który miał bardzo za złe Berii śmierć ukochanej Łarisy.

— To absolutnie pewne?

— Absolutnie. Jeden z moich aktorów był przypadkowym świadkiem owej krwawej rozprawy. Dosłownie rozerwali go na strzępy.

— Co za głupota! — zauważył Liadow. — Mogliśmy zagrać kolejnych sto partii, zamiast włóczyć się bez sensu po Ziemi.

— A ja nie żałuję — odparł starszy kolega. — Wypełniliśmy swój obowiązek.

— Jak myślicie, ktoś nas podwiezie?

— Na pewno nie — zaprzeczył tłścioch.

— Jesteśmy bardzo zmęczeni i osłabieni — poskarżył się Majoranski.

— Idźcie z przerwami na odpoczynek — doradził Feniczka.

— Może wszyscy na początek odwiedzimy doktora? — zaproponowałem.

— Szkoda tracić czas — sprzeciwił się Liadow. — Idziesz ze mną, Lwie Jakowlewiczu?

Wiera zapytała:

— Jak długo tutaj będę?

Wydawało się, że w ogóle nie zainteresowała się informacją o śmierci Berii. Jak długo tak zdoła udawać?

— Zdecyduje o tym Leonid Moisiejewicz.

— Będę mogła wysłać stąd wiadomość... do domu? Czeka na mnie mama.

— Postaram się — oświadczył Feniczka. Zapytałem:

— A może pani wypełniała zadanie specjalne z rozkazu Federalnej Służby Bezpieczeństwa albo podobnej organizacji? Przepraszam za tak bezpośrednie pytanie.

— Nie znudziło ci się to ciągle czepianie? — odgryzła się prędko. — Za pół godziny dojdiesz do wniosku, że jestem agentką FBI.

— A nie jesteś?

Nikt się nie roześmiał.

Wyszliśmy na miasto. Dał lekki wietrzyk, który dać tutaj nie powinien. Świat Czyścica podlegał nieodwracalnym zmianom. Najważniejsze, że nie było już Ławrientija Pawłowicza, który usiłował powstrzymać zbliżenie obu światów i prawie mu się to udało.

Na ulicy czekała jedyna tutaj riksza.

— Dokąd jedziemy? — zapytał kolarz.

— Ostrożnie, to agent Berii — ostrzegł nas Igor.

— Ach, dajcie spokój — odparł rikszarz. — Berii już nie ma, a ja pracuję na własny rachunek.

Mam dla was zaproszenie na ślub japońskiego generała z Kruszyną. I pozdrowienia od Lusi Tichonowny.

Nikt nie chciał z nim jechać. Poszliśmy dalej pieszo.

* Sowiecki odpowiednik Świętego Mikołaja.

* Mordwinką, mieszkanka narodowości mordwińskiej. Mordwa to autonomiczna republika w europejskiej części Federacji Rosyjskiej.